

Rafał Dębski
Czarny Pergamin



Rafał Dębski
Czarny Pergamin



fabryka

SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Rozdział 1	Rozdział 2	Rozdział 3	Rozdział 4	Rozdział 5
Rozdział 6	Rozdział 7	Rozdział 8	Rozdział 9	Rozdział 10
Rozdział 11	Rozdział 12	Rozdział 13	Rozdział 14	
Rozdział 15	Rozdział 16	Rozdział 17	Rozdział 18	
Rozdział 19	Rozdział 20	Rozdział 21	Rozdział 22	
Rozdział 23	Rozdział 24	Rozdział 25	Rozdział 26	

Książki Rafała Dębskiego

Rafał Dębski

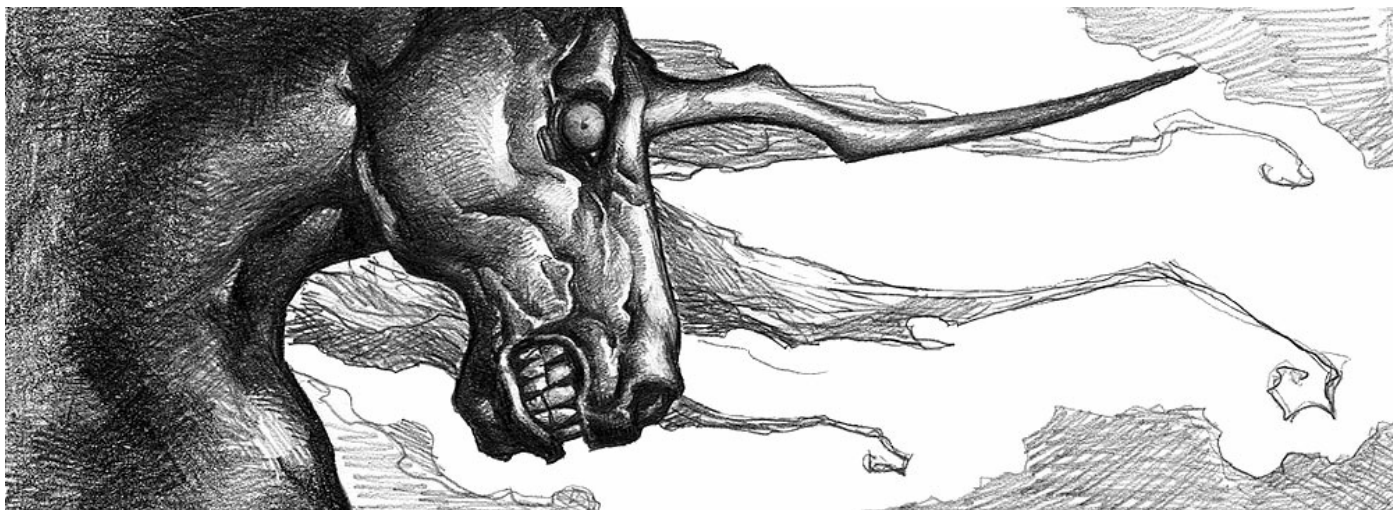
Karta redakcyjna

Rafał Dębski

Czarny Pergamin

fabryka słów

Lublin 2010



Rozdział 1

Maive, doprawdy nie wiem, co ten Koniokrad w tobie widzi! Wdzięczną postać? Na pewno nie – masz za szerokie biodra, a prawie zupełnie brakuje ci talii. W ogóle cała jesteś zbyt szeroka. Piękne lico? Też coś! Byle służąca ma ładniejszą buzię. Ty, skarbie, nie jesteś nawet przeciętna. Drobne stopy? No, może i tak, choć bywają drobniejsze i kształtniejsze... Maive, Maive, dlaczego taki mężczyzna, jak on, pokochał taką brzydulę?

Odbicie w zwierciadle wykrzywiło się w szyderczym grymasie.

– A może winien jest piękny uśmiech? Ech, gdzie tam, nie łądź się nawet. Moja Maive, tam w lustrze, powiedz, za co właściwie on ciebie pokochał? Włosy? Tak, całkiem ładne, lśniące i jedwabiste. Ale przecież widziałaś hrabinę Burghiese. Ta dopiero ma nie tylko włosy, ale i kibić! A jak łakomie spoglądała na Koniokrada! Dlaczego ty? Czyżby oczy? – Zbliżyła twarz do zwierciadła, westchnęła ciężko.

Skrzypnęły drzwi. Szybko odwróciła się od lustra.

– Maive! – Niewielkie pomieszczenie wypełnił bez reszty ostry, karcący głos ojca. – Znowu gadasz do siebie! Muszę w końcu oddać cię na królewski dwór, tam przynajmniej będziesz miała do kogo gębę otworzyć. Hubert pewnie poczynił już odpowiednie znajomości. To obrotny chłopak. Może i męża jakiegoś ci tam znajdą... Chociaż przy twojej mizernej urodzie... – Skrzywił się niechętnie. – A o tym wyrzutku nawet nie myśl! Został wyjęty spod prawa, gdzie mu do ludzi!

Ukryła twarz w dłoniach. Nawet własny ojciec jest przeciw niej! Nawet on!

Vorda patrzył na dziewczynę z dziwnym wyrazem twarzy. Dlaczego nie wdała się w matkę? Jeśli nie z urody, to chociaż z łagodnej natury. Tymczasem córka uparta jest zupełnie jak on! Niezdarnie pogładził ją po włosach.

– Nie myśl o nim, Maive – powiedział cicho. – Szkoda twoich łez.



Kiedy wszedł do namiotu barona Pillgrima, ten zrazu go nie poznał.

– Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać – mruknął niechętnie, wpatrując się z napięciem w leżącą na stole mapę. Nieproszonemu gościowi poświęcił jedynie krótkie spojrzenie. – Czego chcesz, włóczęgo?

– Jakże to, marszałku? – roześmiał się tamten. – Twoi strażnicy bez trudu rozpoznają pierścień, a ty sam nie potrafisz poznać człowieka, któremu niegdyś go ofiarowałeś?

Pillgrim podniósł głowę znad pergaminu. Przyglądał się długo przybyszowi, a w jego wzroku można było odczytać zupełny brak zrozumienia. Gość stał cierpliwie. Nagle dostrzegł błysk w oczach barona.

– To ty, Alwenie?! To naprawdę ty?! Nie przypuszczałem, że jeszcze cię ujrzę! Więcej, nie podejrzewałem, że kiedykolwiek odważysz się pojawić w pobliżu jakiegokolwiek oficera królewskiej armii! Czyżbyś nie znał rozkazów? Gerhard! – zawołał, a kiedy wpadł gwardzista, rozkazał: – Powiesić tego człowieka na najbliższym drzewie.

Żołnierz patrzył nieco zdezorientowany na swojego dowódcę. Człowiek noszący pierścień Pillgrima powinien być nietykalny, przynajmniej tak bywało do tej pory.

Baron roześmiał się i uczynił uspokajający gest dłonią.

– Przenieś nam wina. Najlepszego, jakie udało się zrabować naszym kwatermistrzom. Przetrząśnij dokładnie ich wozy. A gdyby jęczeli, przekaz im moje pozdrowienia. Serdeczne.

– Nie licz na odsiecz – powiedział cicho Alwen, kiedy Gerhard odszedł. – Król uciekł wraz ze swą waleczną armią, wcale się tobą nie przejmując. Nie ma żadnego większego zgrupowania wojska w naszym centrum. Nie ma w ogóle żadnego centrum!

– Skąd wiesz?

– Stąd, że byłem przy samym królu, kiedy w pośpiechu, by nie rzec w panice, zwijał obóz!

– O właśnie! – Pillgrim uniósł brwi. – Ostatnio dochodziły mnie słuchy, żeś zdołał uwiesić się pańskiej kłamki, ale jakoś nie dawałem temu wiary! To ciekawe, bo o ile się orientuję, miłościwie nam panujący Filip Chromy najchętniej powiesiłby cię na pierwszej gałęzi. Podobnie postąpiłoby zresztą wielu innych twoich wielbicieli, Koniokradzie. – Z drwiącym uśmiechem wpatrywał się w twarz przybysza.

– Jeśli chciałeś mnie obrazić, wymawiając owo przezwisko, to nie udało ci się, mój

baronie. Zbyt często je słyszałem w ostatnich czasach, aby jeszcze robiło na mnie wrażenie. Przywykłem. Może dołączę je do herbu, kto wie? Pancerna dłoń dzierżąca napięty arkan... – Zamyślił się na chwilę. – A co do Filipa, i owszem, toleruje mnie ostatnio, gdyż oddałem mu pewną drobną przysługę. Zdobyłem przypadkiem eliksir na jego bóle i pozwoliłem sobie mu go ofiarować. Wiesz, jak ostatnio trudno było zdobyć zamorskie towary. A dzisiaj nasz ukochany monarcha przesyła moimi ustami rozkazy dla ciebie.

– Wcale nie chciałem cię prowokować – usprawiedliwił się cicho Pillgrim. – Po prostu jestem rozdrażniony i szukam każdej okazji, by dać upust rozsadzającej mnie złości. Co to za rozkazy?

– Po pierwsze, masz się utrzymać tak długo, jak tylko się da. A po drugie, król okazał mi tak zwaną łaskę i, bym mógł odkupić rzekome winy względem jego majestatu, nakazał, byś przyjął mnie w szeregi podległej ci armii.

– Ha, ha, ha – powiedział baron bez uśmiechu. – Nie nazywaj armią tej bandy maruderów i trzepiekoni, którą mam nieszczęście dowodzić. Zresztą w ich przypadku mówienie o dowodzeniu to nadużycie najczystszej wody. Bardziej pasowałoby określenie, że sprawuję nad nimi opiekę, bo są równie sprawni i zdecydowani jak dziewczica przed pierwszą schadzką. Wciąż pakują się w kłopoty, rozłazą na wszystkie strony, tak że czasami czuję się niczym suka, która musi w pysku przynosić do legowiska niesforne szczenięta, żeby gdzieś nie poginęły. Nawet nie wiedzą, z której strony ładować samopały, a na armatę patrzą jak na maszynę piekielną. To zresztą wszystko jedno, bo nijakich jaszczy w moim wojsku nie znajdziesz, a do arkebuzów prochu nigdy nie dosłano, więc używać ich możemy jako maczug. Niemniej fakt pozostaje faktem. Takich zuchów dostałem i z takimi muszę się użerać. Wiesz dobrze, że jeżeli istnieje człowiek, którego miłościwie nam panujący Filip nie cierpi równie mocno jak ciebie, to właśnie stoi przed tobą. Mimo wszystko miałem nieśmiałą nadzieję, że przyśle przynajmniej jakieś mizerne posiłki, nie pozostawi na zupełne zatracenie wszystkich tych nieszczęśników.

– Przysłał posiłki – odparł Alwen. – Mnie.

– Znaczy, mamy praktycznie we dwóch, no, może jeszcze razem z paroma moimi przybocznymi, robić za tylną straż podczas sromotnej rejterady niezwyciężonej królewskiej armii? Bo na moich tak zwanych żołnierzy za bardzo liczyć nie można. Mamy się poświęcić zupełnie jak ten, jak mu tam było... nieważne. Tyle, że jego król był prawdziwym wojownikiem, a na pewno potrafił przynajmniej utrzymać się w siodle bez wydatnej pomocy koniuszych. A przy okazji, jeśli o koniach mowa, nie mam dla ciebie nawet porządnego wierzchowca... gorszego jakiego też nie... chmyza ostatniego również nie dostaniesz. Żołnierze wszystkie zeżarli. Co prawda nie broniłem im, bo te chabety, które przydzieliło kwatermistrzostwo jego wysokości, zresztą na osobisty rozkaz naszego przyjaciela hrabiego Burghiese, oby z piekła nie

wyrzał, do niczego innego nie mogły się przydać. – Pillgrim roześmiał się, lecz zaraz umilkł. Sytuacja musiała być naprawdę poważna, jeżeli skory na ogół do żartów baron zamyślił się teraz ponuro.

– Nie szkodzi – mruknął Koniokrad. – I tak bym nie wziął. Pójdę razem z piechotą. Powiedz tylko, gdzie mam się udać po przydział.

Pillgrim wyprostował się.

– Daj spokój! Nie pozwolę, żebyś zginął, na dobitkę zupełnie bez sensu!

Alwen roześmiał się, jednak w tym śmiechu, podobnie jak przedtem w swoim, Pillgrim nie usłyszał śladu wesołości.

– Ty się nie szczerz – warknął zniecierpliwiony – tylko powiedz prawdę, dlaczego tu jesteś?

– Żeby walczyć. Będę może jedynym wojakiem z prawdziwego zdarzenia w tej twojej koszarnej zbieraninie. W każdym razie mogę się okazać jedynym z oficerów, który wie, na czym polega dowodzenie. I ten powód powinien zupełnie wystarczyć. Reszta nie jest w tej chwili istotna, nie sądzisz?

– Zdajesz sobie sprawę, że pchasz się na pewną zgubę? A ta wielka łaska królewska to zwykły wyrok śmierci? Równie dobrze mógł rozkazać cię ściąć na miejscu, tylko mu nie wypadało. Zabieraj się stąd zaraz, zanim zaciśnię się wokół nas pierścień oddziałów Gernona!

Alwen patrzył na niego bez słowa. Pillgrim potrząsnął głową.

– Swego czasu obiecałem twojemu ojcu, że będę na ciebie uważał. Co prawda od tamtego dnia upłynęło wiele lat, a ty sam pokierowałeś swoim życiem tak, jak chciałeś. Nie miałem na to większego wpływu... ba, najmniejszego nawet nie miałem, uparty ośle! Ale teraz mam! I dlatego nie zostaniesz ze mną!

– Zostanę!

– Mowy nie ma!

– Ciekawe, co zrobisz, żeby mnie zmusić do odejścia. Nie masz nawet konia, żeby mnie przywiązać do grzbietu i posłać do diabła.

Wszedł Gerhard z dzbanem wina. Postawił naczynie na stole i zaczął rozkładać zastawę.

– Zostaw. – Pillgrim odprawił go ruchem ręki. – Sami damy sobie radę. Napij się, Alwenie. Może trunek przywróci ci nieco rozumu. Podobno w winie tkwi mądrość...

– Prawda – poprawił go Alwen. – In vino veritas. W winie jest prawda. Ona zaś nie zawsze chadza w parze z mądrością. Rzekłbym, obserwując świat dookoła, że czyni to nader rzadko. Nie zniechęcisz mnie do udziału w bitwie. Nie zostawię najlepszego druha ojca i mojego na pastwę wroga!

– Jesteś szalony, Alwenie. Tak o tobie powiadają i to jest prawda. Prawy wariat z ciebie! Gdyby mnie ktoś zwolnił z obowiązku dowodzenia tą hałastrą, zwinąłbym się, nie czekając na nic. W pół pacierza smród by nawet po mnie nie pozostał... Nie

wierzysz?

– Tak, oczywiście, wierzę – odparł ironicznie Koniokrad. – Jak najbardziej wierzę!

– A ty masz możliwość uratować swój twardy tyłek! I wynieść cało głupi łeb!

– Tak, oczywiście.

– Alwennie – oznajmił uroczyście baron Pillgrim – jesteś kompletnym idiotą! Wiesz o tym?

– Wiem!

– Gerhard, chodź tu! – wrzasnął nagle baron. – Wydać żołnierzom całą spyżę, jaka jeszcze pozostała! Wino i gorzałkę też!

Spojrzał na Alwena.

– I tak jutro wszyscy zdechniemy – mruknął. – Po diabła nam zapasy, które przypadną zwycięzcom. Niech się ludzie zabawią chociaż przez krótką chwilę przed zgonem. Poza tym, z potwornie bolącym łbem mniej żal umierać, bo przecie nagła śmierć to zawsze jakaś ulga w cierpieniu.



Vallery d'Orenburg, kapitan królewskiej armii ze zmarszczonym czołem spoglądał na wschód. Obudził się z gorączkowego snu, jaki na kilka minut zesłał litościwy Bóg. Siodło gniotło niemiłosiernie, obolałe i strudzone, przyciśnięte do końskich boków nogi zdrętwiały, a teraz zaczęły chodzić po nich stada bolesnych mrówek. Poruszył palcami, napinając i rozluźniając mięśnie, by się ich pozbyć.

Nowy dzień budzi się do życia. Dzień przegranej dla wojsk królewskich, a jutrenka zwycięstwa dla wroga. Pierwszy nieśmiały poblask wyostrzył kontury przedmiotów. Wojsko płynie drogą na kształt rzeki, ludzki potok zawija się meandrami zakrętów. Milcząca jest ta rzeka, jakże inna od tej, z którą ruszali na wyprawę. Wtedy oficerowie pokrzykiwali głośno, prości żołnierze śpiewali, śmiali się i klęli na przemian. Nawet ponury kapelan Sigmund potrafił zdobyć się na krzywy uśmiech, gdy usłyszał gruby wojacki żart. A teraz wloką się niczym stary kret z przetrąconymi łapami. To, że w ogóle idą zakrawa na cud... Chociaż nie, to nie cud. Ci ludzie po prostu boją się wpaść w okrutne ręce wroga...

Z zamyślenia wyrwał go nagły krzyk. Odległy wrzask dobywający się z wielu gardeł. Czy to możliwe, żeby tam, za plecami rozpoczęła się już bitwa? Czy to baron Pillgrim de la Marvillla, najwaleczniejszy z generałów, użera się już z wojskami Gernona?

Drgnął, otworzył oczy. To było tylko złudzenie. Zdrzemnął się na chwilę. Wtedy człowiek słyszy różne rzeczy. Nadstawił ucha, niepewny, czy jednak krzyk się nie powtórzy. Panowała zupełna cisza, zakłócana jedynie człapiącym odgłosem tysięcy

stóp i cichym szcękaniem rynsztunku.

Przed nim oddział kopijników. Las drzewc kołysze się w rytm końskich kroków. Kiedy zaświeci słońce, będzie można dostrzec, jak mocno zardzewiały groty. Przecież jeszcze tak niedawno, gdy ruszali do walki, ostrza lśniły aż w oczy raziło, a teraz... Szkoda takiej siły. Szkoda tych wszystkich pieniędzy wydanych na przegraną od samego początku wojnę. Ale najbardziej szkoda ludzi. Daleko, na czele pochodu, widać mdłe światła latarni. Tam jedzie król ze swoimi przybocznymi gwardzistami. I on, kapitan d'Orenburg, jest przecież królewskim gwardzistą, jednak po kilku bitwach zaczęło brakować oficerów, więc część kawalergardów skierowano do liniowych oddziałów. Gdzieś w tej grupie przy królu jest nieodstępny Ludwig hrabia Burghiese, sprawca tego całego zamieszania. Jak powiadają, pchał Filipa Chromego do wojny, pchał konsekwentnie i uparcie, aż wreszcie dopiął swego. Intrygant. U jego boku arcybiskup Falcone. Obaj opletli nieszczęsnego króla niczym powój, który wspina się na samotną kolumnę. Jedynie im monarcha nadstawia chętnego ucha, rady innych mając za nic. Nie może być dobrze, jeśli tacy ludzie decydują, w jakim kierunku ma sterować nawa państwa.

– Wstawaj, Gwido! – wrzasnął, zatrzymując się, by wyładować złość na sierżancie siedzącym w przydrożnym rowie. – Żołnierzy pilnuj, a nie odpoczywaj!

– Dyć nie widzicie, że sram, kapitanie Vallery? Kałdun mnie boli, że zdzierżyć trudno... Zaś co tylko się ruszę, zaczyna świdrować w kiszkach, kieby sam diabeł widłami mieszał.

– A masz to czym srać? – zdziwił się d'Orenburg. – Wszak głód od tygodni. Gdzieżeś zrabował jadło?

– E tam – stęknął Gwido. – Nijakiego jadła nie zrabowałem. Jagód się nażarłem z oskomy jak kto głupi, to mnie teraz skręca. Darujcie, panie – jęknął przepraszająco, a z jego trzewi dobył się bulgocący odgłos.

Vallery machnął ręką i popędził konia. Trzeba samemu doglądnąć oddziału, skoro sierżant zaniemógł. Przecież ledwo spuścić wojsko z oka, a ludzie zaczynają się rozłazić na wszystkie strony.



Dniało. Alwen wyszedł z namiotu Pillgrima. Szybko zlustrował ustawione w kolumny oddziały. Na twarzach żołnierzy wyraźnie było widać ślady nocnej pijatyki. Niektórzy jeszcze chwiali się na nogach, upojeni po nocnej uczcie, inni zaczęli trzeźwieć i cierpieć od nadmiaru trunków.

– Zobacz, mój drogi – usłyszał nad uchem cichy głos barona. – Nie tylko wyglądają jak łachudry. Nawet uzbrojeni są niby banda z lasu, a nie regularna armia.

Rzeczywiście. W jednym szeregu stali ludzie ściskający w rękach zarówno porządne miecze, jak i podłej roboty tasaki, kordy, a także ciężkie czy lżejsze topory. Nawet lancknechci nie mieli jednakowo długich kopii, ale różnej wielkości drzewce od krótkich włóczni po kilkumetrowe sarisy.

– Zbieranina – ciągnął Pillgrim. – Byle książątko ma lepiej wyposażone wojsko. Ale może coś da się z nimi zrobić, skoro wszyscy nie uciekli, korzystając z ciemności.

– Może po prostu byli zbyt pijani – mruknął Alwen.

– Może. Ale wolę myśleć inaczej.

Wyszedł przed ugrupowane w głąb pola szeregi. Wszystkie twarze zwróciły się ku niemu.

– Żołnierze! – zawołał donośnie. – Nadchodzi czas walki, czas rozstrzygnięć. Bóg widzi, że chciałem oszczędzić waszej krwi, na ile to było możliwe. Żarliście przez ostatnie tygodnie byle co, albo i nic zgoła i popijaliście głód czym popadło, zgadza się?

Po szeregach przeleciał szmer potwierdzenia. Pillgrim wziął głęboki oddech i mówił dalej.

– Wczorajszego wieczora pozwoliłem wam jednak napchać kiszki przyzwoitą spyżą z nienaruszalnych dotąd zapasów i przebrać miarę w picciu. Wiecie, dlaczego kazałem to zrobić?

Odpowiedziała mu zupełna cisza.

– Powiem wam, skoro sami się nie domyślacie, kapuściane głąby. Bo dla wielu z was, a może nawet dla wszystkich, to był ostatni porządny posiłek w życiu. Nie zamierzam nikogo oszukiwać. Musicie wiedzieć, że jesteśmy otoczeni przez przeważające siły wroga! Nie oglądajcie się dookoła z wytrzeszczonymi gałami i nie szukajcie, głupcy, gdzie dać nogę! Gównu wam pomoże ucieczka. Weseli chłopcy Gernona wyłapią dezertków bez trudu i zatańczą z nimi po swojemu.

Tym razem szmer, który przebiegł wśród żołnierzy wyraźnie niósł ze sobą strach. Szeptali między sobą, spoglądając z niepokojem na wszystkie strony.

– Dlatego – Pillgrim podniósł głos – zapomnijcie o swoich gaciach, pełnych teraz ze strachu! Komu tam się co wymknęło, niech wypuści kloc przez nogawkę i dalej mi stawać w ordynku! Tylko walcząc w należyтым szyku mamy jakieś szanse. A kto cudem wyjdzie dzisiaj ze szcztu, będzie mógł opowiadać wnukom o wielkim dniu, kiedy armia generała Pillgrima stanęła przeciwko przewadze wroga, by bronić jedynie słusznej sprawy miłościwie nam panującego króla Filipa! I bez głupich uwag, wy tam z tyłu, na temat królewskiego majestatu, bo za końskim ogonem pojedziecie! Macie bronić swego monarchy, boście mu przed Bogiem przysięgali, jaki by on tam nie był i co byście o nim nie sądzili, bando trzęsiportków! Zrozumiano?

Odpowiedziało kilka, może kilkanaście głosów.

– Zrozumiano? – powtórzył głośniejsz Pillgrim. – Kto zrozumiał, ten niezwłocznie

dostanie z moich własnych zapasów kwartę gorzałki, przedniej okowity, pędzonej przez mnichów w leśnym eremie! A kto nie pojął, w czym rzecz, tak czy siak pójdzie do boju, jeno o suchym pysku. Zrozumiano teraz?

Tym razem odzew był o wiele głośniejszy.

– Dobrze, moi dzielni wojacy! Stanąc teraz w sprawie i czekać na rozkazy.

– I gorzałkę! – krzyknął ktoś.

– I gorzałkę – przytaknął baron.

Alwen kręcił głową, patrząc na przegrupowujące się ospale oddziały.

– Nie powiem, żebyś wlał otuchę w ich przerażone serca, Pillgrimie.

– Wojakom należy się prawda – odparł baron. – Skoro zostali skazani na pewną śmierć, niechże zdają sobie z tego sprawę. Tak jest uczciwie. I niech wiedzą, że ich dowódca nie ubiera w piękne słowa i nie czyści białą rękawiczką tego, co na milę śmierdzi gnojem. I tak, co bym tutaj nie powiedział i jak nie zaklinał tej zbieraniny, pewnie nie dostoją dłużej niż pół pacierza. Jeśli w ogóle nie rzucą się do ucieczki na widok pancерnej jazdy.

Ale Koniokrad już go nie słuchał.

– Patrz – ścisnął mocno ramię barona.

Oddalone o staje wzgórze zaczęły się nagle od szeregów wrogich wojsk. Jakby naraz nadciągnęła groźna i niespodziewana, choć przecież w istocie rzeczy od dawna oczekiwana fala.

– Gerhard! – warknął Pillgrim. – Przypilnuj, żeby każdy dostał choć pół kubka gorzałki. I zwołaj panów oficerów na naradę. – Rzucił okiem w kierunku wzgórz. – Z tymi tam przyjdzie się niebawem zetrzeć. Ale trzeba także pamiętać, że wojska Gernona są wszędzie dookoła. I na pewno przyjdą z odsieczą, skoro tylko przestaną gwałcić i rabować. Chodźmy, Alwenie, czas ustalić dokładnie, gdzie który z nas ma dzisiaj złożyć kości.



Mistrz Ekhart zamyślił się. Dokąd prowadzą ludzkie drogi? Jeśli wierzyć wróżbom, niebawem losy wielu ze śmiertelników zawisną na włosku. Ale to przecież nic dziwnego. W każdej godzinie, każdej minucie istota ludzka zмага się z losem. Ale tym razem jest nieco inaczej. Nie zawsze życie pojedynczego człowieka wiąże się z istnieniem wielkiego królestwa.

– Co mi dzisiaj powiesz, moja droga?

Stara wiedźma głośno przełknęła ślinę. Nieczęsto zdarza się, żeby wielki czarnoksiężnik zasięgał rady zwykłej znajomej. A ten przychodzi bodaj trzeci raz w jednym tygodniu.

– Widzę rzeczy, których nie rozumiem.

– Mów, czarownico, tylko dokładnie, bo nie ty masz je rozumieć, ale ja. Jesteś jedynie marnym narzędziem w rękach przeznaczenia.

Kobieta zanurzyła palce w czarce z bulgocącym płynem. W ciemnej izbie rozszedł się zapach cytryny, mięty i geranium z wyraźną, gorzkawą nutą szaławii.

– Krew, widzę krew! Morze krwi... i czerń. Wielka, czarna równina. Krew wsiąka w ziemię, czyniąc ją jeszcze ciemniejszą... Jakaś postać... Czarną równiną idzie człowiek. Nie, nie idzie... jedzie konno... – Zamilkła, wpatrując się w wizję. – To nie koń, ale... jednorożec... Ten człowiek... wjeżdża tam, gdzie przed chwilą wsiąkło jezioro posoki... Bogowie, zaczyna tonąć! Pogrąża się niby w bagnie... Przelana krew wciąga go razem ze zwierzęciem...

Wywróciła białkami oczu, z ust pociekła strużka śliny. Ciało przeszło drżenie, dłonie zatrzepotały, rozpryskując wonny eliksir. Wracała do przytomności.

– Czy byłam przydatna, panie?

– Zasłużyłaś na swoją zwyczajną zapłatę, a nawet więcej.

Rzucił wiedźmie brzęczącą sakiewkę.

– To królewska nagroda, mój panie. Jesteś pewien?

– Królewska nagroda za królewską wróżbę. Bierz.

Sucha, koścista ręka zręcznie schwytała brzęczący woreczek.

– Dlaczego jednak, szlachetny panie, sami sobie nie wywróżyacie?

– Bo to nie to samo, Henrietto. Człowiek potrafi zbyt wiele przed samym sobą ukryć. Ty mamisz ludzi, przybierając nadobną postać, skoro tylko wyjdiesz za próg domu, a ja oszukuję sam siebie, mając moc tak wielką, iż potrafi wpływać na najistotniejsze dla mnie wizje, zniekształcając je lub zgoła fałszując. Zbyt dużo sił kosztuje odsiewanie prawdy, o wiele łatwiej zdać się w tym na kogoś drugiego.

– Rozumiem, panie. A gdybym chciała cię oszukać? Przeinaczyła wizję, przekazała co innego, niż ujrzałam?

Roześmiał się głośno, a wiedźmę przeszył dreszcz przerażenia. Ten śmiech mówił więcej niż ciężkie słowa, które padły po chwili.

– Jeśli cię kiedyś przyłapię na oszustwie, gniew mój będzie straszniejszy od wszystkiego, co potrafisz sobie wyobrazić, wiedźmo.

– Nigdy cię nie oszukam, panie – wymamrotała, kuląc się w sobie.

– Wiem, Henrietto.



– Królu! Królu! Najjaśniejszy panie! – Goniec na spienionym koniu gnał wzdłuż kolumny wojska.

Filip obejrzał się, podniósł rękę. Przyboczny poczet stanął.

– Nie wrzeszcz tak, człowieku! – warknął Ludwig Burghiese, wysuwając się na czoło. – Król dobrze słyszy!

– Złe wieści? – Filip pochylił się w siodle i zachwiał. Giermkowie przytrzymali go pod ramiona. – Diabli, czy to się nigdy nie skończy?

– Złe, wasza królewska mość, bardzo złe! Baron Pillgrim rozgromiony! Nie wiem, czy żywa noga z bitwy uszła! Ponoć kupami trupów zasłane całe pole! Ci, co przeżyli, zgodnie twierdzą, iż baron poległ, ratując pana Alwena de Morano!

Król zasłonił dłonią oczy. Potem spojrzął na mijający ich pułk bersalierów. Szli z oczami wbitymi w drogę, śmierdzący, brudni i wygłodni. Tylko czasem któryś rzucił niechętnie spojrzenie w stronę barwnie odzianych, odkarmionych sztabowców.

– Przeklęta wojna – zamruczał Filip pod nosem. – Po stokroć przeklęta. I niech będą przekłęci ci, którzy mnie do niej nakłaniali! – Wymownie spojrzął na Ludwiga Burghiese. – Nie mnie, kalece, brać się do wojen! Jaki los czeka teraz naszą nieszczęsną Vereenę?

– Ależ Filipie, najjaśniejszy panie! – zawołał arcybiskup Falcone ze zgorzaniem. – Jesteś królem! Któż ma zagrzewać hufce do walki, jeżeli nie ty!

– Tak – odparł Filip z goryczą. – Zaiste godnie zagrzewałem hufce do walki. Tak je zagrzewałem, że nawet połowa nie została nam w ręku! A może nie zauważyłeś, biskupie, podczas ostatniej bitwy, jeśli to można w ogóle nazwać bitwą, ile oddziałów poddało się, zanim w ogóle padły pierwsze trupy? A teraz poświęciłem swego najlepszego wodza, żeby osłaniać własny tyłek! To, że go nie bardzo lubiłem, o czym wszyscy wiecie, nie osładza mi jakoś goryczy porażki.

– Nie czas teraz rozpaczać – powiedział Ludwig. – Musimy przyspieszyć marsz! Gerno z pewnością wysłał pościg!



Rozdział 2

Nareszcie przestaniesz o nim myśleć, Maive! Nareszcie! – Vorda zmiął pismo w potężnych dłoniach. – Nareszcie – powtórzył.

Zastygła z przerażenia, czekając co powie dalej.

– On nie żyje, córko! Mam najświeższe wieści, w nocy przybył posłaniec. Twój Alwen de Morano zginął w bitwie pod jakimś tam Getschen!

Poczuła, jak nogi się pod nią uginają. Opadła na ławę.

– Życie miał plugawe – dodał ojciec – ale śmierć przynajmniej godną. Ośłaniał odwrót królewskich wojsk. Pillgrima tylko szkoda... Wielki był wojownik.

– Nie wierzę! – krzyknęła, zrywając się na równe nogi. – On nie zginął! On żyje! Czuję to...

Wybiegła z pokoju. Ojciec patrzył bezmyślnie na półotwarte drzwi.

– Popłacz i przeboleje – mruknął.

Za kogo ją wydać za męża? Kto zechce tę brzydulę, której jedynym bodaj przymiotem jest urodzenie? Ród co prawda zubożały, zawsze jednak jeszcze wysoki, książęco-królewski. Ale kto ją zechce w czasach, gdy liczy się tylko pieniądz? Westchnął i pokręcił głową.

Maive pobiegła do stajen. Otworzyła zagrodę swojej ulubionej klaczy. Zwierzę spojrzało zdziwione nagłym wtargnięciem pani.

– Hadre, mówią, że Alwen nie żyje! – Maive przytuliła głowę do aksamitnego, ciepłego pyska. – Nie żyje, rozumiesz? On, mój jedyny...

Łzy ciekły strumieniem na chrapy. Hadre podrzuciła łbem, posłała swej pani zdziwione spojrzenie.

– Tak mówią, moja piękna. – Dziewczyna gładziła lśniąca sierść konia. – I cieszą

się z tego. I ojciec, i hrabia Burghiese, i król zapewne... Wszyscy... Ale ja w to nie wierzę... nie chcę wierzyć. A ty jak uważasz, moja piękna?

Hadre delikatnie skubnęła włosy dziewczyny.

– Wiesz, zazdrozczę ci. Chciałabym być klaczą. Przyprawdzą do ciebie ogiera raz na jakiś czas i wystarczy. Spodoba ci się, to mu się oddasz, a nie, to go pogryziesz i przegnasz. Na dodatek nikt ci nie ma tego za złe. Nie wiesz, co to porywy namiętności...

Klacz zarżała.

– A zresztą może i wiesz? Nie mnie o tym sądzić. Ale i tak ci zazdrozczę...



– Gwendal, Gwendal! Gdzie się podział ten chłopak?

Filip Chromy z trudem przemierzał dziedziniec. Zdobiona perłami laska sucho postukiwała na kamieniach.

– Utrapienie z nim tylko – mrucał. – Mój świętej pamięci ojciec nie trzymałby takiego ani chwili... Zbyt miękkie mam serce. Gwendal, hultaju!

– Słucham, panie! – Zdyszany giermek wyskoczył ze stajni.

– Tylko byś się przy koniach pętał – rozgniewał się Filip. – Potrzebny mi jesteś! Natychmiast pojedziesz do hrabiego Burghiese i przekażesz mu listy! Bierz najlepszego podjezdka i ruszaj! Listy odbierzesz u sekretarza. I zawołaj Huberta. Mam ochotę się przejść.

Gwendal ucieszony, że chociaż na jakiś czas umknie wszechobecnej na zamku nudzie, popędził do kancelarii. Filip westchnął. Nie tak bywało za czasów starego króla. Wtedy przebywało w Velarze ze dwudziestu przynajmniej synów najlepszych rodów i szkolilo się w sztuce rycerskiej. A cóż może zaoferować on, sam kaleka, który nie potrafi dobrze zawiązać mieczem? W dodatku ta wojna... Jedyńą z niej korzyść wyciągnął wszechwładny Ludwigo Burghiese – pozbył się bez hałasu i skandalu tkwiącego jak cierń w oku Alwena de Morano... Alwena Koniokrada... Pozbył się też przy okazji najlepszej części wojsk i najzdolniejszych dowódców. Filip ze złością stuknął laską o ziemię. Przeklęty niech będzie hrabia i jego rady!

Spojrzał na okna pałacu. Tyle w nich niegdyś było życia, tyle... Nagle uśmiech rozjaśnił ściągniętą złymi myślami twarz.

– Lauro! – zawołał. – Moja Lauro!

Królewska małżonka pomachała dłonią.

– Mój ukochany!



Dwóch ludzi podążało na zmordowanych, zszerszeniałych wierzchowcach. Drobny, uciążliwy deszcz przenikał pod ubrania, bezlitośnie siekł wychłodzone ciała jeźdźców. Jeden z nich sprawiał wrażenie jakby spał, drugi bacznie rozglądał się dookoła.

– Jednakowoż dzielnie nasi stawali, musisz przyznać... Kto by pomyślał, taka zbieranina, zdałoby się same nedorajdy albo najgorsze łaziki. Musiał się Gerno mocno zdziwić ich oporem. Tyle harataniny, tyle krwi upuściliśmy jego dzielnym wojakom... Skąd to się bierze w człowieku, że w jednej sekundzie z marudera i zupełnej dupy staje się prawdziwym żołnierzem?... Nie wiesz czasem?

Odpowiedziało mu milczenie.

– No tak. Znowu śpisz. Śpij, chłopaku.

Z troską patrzył, jak z owiniętej szarpiami ręki towarzysza ścieka nieprzerwanie strużka czarnej krwi.

– Trzeba by jakichś ludzi znaleźć, bo gotów jeszcze jesteś na koniu umrzeć... To już ponad tydzień będzie od bitwy.

Ranny zabełkotał.

– Co mówisz? – pochylił się ku niemu. – Nie chłopcze, zapomnij o tym, nie zostawię cię. Nie po to wyciągnąłem cię z zamętu, żebyś skapiał sam w lesie. Cholera, słuchaj, co mówię. Jakem Pillgrim, nie widziałem jeszcze takiej łomotaniny! Pamiętasz? Myślałem, że nasi, wyjąc wniebogłosy, uciekną na widok szarzy pancernejszej jazdy, a oni nie tylko dotrzymali pola, ale przynajmniej połowę kopijników zrzucili na ziemię... I dobrze – dodał ciszej – nie miałbym cię jak wynieść ze szczytu, gdyby nie biegające po polu koniki. Ale posłuchaj, skoro ci nasi ludzie dali radę walczyć jak Bóg przykazał, i ty się teraz nie poddasz! Trzymaj się siodła. A może cię jednak przywiązać do konia? Hej, Alwen, żyjesz jeszcze? Przywiązać cię?

Ranny pokręcił głową.

– Dam... radę... – szepnął.

Pillgrim wyprostował się nagle, pociągnął nosem.

– Zapach dymu – stwierdził. – Mam nadzieję, że to jakaś osada, a nie chłopcy naszego przyjaciela Gernona! Zresztą wszystko jedno, choćby i sam diabeł! Potrzebujesz opieki.



Hubert z chmurną miną oglądał pogięty, bogato rytowany napierśnik. Też mu się trafiło! Nie dość, że zardzewiały jak nieszczęście, to ciągle jeszcze zajeżdża trupem. Niedługo przyjedzie stryj Vorda i zapyta, jak mu się wiedzie. Co wtedy odpowiedzieć? Stary vi Rimm to człowiek z dawnych czasów. Dla takiego więcej znaczą blizny niż zdobycze. Odrzucił z obrzydzeniem pancerz.

– Jaka wyprawa taki łup – mruknął. – Może i był kiedyś piękny... na pewno nawet. Ale teraz?

– Gdzie zostawiłeś króla, Hubercie?

Poderwał się na dźwięk tego głosu. W wejściu stała królowa i z uśmiechem przypatrywała się jego niepewnej minie.

– W parku... – bąknął. – Położył się na drzemkę w altanie, a mnie kazał iść precz.

Laura zmrużyła oczy. Chłopca przeszedł dreszcz. Boże, jakaż ona piękna. Niby jakaś boginka albo i sama Afrodyta...

– Posłuchaj mnie, Hubercie.

– Tak, najjaśniejsza pani. – Wyprostował się.

– Dzisiaj, kiedy król uda się na spoczynek... – zawiesiła głos.

– Tak, pani?

– Przyjdiesz do mojej komnaty. – Zaczerwieniła się. – Zrozumiałeś?

– Ależ wasza wysokość raczy sobie ze mnie kpić!

– Nie, mój Hubercie. Od dawna chciałam cię o to... – zająknęła się. – Dzisiaj nie ma Gwendala, będziesz sam, prawda?

Skinął głową.

– Tym lepiej, nie będziesz się musiał nikomu opowiadać.

– Ale...

– Potraktuj to jak rozkaz. – Uniosła dumnie podbródek. – Jeszcze tego brakowało, żebym się tłumaczyła byle paziowi! Czekam na ciebie dziś wieczór!



Burghiese rzucił na stół pismo.

– Wyjdź i czekaj na odpowiedź – powiedział do Gwendala. Spojrzał w okno, prosto w ciemnoczerwoną twarz zachodzącego słońca, potem na bawiącego się pierścieniem arcybiskupa. – Albo nie, posłańcze, zrobimy inaczej. Idź teraz do mojego ochmistrza, niech każe przygotować dla ciebie nocleg. Do dnia nigdzie nie pojedziesz. To wszystko nie jest aż tak pilne, żebyś miał się pętać z ważnymi dokumentami po nocy. Sam jutro ruszę do Velary.

Począł, aż drzwi zamkną się za chłopcem.

– Filip postanowił zawrzeć pokój z Gernonem, biskupie.

Falcone wzruszył ramionami.

– To chyba dobrze, prawda? Potrzebny nam pokój.

– Tak, tyle że warunki są nie do przyjęcia, przynajmniej dla mnie, a pewnie i dla ciebie. Filip chce oddać wschodnie hrabstwa w lenno cesarzowi.

– I tak od lat trzyma je Gerno. – Arcybiskup znowu wzruszył ramionami. – Jak

widać, nie udało nam się ich wyrwać mimo morza krwi, jakie przelaliśmy.

– Nie udało się, bo nie taki był cel wyprawy. Zapomniałeś? Pozbyliśmy się Pillgrima i paru innych baronów mogących nam stanąć na drodze. Udało nam się pozbyć nawet Koniokrada, który od lat był jak kamień w bucie. Ale nasz Filip, poza tymi hrabstwami, godzi się też oddać Doranę i Sellen.

Falcone drgnął.

– Doranę? Toż to moja diecezja!

Hrabia uśmiechnął się drwiąco.

– A Sellen to z kolei moja dziedzina. Najwyraźniej Filip uznał, że ciężar powinni odczuć ci, którzy najbardziej parli do wojny. Jestem w stanie to zrozumieć, chociaż nie myślę się z tym pogodzić. Ale to jeszcze nie wszystko. Król zgadza się wypłacić od ręki pięć tysięcy kóp srebrnych groszy jako odszkodowanie wojenne... Od ręki, biskupie!

– Przecież skarbiec jest pusty! Skąd weźmie tyle pieniędzy?

– Oczywiście, królewski skarbiec jest pusty, ale arcybiskupi chyba nie, co? Pewnie znajdzie się tam to i owo, nieprawdaż?

– Nie ośmieli się!

– Nie wiem, drogi Falcone. Ja na jego miejscu chyba bym się jednak ośmielił. To bardzo dobry pretekst. Będzie ratował swoich poddanych od dodatkowych morderczych podatków. A kiedy raz wejdzie w kościelne dobra, weźmie niewątpliwie o wiele więcej niż te kilkaset beczulek srebra. Nasz król może jest ułomny, może jest fatalnym dowódcą, ale na pewno nie można mu odmówić sprytu.

– Musimy coś zrobić!

– Coś? – Burghiese uśmiechnął się krzywo.

– Musimy go powstrzymać. Radźcie, hrabio!

– Mamy przed sobą pracowitą noc, Falcone. Bardzo pracowitą.

– Musimy jeszcze zdecydować, co z najemnikami zamkniętymi w wieży. Ci żołdacy wiedzą o wiele za dużo. Gdyby któryś coś wygadał...

– Najemnikami się nie kłopotz. Już o nich zadbałem. A jeśli im wierzyć, a nie wierzyć nie mam powodu, o Alwena i Pillgrima niewątpliwie zadbali woje Gernona. Koniec końców nie było potrzeby korzystać z usług naszych wynajętych zabójców.

– Jest jeszcze jedna rzecz, o której musimy pamiętać – powiedział powoli arcybiskup. – To, co jest w posiadaniu Vordy vi Rimma.

– Czarny Pergamin. – Skrzywił się z niechęcią hrabia.

– Czarny Pergamin – powtórzył za nim jak echo Falcone. – Może pokrzyżować nam plany. Ty nie zostaniesz królem, a ja skończę w klasztorze jako prosty mnich. Dopóki żyje ktoś z tego rodu i ma go w posiadaniu, dopóty nie będziemy bezpieczni.

– O tym też pomyślmy, kiedy przyjdzie czas. Teraz musimy postarać się zrobić to, co zamierzaliśmy.



– Czy to konieczne, ojcze?

Z nadzieją wpatrywała się w twarz Vordy. Może jeszcze zmieni zdanie.

– Najwyższy czas, Maive, żebyś zobaczyła kawałek świata i poznała ludzi. Królowa zgodziła się przyjąć cię do swego fraucymeru. To wielka łaska. Nie odrzuca się takiej szansy!

– Jednak...

– Nie ma odwołania – warknął. – Nie będę świecić oczami na dworze tylko dlatego, że nie potrafię sobie poradzić z własną córką!

– Ale ja nie chcę! Przynajmniej nie teraz!

– Nie drażnij mnie, dziewczyno! O świcie ruszamy do Velary! Tam szybko ci wywietrzą myśli o tym de Morano... Nawet po śmierci nie ma z nim spokoju!

Odwróciła głowę.

– Tylko mi tu bez płaczów! I zdejmij te czarne szmaty! Nie jesteś wdową, tylko młodą dziewczyną!

Patrzyła na niego długą chwilę. W jej spojrzeniu było coś, co go zaniepokoiło.

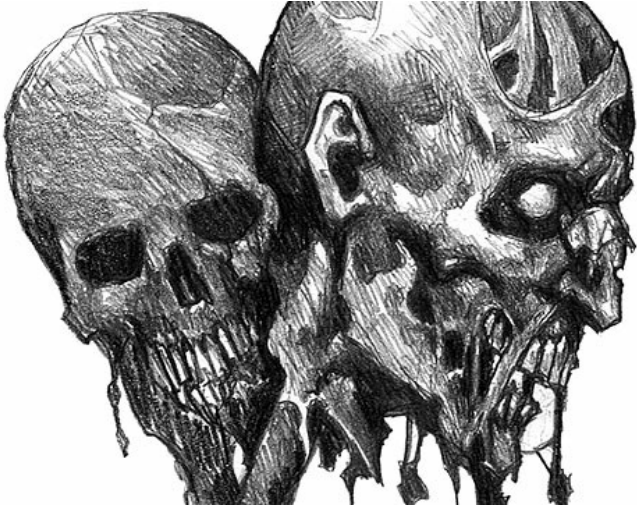
– Co ty chcesz powiedzieć, Maive?

Zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Mów! Przybij następny gwóźdź do trumny starego ojca! No, dalej!

– Jak chcesz! Będę nosić czarny strój. Zamierzam go nosić do końca moich dni! Bo ja jestem wdową, ojcze! Jestem! – krzyknęła. – Potajemnie wzięliśmy z Alwenem ślub! A gdybyś był bardziej spostrzegawczy, zauważyłbyś, że ostatnio niedomagałam, a mój brzuch...

Vorda osunął się na ławę.



Rozdział 3

Cyrulik? Dobry panie, a skąd by tu cyrulik? W mieście to był i lekarz książy, i felczerów ze czterech, i nawet niejaki Kudra, uczeń czarnoksiężnika, jak powiadali, choć przeczył. Jeno tam już nikogo... Jedna pożoga i popiół, że i tylko pewnie zaorać przyjdzie... Nas tu cudem jakowymś Gernonowi zbóje ominęli, a i to nie wiada, zali nie wrócą. Sami widzicie, że my w każdej chwili gotowi w lasy zapaść.

Gospodarz zatoczył ręką koło. Rzeczywiście, dobytek leżał spakowany na wozie, a opodal pał się leniwie ogromny wół.

Chłop patrzył z obawą w twarz Pillgrima. Przerazał go ten wielki żołnierz. Nigdy nie wiadomo, co takiemu przyjdzie do głowy. Z chałupy wyszła kobieta i stanęła obok męża, nieco z tyłu.

– Ten człowiek potrzebuje pomocy! – Baron wskazał chwiejącego się w siodle Alwena. – Ranny jest i może umrzeć.

Chłop wzruszył bezradnie ramionami. Kobieta pociągnęła męża za rękaw i szepnęła mu coś na ucho. Twarz mężczyzny rozjaśniła się.

– Ale mamy tu zielarza jednego. Opodal w lesie chatę postawił. Będzie ze trzy pacierze do jego komyszy.

– Pustelnik? Niech będzie. Nie mamy co wybrzydzać. Poślij kogoś po niego. Może to mnich jakiś. Oni zwykli znać się na ranach.

– A kto go tam wie. Osiadł będzie ze dwa gody temu. Zielarz i tyła.

– Niech przyjdzie.

– Pójść mogę, ino kto go tam wie, czy zechce się ruszyć. Niechętny jest. Jak już, to każe do siebie chorych przyprowadzać.

– Powiedz mu, że królewscy rycerze potrzebują pomocy. Jeśli odmówi, sam do

niego pojedę! A wtedy on może zachorzeć. Ciężko i w krótkich abcugach!

Alwen stęknął głucho i pochylił się nad końskim karkiem. Zaczęły nim wstrząsać niepohamowane torsje.

– No idźże już, człowieku! – Pillgrim rzucił się w stronę przyjaciela. – Nie gap się, tylko leć! A my do domu. Rusz się, kobieto, pomóż mi!



Filip siedział przed rozpalonym kominkiem, patrząc na swoje wyciągnięte w stronę paleniska, odziane w grube pończochy nogi.

– Najchętniej włożyłbym je do ognia – mruknął.

– Słucham, wasza wysokość.

Król spojrział na szatnego. Zupełnie zapomniał o jego obecności.

– Nie mówiłem do ciebie, Karolu. Nie mogę rozgrzać moich przeklętych kończyn! Czuję, jakby bez ustanku przeszywał je mróz!

– Czy kazać przygotować szkandele, panie? Może ułożysz się na spoczynek w ciepłym łożu. Późno już. Północ minęła.

Filip potrząsnął głową.

– Nie chcę jeszcze spać. A nie mam ochoty przewracać się do samego rana z boku na bok. Wtedy dopiero boli!

Przez długą chwilę wpatrywał się w grę płomieni na pokrytym siwym nalotem grubym balu drewna.

– Burghiese – szepnął. – Co też on knuje?

– Słucham. – Szatny znowu poderwał się na równe nogi.

– Nic od ciebie nie chcę, mój drogi. Jeśli będę czegoś potrzebował, zawołam cię. Idź już spać.

Znowu zapatrzył się w ogień. Kiedy siedział bez ruchu, lodowaty ból w nogach nieco ustępował. To były cenne chwile wytchnienia. Zapadł w płytką drzemkę.

Nagle drgnął. Czy to prawdziwy hałas na górze, czy tylko senna imaginacja? Ludzki głos go zbudził, czy stało się to gdzieś w marzeniu przedsennym?

Klasnął w ręce.

– Karolu, sprowadź mi tu Huberta. Natychmiast. Chcę, żeby mi poczytał. Może wtedy uda mi się choć na chwilę zmrużyć oko.

– Tak, panie.



Miękki atlas pościeli czynił ciało bezwolnym. Pora wstać. Mimo nieprzespanej

większej części nocy, trzeba podjąć trud, sprostać obowiązkom niesionym przez nowy dzień. Sen... Ten sen przyszedł niby dawna kochanka, na pozór doskonale znana, a po latach odkrywana na nowo. Pamiętał, kiedy po raz pierwszy spadł nocą taki senny majak. To było wtedy, gdy udał się w góry schwytać jednoroźca. Dawno i niedawno zarazem. Wówczas ujrzał we śnie twarz nieznanego człowieka, człowieka, który uratował mu więcej niż życie.

Niebezpieczeństwo... On jest w niebezpieczeństwie!

Mistrz Ekhart usiadł na łóżku. Za każdym razem, gdy tamtemu grozi coś poważnego, przychodzi ten sen. Przystojna twarz z szopą skłębionych włosów na tle ciemniejącej łuny zachodzącego słońca. W źrenicach tańczą iskry odległych pożarów. Zagrożenie... Tym razem musi być naprawdę poważne, skoro łuna krwawiła niebo, a ogień pożarów zdawał się trzaskać palonym drewnem domostw tuż za plecami.

Mistrz wstał, podszedł do stołu z kryształową kulą. Właściwie nie była to kula, ale coś na kształt wielkiego brylantu o setce drobnych płaskich powierzchni, w których odbijały się najważniejsze wieści. Jednak dziś dzień nie był najlepszy, aby korzystać z tego przedmiotu. A może nie tyle dzień nawet, ile rozkojarzony umysł płatał figle, nie pozwalając się skupić. Skarcił się natychmiast za tę myśl. Nie wolno dawać przystępu słabościom! Pochylił się nad kulą, z wysiłkiem przenikając skłębione wizje.



– Nie bójcie się. – Połyskujący polerowaną blachą rycerz patrzył z wysokości konia na klęczącą przed nim niewiastę. – Pan zakazał wojackiej swawoli. Teraz to już nasze ziemie, a wy jesteście poddanymi jego wysokości Gernona.

Rzeczywiście, oddział żołnierzy stał karnie przed chałupą zamiast, jak to mają we zwyczaju wojacy, rozpełznąć się w poszukiwaniu jedzenia i dziewczek. Kobieta spoglądała z niedowierzaniem na mówiącego do niej dowódcę. Powoli docierało do niej, że nie będzie rabunku i gwałtów.

– Sam pan niebawem tu stanie własną osobą na nocleg. Gdzie twój mąż? Trza władcy miejsce godne przygotować.

Przełknęła ślinę.

– Po zielarza poszedł, do lasu. Wróci pewnie niebawem...

– Czyje to konie?

Rycerz wskazał zaobroczone wierzchowce stojące w głębi podwórza. Kobieta zagryzła wargi i milczała. Podszedł do niej jeden z żołnierzy.

– Masz obowiązek gadać – warknął. – Teraz jużes w Gernonowym dziedzictwie. On twój pan i jemu masz być posłuszna.

Kobieta milczała.

– Jeśli nie, zrobimy tu tak, jak to zwykliśmy czynić w obcym kraju. A że niczego z ciebie kobiałka, to i każdy chętnie się z tobą zabawi!

Zbladła i wyciągnęła rękę w stronę domu.

– Tam są – szepnęła. – Dwóch królewskich... Tam... Jeden ranny.

W tej samej chwili na skraju lasu pojawił się gospodarz wraz z brodatym, ubranym w łańchmany człowiekiem. Chłop stanął z rozdziawionymi ustami, a jego towarzysz rzucił się do ucieczki.

– Za nim! – krzyknął dowódca.

Czterech zbrojnych puściło się pędem za uciekinierem.

– A ty chodź tu! – zawołał do chłopca. – Nic ci nie grozi.



Vorda jechał w milczeniu z zaciętym wyrazem twarzy i stale zaciśniętymi szczękami. Tuż za nim podążała Maive, dalej kilkunastu zbrojnych pachołków i wyładowane wyprawą wozy.

– Zapomnisz o nim – powiedział do córki przed wyjazdem.

Były to jedyne słowa, jakie do niej wypowiedział przez cały czas. Nie odezwała się. Znała go na tyle, żeby wiedzieć, kiedy przestaje mieć sens jakikolwiek sprzeciw. Słyszała tylko, jak mruczy do siebie, chodząc po izbie: „Wdowa, wdowa, żeby cię piekło pochłonęło, Koniokradzie!”.

Nie żyje... Nie żyje? Łzy stanęły jej w oczach. Szczęście było tak krótkie, jakby go nigdy nie zaznała. Ból i gorycz... Zgorzknienie... Czeka ją kilkadziesiąt lat rozmyślania, przyjdzie dziecko, odejdzie, na starość zostaną modły. Wstrząsnęła się. Co za los! I za co? Za niepokorną miłość, za to, że pokochała człowieka, którego nie tolerowali możni tego świata?

Vorda spojrzał przez ramię. Na widok łez w oczach Maive zacisnął szczęki jeszcze mocniej. Nie doczeka się prawego potomstwa z lędźwi jedynaczki. Nie będzie kołysał na kolanie sześciorga wnuków, jak o tym marzył. Cały majątek po jego śmierci przejmą chciwi krewniacy, bo przecie jeśli narodzi się bękart, wydziedziczą go... W przypływie złości ścisnął uda, aż koń pod nim jęknął i rzucił na jeźdźca zdziwione spojrzenie.

– Panie, panie!

Pachołek, wysłany przodem dla załatwienia w jakiejś wsi noclegu, pędził szaleńczym cwałem. Osadził wierzchowca, ocierając się prawie o strzemień Vordy.

– Tam... tam... – dyszał. Miał w oczach przerażenie. – Tam...

– Co tam? Gadaj składnie!

– Ukrzyżowani...

Stary rycerz wzruszył ramionami. Mało to krzyży pojawiło się przy traktach w czas wojny? Za byle przewinienie wbijali ludzi na pał, dręczyli ogniem albo krzyżowali, jakby na szyderstwo niebu.

– Coś się tak zląkł, Hagrir? Pierwszy raz trupa zobaczyłeś?

– Nie pierwszy... Jenó ich tam będzie z pięciu. Straszliwie oprawieni. Jeden jeszcze dycha!

Vorda skrzywił się. Niedobrze, jeżeli słyszała to Maive. Pewnie będzie się litowała nad nieszczęśnikami. Albo nawet zechce pomagać, choć to skazańcom zabronione. Nijak teraz sprawę odkręcić.

– Ojczę, jedźmy tam! – Córka potwierdziła jego obawy.

– To na pewno skazańcy. Za pomoc takim grozi sąd książęcy albo i królewski, nie wiesz?

– Panie – wtrącił się Hagrir. – Tego, co żyje, to ja znam. To najemny żołnierz, niejaki Borcho. Widziałem go kiedyś przy boku hrabiego Burghiese.

– Dobrze – mruknął niechętnie Vorda. – Jedźmy.

Nachmurzył się. Wszystko, co łączyło się w jakikolwiek sposób z osobą hrabiego wróżyło jak najgorzej. Ogarnęły go złe przeczucia.

Rzeźnia, jaką zastali na miejscu, zrobiła wrażenie nawet na zaprawionym w oglądaniu krwawych widoków rycerzu. Tym większe było jego zdumienie, kiedy Maive, nie okazawszy żadnego poruszenia, zbliżyła się do jedyne go, który dawał znaki życia. Miała najwyraźniej więcej ze świętej pamięci matki niż mu się dotąd wydawało.

– Zdejmijcie go! – rozkazała.

Hagrir z dwoma pachołkami zajął się konającym. Odczepianie od krzyża musiało stanowić nie lada cierpienie, bo nieszczęśnik jęczał rozdzierająco. Złożyli go na rozpostartej na ziemi skórze, a Maive przyklękła obok, ocierając z twarzy skazańca zakrzepłą krew.

– Ojczę! – zawołała. – Ojczę, podejdź tu. Ten człowiek mówi bardzo dziwne rzeczy!



Gerno uważnie przyglądał się potężnej postaci Pillgrima.

– Nie dziwi mnie, że dawałeś tak silny odpór moim wojskom, panie de la Marvilla – powiedział. – Na milę bije od ciebie siła i stanowczość, a to najważniejsze cechy dowódcy. Potrafię je docenić.

– A ja doprawdy dziwię się, że twoja armia okazała się tak liczna. I wyszkolona. O ile wiem, twoje ziemie nigdy nie słynęły z zawołanych wojowników.

Gerno skrzywił twarz w uśmiechu. Długa blizna ciągnąca się od podbródka aż do górnego płata ucha zwinęła się niczym gotów do ataku wąż.

– To już moja tajemnica, marszałku. Przynajmniej na razie będzie to tajemnica. Król Filip zaczął wojnę przekonany o mojej bezsilności. Zdaje się, że jego doradcy utrzymywali go w tym przekonaniu wbrew wszelkim meldunkom, jakie przychodziły od postrzegaczy przy moim dworze. Bóg mi świadkiem, Pillgrimie, że nie chciałem tego konfliktu. Jednak skoro już się zdarzył, trzeba było go wykorzystać, nie uważasz?

– Uważam, że musieli ci pomagać jacyś czarnoksiężnicy. Nikt nie jest w stanie stworzyć tak wielkiej i bitnej armii w ciągu czterech lat! A tyle minęło od wielkiego lania, jakie dostaliście od koczowników. Przyznaj, książę, zносиłeś się z magami...

Gerno pokręcił głową.

– Dziwi mnie, że ludzie tak chętnie przypisują zwykłemu zjawiskom proweniencję tak fantastyczną. Ty przynajmniej powinieneś unikać podobnych manowców.

– Przecież i tak nie powiesz mi prawdy. – Wzruszył ramionami baron. – Nawet gdybyś zamierzał mnie zgładzić zaraz potem. Jeżeli naruszyłeś traktat z Maenvig, nie możesz się do tego przyznawać sam przed sobą. Nie wie o tym nawet twój spowiednik.

– Nie złamałem traktatu, możesz mi wierzyć. Przysięgał nie będę, bo nie ma to sensu. Zatem tę część rozmowy mamy z głowy. Co do zgładzenia ciebie, Pillgrimie, byłoby to zaiste głupotą. Nie zabija się ot, tak sobie kogoś, kto zasłużył na zawołanie „Straszliwy” we wszystkich armiach świata. Liczę na to, że skoro twój król cię zdradził, będziesz skłonny uznać nad sobą nowego pana. Teraz nie odpowiadaj! Pochopne słowa potrafią zaszkodzić bardziej niż nieopatrznie spożyta trucizna. Masz czas do namysłu i rozpoznania dokładniej swojej sytuacji. A wracając jeszcze do tematu czarów i magii, to co robił w twoim wojsku niejaki Alwen de Morano, zwany Koniokradem? Przecież został za nim wydany ortyl za uprawianie sztuk magicznych.

– Wiem, co mówią o Alwenie – odparł spokojnie Pillgrim. – Nie uwierzę jednak, żeby sprzął się z brudnymi magikami. To skomplikowany człowiek. Mógł się obracać w różnym towarzystwie. Mógł się pewnych rzeczy nauczyć, albo dokonać czegoś, co stało się podłożem podejrzeń. Ale sam na pewno nie splamiłby się uprawianiem czarów! W tych wszystkich plotkach i niedomówieniach bez trudu można wyczuć rękę naszego drogiego Ludwiga Burghiese. Dobrze, książę, powiem ci. Ja wiem, dlaczego Burghiese tak nienawidzi rodu de Morano. Nie mogę wyjawić nic więcej, bo to sprawa Alwena i jego świętej pamięci ojca.

Gerno długo patrzył gdzieś w przestrzeń, wyglądało, jakby zapomniał o obecności Pillgrima. Jednak po długim milczeniu odezwał się.

– Trzeba ci wiedzieć, że nie mam doprawdy nic przeciwko ludziom parającym się czarnoksięstwem. Nie, nie! Nie myśl sobie, że stworzyłem swoją armię z duchów albo przywołanych do życia trupów. Ja nie wierzę, że to w ogóle można zrobić. Ale

przekonałem się, że wśród tych, którzy uprawiają wiedzę tajemną, jest wielu mędrców. Że potrafią przekazać wiele mądrych myśli. A co do twojego Alwena, kiedy wyzdrowieje, przekonamy się, czy rzeczywiście nie ma nic wspólnego z magią. Mam swoich wtajemniczonych ludzi, a oni swoje sposoby.

– Chcesz go oddać katu? Biegły małodobry wyciągnie od człowieka każde zeznanie, jakie sobie wymarzy! Znam ich sposoby! A jeżeli liczysz na to, że aby go ratować, pójdę na twoją służbę...

– Milcz, człowieku! – syknął Gerno. – Za kogo mnie uważasz? Myślisz, że jestem podobny waszym baronom i diukom? Bezwzględny i sprzedajny? Bezwzględny tak! Ale brzydę się zdradą i podłymi podstępami... kiedy sam nie muszę ich stosować – dodał po chwili. – Co do Koniokrada mam swoje plany, więc możesz mi wierzyć, że wydawanie go w łapy kata zupełnie mnie nie interesuje.

– Możesz mieć plany, jeżeli on w ogóle przeżyje! Na razie rana jest mocno zaogniona. Jeżeli to potrwa jeszcze dzień, dwa, krew nie zdoła się oczyścić.

Gerno rozłożył ręce.

– Na to nikt nic nie poradzi. Ale to silny organizm. Myślę, że stanie na nogi.

– Na nogi... Jeśli nie straci prawicy. Bezręki rycerz – mruknął Pillgrim. – Poza tym widnieje na nim piętno śmierci. Nie przeżyje. Nie ma szans.

– Szanse są zawsze – Gerno wydał policzki. – Trzeba tylko umieć je wykorzystać.

– Tu pomogłyby tylko czary! Czy to masz na myśli?

Książę uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Nie pozwolę, by mojego przyjaciela dotykał bezecny czarownik!

Gerno badawczo przyglądał się zmienionej gniewem twarzy barona.

– To dziwne – rzekł z zastanowieniem. – Twój król, a właściwie jego szara eminencja Burghiese, uczynił z nienawiści do krajów magii oś swojej polityki. Ma jakieś powody. Nie interesują mnie one specjalnie, chociaż jego zajadłość jest intrygująca. Odcinając się od wiedzy magów, podcina sobie skrzydła, a to mi, oczywiście, nie przeszkadza. Nikt tak surowo jak on nie przestrzega postanowień traktatu z Maenvig. Ale dlaczego akurat ty nienawidzisz adeptów magii na równi z nim? To bodaj jedyna rzecz, która was łączy.

Pillgrim milczał z ponurą miną.

– Przypuszczam, że to jakaś osobista uraza, mylę się?

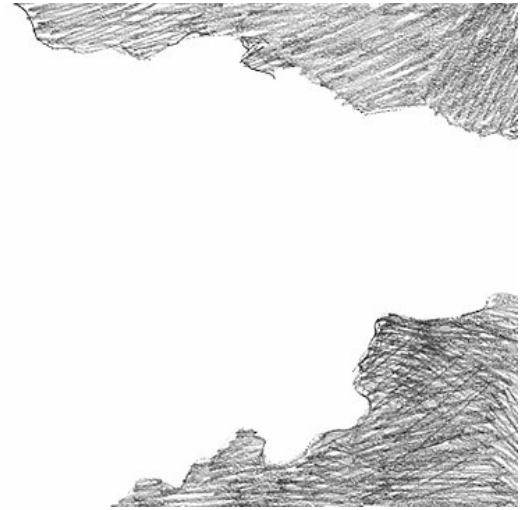
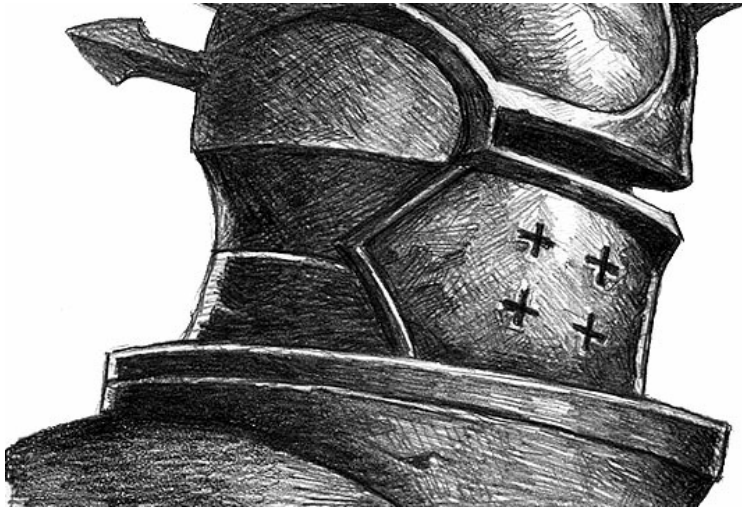
– On by mi tego nie darował! – Baron podrzucił niecierpliwie głową, jakby chciał odrzucić ostatnie pytanie księcia. – Pomoc maga? Wiesz przecież, czego żądają czarnoksiężnicy w zamian za uzdrowienie!

– Posłuchaj uważnie, Pillgrimie. On nie jest w stanie dokonać wyboru. Mógłbym to uczynić ja, ale z pewnych względów tego nie zrobię. Jako ten, który wziął go do niewoli, nie mogę podejmować takich decyzji. Nie mogę – podkreślił. – Ale są tacy, którzy wiedzą różne dziwne rzeczy. Możesz zapytać mojego lekarza. Rozumiesz? To

ty musisz podjąć decyzję za Alwena!

– On by mi tego nie darował! – powtórzył baron.

– Mogę cię uspokoić co do jednego. Nie ma tu żadnych mistrzów czarnoksięstwa i nigdy nie było. Korzystałem z ich rad i wskazówek, ale nic ponadto. Zgromadziłem liczną armię kosztem wielu wyrzeczeń. Takie są fakty. Co ty teraz zrobisz, to już rzecz osobna.



Rozdział 4

– Łziesz, stary grzybie! – Ludwig Burghiese spoglądał z nienawiścią na Vorde. – Nie wiem, jaki masz w tym cel, ale łziesz!

Stary rycerz poczerwieniał tak mocno, jakby z jego policzków miała trysnąć krew.

– Nikt nigdy – wycedził przez zaciśnięte zęby – nie zarzucił mi bezkarnie kłamstwa. Nieważne, czy był to prosty woj, czy zarozumiały diuk... Wybaczcie – zmitygował się i dodał ze zjadliwą ironią: – Przecież otrzymaliście tytuł wielkiego para królestwa. Zaś, wracając do sprawy, dowód prawdy spoczywa w zamkowym lazarecie!

– Dowód! – parsknął lekceważąco hrabia. – To ma być dowód! Słowa nędznego najemnika, którego kazałem wbić na krzyż za zdradę!

– Ten człowiek nie jest zwykłym najemnikiem, ale kapitanem zaciężnych wojsk! Przysięga na swoje zbawienie, że zlecił jemu i jego ludziom uderzenie z tyłu na siły barona Pillgrima, gdyby jakimś cudem zaczął wygrywać bitwę z awangardą Gernona! Mieli go zabić, jeśli by tego nie dokonali żołnierze wroga!

– Pewnie nikczemnik postanowił się w ten sposób zemścić za kaźń! Ale cóż znaczy jego słowo przeciwko mojemu? – Burghiese spojrzał na króla. – Czy nie dałem dość dowodów wierności dla korony? Czy nie pokazałem całym swym życiem, że najważniejsze dla mnie jest dobro państwa?

Filip wodził wzrokiem od jednego do drugiego, jego czoło przecięła głęboka zmarszczka. Czy nie byłoby już dość? Przegrana wojna, wywołana zupełnie nie w porę, wszystko się rozłazi, nawet paziowie lekceważą obowiązki. Niedawno taki Hubert, na przykład, zamiast pełnić nocną służbę, oddalił się samowolnie. Dostał karę – trzy dni o chlebie i wodzie, ale wszak nie on jeden czyni podobne rzeczy. To zresztą

drobiazg, ale drobiazg będący obrazem sytuacji w całym państwie. A teraz jeszcze ta sprawa! W chwili, kiedy i król, i kraj potrzebują wytchnienia! Tymczasem Vorda mówił z pasją.

– Pokazaliście, hrabio, i to niejednokrotnie, że najważniejsze jest dla was dobro was samych! Wszyscy wiedzą, że kraj pogrążył się w wojnie tylko dlatego, że chcieliście zyskać nowe ziemie, a teraz nawet wychodzi na jaw, że marzyła wam się najwyższa władza! Chcieliście za wszelką cenę przegrać tę wojnę, żeby wzmocnić swoją władzę!

Burghiese zacisnął wargi w wąską kreskę.

– Ta zniewaga – powiedział po chwili – musi być zmaszana krwią. Wyzywam...

– Stać! – krzyknął król. – Zanim ktokolwiek tutaj kogokolwiek wyzwie, najpierw chcę zobaczyć tego najemnika... Jak mu tam?

– Kapitan Borcho – podpowiedział Vorda.

– Właśnie, Borcho! Chcę go zobaczyć!

– Ale... – zaczął hrabia, jednak przerwał mu gwałtowny gest.

– Natychmiast!

Król zaczął się podnosić z tronu. Gwardziści stanęli po bokach, gotowi dać mu oparcie. W tej chwili do sali wszedł Hagrir. Stał przy drzwiach z pochyloną głową. Dopiero kiedy Vorda niecierpliwie machnął ręką, podszedł i szepnął mu coś na ucho.

– Co tam? – spytał Filip. – Co to za tajemnice w obliczu króla?

– Panie – powiedział Vorda, blednąc i obrzucając hrabiego pełnym nienawiści spojrzeniem. – Ten człowiek skonał. Być może zadano mu jadu... Tak mówi wasz medyk.

– Kto mu zadał jadu? – Burghiese uśmiechnął się krzywo. – Może twoi własni ludzie? O ile wiem, nikogo innego tam nie było.

– Był jeszcze arcybiskup Falcone!

– Vordo! – rzucił ostro król. – Nie zapędzasz się za bardzo? Chcesz powiedzieć, że to jego ekscelencja otruł tego Borcho?

Vorda zamilkł. Z jednym arystokratą trudno wygrać. Wojując z dwoma skazuje się na pewną porażkę.

– Z tego, co wiem o leczeniu – ciągnął Filip, spoglądając na swoje nogi – a możecie mi wierzyć, że wiem naprawdę dużo, zakażenie krwi może dać podobny skutek, jak podanie pewnych trucizn. Ten człowiek, wisząc gdzieś w lesie, pewno nabawił się zakażenia. W tej sytuacji wszelkie podejrzenia wydają się nie na miejscu. Stwierdzam to ze smutkiem, bo sam chętnie wyjaśniłbym sprawę od razu.

Rzuca ona cień na hrabiego, a to jest mi bardzo nie na rękę... Trzeba ten cień usunąć. Czy ktoś ma jakieś propozycje?

– Sąd Boży! – powiedział Burghiese. – Zabiję tego starego zuchwalca!

– Sąd Boży – wyrzekł chwilę później Vorda.

Filip rozłożył ręce.

– Skoro padło takie wyzwanie, nie mogę się sprzeciwić. Jednak pamiętajcie obaj, że stajecie przed moim obliczem. W razie przegranej, majątek pokonanego przejmuje skarb królewski.

Vorda skinął głową. To było coś nowego. Król musiał naprawdę potrzebować pieniędzy, skoro w ten pokrętny sposób zinterpretował stary obyczaj. Burghiese machnął lekceważąco ręką. W razie przegranej! Spojrzał na potężną postać Vordy. Miałyby przegrać ze starcem? Piernik nie ma pojęcia o nowoczesnym fechtunku! Pewnie bije się jeszcze ciężkim, szerokim mieczem! A poza tym, jeżeli to on miałyby umrzeć, niech się spadkobiercy martwią o schedę.

– Skoro obaj przeciwnicy są gotowi, nie widzę przeszkód, aby walka odbyła się natychmiast na turniejowym polu.

Hagrir podszedł do Vordy, pociągnął go za rękaw.

– Czego chcesz? – spytał niecierpliwie stary.

– Borcho – odparł pacholek. – On mi powiedział... – zniżył głos do szeptu.

W miarę, jak mówił, na obliczu Vordy pojawiał się wyraz zdumienia.



Pillgrim z troską spoglądał na kredowobiałe oblicze Alwena. Płytki oddech rwał się, jakby nie mógł umknąć ku niebu, zatrzymywany w piersi jedynie siłą woli barona.

– Boże kochany, chłopaku, dlaczego pozwoliłem ci zostać? Dlaczego nie kazałem cię związać i wywieźć gdzieś daleko?

Cienie na twarzy rannego pogłębiały się z każdą minutą. Wydłużona i wyostzona linia nosa zwiastowała niechybny szybki koniec. Baron widział w swym życiu zbyt wiele śmierci, żeby nie rozpoznać jej niechybnych znamion. Nie potrafił oszukiwać samego siebie.

– Ty masz prawo być głupi i zapalczywy, młody de Morano. Ale ja, stary żołdak, powinienem za ciebie splunąć na honor i obowiązek! Do rzyci z zachowywaniem wierności królowi! Gdybym potrafił cofnąć czas, zapakowałbym cię jednak w sak i odesłał pod strażą gdzie bądź. Ja teraz leżałbym tam, na polu bitwy, po raz pierwszy w życiu spokojny i cichy, a ty mógłbyś bezpiecznie snuć plany na przyszłość!

Usta Alwena rozchyliły się. Przedśmiertne rżenie wypełniło ciasną izdebkę. Pillgrim zagryzł wargi, z oczu pociekły łzy.

– Nie odchodź, chłopcze – wysyczał. – Błagam cię, nie odchodź!

Wiedział, co za chwilę nastąpi. Drgawki agonii, które potrwają może minutę, a może godzinę i wreszcie śmierć. Śmierć jedynej ludzkiej istoty, do której żywił uczucie przywiązania. Uczucie, które bał się we własnych myślach nazywać miłością.

– Nie! – złapał się za głowę gestem rozpaczony. – Nie! Nie!!!

Usłyszał za plecami skrzypienie drzwi.

– Nie żyje? – padło pytanie.

Pillgrim obrzucił wchodzącego nieprzytomnym spojrzeniem.

– Zaraz skona! Na Boga, zrób coś, Horrisie! Ratuj go! Sprowadź kogo trzeba! Ja wiem, że tutaj mogą pomóc tylko czary! Zawołaj tego przeklętnika, niech go ratuje!

– Wyjdź, marszałku – powiedział cicho lekarz. – Zaraz się nim zajmę.

– Twój kunszt już tutaj na nic! Wołaj czarnoksiężnika, na pewno gdzieś tutaj czai się, czekając na okazję.

– Wyjdź, Pillgrimie! – powtórzył głośniejszym głosem Horris. – Nie potrzebuję nikogo sprowadzać! Wynoś się, zanim będzie za późno nawet dla mnie.

Baron przez chwilę z otwartymi ustami wpatrywał się w lekarza. W otoczeniu Gernona wszystko było dziwne, ale, żeby... Bez słowa wyszedł, zamykając za sobą ostrożnie drzwi.

– Codereer mortiris Valha... – doleciało jeszcze z izby.

Pillgrim przeżegnał się. Horris wzywa starych bogów. Martwych bogów, którzy nigdy nie powracają! Tak go przynajmniej uczono przez całe życie. I pewnie tyle warte były te nauki, ile zafajdany, zgniły kaftan.



– Rycerz Vorda został wyzwany na Sąd Boży przez hrabiego Ludwiga Burghiese – grzmiał nad błoniem donośny głos herolda. – Potykać się będą do ostatniej krwi! Po zachodniej stronie staje wyzwany, po wschodniej wyzywający. Niechaj obaj pamiętają, że rycerzowi nie przystoi podstęp ni zdrada, a ten, który dopuści się złamania reguł, zostanie pozbawiony czci i zawołania!

Przy Vordzie stała Maive. Spoglądała z wysokości prosto w zatroskane oczy córki.

– Gonitwa dla mnie nie pierwszozna, córko. Położyłem kopią więcej przeciwników niż hrabia popełnił w życiu szalbierstw. A to wielce pokaźna liczba.

Przytuliła głowę do końskiego karku.

– Wiele nas dzieli ojczyzna, ale ja naprawdę cię kocham.

Pochylił się, uniósł jej brodę.

– Różne przykre rzeczy mówiłem, Maive. Nie byłem dobrym ojcem, nie potrafiłem ci okazać należytej miłości. Ale zawsze kochałem cię najbardziej na świecie. A teraz, tylko dlatego, że wyrzekłem kilka nieopatrznych słów, narażam się na śmierć. Jeżeli nie przeżyję, ty będziesz jedynym świadkiem tego, co mówił Borcho. Burghiese o tym wie i nie spocznie, dokąd będziesz mu zagrażać. Teraz jest silny, ale może nadejść taki czas, że twoje świadectwo stanie się niebezpieczne. To wytrawny polityk, zawsze

liczy się z wszelkimi ewentualnościami. Będiesz też jedynym strażnikiem pergaminu... Szkoda, ale nie zdążyłem cię do tego należycie przygotować... zaniedbałem... to też śmiertelne zagrożenie. Nasz wielki par bardzo chciałby położyć łapę na dokumencie.

– Nie boję się śmierci!

– Ale ja lękam się o ciebie! Obiecuję, że uczynię wszystko, abyś była bezpieczna!

Maive skinęła głową. Cóż więcej może uczynić ojciec poza tym, że pokona hrabiego? Znaleźli się w gnieździe wilków. Spojrzała na przeciwległą stronę pola. W słońcu raził oczy pyszny rynsztunek Ludwiga Burghiese. Stary pancerz ojca wyglądał przy nim niczym nędzny łachman. Przeniosła wzrok na trybunę, na której siedzieli dostojnicy. Najwyraźniej nieźle się bawili. Westchnęła. Czy ojciec jest w stanie sprostać młodemu jeszcze i silnemu mężczyźnie?

Na trybunie krążyły puchary wina i tace ze smakołykami.

– To będzie krótkie widowisko – powiedział diuk Colonny, Gerhard. – Burghiese znieśie go w pierwszym starciu. Wystarczy spojrzeć na postawę tych dwóch. Stary grzyb wyleci z siodła jak pocisk z katapulty.

Filip kiwał głową. W jego duszy działo się coś dziwnego. Z zaskoczeniem stwierdził, że w istocie rzeczy chciałby chyba, żeby zwyciężył Vorda. To było oczywiście niemożliwe, ale przeszła mu przez głowę taka myśl. Nie bardzo wyobrażał sobie kierowanie państwem bez pomocy wszechwładnego hrabiego, jednak...

– Nie bądźcie tego tacy pewni, panie – odezwał się zza jego pleców Karol. – Widywałem dawnymi czasy na turniejach, jak Vorda zmiatał swoich przeciwników, a przy tym po całym dniu nie widać było po nim wysiłku ni znużenia.

– To było ze dwadzieścia lat temu z okładem. – Gerhard machnął lekceważąco ręką. – Sztuka rycerska to obecnie co innego niż za czasów Rodriga Złotego.

Laura z uwagą obserwowała grę emocji na twarzy króla.

– Chyba nie wierzysz w zdradę swojego hrabiego, panie? – szepnęła.

Spojrzał na nią jak obudzony ze snu.

– Nie daj się zwieść pozorom! – szeptała dalej. – Ten najemnik na pewno z jakichś powodów kłamał. Pomyśl sam, ile okazji miałby Ludwig, żeby się pozbyć niechętnych mu ludzi, gdyby tylko zechciał.

– Wiem, Lauro. Z pewnością masz rację. Dałem się przez chwilę zwieść!

Tymczasem diuk Gerhard kontynuował swoje wywody o wyższości nowoczesnej walki nad dawną szkołą.

– Sama różnica w opancerzeniu – mówił – spójrzcie tylko. Ten Vorda ma starą zbroję, którą łatwo przebić ostrzem kopii, zaś nasz hrabia nosi kute płyty. Nawet przy bezpośrednim trafieniu nie może mu się stać krzywda. A jeżeli jeszcze wziąć pod uwagę staranne wyszkolenie...

– Milcz już, Gerhardzie – przerwał król. – A ty, arcybiskupie, idź spełnić swoją

powinność.

Hagrir podbiegł do Vordy. Dokładnie obejrzał wierzchowca, sprawdził popręgi.

– Arcybiskup tutaj podąża, panie – powiedział cicho. – Widzieliście, jak serdecznie odprawił hrabiego Burghiese. Wszyscy tutaj są po jego stronie. Sędziowie, obawiam się, zapewne też mają wydane odpowiednie rozkazy. Musicie się bardzo pilnować.

– Odejdźcie teraz – rozkazał rycerz. – Chcę się pojednać z Bogiem.

Maive oderwała się od końskiego karku.

– Bądź dzielna, Hadre – szepnęła. – Bądź dzielna... Ojczy – powiedziała głośniej. – To najmądrzejsza klacz w naszej stajni. Sam zresztą wiesz. Będzie o ciebie dbała... To najściślejsze zwierzę, jakie w życiu widziałeś.

– Wiem, córko. Wiem też, jakie to z twojej strony poświęcenie, że oddałaś ją mnie. A teraz idź i bądź dobrej myśli. Jeszcze jedno... Gdybym zginął...

– Nie zginiesz, ojczy!

– Gdybym zginął – powtórzył głośniej – pamiętaj o Czarnym Pergaminie, naszym rodowym skarbie i naszym obowiązku. Musisz o nim coś wiedzieć.

Arcybiskup dostojnym krokiem zbliżył się do rycerza, więc Vorda zniżył głos do szeptu. Maive słuchała go z zaciśniętymi wargami.

Falcone przystanął, czekając aż stary rycerz skończy rozmawiać z córką. Wreszcie dziewczyna odeszła. Arcybiskup podszedł, uczynił w powietrzu znam krzyża.

– Zanim pójdziesz w śmiertelny bój, mój synu...

– Daj spokój, wasza dostojność. Przyjmij lepiej moją spowiedź, a właściwie wyznanie. Ale pamiętaj, panie, że składam je tobie jako zwykłemu kapłanowi, powiernikowi maluczkich, a nie wielkiemu panu, myślącemu o wielkich sprawach świata, sprzymierzeńcowi tego plugawca Ludwiga.

Burghiese powściągnął tańczącego pod nim wierzchowca. Co Falcone tak długo robi przy tym starym?

– Czyżby Vorda spowiadał się z uczynków całego życia? – rzucił drwiąco. – Jeśli tak, możemy nie zdążyć przed wieczorem!

W tej samej chwili arcybiskup oderwał się wreszcie od rycerza. Chwiejnym krokiem wracał na trybunę. Burghiese zaniepokoił się. Co tam się stało? Falcone był najwyraźniej mocno poruszony.

Później. Teraz to nieistotne. Filip zaraz da znak.

Rzeczywiście, król podniósł się, trzymając w dłoni bogato zdobioną chustę. Szerokim gestem wyrzucił ją przed siebie. Ledwie dotknęła ziemi, herold głośno krzyknął, a obaj przeciwnicy ruszyli przy wtórze trąb i tarabanów. Hrabia zatoczył krótkie koło, żeby koń nabrał rozpędu, a Vorda, zaufawszy Hadre, już gnał w jego stronę w pełnym biegu.

– Zaraz zobaczycie koniec – mruknął diuk Gerhard. Rycerze jednak, wbrew ponurej przepowiedni, przemknęli obok siebie, ledwie musnąwszy kopiami tarcze.

– To tylko na próbę – powiedział Gerhard. – Ludwig nie chce tak do końca upokorzyć starca.

Karol spojrział na niego dziwnym wzrokiem. Tylko zupełny ignorant mógł nie zauważyć wspaniałego uniku, jaki wykonał Vorda. To, że Burghiese mógł znać podobną sztuczkę, było pewne. Ale że stary rycerz ją zastosuje, musiało stanowić zupełne zaskoczenie dla zgromadzonych. Dla wszystkich, którzy nie znali vi Rimma tak dobrze jak szatny.

– Nie liczyłbym na łatwe zwycięstwo hrabiego – zauważył markiz Vincenzo de Malhevia. – Stary nie jest taki skostniały, jak się niektórym wydawało.

Tymczasem przeciwnicy zawrócili, żeby znów spotkać się w pełnym pędzie pośrodku szranków. Tym razem ciężki łomot uderzenia i trzask pękającego drzewca ogłosiły wszem i wobec, że starcie było poważne. Giermek hrabiego puścił się biegiem, niosąc swemu panu nową kopię. Po drugiej stronie Vorda spokojnie czekał, aż przeciwnik ponownie się uzbroi. Tamten po chwili skinął głową na znak gotowości. Znowu rozległ się tętent i nastąpiło kolejne mocne starcie. Tym razem obaj walczący byli zmuszeni zmienić oręż. Hagrir, podając broń Vordzie, patrzył uważnie w błyszczące spod hełmu oczy rycerza.

– Jakby mu ubyło dwadzieścia lat – powiedział do stojącej przy zapasowych drzewcach Maive. – Nawet się nie zadyszał.

Dziewczyna skinęła tylko głową i z troską patrzyła na kolejną szarżę ojca. Znów dobiegł głośny łomot kopii walących w nadstawione tarcze. Jednak tym razem z piersi patrzących wyrwał się okrzyk zdziwienia. Burghiese zwałił się ciężko z wierzchowca, ciągnąc za sobą siodło.

– To musiało być potężne uderzenie – mruknął markiz de Malhevia – skoro popręgi puściły. Powiadam wam, jeśli stary zechce, rozjedzie teraz pana hrabiego, zanim ten zdąży się przeżegnać. Ja na jego miejscu nie zwlekałbym ani chwili.

Gerhard rzucił mu złe spojrzenie.

– Wszyscy wiemy, że nie lubicie rodziny Burghiese, markizie. Jednak król powinien teraz zarządzić przerwanie walki i dostarczenie nowego wierzchowca, bo...

– Bardzo bym chciał – warknął Filip. – Ale przypominam, że to jest Sąd Boży, a nie turniejowa potyczka. Ludwig musi sam sobie radzić.

Vorda z wysokości siodła obserwował zbierającego się z ziemi przeciwnika.

– Atakuj, panie! – doleciał go z tyłu głos Hagrira. – Zwycięstwo jest twoje.

Stary rycerz ujął mocniej kopię. Pokusa była ogromna. Jednak po chwili rozluźnił uchwyt, odrzucił broń.

– Co on robi? – na trybunie rozległ się gwar podniesionych głosów.

Tymczasem Vorda zawrócił, gestem przywołał Hagrira.

– Co chcesz uczynić, mój panie? – pacholek był przerażony.

– Bierz konia, a Maive niech przyniesie miecz i trójkątną tarczę!

– Oto człowiek honoru – powiedział głośno markiz de Malhevia. – Ciekawe czy naszego wielkiego para Ludwiga byłoby stać na podobny gest.

Szeroki miecz Vordy zdawał się siać iskry w południowym słońcu, kiedy rycerz szedł na spotkanie wroga. Tamtemu giermek także dostarczył broń. Był to miecz o wąskiej klindze, przystosowany do zadawania szybkich pchnięć, dłuższy i lżejszy od tego, który dzierżył stary.

– Teraz zobaczymy pokaz fechtunku pierwszej wody – powiedział Gerhard. – Spójrzcie, hrabia odrzuca tarczę. Będzie korzystał z przewagi długości miecza i możliwości ujęcia go oburącz. Vorda nie ma żadnych szans.

Stanęli naprzeciwko siebie. Koniec broni hrabiego zataczał krótkie łuki na wysokości oczu. Vorda uniósł wyżej tarczę. Czekał na pierwsze uderzenie. Burghiese wykonał krótki wypad, markując sztych w pierś, po czym, kontynuując ruch, zawiął miecz na szóstą zasłonę, żeby wykonać cięcie na bark. Rozległ się pierwszy brzęk metalu, kiedy Vorda bez wysiłku odbił atak. Natychmiast po sparowaniu klingi przeciwnika, wyrzucił do przodu lewą rękę, próbując krawędzią tarczy trafić przedramię wroga. Hrabia odskoczył. Przez długą chwilę mierzyli się spojrzeniami. Vorda widział przez szczeliny zasłony hełmu czujne oczy Ludwiga, bacznie obserwujące każdy jego gest. Sam zastanawiał się, z której strony pójdzie następny atak.

– Czy ktoś mówił, że stary nie ma żadnych szans? – spytał de Malhevia, wyzywająco spoglądając na diuka Gerharda.

– Nie gadaj, markizie, tylko patrz – skarcił go król. – Zaczynają rąbać naprawdę.

Rzeczywiście, na środku błonia rozgorzała zażarta walka. Hrabia atakował bez przerwy. Wąska klinga migotała w szaleńczych obrotach i błyskawicznych pchnięciach, jednak nie była w stanie wyrzucić krzywdy Vordzie. Spokojnie zastawiał się tarczą, puszczał kolejne uderzenia po szerokim ostrzu miecza. Czekał na okazję do uderzenia.

– Vorda nie jest już młodzieniaszkiem – zauważył Karol. – Jeżeli nie rozstrzygnie prędko walki, niebawem będzie zbyt zmęczony, żeby zdzierżyć pole. Nie pomoże mu wojska wprawa.

– A co szatny może wiedzieć o sztuce rycerskiej? – skrzywił się arcybiskup Falcone.

– On wie o tym więcej niż mógłbyś przypuszczać – powiedział Filip, nie odwracając głowy. – Dużo więcej niż wielu tutaj zgromadzonych. Wojował jeszcze pod moim sławnym dziadem. Bywał na wyprawach z vi Rimmem, który zawsze miał wysokie mniemanie o jego umiejętnościach. A i mój ojciec bardzo sobie cenił doświadczenie Karola.

Vorda dyszał ciężko. Podniecenie, które nappełniało go na początku i sprawiało, że czuł się znowu młodym, silnym człowiekiem, zaczęło ustępować zmęczeniu. Przez

głowę przemknęła mu ta sama myśl, którą przed chwilą wyraził Karol. Z każdą chwilą ma mniejsze szanse na wygraną. Cofnął się dwa kroki. Zdziwiony hrabia zaprzestał ataku. Vorda uniesionym mieczem poprosił o chwilę przerwy. Burghiese skinął głową. Sam chętnie odetchnie. Nie spodziewał się takiej bieглиości i wytrwałości ze strony przeciwnika. Vorda przywołał Hagrira.

– Odepnij mi tarczę, chłopcze.

– Ależ panie...

– Już!

Pachołek sprawnie rozpiął rzemienie, uwolnił lewicę rycerza.

– Jestem gotów, hrabio! – Vorda lekko się skłonił.

– Trochę jednak szkoda cię zabijać, Vordo. Ale nie pozostawiłeś mi wyboru... A zresztą, tak naprawdę cię nie żałuję!

Kończąc zdanie, Burghiese skoczył. Wydawało się, że ciężka zbroja zupełnie mu nie przeszkadza. Ruchy miał szybkie, zwijał się niczym drapieżny kot. Vorda okazał się jednak nie mniej sprawny od hrabiego. Zawirował w obrocie, przepuszczając śmiertelne pchnięcie, by samemu uderzyć krótkim, potężnym zamachem. Ostrze ześliznęło się po naramienniku Ludwiga, pozostawiając w nim głęboki ślad.

– Patrzcie, jak też ten stary sprawnie mu się opęda – w głosie diuka Gerharda zabrzmiał mimowolny podziw. – Jakby miał w ręku trzcinę, a nie ten toporny brzeszczot...

Odgłos walki przypominał bicie pękniętego dzwonu, na który spada z nieba gęsty ołowiany deszcz. Patrzący chwilami tracili rozeznanie, czy to słońce sypie iskry z wypolerowanych kling, czy też ich roje krzeszą w zwarciach same miecze.

Odskoczyli od siebie jednocześnie. Po twarzy Vordy spływał pot. Hrabia pod zasłoną przyłbicy także zaczął odczuwać nieznośne gorąco.

– Gdyby to nie było wyzwanie do ostatniej krwi – powiedział cicho Filip – kazałbym zaprzestać walki.

Pierwszy ruszył do ataku Vorda. Wiedział, że stać go tylko na ten ostatni wysiłek, że musi zakończyć walkę już teraz. Prawą dłoń przysunął do jelca tak blisko, jak tylko na to pozwalała rękawica, lewą chwycił głowicę miecza. Wypad na prawą nogę, błyskawiczne podciągnięcie lewej. Zanim Ludwig zdążył zbić markowany sztych, klinga zatoczyła łuk, Vorda zwinął się w półobrót, uderzając przeciwnika barkiem. Oparł się przez mgnienie oka na jego ramieniu, przechodząc do drugiej połowy obrotu. Zaskoczony Burghiese próbował postawić zasłonę, jednak było już za późno. Potężne, wsparte wykrekiem cięcie dosięgło pleców.

– Rany boskie! – doleciał okrzyk z trybuny. – Koniec!

Hrabia stracił od uderzenia oddech. Nie na darmo jednak założył do walki najlepszy pancerz, jaki mógł znaleźć w królewskiej zbrojowni. Przez głowę przeleciała mu myśl, że w nieco słabszej zbroi ten cios mógłby go rozciąć na pół. Nie

było jednak czasu na jakiegokolwiek wahania. Impet uderzenia powalił go na kolana. Pokonując kłujący ból w piersiach, wykręcił się w kierunku przeciwnika. Zobaczył, jak Vorda odwraca się i opuszcza sztych miecza, żeby zakończyć sprawę pchnięciem w lukę między krawędzią naramiennika a pachą. Rozpaczliwym gestem, ostatkiem sił, kurczowo ściskając broń, wyrzucił rękę do tyłu. Poczł opór i okropny ból w ramieniu, zanim świat utonął w czarnej mgle.



Rozdział 5

– Będzie żył – oznajmił Horris, wchodząc do komnaty Pillgrima. Wyglądał okropnie, tak jakby sam miał za chwilę umrzeć. Jakby to on cierpiał od zatrucia krwi.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że czarnoksiężnik może być zmęczony swoją pracą. Wydawało mi się, że dla was to łatwiej niż strzelić z palców. Wymamrotasz coś pod nosem, zamachasz rękami i zrobione.

Horris uśmiechnął się z przymusem.

– Nie wiem, marszałku, podobno tak jest z czarnoksiężnikami, którzy czerpią moc z nienazwanej energii. Ale ja, zwykły uzdrowiciel, lecę tym, co sam zdołam z siebie wydobyć...

– Mów to komu innemu – zagrzmiał Pillgrim. – Sam słyszałem, jak wzywasz stare demony! Więc nie łżyj, że jesteś tylko lekarzem!

– Uzdrowicielem. Dla was, ludzi z Vereeny, uzdrowiciel i zwykły lekarz znaczy to samo. Wydaje się wam, że każdy, kto przywołuje tajemne siły jest od razu czarnoksiężnikiem. A to wszystko okazuje się o wiele bardziej złożone.

Pillgrim z głęboką zmarszczką na czole przysłuchiwał się wywodowi Horrisa.

– Siadaj, lekarzu, uzdrowicielu czy kimkolwiek jesteś. Gotówes zaraz upaść. Należę ci wina, chociaż kiedy pomyślę, że zniewoliłeś duszę nieszczęsnego Alwena... Miałbym ochotę wlać do kielicha cykuty.

Horris uśmiechnął się znowu, tym razem szczerze.

– Człowiek sam tylko jest w stanie zniewolić swoją duszę. Nie wymyślono jeszcze takiego łańcucha, który potrafiłby skutecznie dokonać podobnej sztuki bez pomocy samej ofiary.

– Jednak nieszczęśnik będzie się musiał jakoś odwdzięczyć za pomoc? O ile wiem,

możesz zażądać dowolnej rzeczy.

– Tak powiadają. – Uzdrowiciel z wyraźną przyjemnością zanurzył wargi w winie.
– Lecz powiedz mi, baronie, czy słyszałeś kiedy o tym, żeby ktoś uczynił komuś przysługę nic w zamian nie oczekując?

– Właśnie. Jakoś umknęły mi podobnie fenomenalne przypadki w moim dość już długim życiu. Dlatego zastanawiam się, czego ty zażadasz.

– Ja nie chcę niczego. Ja jestem tylko sługą i wszystko, co uczynię należy do tego, komu służę.

Pillgrim zaciął zęby.

– A więc to tak? Tu cię wiedli! W zamian za twoje czary Alwen ma się wywdzięczać Gernonowi?! Taki sobie wymyśliliście podstęp? Już teraz żałuję, że nie pozwoliłem temu biedakowi skonać. Miałby przynajmniej spokój!

– Gerno nie jest moim panem – spokojnie odparł Horris. – Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy. Jestem przy księciu z czyjegoś polecenia.

– Czyjego?

– Tego wyjawić nie mogę. Wiedz jednak, że Gerno byłby nikim bez rad i pomocy ludzi o wiele od niego potężniejszych.

Pillgrim pobladł.

– Czuję, że w tym wszystkim jest coś nie tak – wymamrotał. – Skąd by takie pokątne książątko, choć rozumu odmówić mu nie mogę, wzięło nagle bitną i liczną armię? Czarnoksiężnicy!

Zerwał się nagle, chwycił Horrisa za szatę na piersi.

– Przyznaj się! Służysz czarnoksiężnikom? Oni chcą wrócić do dawnej potęgi? Chcą nadejść z krajów magii, żeby... – chwycił się za głowę. – To będzie straszna wojna! I chcesz w nią wciągnąć Alwena! Tylko po co on wam?

Uzdrowiciel odsapnął.

– Mało duszy ze mnie nie wytrząsałeś, marszałku! Miarkuj się, przecież ty masz siłę niedźwiedzia! Czy służę czarodziejom, czy nie, to osobna sprawa. Co tam, i tak się dowiesz. Jestem uzdrowicielem, pomocnikiem pewnego potężnego maga. Co do Koniokrada, sam zadecyduje o swoim losie. Jedyne, co będzie musiał zrobić, to udać się ze mną do pewnej osoby, żeby wysłuchać, co ma mu do powiedzenia.

– To jakiś kolejny podstęp!

– Ty we wszystkim wietrzysz zdradę, Pillgrimie. Pewnie dlatego, że sam zostałeś niedawno podle zdradzony. Ty i twoje wojsko. I Alwen – dodał ciszej. – Kochasz tego młodzieńca jak własnego syna, prawda?

Pillgrim opuścił głowę.

– Zawsze chciałem mieć syna. Zaś moja nieszczęsna pierwsza żona darmo czekała na mnie latami, kiedy uganiałem się za sławą. Gdym w końcu zagościł w domu, ujrzałem ją zgasłą, pozbawioną radości. Mój pierworodny umarł tydzień wcześniej,

kilka miesięcy po urodzeniu. Nawet o nim nie wiedziałem, bo ponad rok wojowaliśmy z powstaniem ligi baronów. Moja nieszczęsna małżonka także zgasła niebawem. Pojąłem następną niewiastę, lecz ta okazała się istotą tak wredną i złośliwą, że mimo iż miałem już dość sławy i wojennego zgiełku, wolałem nadal ich szukać na polach bitew czy w turniejowych szrankach. Zazdrościłem Kolwirgowi, ojcu Alwena, że dochował się potomka. Jakoś potrafił ułożyć sobie życie, chociaż poza domem spędzał prawie tyle czasu, co ja. Gdyby nie knowania Ludwiga Burghiese, wszystko potoczyłoby się inaczej. Potoczyłoby się też inaczej, gdyby nie ich poczucie honoru.

Milczał długą chwilę, zanim podjął.

– Przyłgnałem sercem do małego. Więcej spędzałem czasu w Kolwirgowym dworcu niż we własnym zamku. Patrzyłem, jak Alwen rośnie, widziałem, jak jego dziecięce oczy stają się coraz mądrzejsze... Wyciągał do mnie ufne rączki, nazywał stryjkiem... Boże, co ja bym dał, żeby być tam wtedy, kiedy nadjechali hrabiowscy siepacze! Nikt niczego staremu Burghiese nie udowodnił, ale ja wiem, że to on rozkazał obrócić w perzynę dziedzinę de Moranów. Zarzucił zdradę Kolwirgowi, podobno przedstawił Radzie Stanu niezbite dowody... Wart jest teraz syn swego ojca... Musiał coś przeczuwać mój przyjaciel, bo niedługo wcześniej, pewnej nocy, gdyśmy dłużej zabawili przy kielichach, rzekł do mnie: „Niedługo już mojego szczęścia, trzeba chyba będzie udać się na tułaczkę”. To była taka myśl, na którą nie zwraca się uwagi.

Jedna z tych, które zatruwają człowiekowi życie. On też nie mógł sobie darować, że opuścił dzień wcześniej zamek, wezwany na rozprawę przez bajlifa. Małego Alwena zbóje nie ukatrupili. Król nie zezwolił, a i Burghiese bał się, że ja i mnie podobni drobniejsi baronowie, chociaż niewiele znaczący w porównaniu z wszechwładnym rodem, podniesiemy raban, a nawet przyłączymy się do buntowników z ligi. Bo jeżeli nie można się spodziewać dla potomstwa ochrony ze strony własnego monarchy, nie można być już pewnym niczego! Ale matka Koniokrada skołała ze zgryzoty.

Znowu zamilkł, nalał do kielichów. Horris patrzył ze współczuciem na oblicze barona, postarzałe nagle pod wpływem bolesnych wspomnień.

– Czy go kocham, pytasz. Nie mam na tym świecie bliższego człowieka. Kocham go chyba tak, jak miłowałbym własne dziecko... Nie wiem zresztą. Tyle wiem, że jego ból jest moim bólem, a jego radość moją radością. Gdy po śmierci Kolwirga poszedł własną drogą, nie słuchając dobrych rad, myślałem, że to uczucie przeminie. Kiedy doszły mnie słuchy, że oddał się gdzieś w służbę czarnoksiężnikowi, poczułem doń nawet pogardę. Ale gdy wszedł przed bitwą do mego namiotu, serce omal nie wyskoczyło z piersi. Najchętniej zapakowałbym go w miech i odesłał gdzieś w bezpieczne miejsce. A kiedy zobaczyłem w zamęcie bitewnym, jak wali się bezwładnie na ziemię... – Głos mu się załamał. Przełknął ślinę, pociągnął tęgi łyk z kielicha. – Diabli, rzuciłem wszystko, zostawiłem dowodzenie nawet nie pamiętam komu i pogałem wyciągać go spod kłębowiska ciał. Ale nadal nie wiem, czy go

kocham, bo nie wiem, jak to jest naprawdę kochać i co to znaczy...

Oparł głowę na rękę, zamyślił się.

– Pillgrimie – powiedział cicho Horris. – Możesz mi wierzyć. Wiesz doskonale, co znaczy kochać.



Ludwig Burghiese krzywił się i syczał z bólu. Królewski medyk ciasno opasywał pasem materiału potężne piersi hrabiego. Lewa ręka pacjenta zwisała bezwładnie, dziwnie wykręcona.

– Połamał mi chyba wszystkie żebra!

– Nie przesadzajcie, panie. Bardziej jesteście potłuczeni niż poważnie ranni. Gdyby nie ta wywichnięta ręka, w ciągu dwóch tygodni zaczęlibyście zapominać, że w ogóle was coś bolało. Ale bez obaw, nastawimy ją, obandażujemy, a potem...

Przerwało mu wejście arcybiskupa Falcone.

– Zostaw nas samych – rozkazał hrabia.

– Ależ panie, nie dokończyłem opatrunku... I ręka...

– Ręka poczeka. Zostaw nas samych! Wynoś się!

Lekarz błyskawicznie pozbierał narzędzia. Po chwili zniknął za drzwiami.

– Mam nadzieję, arcybiskupie, że poczyniłeś już odpowiednie kroki, żeby nas zabezpieczyć przed zbytnią gadatliwością tej dziewczuchy.

– W tej chwili jest zbyt głęboko pogrążona w rozpacz, żeby myśleć o czymś innym niż śmierć ojca – odparł wymijająco Falcone.

– Rozpacz minie, a zbędna wiedza pozostanie! Musisz się tym zająć.

– Zajmę się. Ona nie powie nikomu ani słowa.

– Nareszcie zaczynasz mówić do rzeczy. Kiedy i gdzie? Chcę wiedzieć, żeby uniknąć wszelkich podejrzeń.

– Zabieram ją do klasztoru.

– Co?! – Hrabia zerwał się z krzesła, ale natychmiast z jękiem opadł z powrotem. – Do jakiego klasztoru? Masz ją uciszyć! Na zawsze!

– Dziewczyna nic nikomu nie powie. Możesz być pewien. Zamierzam oddać ją do sióstr o surowej regule. Stamtąd nie ma powrotu.

– Co ty knujesz, Falcone?

– Niczego nie knuję. – Arcybiskup był blady jak ściana. – Nie mogę zgładzić Maive. Jestem przecież duchownym.

– A odkąd ci to przeszkadza? – uniósł się Burghiese. – Jak do tej pory... – ściszył nagle głos. – Coś się wydarzyło, prawda? Coś, o czym nie wiem.

Arcybiskup milczał długo zanim odpowiedział.

– Wtedy, przed pojedynkiem, Vorda zaklął mnie w obliczu śmierci, żebym nie pozwolił uczynić krzywdy jego córce. Wiesz, co znaczy taka prośba? To jak boski rozkaz!

– Mogłeś się nie zgodzić, do licha! Przecież wiedziałeś, że trzeba będzie... No odpowiedz coś!

Falcone milczał.

– Co on ci jeszcze powiedział? Bo na pewno nie przejąłeś się jakąś tam prośbą starego człowieka, nawet w obliczu śmierci!

– Tak sądzisz, hrabio? A nie wzięłeś pod uwagę, że ja też mam honor?

– Gówno masz, nie honor – rzucił z pogardą Ludwig. – Nie mydl mi oczu! Mów, co się tam więcej wydarzyło?

– Łatwo zrażasz sobie sprzymierzeńców – rzekł spokojnie arcybiskup. – Tylko dlatego, że jedziemy na tym samym wozie, nie mogę cię teraz porzucić. Ale dziewczyny zabić nie pozwolę! Obiecałem Vordzie, że zadbam o jej życie i zrobię to, Bóg mi świadkiem! Ale nie mówiłem mu przecież, że będzie wolna. Pójdzie między mniszki, a stamtąd do świata jest o wiele dalej niż do nieba.

Hrabia patrzył przez szparki zmrużonych oczu.

– On powiedział coś więcej, prawda? Nie wierzę, że przejmowałbyś się obietnicą. Chcesz mieć na mnie jakiś haczyk. Tak, to pewne! Tego się po tobie nie spodziewałem!

– Ja też się po tobie nie spodziewałem pewnych rzeczy, hrabio! Nawet biorąc pod uwagę niezmiernie pokłady twojej podłości!

Burghiese patrzył na dostojnika zmrużonymi z wściekłości oczami.

– Odejdź, Falcone – warknął. – I ciesz się z mojej kontuzji, bo inaczej chyba bym cię udusił tu, na miejscu, nie bacząc na nic!

– Chcesz, żebym porzucił twoją sprawę? – spytał arcybiskup z niepokojem.

– Jesteś mi potrzebny. Podobnie jak ja tobie. Nie pora wyprzęgać koni od dyszla w chwili, kiedy ten nasz wspólny zaprzęg czeka jeszcze niejedna ciężka przeprawa. Ale teraz nie rozmawiamy ze sobą. Obaj jesteśmy nazbyt rozdrażnieni.



Pillgrim ponuro wpatrywał się w twarz Gernona, idącego środkiem wojskowego szpaleru. Przez głowę przelatywały mu tysiące myśli. Co za człowiek z tego książątka? Co w nim jest takiego, że potrafi dać w kość wielkiej armii potężnego państwa? Co wreszcie skłania jego samego pana de la Marvilla, dumnego barona, żeby stać kornie przed obliczem kogoś, kto nie jest nawet w połowie tak dobrze urodzony jak on?

Gerno tymczasem szedł wzdłuż szeregów wyprężonych gwardzistów. Wypolerowane, szerokie groty włócznie lśniły w słońcu niby setka małych zwierciadeł. Pillgrim z podziwem spoglądał na żołnierzy. Chłopy dobrane jeden w drugiego, barczyści i wysocy, wzrostem nie ustępowali nawet jemu, a przecież przyzwyczajony był zawsze wystawać głową ponad tłum. Z takimi zabijakami można zdobywać świat. Skrzywił się na wspomnienie zbieraniny, którą dowodził ostatnio. A przecież banda takich właśnie rębajłów, jak ci tutaj, długo nie mogła dać im rady. To prawda, że siła nie tkwi tylko w fizycznej wielkości. Jest w człowieku coś jeszcze, coś więcej, nieposkromiony duch i przekora, które potrafią wydobyć z mdłego ciała nadspodziewanie wielką moc.

Gerno bez trudu dostrzegł zwalistą postać Pillgrima. Zatrzymał się i przywołał go gestem.

– Miło cię wiedzieć, baronie. – Rozciągnął wąskie wargi w uprzejmym uśmiechu. – Witaj, mój drogi Pillgrimie. Czy mogę się tak do ciebie zwracać?

Pillgrim w milczeniu skinął głową.

– Znakomicie. – Uśmiech Gernona stał się odrobinę szerszy. Ale tylko odrobinę. Doskonale potrafił oddzielić uprzejme zainteresowanie od łaskawości. Ten grymas stanowił właśnie taką granicę. – W takim razie chciałbym, abyś mi towarzyszył w drodze na kwaterę. Mam do ciebie kilka słów.

Ruszyli dalej ramię w ramię. Pillgrim doskonale wiedział, że powinien iść choć pół kroku za księciem, ale nie mógł się na to zdobyć, tak jakby nie chciał przyznać, że ma do czynienia z prawdziwym dostojeństwem majestatu władzy. Czuł na plecach kłujące spojrzenia świty, widział zgorszenie w oczach mijanych oficerów i prostych żołnierzy, ale chęć pokazania, że nie jest jednym z poddanych tego tutaj suwerena, była silniejsza od wymogów etykiety. Gerno z kolei zdawał się nie dostrzegać niezręczności sytuacji.

– Mam dla ciebie pewną propozycję – powiedział swobodnym tonem. – Ale złożę ją dopiero, kiedy znajdziemy się wewnątrz. – Ruchem brody wskazał przystrojoną girlandami kwiatów ubogą, choć zadbaną chłopską chałupę. – Uwielbiam kwiaty, baronie. To jedna z moich nielicznych słabości. Jeśli jest tylko taka możliwość, wszędzie, gdzie przebywam, muszą być świeże kwiaty. Co zaś do mojej propozycji, proszę cię tylko o jedno. Kiedy ją usłyszysz, najpierw zastanów się dobrze, nie spiesz z odpowiedzią. I przede wszystkim nie zacznij wrzeszczeć i machać rękami niczym wiatrak, jak to masz podobno we zwyczaju, kiedy dzieje się coś, co ci się nie podoba. Mogę na to liczyć?

Pillgrim zerknął z ukosa na pogodną twarz księcia. Czego on może chcieć, że robi takie wstępy?

– Możesz liczyć, panie, na moją dobrą wolę – odparł niechętnie. – Z całych sił postaram się powstrzymać od krzyku i machania łapami.



Maive siedziała bez ruchu na brzegu łoża. Alwen zginął, ojciec nie żyje. Nie pozostał jej na świecie już nikt. Nikt? Spojrzała na brzuch. Zaokrąglił się już wyraźnie. Owoc ostatniego spotkania z ukochanym. Owoc słodczy nocy poślubnej. Ojciec był przekonany, że córka spokojnie śpi w izbie, a ona...

Ksiądz, młodziutki, prawie chłopiec jeszcze, recytował formułki cichym, drżącym ze wzruszenia głosem. Jakże Koniokrad na nią wtedy patrzył! Jego oczy podobne były gwiazdom na przejrzystym, zimowym niebie. W zaciszu kaplicy ich oddechy spletały się, gdy wypowiadali przysięgę wierności. Nie mogła się doczekać, kiedy zostaną sami, kiedy wreszcie zazna prawdziwej bliskości ukochanego.

To był przecież jej pierwszy raz. Słodka noc... Tyle że słodczy nasiąknięta była goryczą nadchodzącego rozstania. Wyklęty banita musiał odejść przed świtem, zanim ktoś go wypatrzy. A robiło się wokół niego coraz gęściej. Królewscy postrzegacze kręcili się każdego dnia po okolicy.

– Nie mogę cię narażać, Maive – powiedział, wtulając głowę w zagłębienie jej szyi.
– Oni wiedzą, że jestem gdzieś tutaj. Jeśli zostanę, jeśli będziemy się widywać, sprowadzę na ciebie niebezpieczeństwo. Na ciebie i twojego ojca. Wiesz dobrze, że musicie być poza podejrzeniami. Ten wasz nieszczęsny Czarny Pergamin...

– Mam dość! – prychnęła rozzłoszczona. – Czarny Pergamin! Kawałek zapisanego nie wiadomo czym papieru ma decydować o moim życiu! Zabierz mnie ze sobą.

– Nie mów tak, ukochana. To na vi Rimmach, na twoim rodzimym spoczywa odpowiedzialność. Uciekając, pozwolisz takim jak Burghiese podważyć wiarygodność Vordy jako strażnika dokumentu. Hrabia tylko na to czeka. Sam najchętniej wrzuciłbym ten kawałek papieru do ognia, ale sama wiesz, że to nie takie proste.

– A nasze szczęście?

Uśmiechnął się smutno.

– Jesteśmy tylko drobnymi pionkami na szachownicy życia, moja Maive. Może dane nam jeszcze będzie zaznać szczęścia, a może wysączyliśmy dzisiaj ostatnie pisane nam krople? Kto wie?

Patrzyła za nim długo, kiedy odchodził w noc. Pozostał po ukochanym tylko pierścień, którego nawet nie mogła włożyć na palec, żeby nie budzić podejrzeń. Pierścień z rodzimym klejnotem Alwena. Wydobyła go teraz z sekretnej kieszeni w fałdach sukni. Wielki, płaski rubin z wyciętym wizerunkiem zwiniętego w ataku sokoła. W pierwszej chwili wyglądał niczym coś wyciosanego nieporadnie na podobieństwo grubego bełtu do kuszy. Dopiero kiedy przyjrzeć się bliżej, można było dostrzec szczegóły. Ostry dziób, wyciągniętą do przodu głowę, zwarty korpus ptaka.

Biegły rzemieślnik, a raczej artysta, potrafił oddać nawet mozaikę piór i zarys przyciśniętych do tułowia skrzydeł. Małe arcydzieło wykonane przez wielkiego mistrza.

Wsunęła pierścień na palec, położyła dłoń na brzuchu.

– Nie wiem, ile nam pozostało życia, maleństwo – szepnęła. – Ale zrobię wszystko, aby cię uratować, chociaż Burghiese na pewno nie omieszka skorzystać z okazji, żeby się pozbyć świadków swoich podłości, a przede wszystkim przejąć Czarny Pergamin.

Uśmiechnęła się przez łzy. Będzie go musiał tylko dobrze poszukać. Bo ojciec komuś przekazał Pergamin przed pojedynkiem. Burghiese jest pewien, że papier jest albo przy niej, albo gdzieś w tej komnacie. Przecież, według prawa, strażnik musiał go mieć zawsze w zasięgu ręki. Ale teraz strażnik nie żyje, a prawo musi się nagiąć do rzeczywistości.

W tej chwili drzwi komnaty rozwarły się z hukiem. Przestraszona zerwała się na równe nogi, chowając pierścień. Do środka wtargnęło sześciu ludzi. Czterej żołnierze i dwaj oficerowie.

– Pod ścianę, dziewczko! – warknął jeden z nich. – I nie ruszaj się. Przeszukanie na rozkaz króla. Pokazać papier? – roześmiał się nieprzyjemnie. – A zresztą po co ci papier. I tak pewnie nie umiesz czytać.

– Zostaw ją, Hanes – odezwał się drugi oficer. – Róbmy co do nas należy i chodźmy stąd. Dziewczyna dopiero co straciła ojca.

– A ty, Vallery, jak zwykle chcesz być sprawiedliwy i szlachetny? Straciła ojca, bo porwał się na hrabiego, stary dureń.

Skinął na żołnierzy. Ci natychmiast rzucili się do pracy. W mgnieniu oka sprzęty w pomieszczeniu zmieniły miejsce. Na podłodze znalazły się ubrania i wszystko, co do tej pory spoczywało w szafach i podróżnych kufrach.

– To może być wszędzie – powiedział ten o imieniu Hanes. – Porozbijać każdą rzecz, jaka się wyda podejrzana. Stał na szeroko rozkraczonych nogach i patrzył na nią drwiąco. Odpowiedziała mu hardym spojrzeniem.

– Co, dziewczko, nie podoba ci się królewski oficer?

– Nie służysz królowi – powiedziała, siląc się na spokój. – Jesteś sługusem hrabiego Burghiese. To on wam kazał przeszukać komnatę.

– Mylisz się, panienko – powiedział szybko Vallery, uprzedzając odezwanie się towarzysza. – Wypełniamy rozkaz króla. Inna rzecz, kto go do tego namówił...

– Za dużo gadasz, d’Orenburg – syknął Hanes. – Nie tobie oceniać, kto kogo i do czego nakłania. My mamy jedynie wykonywać rozkazy.

Kapitan Vallery d’Orenburg wzruszył ramionami. Hanes jest niczym dobrze ułożony pies. Nie myśli, dlaczego ma zrobić to czy tamto. Takiemu łatwiej.

Żołnierze w pocie czoła oglądali, rozbierali na fragmenty, a nawet rąbali sprzęty. Na próżno.

– Podłogę zerwać – rozkazał Hanes.

– Nie szalej – powstrzymał go Vallery. – Jak ci się zdaje, kiedy stary miał czas zrobić tu skrytkę? Popatrz na te deski. Solidna, stara robota, nie na gwoździe, ale zaciosy. Żeby to rozebrać i złożyć do kupy, trzeba pomocy kilku ludzi.

Hanes myślał przez chwilę.

– Może i racja. Ale jest jeszcze jedno miejsce... Niespodziewanie przyskoczył do stojącej w kącie Maive, szarpnął za suknię. Materiał trzasnął, ciężka tkanina spłynęła na ziemię. Jeszcze jeden ruch i biała koszula poszła w ślady sukni. Maive krzyknęła i zasłoniła piersi rękami. Hanes znów sięgnął ku niej, ale zatrzymał go mocny uchwyt za nadgarstek wyciągniętej już drapieźnie ręki.

– Przesadziłeś – wydyszał mu prosto w twarz Vallery d'Orenburg. – Przesadziłeś, kmiotku!

Hanes zazgrzytał zębami z wściekłości, próbując się uwolnić. Przed oczami zatańczyły mu krwawe pląty. Czy tacy, jak ten, nigdy nie przestaną mu wypominać niskiego pochodzenia? Tak samo dobry z niego oficer, jak z urodzonego!

– Puść – wycharczał. – Puść, bo cię zabiję!

– Zostaw dziewczynę w spokoju!

– Ty durniu, ona to może mieć przy sobie. Ta... ta...

– Zamknij pysk, głupcze. Nie widzisz, że ona jest w ciąży? Chcesz poturbować brzemienną niewiastę?

Hanes spojrział na Maive. Dopiero teraz dostrzegł zaokrąglenie brzucha.

– Ale rozkaz...

– Rozkaz był przeszukać komnatę. O dziewczynie nie było mowy!

Hanes zmarszczył brwi. Ten wysoko urodzony zbyt śmiało sobie poczyna. Gwałtownym szarpnięciem oswobodził rękę.

– Zrobię, jak uznam za stosowne!

Vallery d'Orenburg pokręcił głową.

– Wyjść! – rzucił do krzątających się ludzi. Kiedy ostatni zniknął za drzwiami, zwrócił wzrok na Hanesa.

– Zrobisz tak, jak ja ci każę – wycodził przez zaciśnięte zęby. – Bóg mi świadkiem, że jeśli jeszcze raz dotkniesz dziewczyny, nie dożyjesz jutra. Pergaminu nie ma ani w komnacie, ani przy niej. Jeszcze do ciebie nie dotarło? Ktoś go zdążył zabrać.

Hanes już nieco ochłonął. Uczynił więcej niż od niego oczekiwano, to było jasne. A na pojedynek z kapitanem d'Orenburgiem nie miał w tej chwili ochoty. Zbyt łatwo było zginąć z jego ręki.

– Gdzie pergamin? – Vallery zwrócił się do dziewczyny. – Masz go przy sobie?

– Nie mam – odparła drżącym głosem. – I nie wiem, gdzie może być. Mogę przysiąc na grób matki.

– Nie trzeba. Wystarczy mi twoje słowo, panienko. – Ujął mocno ramię

towarzysza. – Idziemy!

Hanes pozwolił się więc wyprowadzić na zewnątrz. Dopiero na korytarzu warknął:

– Jeszcze tego pożałujesz!

– Już żałuję – odparł spokojnie Vallery. – Powinienem, nie bacząc na nic, zabić cię tam, przy żołnierzach i pannie vi Rimm.

W komnacie Maive drżącymi rękami próbowała doprowadzić do ładu poszarpaną garderobę. Ojciec zginął, nie ma kto się ująć za skrzywdzoną istotą. Czy tak będzie wyglądał jej los? Czy teraz każdy bez pytania może wtargnąć, gdziekolwiek by przebywała, i upokorzyć osieroconą wedle swojego widzimisię?



Rozdział 6

Alwen patrzył na Pillgrima z lekkim uśmiechem. Podkrążone oczy połyskiwały jeszcze pozostałością niedawnej gorączki, w całym ciele czuł słabość i dziwną ociężałość, jakby w żyłach płynęła nie krew, ale gęste, ciepłe, bagienne błoto. Baron od dłuższej chwili milczał jak zakłęty.

– Powiedz wreszcie, co ci zaproponował Gerno? – spytał. – Nie przerywaj w najciekawszym miejscu, tylko mów.

Pillgrim skrzywił się niechętnie, przygryzł wargę.

– Niech będzie – burknął. – Widzisz, zaoferował mi coś takiego, że, wbrew moim wcześniejszym zapewnieniom, zacząłem jednak wrzeszczeć i machać łapami.

– To mnie nie dziwi. Zawsze byłeś bardziej skory do wrzasków niż skupionej, spokojnej wstrzemięźliwości i przemyśleń... No, może poza polem bitwy. Ale co to było, dowiem się wreszcie?

– Dowiesz się. Gerno zaoferował mi ni mniej, ni więcej, tylko objęcie dowództwa nad jedną z jego armii. A konkretnie szkolenie gwardzistów z Locco.

Koniokrad gwizdnął przeciągle.

– Doborowe oddziały, czyż nie? To oni rozgromili sławetną królewską jadę szlachecką. Czym sobie zasłużyłeś na takie uznanie i zaufanie naszego gospodarza?

– Nie kpij ze mnie.

– Nie kpię. Po prostu się zastanawiam. Czy to ma być zapłata za uratowanie mi życia?

– Nie, przyjacielu. To zwyczajna propozycja, jaką dbający o interesy swojego kraju książę składa komuś, kto przysporzył jego armii tylu problemów, co ja. I ty – dodał po chwili. – Ciebie jego oferta też dotyczy. Gerno bardzo potrzebuje sprawnych

dowódców.

Alwen zamyślił się. Dziwnie się plecie los. Jeszcze niedawno stali naprzeciwko wspaniałej armii Gernona ze swoimi kilkoma tysiącami maruderów. Jeszcze miał w uszach ryk bojowych trąb grających, by wlać otuchę w serca osamotnionych żołnierzy Filipa, a dzisiaj ich najbardziej zawzięty wróg chce, by walczyli po jego stronie.

– Co o tym myślisz? – przerwał jego rozmyślenia baron.

– Sam nie wiem... W zasadzie nie jesteś Filipowi nic winien. Nie dość, że sam sprowokował tę wojnę, zaprzepaścił wszystkie możliwości porozumienia lub chociażby korzystnego rozejmu, to opuścił cię w chwili, kiedy można jeszcze było rozstrzygnąć wszystko w walnej bitwie. Przecież w konsekwencji twoje ziemie nie tylko zostały spustoszone, ale w dodatku przypadły łupem Gernonowi! Jeśli spojrzeć na to z tej strony, jasne się staje, że nasz ukochany monarcha sam cię oddał swojemu wrogowi. Stałeś się, chcąc nie chcąc, poddanym księcia. Ergo, jak najbardziej możesz wstąpić w jego służbę, nie uwłaczając swojej godności, nie wykraczając przeciwko honorowi.

Pillgrim słuchał z wyraźnym niedowierzaniem.

– Naprawdę wierzysz w to, co mówisz, chłopcze? Zapomniałeś, że przysięgałem wierność królowi?

– O ile pamiętam odnośną formułę, on, jako suweren, wzajem zobowiązywał się dochować wierności tobie i należycie dbać o twoje korzyści. Hołd lenny jest przecież układem dwustronnym.

Baron skinął głową z ponurą miną.

– Tyle tylko, że władcy nie muszą się przejmować przysięgami. Mają władzę, pieniądze i splendor, czego by nie uczynili. Takim jak my pozostaje tylko honor.

Alwen poderwał się, przemógł słabość i usiadł. Miał teraz oczy barona dokładnie naprzeciwko swoich.

– Sporo starszy ode mnie jesteś – wycedził – a gadasz głupio niczym nieopierzony młodzik. Nieraz się przekonałem, że trzymanie się zasad jest bolesne w skutkach. Idźże w służbę Gernona. Z nim możesz zawojować świat.

– Tak? – Pillgrim zmrużył oczy. – A czy ty się też zaciągniesz?

Alwen opadł z powrotem na poduszki. Spojrzenie wbił w okopconą powalę.

– Nie mogę – mruknął. – Nie, nie dlatego, że czuję się związany z Filipem przysięgą. Przecież uczyniono mnie infamisem, a teraz pewnie co poniektórzy świętują na dworze mój zgon. Ja po prostu muszę jechać do Halarii. Spłacić dług czarnoksiężnikom.

– Dług? Jeszcze przed samym odjazdem Horris mówił, że nie jesteś zobowiązany...

– Jestem. Uzdrowiciel może sobie mówić, co chce. Może też być najlepszym z ludzi, ale jednocześnie jest tylko sługą, bezwolnym narzędziem w rękach potężnego maga. Jego pan, ten który go przysłał Gernonowi, wezwie mnie prędzej czy później.

Wolę sam temu wyjść naprzeciw, dowiedzieć się, jaką cenę przyjdzie zapłacić za uzdrowienie. Czarnoksiężnicy nigdy nie zapominają o długach. Horris jest litościwy, z moich majaczeń wyłowił prawdę o mnie i... Maive. – Zacisnął zęby na wspomnienie ukochanej. – Lecz doskonale wie, że może czekać go kara, jeśli nie spowoduje, żebym stanął przed obliczem jego mocodawcy. Imieniem swego pana uratował mi życie, a to wielkie zobowiązanie. Muszę tam jechać!

– A Maive?

– Myślałem o tym. Teraz i tak jej nie pomogę. Tak, jak jest, Vorda potrafi ją chronić o wiele lepiej niż ja. Mogę tylko ściągnąć kłopoty. Łaska czy niełaska naszego monarchy jest niczym w porównaniu z zawziętością hrabiego Burghiese. Ludwig lepiej niech trwa w przekonaniu, że nie ma mnie już między żywymi.

Pillgrim pokręcił głową.

– Nie jedź! W krajach magii porządnych ludzi czekają tylko pokusy i zguba. Słyszałem, że można tam pozbyć się duszy.

Koniokrad nie odpowiedział. Patrzył w zadymione belki, jakby chciał z nich wyczytać przyszłość.

– Jedź ze mną – zaproponował niespodziewanie po chwili milczenia. – Jeśli nie chcesz służyć Gernonowi, jedź ze mną.

– O nie. – Baron wstrząsnął się z obrzydzeniem. – Żadna siła nie zaciągnie mnie do Halarii ani żadnego z krajów czarnoksiężników. Niech moja brudna dusza pozostanie tu, gdzie może nie jest jej najwygodniej, ale za to bezpiecznie. W moim grzesznym ciele.

– Co zamierzasz?

Tym razem baron nie odpowiedział. Zamyślił się z ponurym grymasem na twarzy.



– Przyjedzie. Musi przyjechać.

Mistrz Ekhart wpatrywał się w mleczną mgłę, jaka wypełniała szklaną kulę. Odziedziczył ją po swoim nauczycielu, a przedtem była w posiadaniu wielu innych magów. Przeszła przez wiele wieków i niezliczoną liczbę rąk w stanie nienaruszonym, wręcz przeciwnie, z każdą zmianą właściciela wzrastająca w siłę i możliwości.

Horris także przyglądał się kuli, jednak nie widział w niej nic, co pozwoliłoby przypuszczać, że to wyjątkowy przedmiot. Bóg nierówno rozdziela talenty. Czarnoksiężnik ma życie o wiele łatwiejsze od zwykłego uzdrawiacza. I o niebo przyjemniejsze... Wyjąwszy może kilka drobiazgów. Podniósł wzrok, napotykając przenikliwe spojrzenie Ekharta, w tej chwili pełne niechęci.

– Mimo tego, co mu powiedziałeś, przybędzie jednak. Bo on wie, że my nic nie

czynimy bez należytej zapłaty. Zawsze trzeba odwdziaczyć się za korzystanie z usług naszych mocy, czy jest się wielkim magiem czy marnym żebrakiem. Takie są zasady. Wiesz o tym doskonale, więc nie rozumiem, dlaczego chciałeś je złamać

– Myślałem...

– Wiem, co myślałeś, uzdrowiaczu. Że on nie musi. Że zapłacił swoją cenę dawno temu. Nie tobie to osądzać! Alwen musi tutaj dotrzeć. To już nie zależy ani ode mnie, ani od ciebie! Chcesz się kłócić z prawami naszego świata, nędzny robaku?

Horris spuścił głowę. To straszne być zwyczajnym uzdrowicielem wśród potężnych magów. W pełni odczuł to dopiero teraz, kiedy wrócił z wyprawy. Tam traktowano go z respektem i szacunkiem jako kogoś, kto posiada niespotykane zdolności, budzi niepokój, a nawet lęk posiadaną tajemniczą mocą. Zateśknął w tej chwili za prostymi ludźmi, zwykłymi żołnierzami. Może bywali okrutni, popełniali czyny, od których włos jeżył się na głowie. Byli wśród nich jednak i tacy, którzy potrafili postąpić szlachetnie, bywało też, że po popełnieniu zbrodniczego postępu wojacy żalowali, kajali się przed kapłanami. W swym długim już życiu nie widział nigdy, aby którykolwiek mistrz magii pożałował tego, co zrobił, choćby popełnił największą podłość. Wyrzuty sumienia są dla maluczkich.

Mistrz Ekhart przez cały czas wpatrywał się w kryształową kulę. Mruczał pod nosem niezrozumiałe formuły w tajemnej mowie, której nikt nigdy nie usłyszał poza tą komnatą. Horris czekał cierpliwie, aż skończy. Każdy Mistrz posługiwał się stworzonym na własne potrzeby językiem, którego tajemnicy strzegł bardziej niż życia. Podobno nawet z tamtej strony można powrócić, ale raz odkrytej tajemnicy ukryć z powrotem niepodobna. Wreszcie czarnoksiężnik odwrócił się i spojrzał surowo na uzdrowiciela.

– Ty chciałeś uchronić Koniokrada przed moją władzą, więc sam go teraz do mnie doprowadzisz. Zrozumiałeś?

Horris skinął głową. Nieszczęsny Alwen. Zewsząd czyhają nań niebezpieczeństwa.

– Doskonale – Mistrz Ekhart rzucił zwitek pergaminu. – Tu masz odpowiednie instrukcje.

Uzdrowiciel natychmiast rozprostował podane pismo, przebiegł wzrokiem rzędy liter. Ledwie to uczynił, róg karteluszek szerniał i zwęglił się. Po chwili zajął się jasnożółtym płomieniem.

– Jak to? – Horris patrzył z niedowierzaniem na płonący papier. Wypuścił go dopiero, kiedy zaczął mu parzyć palce. – Przecież... Myślałem, że mam jechać aż do sztabu Gernona, a nie tylko na pogranicze...

– Właśnie tak – przerwał czarnoksiężnik sucho. – Koniokrad okazał się rozsądniejszy od ciebie.



– Jak chcesz – powiedział chłodno Gerno. – Ale nie licz na to, że łaskawie pozwolę zatrzymać posiadłości. Twoja odmowa jest równoznaczna ze zrzeczeniem się do nich praw. Oddam je niezwłocznie któremuś zasłużonemu oficerowi.

– Na nic nie liczę – odparł Pillgrim. – Na nic i nikogo. Odkąd pamiętam, mogłem się zdać tylko na własne siły. Nie bierz tego do siebie, panie, ale przysięga jest dla mnie ważniejsza od rzuconych niczym ochłap majątków. Życie jest zbyt krótkie, żeby zabiegać o doczesne dobra kosztem godności.

Gerno milczał długo, wpatrując się gdzieś w dal, nad głową barona.

– Tak – powiedział wreszcie, potrząsając głową, jakby chciał odegnąć niechciane myśli. – Jestem w stanie to zrozumieć, chociaż dla mnie, jako władcy, podobne osobiste pobudki muszą pójść precz, jeśli idzie o dobro państwa. Zazdroszczę takim jak ty, baronie, swobody myśli i wyborów. Władza jest niby bezlitosne kajdany.

– Być może – odparł Pillgrim, wpadając w nastrój rozważań księcia. – Jednak wielu spośród znanych mi ludzi z rozkoszą kazałaby się w takie kajdany zakuć.

– Wielu. – Gerno uśmiechnął się. – Mam bogactwa, powodzenie wojenne jest przy mnie. Poszerzyłem niepomiernie dziedzinę pozostawioną mi przez ojców. Lud już nadał mi przydomek Zdobywca, ale... – zawiesił głos, spojrzał bystro na barona. – Powiedz mi, jaka jest twoja cena. Ile musiałbym zapłacić za twoje służby?

Pillgrim drgnął, zaskoczony i przykro zdziwiony. Wielki pan zawsze pozostanie wielkim panem. Oni wszyscy sądzą, że... Zanim zdążył pomyśleć, usłyszał, jak mówi:

– Władcy zawsze sądzą, że każdego można kupić. Zdaje się wam, królowie i księżęta, że to tylko kwestia ceny. I nieodmiennie napawa was zdumieniem, a rzekłbym nawet – obawą, jeśli znajdzie się ktoś, kto nie ma na duszy przypiętej pieczęci z wypisaną odpowiednią sumą. Właśnie na kogoś takiego trafiłeś, panie. Nie ma rzeczy na świecie, która kazałaby mi sprzeniewierzyć się samemu sobie! To znaczy jest – dodał ciszej – jest taka rzecz. Życie przyjaciela. Ale nie sądzę, byś próbował mnie zmusić do posłuszeństwa takim sposobem. To byłoby nieludzkie i pozbawione sensu.

– Nawet nie przyszło mi to do głowy. – Tym razem Gerno okazał poruszenie słowami barona. – Aby postąpić tak podle, trzeba mieć o wiele większe powody niż nakłonienie do współpracy jednego, choćby nawet najlepszego, ale tylko dowódcy.

– Wiem, panie – mruknął Pillgrim. – Wybacz zuchwałość.

– Nie mam co wybaczać. Uniosłeś się, bo i moje pytanie brzmiało zgoła jak obraza. Ja tylko chciałem usłyszeć twoje zdanie. I usłyszałem. I, niech mnie diabli, podobało mi się to, co powiedziałaś. Masz słuszność. Monarchowie mniemają, że wszystko jest kwestią odpowiedniej zapłaty. I z reguły mają rację, bo ludzie są łasi na pieniądze

bardziej niż wygłodniały miś na plaster miodu. Tacy jak ty trafiają się niezmiernie rzadko. Powiedz mi, co zamierzasz uczynić?

Baron przygryzł dolną wargę. Nie spodoba się Gernonowi to, co za chwilę usłyszy.

– Wracam do króla Filipa.

– Chociaż cię zdradził? Wystawił na pastwę hord dzikiego władcy cię i twoich żołnierzy?

– Przysięgałem mu.

Gerno westchnął, zlustrował postać Pillgrima od stóp do głowy.

– Pozazdrościć takiego poddanego – powiedział miękko. – Nie będę cię zatrzymywał.

– Nie? Przecież może się zdarzyć, że stanę jeszcze przeciwko twoim hufcom i przysięgam, że będę się bił najlepiej jak potrafię.

– Nie. – Głos Gernona nabrał ostrości. – Jedź i czyń, co ci sumienie nakazuje. Ja jestem spokojny, że nie napotkam cię na swej drodze, przynajmniej w najbliższym czasie.

– Myślicie, książę, że Filip nie da mi wojska?

– Myślę, że sam nie przyjmiesz od niego podobnego zaszczytu. Nie możesz.

– Dlaczego?

– Wiem więcej niż ci się zdaje. Wiem, co dzieje się na dworze twojego króla i potrafię dodać dwa do dwóch.

– Powiedz mi więc...

– Nie – uciął twardo Gerno. – Człowiek musi sam się przekonać, kim jest i kim są ci, z którymi wiąże swój los. A poza tym na miejscu możesz się dowiedzieć wielu pożytecznych rzeczy. I podejmiesz odpowiednie decyzje.

– Szkoda – mruknął Pillgrim.

Gerno nadstawił ucha.

– Mówiłeś coś?

– Szkoda – powtórzył głośno baron, a po chwili dodał: – Żałuję, że nie urodziłem się w innym miejscu. Byłoby zaszczytem służyć komuś takiemu jak ty.

– Byłoby zaszczytem mieć takiego sługę. – Gerno skinął głową. – Jednak nie przeceniaj mnie, mój Pillgrimie. Jestem zdolny do wielkich podłości.

– Jak każdy władca.

– Jak każdy. Nie tylko władca. Warto zawsze o tym pamiętać.

– Wiem, żyję na tyle długo, by ludzie mi to już wielokrotnie uświadomili.

Gerno skinął głową z uśmiechem.

– No dobrze – spoważniał. – Porozmawialiśmy, podroczyłem się z tobą. Ale jest coś, co musisz koniecznie wiedzieć, zanim udasz się w drogę. Muszę cię ostrzec i nakłaniać jednak do pozostania. Twój ukochany król, któremu przysięgałeś dochować słowa, wystawił za tobą list gończy w podziękowaniu za wierną służbę. Podobno

winien jesteś klęski jego walecznej armii i wystawienie tyłów na ciosy wrażeń wojsk. Sporządzono ów dokument od razu, kiedy na dwór Filipa dotarła wieść, żeś przeżył. A twego przyjaciela Alwena Koniokrada powtórnie wyjęto spod prawa, tym razem pośmiertnie, bo wieść o jego zgonie wydaje się panom w stolicy pewna.

Pillgrim skamieniał. Nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Jeśli sobie życzysz, baronie – powiedział Gerno – mogę rozkazać dostarczyć z kancelarii kopię tego pisma.

– To na pewno ta świnią Burghiese – szepnął Pillgrim. – Jego brudne paluchy...

– Zapewne. Ale list podpisał Filip własnym imieniem. To chyba skłoni cię do ponownego przemyślenia mojej propozycji?

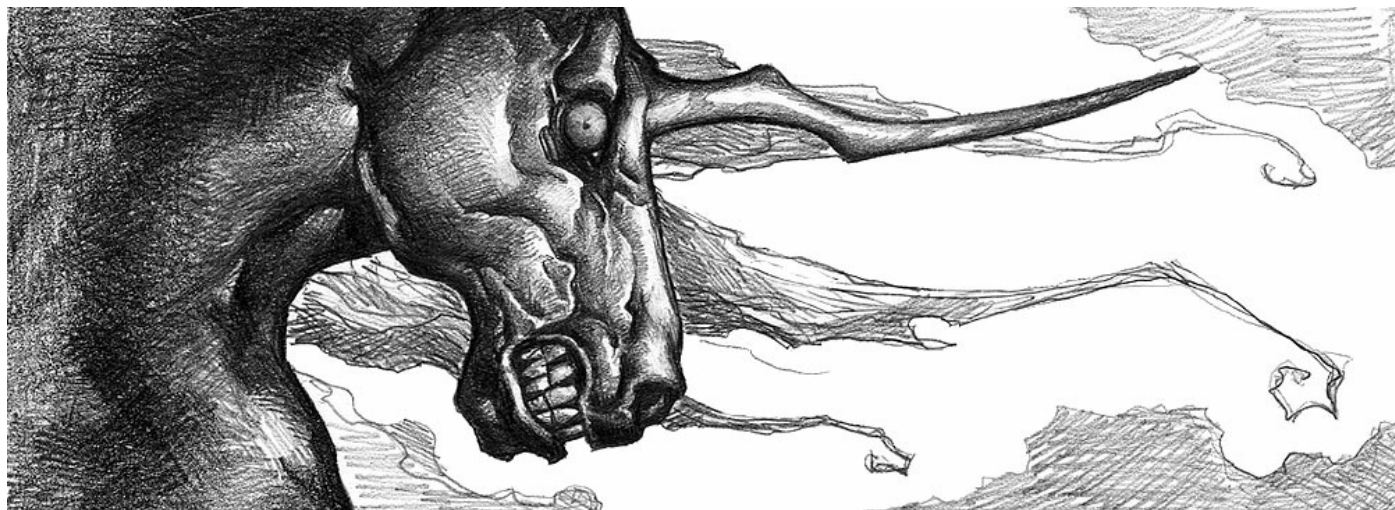
Baron spojrzał podejrzliwie.

– Nie chcę was urazić, panie, ale w jaki sposób wieść o moim ocaleniu tak prędko tam dotarła?

Gerno roześmiał się głośno i szczerze.

– Przypuszczasz, że wyszła na mój rozkaz? By łatwiej cię pozyskać? Przeceniasz mnie! Nie przyszło mi to nawet do głowy, choć pomysł muszę ocenić jako iście przedni. Pamiętaj, żeś od długiego czasu włóczył się nie tylko po koszarach, ale też okolicznych karczmach i zamtuzach.

Zbyt wielu ludzi cię zna, nazbyt liczni i sprawni są szpiedzy Ludwiga Burghiese, żebyś przepadł niezauważony na podobieństwo Koniokrada, którego na oczy widziało ledwie kilku zaufanych. Jak więc będzie? Przemyślisz jeszcze moją ofertę?



Rozdział 7

– Matko przełożona. – Szatny Karol z uszanowaniem skłonił głowę. – Świątobliwa Branweno. Przywiodłem to nieszczęsne dziecko, dopiero co osieroczone, aby je oddać pod twoją opiekę. Nie ma na świecie nikogo. Ojciec zginął w pojedynku, ukochany mężczyzna poległ w bitwie.

Zakonnica przygryzła lekko policzek od wewnętrznej strony. Skóra na zewnątrz zmarszczyła się leciutko. Jej podwładne doskonale wiedziały, że oznacza to stan najwyższego wzburzenia i trzeba przeoryszy schodzić z drogi.

– Mam przyjąć tę dziewczkę i zapewnić jej bezpieczeństwo? A przyprowadzasz ją właśnie ty? Czy nie czynisz tego wbrew woli swojego króla?

Karol nie odpowiedział. Oboje przecież doskonale wiedzieli, co o tym myśleć. Matka Branwena ciągnęła dalej:

– Czy nie sprzeniewierzasz się danemu słowu? Przysięgałeś przecież swemu władcy wierność i posłuszeństwo.

Tym razem w szatnym podniosło się serce.

– Nie wiadomo czasem, matko przełożona, czy człowiek grzeszy bardziej, łamiąc przyrzeczenia, czy ich dotrzymując. I nie wiesz, czy postępując w ten sposób, nie staram się uczynić dla mojego władcy więcej dobrego niżli złego. Cokolwiek dziś czynię, jest za wiedzą arcybiskupa Falcone. Nawet on nie ośmielił się sprzeciwić ostatniej woli Vordy vi Rimma. A czy zdradzam mojego króla, czy nie, Bóg osądzi.

– Łatwo się zaślaniać Bogiem, bo on daleko, wysoko i nie schodzi z niebios zadać byle człowieczkowi kłam.

– Szlachcicem jestem. – Karol uniósł dumnie głowę. – Jedno mam serce, a w nim miejsce tylko na jedną wierność i miłość. Ale są chwile, kiedy trzeba postąpić wbrew

sobie, bo tak nakazują serce i rozum, że o zwykłej ludzkiej przyzwoitości nie wspomnę! Myślisz, świątobliwa, że dobrze się z tym czuję? Przecież, patrząc na to od strony obowiązującego prawa, dokonuję właśnie zdrady stanu.

Branwena zmrużyła oczy, uważnie obserwując mieniącą się emocjami twarz królewskiego szatnego.

– Tak. Dokonujesz zdrady stanu. Na dobitkę chcesz, żebym i ja uczyniła coś podobnego!

– Ty służysz tylko Bogu. Tobie jest łatwiej...

– A ty? Komu służysz? Dlaczego robisz to, co robisz?

– Już mówiłem. Stary Vorda... stary przyjaciel. On mnie prosił. Zaklął przed śmiercią, bym uchronił jego dziecko przed okrutnymi szponami Burghiesów.

Zakonnica kiwnęła głową.

– Wspomniałeś o arcybiskupie. Masz od niego jakieś pismo?

Karol westchnął ciężko. Co ona sobie wyobraża? Przecież nie może zostać po tej sprawie najmniejszego śladu, a czy można sobie wyobrazić coś bardziej kompromitującego od listu?

– No tak – sapnęła przez nos. – Zawsze zabezpieczał się na wszystkie strony. Ciekawe, co by na to powiedział jego przyjaciel Ludwig Burghiese.

– Hrabia wie, że dziewczyna zostanie zamknięta w klasztorze. Musiał się na to zgodzić, bo nie mógł, tuż pod bokiem króla dokonać zwykłego podłego mordy, w dodatku wbrew woli własnego sprzymierzeńca. Nawet on, jak na razie, zmuszony jest zachowywać pozory. Nie wie tylko, w którym eremie Maive będzie przebywać.

Branwena zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Dobrze. Zawołaj ją tutaj.

Karol uchylił drzwi, ruchem ręki przywołał dziewczynę. Weszła, patrząc śmiało, choć twarz miała bladą i trzęsły jej się posiniałe wargi. Na jej widok matka przełożona cicho krzyknęła.

– Ależ ona jest w ciąży!

Maive opanowała się już. Podniosła dumnie głowę.

– Czy jestem przez to napiętnowana? Albo przeklęta?

– No tak – Branwena znowu sapnęła przez nos. – Jeszcze w dodatku harda! Będą z nią duże kłopoty. Dobrze, niech zaczeka przed drzwiami.

Milczała długo, uważnie obserwując twarz Karola.

– Jak się domyśliłam, Maive to jedna sprawa. Mów teraz o drugiej.

Karol bez słowa wyjął z zanadrza purpurowe, zdobione bogatym ornamentem etui. Na widok oplatającej pudełko srebrnej żmii, matka przełożona drgnęła.

– Wiesz, co to jest, świątobliwa?

– Wiem, Karolu. Niestety, wiem... Krnąbrna Maive vi Rimm to drobiazg w porównaniu z bólem głowy, o jaki mnie może przyprawić ten przedmiot. Do tej pory

życie mojego klasztoru przebiegało spokojnie. Obawiam się, że niebawem może to ulec zmianie.



Alwen wpatrywał się zamyślonym wzrokiem w parujący kubek. Wino grzane z egzotycznymi przyprawami, których od dawna darmo by szukać w głębi kraju, pachniało upojnie i kusząco. Po wojnie handel zamarł. Zanim odżyje, nim ludzi ze spustoszonych dzielnic będzie stać na kupno droższych towarów, minie sporo czasu. Za oknem karczmy siąpił nieprzyjemny jesienny deszcz. Ostatni przystanek przed granicą. Koniokrad przeciągnął się, rozprostował ramiona. Pod osłoną nocy przemknął się obok posterunków straży. W taki psi czas nie będą chyba zbyt gorliwie pilnować leśnych duktów, a tym bardziej głębokiego boru. Zawsze zresztą można było tędy przejechać niezauważonym, trzeba tylko wiedzieć, którądy. Żadne rozkazy potężnego hrabiego Burghiese nie są w stanie sprawić, by drzewa i skały stały się nagle nieprzebytym murem.

Upił mały łyk. Ciepło z żołądka powoli rozchodziło się po całym ciele. Przymknął oczy. Gdzie jesteś, moja Maive? Co się z tobą dzieje? Czy ojciec wybaczył już, żeś wyszła za mąż za banitę? A może wcale jeszcze o tym nie wie, rozglądając się, z kim najkorzystniej będzie się skoligacić? Wrócę do ciebie, Maive. Stary Vorda vi Rimm musi się pogodzić z losem. Kto wie, może kiedyś przewycięży niechęć, jaką do mnie odczuwa, zrozumie, że nie ja jestem podły, ale świat?

Otworzył oczy. Tam, pod oknem, jakiś człowiek odwrócony tyłem, w dziwnej mycce. Ubrany, jakby pochodził z Halarii. Zapewne tak jest. W powojennym bałaganie nawet na pograniczu wszelkie zakazy i nakazy dotyczące obcych muszą być traktowane mniej skrupulatnie niż zazwyczaj. Przynajmniej na razie... Podobno na dniach mają przybyć do garnizonów uzupełnienia. Wtedy będzie trudniej przemykać się przez pas nadgraniczny. Znów przymknął powieki. Horris nosił podobny strój. Może tylko mniej rzucający się w oczy. Pewnie zajmuje się uzdrawianiem cierpiących i wykonuje rozkazy swojego czarnoksiężnika. Taki mądry człowiek... Czy ten, komu służy, jest od niego mądrzejszy? Oby! Straszny jest los mędrca pośród głupców. Czy spotkają się? Może... Jeżeli jego pan nie wysłał go gdzieś w świat z ważną misją, daleko, gdzie nie dolatują najwytrwalsze ptaki...

– Czasem myślimy o kimś, że dzieli nas ocean czasu i przestrzeni, a on tymczasem znajduje się obok, na wyciągnięcie ręki – rozległ się nad głową znajomy głos. – Nie zasypiaj, bo prześpisz swoją godzinę.

Alwen poderwał się na równe nogi. Przy nim stał człowiek spod okna. Zdjął śmieszne nakrycie głowy, cisnął je na ławę.

– Horris! To ty? Co tu robisz?

– Czekam na ciebie, Koniokradzie.

– Jak mnie znalazłeś? Skąd wiedziałeś, że będę tędy jechał? Mogłem wybrać inną drogę. Skąd w ogóle wiedziałeś, że mam zamiar udać się do twojej ojczyzny?

– Na które pytanie mam odpowiedzieć najpierw? – Horris odrzucił kaptur. Krótko teraz ścięte, siwe włosy naznaczone zostały ciemnozieloną kreską tuż nad czołem. Znak poddaństwa.

– Zaczynij od ostatniego.

– Słusznie, bo odpowiedź na nie stanowi wyjaśnienie dla wszelkich pozostałych. Mój pan, Mistrz Ekhart, użył swoich mocy, aby przejrzeć twoje zamiary. Bardzo chce cię ujrzeć.

Alwen skrzywił się niechętnie.

– Myślałem, że nie wystawiono mi rachunku za twoje usługi.

– Ja też tak myślałem, przyjacielu.

– A teraz masz dopilnować, żebym nigdzie nie zboczył po drodze albo w ogóle się nie rozmyślił? Wielki mistrz czarów przysłał pacholka?

Na twarzy Horrisa odmalowała się przykrość.

– Źle mnie oceniasz.

– Wiem – Koniokrad już pohamował nagłą złość. – Wiem, uzdrowicielu. Wybacz.

– Nie mam czego wybaczać. W pewnym sensie masz rację. Zlecono mi zadanie jak najrychlejszego doprowadzenia cię przed oblicze mego pana. Jednak nie zamierzam cię pilnować. Jeśli zechcesz, odejdziesz, a ja nie będę przeszkadzał.

– Narażając się na gniew czarnoksiężnika?

Horris zmrużył oczy.

– Wy, ludzie obszarów Bezmagii, bardzo często używacie i nadużywacie słowa honor. Nie myśl, że jego znaczenie jest mi obce. Ja też go posiadam, jak każdy. Powiedziałem, że nie macie obowiązku odwzajemniać się za wyleczenie, więc go nie macie. Oczywiście jeśli o mnie chodzi.

– Nie lękaj się. Twój pan nie będzie miał powodów do gniewu. Trzeba spłacać długi. Nie on mnie uleczył, to prawda, i nie jemu winien jestem wdzięczność, ale skoro macie tak pokrętne zasady, jak macie, nie widzę powodu, żebyś na tym ucierpiał.

Horris skinął głową.

– I to jesteś właśnie cały ty, Alwenie. Jak sądzę, nie ma sensu przekonywać cię, żebyś zawrócił? Tak myślałem. W takim razie wyśpij się dobrze przed dalszą podróżą. Jutro rano wyruszamy.

– Rano? Posterunki trzeba minąć nocą. Nie mam przecież żadnego glejtu...

– Pamiętaj, z kim sprawa. W tej chwili mamy tutaj zdemoralizowane klęską wojska, przerażone tyłowe oddziały. Z nimi wszystko zostało dawno uładzone. Nie

martw się, odpowiednie dokumenty spoczywają w mojej sakwie. A w razie potrzeby możemy sypnąć złotem.



Maive z okna celi śledziła uważnie lot górskiego orła. Wielki ptak zawisł nad przepaścią, zataczając mniejsze i większe kręgi w poszukiwaniu ciepłych wstępujących prądów, zdolnych unieść umięśnione ciało. Wypatrywał ofiary. Królik, świstak, nornica, nawet szary lis czy nowo narodzona kozica, żadne ze stworzeń nie może się czuć bezpiecznie, dopóki skrzydlaty rozbójnik krąży nad głowami. Niby tak odległy, nieosiągalny na niebotycznej wysokości, ale jeśli wypatrzy zdobycz, w mgnieniu oka potrafi znaleźć się tuż nad ziemią, o włos od tętniącego przerażeniem serca.

Jeśli teraz zaatakuje, pomyślała Maive, spełnią się moje życzenia. Jakby pchnięty tą myślą, orzeł zwinął skrzydła, przechodząc do lotu koszącego, po czym niby strzała pomknął ku ziemi. Kamień wolniej spada niż ów pierzasty rabuś, którego ciało stworzone zostało do zabijania. Zdawało się, że za sekundę zakończy życie, rozbijając się o ostre kamienie żlebu, że źle wymierzył odległość i nic go nie uratuje. Pozostaną jedynie rozsmarowane na skale bryzgi krwi i pierzaste strzępki. Jednak orzeł w ostatniej chwili, prawie dotykając końcami skrzydeł zbocza góry, poderwał się, wzniósł w powietrze z wielkim trudem, bo w potężnych pazurach szamotał się dorodny suseł. Dziewczyna odwróciła wzrok. Co za głupią wróżbę sobie wybrała! Nieszczęsne zwierzątko pewnie kwili z przerażenia. Jaki potworny musi przeżywać strach, zanim jego życie zakończy wreszcie uderzenie twardego, wielkiego dzioba. Jak może spełnić się życzenie wypowiedziane w chwili czyjejś śmierci, nawet zwykłego górskiego gryzonia...

Za oknem ponura panorama gór. Nagie skały sprawiały wrażenie, jakby zostały obrane z zieleni bezlitosną ręką olbrzyma. Straszą człowieka obietnicą okrutnej śmierci, jeśli się zapuści między piargi i osuwiska. Maive wzdrygnęła się. Okropne miejsce. A przecież Mont Salome, na której stoi klasztor, to dopiero brama do prawdziwie groźnych gór, widocznych w oddali wiecznie ośnieżonych szczytów. Gdzieś tam, wśród niebosiężnych przełęczy i lodowatych dolin żyją dzikie plemiona Varijczyków. Czy jest możliwe, by w tak surowej krainie cokolwiek zdołało przeżyć zimę, ostrą i dokuczliwą nawet pośród przyjaznych równin? W chłodny czas musi w dalekich górach panować prawdziwe śnieżne piekło. To na pewno nie jest kraj dla normalnego człowieka. Ale z tego, co powiadają o ludach Variji, nie są one podobne zwykłym ludziom. Raczej dzikim zwierzętom. Żywią się nader często mięsem swoich pobratymców, jeśli dokuczy im głód, prowadzą między sobą wieczne wojny po to

tylko, żeby zdobyć owo potworne pożywienie. Prawie każdego roku najeżdżają pogranicze, kiedy tylko puszczą na wiosnę lody. Omijają jednak klasztor...

Rozmyślenia przerwał zgrzyt klucza w zamku. Maive z niechęcią porzuciła ponury widok. Weszła matka przełożona. Nie spojrzała nawet na dziewczynę, szybkim krokiem podeszła do okna i zatrzasnęła je z hukiem.

– Przeziębisz się – powiedziała sucho. – W twoim stanie to niedopuszczalne.

Przeziębienie? Maive omal nie parsknęła śmiechem. Od tej odrobiny powietrza, którą wpuściła do celi? Przeziębienie się prędzej można od lodowatego głosu i chłodnych oczu świętoszki Branweny. Patrzy na ciężarną jak na obrzydliwego płaza. Dla świętoszków nieślubne dziecko stanowi hańbę większą niż najgorsza zbrodnia. Już chciała odezwać się, powiedzieć, że maleństwo poczęte zostało po cichym ślubie w przydrożnej kapliczce, ale dała spokój. Niech sobie przeorysza myśli, co chce. Przecież to nieistotne.

– Nadal patrzysz hardo – stwierdziła bez złości Branwena. – A nie przystoi mniszce tak spoglądać na świat.

– Nie jestem mniszką – wycedziła przez zaciśnięte zęby Maive. – I nie zamierzam nią zostać. Przywleczono mnie tutaj wbrew woli.

– Ale skoro już oddano cię pod moją opiekę, musisz zachowywać się, jak należy! Wraz ze wszystkimi mieszkankami klasztoru masz odbywać przepisane modlitwy i pojawiać się na posiłkach. Przydzielona ci zostanie także praca na miarę twoich możliwości. Nie protestuj i nie rzucaj się niczym ryba wyrzucona na brzeg! Będzie, jak każę! W tym miejscu moja wola jest prawem, a za jego złamanie grożą surowe kary! Z różgami włącznie.

– Możesz mnie nawet zabić, nie chcę żyć jak zakonnica!

– Moje dziecko! – Wbrew przewidywaniu dziewczyny, przełożona nie uniosła się gniewem. W niebieskich oczach zapaliło się dziwnie ciepłe światełko. – Powiedz, cóż ci szkodzi chwalić Boga razem z nami? Czy nie zanosisz do Niego próśb każdego dnia?

– Nie! – Maive zmrużyła oczy. – Prosiłam Go nie tak dawno tylko o odrobinę szczęścia i spokojnego życia u boku ukochanego mężczyzny. A Bóg ofiarował mi jedynie namiastkę, zaraz potem zabierając wszystko i wszystkich... Rzucił moje młode życie na pożarcie ludzkim drapieżnikom! Jestem jak ta mysz na nagim zboczu, na którą padło łakome spojrzenie jastrzębia!

– Co ty wygadujesz, dziewczyno! Boga oskarżasz o rzeczy, które uczyniła zła moc człowieka!

– A czyż On nie stoi nad wszelkim stworzeniem? Czy nie z Jego woli dzieje się wszystko?

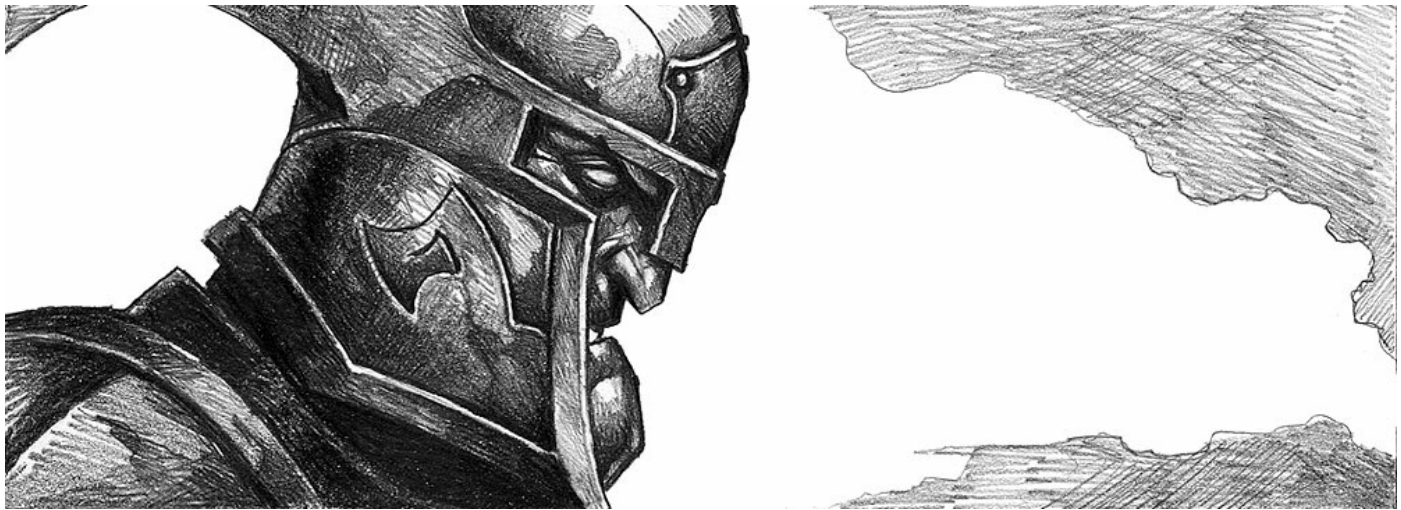
– Stoi nad wszelkim stworzeniem, dziecko, tak jest. Ale dał człowiekowi wolność wyboru, by czynił dobro lub zło. Uważasz, że powinien się wtrącać w nasze sprawy

zawsze, kiedy dzieje się źle? Kim byśmy wtedy byli? Zwykłymi kukłami, bez woli i myśli.

– To piękne słowa. Ale dla kogoś, kto przeżył tyle nieszczęść, ile ja, brzmią pusto i fałszywie.

– Możliwe. – Branwena znowu stała się wyniosła i zimna. – Co nie zmienia faktu, że musisz się podporządkować regule. Inaczej liczyć się z konsekwencjami. Ze względu na ciążę mogę cię zwolnić tylko z nocnych czuwań.

Nie czekając odpowiedzi, wyszła. Maive długo patrzyła na zamknięte drzwi, okute mozaiką żelaznych, pomalowanych na czarno liści. Gorycz podeszła do gardła gorzką kulą. Łatwo dawać nauki komuś, kto całe życie spędził w zaciszu klasztoru, nie wiedząc o burzach i zawieruchach na świecie. Łatwo się modlić i polecać Bogu, jeśli nie ma się własnych trosk, a beznadziejna rozpacz nie zamienia duszy w zimny kamień. Położyła dłoń na brzuchu. Nowe życie... Gdyby Koniokrad wiedział, może nie poszedłby walczyć u boku barona Pillgrima? Może... Chociaż, z drugiej strony, czy można mężczyznę odwieść od uczynienia tego, co mu honor nakazuje? W przypadku Koniokrada na pewno nie. Król okazał mu łaskę, która okazała się groźniejsza niż zdradziecki sztylet w ciemnościach czy trucizna wsączona do napoju.



Rozdział 8

Ogromna sina łuna nadciągnęła z zachodu, skąd nadchodziły wojska lamasyjskie. Nad całym pograniczem Vereeny zerwała się burza. Nie była to jednak zwykła letnia nawałnica, zawsze groźna, ale znana, po której do znękaney wichrem i piorunami natury przychodzi ukojenie. W tej burzy wyczuwało się straszliwą, nieposkromioną moc. Ktoś nierozważnie obudził śpiące demony, poruszył siły chaosu, nie umiejąc potem nad nimi zapanować.

Ekhart z przerażeniem obserwował nadchodzącą grozę. Obejrzał się na towarzyszących mu starszych mistrzów. „Róbcie coś” – chciał zawołać, ale głos uwiązł w krtani. Kto odważył się wypowiedzieć zakazane zaklęcia? Jaki szalony czarnoksiężnik zdobył się na tak desperacki czyn? Nagle dotarło do niego z całą mocą, że to nie mógł być pojedynczy człowiek, ale grupa magów i to potężnych. Lamasja przegrywała wojnę, co musiało wzbudzić wściekłość tamtejszego tyrana. Ale jak przekonał stojących po jego stronie czarnoksiężników do użycia nieodwracalnych formuł?

– Możemy zrobić tylko jedno – powiedział pozornie spokojnie Mistrz Jan. – Tylko jedno, by uniknąć całkowitej zagłady.

Po raz pierwszy w znanej historii wojen jedni czarnoksiężnicy użyli magii bezpośrednio przeciwko drugim, łamiąc wszelkie prawa, zamierzając ich zetrzeć z powierzchni ziemi. Tak, Jan ma rację, uczynić można tylko jedno – rzucić zbiorowe przeciwzaklęcie, równie potężne i równie zakazane...

– To zabije natychmiast wszystkich w promieniu co najmniej pięćdziesięciu mil! – zaprotestował Mistrz Adamus.

Łuna była coraz bliżej, zawisała nad ich głowami. Wojska pierzchały w popłochu,

nie wiedząc, że przed tym, co ku nim pełźnie, nie ma ucieczki.

– A co za różnica? – skrzywił się Mistrz Jan. – Jeśli nie zlikwidujemy zagrożenia, ci ludzie i tak zginą! Są tak czy inaczej skazani. I my wraz z nimi!

To się nazywa sytuacja bez wyjścia, przeleciało przez głowę Ekhartowi.

– Musimy to zrobić – ciągnął Jan – chociażby po to, żeby dać świadectwo prawdzie, postawić przed trybunałem tamtych zdrajców i zbrodniarzy! Jeśli się będziemy dłużej wahać, nie zostanie po nas nawet ślad.

To przekonało pozostałych. Zebrali się w krąg, wzniesli dłonie. W powietrzu popłynęły ciężkie, ociekające złą mocą słowa. Ku górze wzniosła się poświata równie sina jak ta, która płynęła od zachodu... Ekhart z niepokojem obserwował, jak potężnie, siejąc dookoła zniszczenie, po czym kieruje się przeciwko swej groźnej siostrze. Przymknął oczy, gdy obie siły starły się... a potem...

– Boże! – Usiadł na łożu zlany zimnym potem.

Sen. Straszny sen, wspomnienie okrutnej wojny. Starcie zaklęć było silniejsze niż to sobie można wyobrazić. Wciąż w nim tkwiło poczucie obcowania z czystym złem, jakby w samym sercu poczuł dotyk szatana. Był wtedy bardzo młodym mistrzem. Dziś za nic w świecie nie zgodziłby się na udział w podobnym przedsięwzięciu. Bo ofiar było więcej... wielokrotnie więcej niż przypuszczali. Całe pogranicze Vereeny i Lamasji zostało wyludnione na długie lata, bo pozostałości po zakazanych zaklęciach zabijały jeszcze długo każdą żywą istotę. Ekhart nie dziwił się krajom Bezmagii, że po tym wydarzeniu zawarły traktat w Maenvig. Na jego mocy Lamasja przestała istnieć, została wymazana z map i pamięci, a kraje magii zostały napiętnowane. Nikt więcej nie odważył się i chyba nie odważy korzystać z pomocy czarnoksiężników do prowadzenia wojen. Wszystko przez kilku szaleńców, którzy zarazili się chora ambicją od szalonego władcy.

Odetchnął głęboko. Gdyby można cofnąć czas... ale tego nie potrafią dokonać nawet najpotężniejsze czary.



Hrabia Burghiese przechadzał się po komnacie. Ręka, zawieszona na temblaku, dokuczała nieznośnie. Przeklęty Vorda vi Rimm! Skąd w tym staruchu wzięło się tyle krzepy? Za drzwiami usłyszał szmery, przyciszone głosy, a po chwili ciche pukanie.

– Otwarte!

Do izby wszedł kapitan Vallery d'Orenburg. Stanął wyprężony przed Ludwigiem. Burghiese zlustrował go surowym spojrzeniem. Przystojna twarz oficera stężała w maskę, jaką potrafią przywołać tylko wyjątkowo opanowani żołnierze, którzy wiedzą, iż za chwilę zostanie wydany na nich wyrok. Ludwig obszedł go dookoła.

– Kapitan Vallery d'Orenburg, graf Ilirii, wicebaron Manone. Proszę, proszę. – Jego głos ociekał jadem gęstym jak syrop. – Wreszcie spotykamy się w bardziej sprzyjających okolicznościach. To znaczy dla mnie sprzyjających, bo ty, mój chłopcze, raczej rad z nich nie jesteś. Dobrze mówię?

Vallery nie odpowiedział. Wzrok wbił w przeciwległą ścianę i intensywnie myślał o dzisiejszej schadzce. Wieczorem zapomni o wszystkim, a w tej chwili nie może dać się sprowokować. Uśmiechnął się w duchu na myśl, jak by się wściekł Burghiese, gdyby wiedział, o czym kapitan myśli.

– Jak zapewne już wiesz, kapitanie, jako wielki par Vereeny przejąłem dowództwo nie tylko nad armią królestwa, ale także nad przyboczną gwardią naszego miłościwego monarchy. Król moimi rękami postanowił wreszcie oczyścić ten chlew, wylęgarnię niebezpiecznych idei i spisków, jaką są koszary kawalergardów! W ostatnich latach stały się one przytułkiem dla wolnomyślicieli różnej maści. Ale po co mówię o sprawach, które doskonale znasz? Tak czy siak, teraz ja o wszystkim decyduję. To jest ten moment, w którym przestała cię chronić przed moim gniewem przynależność do elity elit naszych wojsk. Nie nacieszyłeś się długo wojennym awansem, prawda? – Milczał przez chwilę, czekając na odpowiedź. – Nie chcesz ze mną gadać, tym lepiej. Hanes był bardziej rozmowny, jak się domyślasz. Nie bardzo cię lubi, delikatnie rzecz ujmując, więc bez trudu dowiedziałem się wszystkiego o wydarzeniach, jakie miały miejsce w komnacie Maive vi Rimm. Masz coś do powiedzenia w tej sprawie?

– Nie pozwoliłem, żeby ta świnią potraktowała szlachciankę niczym uliczną dziewczkę.

– Posłuchaj, oficerku! – Hrabia stanął pół kroku przed Valleryem. – Doskonale wiesz, że Hanes wypełniał moje osobiste polecenia! On, w odróżnieniu od ciebie, wie, w którym miejscu znajduje się prawdziwa władza. Może jest świnią, ale bardziej przydatną niż ty. Pożyteczną. Ty jesteś niby rodowy klejnot. Okazały, piękny i dostojny, świecący pozłotą. Ale tak naprawdę gównem wart, bo ani go sprzedać, ani nawet zastawić nie idzie. Kurwie go można co najwyżej podarować, jeśli się dobrze sprawi.

D'Orenburg ostatkiem sił opanował się, żeby nie strzelić pięścią w poczerwieniałą twarz dostojnika.

– Dobrze zatem. – Burghiese znowu podjął wędrówkę po komnacie. – Nie bardzo mogę cię wybatożyć albo choć wtrącić do ciemnicy, bo twoi krewni podnieśliby krzyk. Nie mogę cię nawet zdegradować, bo sprzeciwiłby się temu sam król. Lubi cię, chociaż nie wiem, za co. Ale jest inna droga, w górę. Zawsze możesz awansować. A będzie to taki awans, że żyć ci się odechce – przerwał, obserwując efekt słów. Kapitan czekał z nieprzeniknioną twarzą na dalszy ciąg przemowy. – Udajesz twardego? Niech i tak będzie. Obejmiesz dowództwo nad pewnym zapluty garnizonem przy granicy z Variją. Oczywiście z dniem jutrzejszym otrzymasz stopień pułkownika. Nie ma

bardziej psiej służby niż tamten region. Już Varijczycy dadzą ci popalić. A tylko przepuść jakie ich zagony w głąb kraju! Będę miał pretekst, żeby ci się oficjalnie dobrać do skóry!

Vallery uśmiechnął się krzywo. To ma być owa straszna kara? I tak chciał wystąpić z gwardii, żeby zażądać przeniesienia do regularnych wojsk. Wszystko jest lepsze niż gnacie w pałacu i niedalekich koszarach, które bardziej przypominają burdel niż wojskowy obóz. Przejadły mu się już codzienne hulanki, gra w karty i miłosne dworskie podchody. O jakich spiskach bredzi Burghiese? Ta osławiona „elita elit” wojsk królewskich po przegranej wojnie rzeczywiście gnije, ale z zupełnie innych przyczyn. To się nazywa upadek morale. Pijatyki i orgietki są ważniejsze niż wojenna zaprawa. I na pewno o wiele częstsze od wyjazdów na ćwiczenia. Z przyjemnością więc odetchnie świeżym powietrzem nieskażonym intrygami. Ale taki człowiek jak Burghiese nigdy nie zrozumie, że dla kogoś może istnieć coś ważniejszego i bardziej wartościowego niżli polityczne gierki.

– Chcesz coś powiedzieć na odchodnym? – spytał hrabia. – Skazanemu przysługuje ostatnie słowo.

– Tak, chcę coś powiedzieć, choć nie ma to bezpośredniego związku ze sprawą.

– Słucham.

– Ludzie mają różne obyczaje. Jedni, wychodząc z domu, plują przez lewe ramię, inni przed każdym posiłkiem zanoszą modły dziękczynne, jeszcze inni trzynastego każdego miesiąca nie podejmują ważnych zobowiązań, a najchętniej nie opuszczają łóżka. Ja zaś mam taki zwyczaj, że kobietę, z którą nie zamierzam lub nie mogę się więcej spotykać, podczas ostatnich miłosnych zapasów gryzę w pośladek. Nie za mocno, ale krwiście, tak że ślad pozostaje długo. Wygląda jak dwa rzędy maleńkich koralii.

Ostatnim słowom kapitana towarzyszył szeroki uśmiech. Burghiese potrząsnął głową, zdezorientowany.

– To rzeczywiście nie ma bezpośredniego związku ze sprawą. Pośredniego też nie widzę. Po co o tym mówisz?

– Jakiś cel w tym pewnie mam, hrabio. A może nie? Może chciałem cię tylko podrażnić? Czuję jednak, że muszę to powiedzieć. Kto wie, może ci się to kiedyś do czegoś przyda? Chcę, żebyś o tym pamiętał, panie, niezależnie od tego czy złożę na pograniczu kości, czy nie.

– Że też w takiej chwili zbiera ci się na żarty. Ale pojmuję. To taki twój śmiech przez łzy, oficerku, prawda? Ale zgoda. Będę pamiętał o twoim zwyczaju, skoro tak bardzo tego pragniesz.

– Bardzo tego pragnę. Szczerze i z całego serca.

– Wyjeżdżasz na placówkę za tydzień. Odpowiednie rozkazy odbierzesz w królewskiej kancelarii. A jutro przed frontem wojska zostaniesz awansowany na

pułkownika.



Południowe słońce przygrzewało mocno, rozlewając senne rozleniwienie po zmęczonych kościach. Pillgrim z rozkoszą mrużył oczy. Ostatnie takie dni. Niebawem nadejdą pluchy, nadlecą zimne wichry z północy. Kiedyś było mu wszystko jedno, lato czy zima, zawsze czuł się dobrze, nie doskwierał ani chłód, ani upał. Ba, lubił nawet wyprawy grzęznące po pas w śniegu, a bicze lodowatych podmuchów odczuwał niby pieśczętę. Ale ostatnio zaczął sobie cenić cieplejszy czas. Może to prawda, że kto zbyt często przemraża ciało, musi wreszcie zapragnąć wygrzać się w gorącu? Przecież zdrowo wymarзли z Alwenem podczas ucieczki w dżdżystych, ciemnych lasach? Bredzisz, baronie, roześmiał się w duchu. Próbujesz obełgać samego siebie. To wiek, nic innego. A łupanie w stawach wieszczy nadchodzącą nieuchronnie starość. Tym bardziej że dałeś sobie w kość, szkoląc rekrutów. Fakt – ich znosili z pola starsi towarzysze, ty zaś stałeś o własnych siłach, ale sam wiesz, że i tobie niewiele brakowało. Teraz trzeba jak najlepiej skorzystać ze słonecznych promieni i miękkiego dywanu trawy. Jutro kolejna porcja trudów.

Przesunął się odrobinę, żeby uniknąć nachodzącego niepostrzeżenie cienia niedalekiej topoli. Dziwnie się czuł w służbie człowieka, z którym jeszcze kilka miesięcy temu walczył, nie szczędząc życia swego ni żołnierzy. Gerno wydawał się dobrym władcą. W każdym razie dbał o zajęte terytoria, nie pozwalał na rabunki i wojacką swawolę. Natychmiast po zaprzestaniu działań wojennych kazał swoim rządcom mianować niższych urzędników spośród miejscowej ludności, żeby lud nie uważał, iż rządzą nim jedynie obcy najeźdźcy. Obowiązek pańszczyzny na rzecz panów ziemskich i Kościoła zamieniał na podatki... Kto by się spodziewał takiego rozumu po barbarzyńskim władcy? Rozmyślenia przerwał odgłos szybkich kroków. Otworzył oczy. Znajoma, szczupła postać Willibalda, pierwszego adiutanta Gernona.

– Witaj, poruczniku – mruknął, kiedy przyboczny księcia stanął nad nim. – Przyszedłeś się ze mną opalać?

– Niestety nie, generale. Mam pilne wezwanie do sztabu.

– Tak myślałem – Pillgrim przeciągnął się leniwie – że nie zechcesz się do mnie przysiąść. Nie masz w sobie nic z uroczego lekkoducha. Choć raz przyszedłbyś z zaproszeniem na karty, zaproponował odwiedziny u dziewczek albo chociaż dzban gorzałki.

– Może kiedyś – roześmiał się Willibald. – Ale na pewno nie dzisiaj. Jakby to zresztą wyglądało, żeby zwykły porucznik grał w karty z generałem, pił z nim albo chodził do przybytku rozkoszy.

– Przesady, mój drogi, zwykle przesady. – Baron zbierał się niechętnie. – Porucznik, sierżant, kapitan czy generał, poza koszarami furda z szarżą! W burdelu każde dupsko wygląda tak samo, nie ma wszak przyszytych dystynkcji. Zaś kto okaże się lepszy przy dzbanie, zadecyduje mocniejsza głowa, a nie wysadzana klejnotami buława. Zwaliwszy się pod stół jeden z drugim wygląda tak samo żałośnie i na równi depczą po nim buciory towarzyszy. Przy kartach z kolei równie łąco obierzesz z majątku durnego feldfebla, jak i głupiego marszałka.

– Nie przystoi mi tego słuchać. – Uśmiech Willibalda stawał się coraz szerszy. – Za podobne słowa zwykły żołnierz poszedłby na gałąź bez sądu. Toż to sianie fermentu.

– Być może. Alem całe życie ferment siał i nie wygląda, żeby się to miało zmienić. Zresztą ktoś musi dbać o zachowanie odpowiednich proporcji na tym zwariowanym świecie.

Ruszyli w stronę odległych zabudowań starego pałacu. Pillgrim jeszcze obejrzał się tęsknie na wygniecioną trawę. Podobno nic w życiu nie powraca. Podobno... Minęła ulotna chwila odpoczynku, ale przecież nie zginie, bo odleciała w świetliste przestworza pamięci. Przywoła ją kiedyś na szlaku, uznojony, spocony cuchnący gorzej od własnego wierzchowca. Będzie rozpamiętywał uroczę popołudnie, iskając wszy z ubrania w wilgotnym namiocie, otoczony takimi samymi brudasami. Podobne wspomnienia pomagają przetrwać ponury czas, przemóc poczucie beznadziei w obliczu ogromu ludzkiego nieszczęścia.

– Znam jeszcze jednego, który nie boi się mówić, co myśli – przerwał milczenie baron. – Jednak Alwen przebywa daleko stąd. Może i dobrze. Bo dwóch takich w jednym miejscu to odrobinę za dużo. Nie uwierzyłbyś, jak łatwo obrażają się wielcy panowie o kilka słów prawdy.

– Uwierzyłbym – zaśmiał się Willibald. – Widziałem przecież! Nie dalej niż wczoraj, panie baronie, w mojej obecności doprowadziłeś do białej gorączki wicehrabiego Valdeza.

– Ach, dobrze, żeś mi przypomniał. – Pillgrim stuknął się w czoło. – Przecież mam z nim jutro pojedynek!

Weszli do najmniej zrujnowanego południowego skrzydła zabudowań.

– Nie masz pojedyнку, generale. Książę odesłał wicehrabiego w ważnych, niecierpiących zwłoki sprawach do dalekich wschodnich marchii.

– Sprytne – mruknął Pillgrim. – Nie straci dzięki temu ważnego sprzymierzeńca, a tamten zachowa dobre imię.

– W rzeczy samej. Ale oto jesteśmy na miejscu. Ja zaczekam. Mój pan chce z tobą rozmawiać w cztery oczy.

Baron skrzywił się, naciskając klamkę. Nie lubił takich wezwań i nagłych spotkań sam na sam. Nie wróżyły nic dobrego.

Na widok gościa Gerno wstał zza wielkiego biurka. Miał zatroskany wyraz twarzy.

Baron odetchnął głęboko. Czyżby złe przeczucia i tym razem miały się spełnić?

– Słyszałem, że wyciskasz z rekrutów siódme poty – zagał książę.

– Im więcej potu wojaków wsiąknie w ziemię na ćwiczeniach, tym mniej krwi ją użyżni w czasie bitew.

– Mądre słowa. W ogóle podoba mi się twoje pojmowanie obowiązków dowódcy, generale. O wiele mniej jednak rad bywam z twych wybryków poza koszarami.

– Bardzo przepraszam – uniósł się Pillgrim. – Ale Valdez sam prosił się o prztyczka.

Gerno machnął niecierpliwie ręką.

– Nieważne. Mam na głowie o wiele większe troski niż urażona ambicja jakiegoś hrabiątka. Dochodzą mnie słuchy, że wielki par Burghiese szykuje się do zimowej ofensywy. Czyni zaciągi, bierze najmitów skąd tylko się da.

Pillgrim wzruszył ramionami.

– Pobijesz go jeszcze raz.

– Może tak, może nie... – Gerno zamyślił się. – Nie w porę ta wojna. Moi ludzie też muszą czasem odpoczywać, a poza tym nie umocniłem się jeszcze dostatecznie na zajętych obszarach. Będę musiał uciec się do dyplomatycznych sztuczek. Ale nie po to cię wezwałem, żeby zwierzać się ze swoich problemów. – Milczał przez chwilę. – Otrzymałem wieści z dworu Filipa. Powinny cię zainteresować. A właściwie bardziej niż ciebie, twojego przyjaciela.

– Coś z Maive? – Pillgrim zaniepokoił się.

– Niezupełnie. Raczej z jej ojcem. Wiem na pewno, że Vorda vi Rimm nie żyje. A jego córka gdzieś zniknęła w tajemniczych okolicznościach. Wiem tylko tyle, a może aż tyle, zważywszy na poprawiającą się kondycję policji podległej hrabiemu.

Baron zaklął soczyście. Teraz pałacowe hieny dosłódzą życie nieszczęsnej dziewczynie, jeśli w ogóle pozwolą jej przeżyć! Nieszczęsny Koniokrad... Wyjechał pewien, że dziewczyna znajduje się pod skrzydłami ojca, a tymczasem... Szkoda, że wieść nie dotarła kilka tygodni wcześniej.

– Muszę powiadomić jak najszybciej Alwena!

– Wiem. – Gerno kiwnął głową. – Opuścisz mnie tuż przed wzbierającą burzą.

– Muszę, panie! – Pillgrim spojrzał błagalnie. – Obiecuję wrócić najszybciej, jak będzie to możliwe.

– Jakoś obejdę się bez jednego generała. – Książę uśmiechnął się z przymusem. – Nawet tak piekielnie dobrego, jak ty.

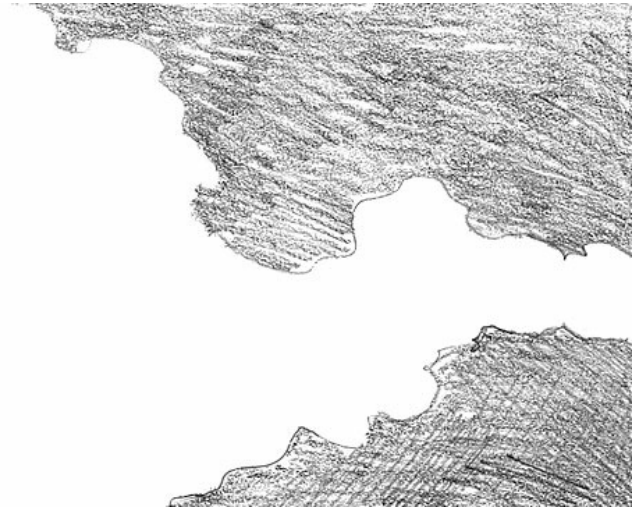
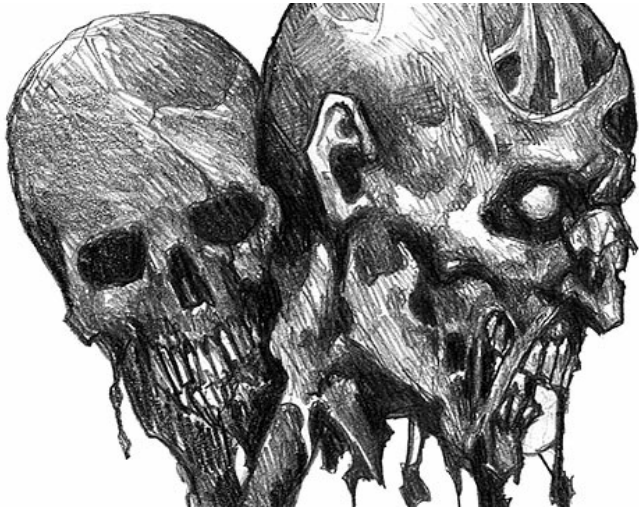
– Dzięki. Jesteś bardzo wielkoduszny.

– Znów fałszywie oceniasz moje intencje, baronie. Nie jestem wielkoduszny. Najchętniej zatrzymałbym cię nawet siłą. Ale wiem doskonale, że zmuszony do pozostania wbrew woli, nie byłbyś tym samym lwem, którym cię poznałem. Wymuszona służba nie jest najlepszym sposobem na pozyskanie wierności, a już na

pewno nie takiego straceńca. Liczę, że gdy wrócisz, dasz z siebie wszystko.

– I jeszcze więcej. – Pillgrim miał na twarzy wyraz rzadko u niego spotykanej śmiertelnej powagi. – Nie poskapię własnej krwi.

Gerno patrzył za wychodzącym baronem. Niech jedzie. Choć żał pozbywać się takiego żołnierza.



Rozdział 9

– Ach, ty niezdaro! Widzisz, co narobiłaś?!

Rozsypane drwa zalegały na całej podłodze klasztornej kuchni. Maive bezradnie patrzyła na szczapy sypiące się wciąż jeszcze ze sterty przy kominie.

– Mówiłam, żebyś była uważna! – Symeona syczała niczym wściekły wąż. – Żadnego pożytku z ciebie nie ma, brudna dziewczko! Obnosisz się tylko z tym swoim bękartem! Zgorszenie siejesz!

W oczach Maive zapaliły się złe błyski.

– Nie nazywaj mego dziecka bękartem! – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – Lepszej jest krwi niż ty i cała reszta!

Symeona zamierzyła się na nią trzymanym w ręce kawałkiem drewna. Maive nie czekała na cios. Zanim mniszka zdążyła się ruszyć, otrzymała mocne uderzenie w bok szyi, a zaraz potem w gardło.

– Zapominasz, że jestem córką rycerza i żoną rycerza. – Dziewczyna z przyjemnością patrzyła na krztuszącą się zakonnicę. – Chcesz zawołać kogoś na pomoc? To nie będzie takie proste.

Symeona łypnęła wściekle. Skoczyła nagle w kierunku stołu. Maive przybrała postawę, jakiej nauczył ją ojciec. Wredna kucharka zaraz rzuci się na nią z nożem! Ale tamtej nie w głowie było podejmować walkę. Chwyciła garnek i zaczęła weń bębnić wielką chochlą. Natychmiast otworzyły się drzwi, do kuchni wsypało się kilka mniszek. Z pewnością czekały na wezwanie... Nie pierwszy raz zabawiają się w ten sposób.

– Siostry, siostry – wychrypiała z wysiłkiem Symeona. – Na pomoc!

Maive skuliła się. Zaraz złączą ją szturchać, bić, ciągnąć za włosy... Zobaczyła

przed twarzą rozczapierzone, drapieźnie wyciągnięte palce. Po chwili spadły pierwsze ciosy. Mniszki były sprytne. Biły tak, żeby uczynić jak największy ból, a nie zostawić śladów, ani zrobić zbyt wielkiej krzywdy, żeby nie narazić się na gniew przełożonej. Bolało... strasznie bolało... Starła się jak najbardziej ochronić brzuch, ale one odrywały jej ręce, szczypały i ugniatały... Dziecko rzucało się niespokojnie... Wszystko odbywało się w zupełnej ciszy. Słysząc było jedynie przyspieszone oddechy i odgłosy razów.

– Co ja widzę! – Ostry, przenikliwy głos sprawił, że wszystkie naraz odskoczyły od Maive jak oparzone. – Co to ma znaczyć?

Matka przełożona stała z rękami założonymi za plecy. W błękitnych oczach płonął zimny ogień gniewu.

– Własnym oczom nie wierzę – zagrzmiała Branwena. – Mówiła mi o tym siostra Bernadetta, ale nie chciałam dać wiary. Jednak widzę, że to prawda. Znęćacie się nad jedną z was?

– Ona nie jest jedną z nas – odważyła się odezwać któraś stojąca za plecami Maive. – Nie ma święceń, nie odbywa nowicjatu...

– Rzekł Pan „miłuj bliźniego swego”! Czyż każdy człowiek nie jest naszym bratem?

– Ale ona uderzyła Symeonę!

Przeorysza spojrzała surowo na Maive.

– To prawda?

– Prawda. – Dziewczyna patrzyła jej prosto w oczy.

– Dlaczego?

– Mogę ścierpieć wiele. Poszturchiwania, wyzwiska, plucie pod nogi... Jestem tu tylko nieproszonym gościem, intruzem. Mogę wytrzymać prześladowania Symeony i innych. Ale nie pozwolę, żeby ktokolwiek lżył moje dziecko, nazywał je bękartem, szargając pamięć jego ojca!

Branwena przeniosła spojrzenie na kucharkę. Przyglądała się bacznie okrągłej, zawsze czerwonej twarzy.

– Dlaczego tak postąpiłaś, siostro?

– Pożytku z niej nie ma żadnego – wybuchnęła Symeona, odzyskawszy już głos. – Wielka pani z wielkim brzuchem! Nawet drew nie potrafi ułożyć jak należy... – mówiła coraz ciszej, przerażona wyrazem twarzy przełożonej. – Wszystko się rozsypało... – jeszcze chwilę słowa wyciekały z ust, pchane bezwładnym rozpędem, wreszcie ucichły.

– Kazałaś jej nosić drewno?! – Branwena zgrzytnęła zębami. – Brzemiennej kazałaś wykonywać tak ciężką pracę? Przecież wyraźnie powiedziałam, co wolno, a czego nie wolno jej robić! A ty, dziecko, dlaczego nie przyszłaś do mnie?

Maive milczała. Co miała odpowiedzieć? Że nie przystoi dumnej córce dumnego

Vordy uskarżać się na zły los i podłość ludzką? Że nie chciała widzieć wiecznie zagniewanej przeoryszy, która budziła w niej lęk? Wreszcie, że była pewna, iż prześladowania dzieją się za jej cichym przyzwoleniem?

– Zawiodłam się na was, siostry. Na wszystkich!

Stały ze spuszczoneymi głowami, przyjmując gniewne słowa. Wyglądały jak źdźbła trawy wystawione na wichurę. Tylko Maive patrzyła matce przełożonej prosto w oczy.

– Kara was nie ominie. Wszystkie, które brały udział w biciu dziewczyny natychmiast udadzą się do kaplicy przeprosić Boga za swoje uczynki. Tę i następną noc przeleżycie krzyżem u stóp ołtarza! A siostra Symeona, po odbyciu pokuty, dodatkowo otrzymuje tydzień ciemnicy o chlebie i wodzie!

Rozległ się cichy jęk. Nawykłej do dogadzania sobie kucharce kara musiała wydać się okrutna.

– A ty, Maive – ciągnęła dalej Branwena – otrzymasz ode mnie osobiście piętnaście różeg. Uderzenie siostry w zakonie, nawet w słusznym gniewie, nie może ująć płazem. Dzisiaj wieczorem oczekuj na mnie w celi.

Zerknęła na wydatny brzuch dziewczyny, na zakonnicę i pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Pod moim bokiem takie rzeczy – zamruczała, wychodząc.

Mniszki pospiesznie opuściły kuchnię, nie patrząc na Maive ani na siebie nawzajem.



Wspaniałe, bujne i miękkie włosy pachniały najdroższymi perfumami. Vallery d'Orenburg zanurzył w nich twarz, chłonąc niesamowitą woń. Dłonie powędrowały na bajecznie wciętą kibić.

– Jesteś najsprawniejszą kochanką, jaką znam – powiedział. – Nawet w najbardziej wykwintnych lupanarach słynnych miast południa nie znajdzie wielu równych tobie.

Pisnęła ze złością, drobne pięści zadudniły o potężny tors.

– A ty jak zwykle – zasyczała wściekłym szeptem. – Nigdy nie wiadomo, czy komplementy i dusery prawisz, czy chcesz obrazić. Co właściwie chciałeś przez to niefortunne porównanie dać do zrozumienia?

– Możesz je rozumieć jak chcesz. Niebawem przestaniesz znosić moje nieuprzejme towarzystwo. Zamienię zapachy alkowy na odór koszar i stajni. Nie będziesz tęsknić?

– Za twoim ciałem tak, za złośliwością nigdy.

– Taki już jestem. – Wzruszył ramionami. – Dobry Bóg dał mi niewyparzoną gębę, ciężką rękę i lekki dowcip. To zabójcza mieszanka, zwłaszcza dla jej posiadacza. Nawet żelazna wola i rozkazy hrabiego Burghiese tego nie zmienią.

– Za dużo dzisiaj gadasz. Chodź lepiej do mnie. – Przyciągnęła głowę kochanka do obfitych piersi. – Zróbmy to jeszcze raz.

– Dobrze – odparł i zamruczał głośno, jak kot rozanielony słońcem – ale pozwól, żebym ci najpierw zostawił pamiątkę.

– Jaką pamiątkę? Co dla mnie masz?

– Poczekaj.

Odwrócił ją tyłem, przeciągnął palcami po ramionach. Uwielbiała to. Natychmiast poddała się pieścizocie, zapomniała o wszystkim. Odgarnął włosy, pocałował nagi kark. Kobietę przeszło rozkoszne drżenie. Całował ramiona, plecy, schodził coraz niżej. Podążała za nim dłonią, zanurzyła palce w szorstkiej szopie włosów.

– O tak – szepnęła – kocham to. Jesteś cudowny... Nadstawiła krągłe pośladki. Oboje lubili tę grę. Do pieścizoty warg dołączył rozedrgany język. Kochanka otworzyła się na niego, uniosła biodra. Długo smakował jej rozgrzaną kobiecość, chłonał podniecający zapach. Zaczęła oddychać głośno, spazmatycznie, ciało przeszło dreszcz.

– Chodź, no chodź już...

– Już, zaraz... Jeszcze tylko...

Krzyknęła głośno.

– Co robisz? Nie gryź mnie, to boli! Zostaw! Odejdź!

Ale Vallery nie słuchał, oderwał się dopiero po dłuższej chwili, a potem zdusił wszelki protest, wchodząc w nią mocno, zachłannie. Natychmiast zapomniała o bólu, zatopiła się w narastającej, pełzającej od rozgrzanych lędźwi rozkoszy.



Alwen szybko przemierzał długi korytarz. Tuż za nim podążał Horris. Szerokie plecy Koniokrada zdawały się z każdym krokiem bardziej pochyłać. Nic dziwnego. Za drzwiami na końcu wielkiego holu czeka przeznaczenie.

Nie wiadomo, czego zażąda czarnoksiężnik. To zawsze jest trudne do odgadnięcia.

– Poczekaj – powiedział uzdrowiciel, gdy dotarli do zdobionych odrzwi. – Muszę cię zapowiedzieć.

Alwen został sam. Czuł niepokój. Za chwilę dowie się, jaka jest cena za uzdrowienie. Zapatrzył się na drzwi. Bogacz z tego maga, pomyślał. Kogo stać na złotą blachę i drogie kamienie? Nawet tutaj, w krainie cudów, złoto jest złotem, a klejnoty klejnotami. Może łatwiej dostępne niż gdzie indziej, ale czy przez to mniej cenne? Wszak tyle ich jest tylko na świecie, ile dała natura, ani więcej choćby o jeden.

– Chodź. – Z zamyślenia wyrwał go donośny głos, dobiegający zewsząd i znikąd, odbił się echem w korytarzu. – Wejdz śmiało.

Zaczerpnął głęboko powietrza, pchnął masywne skrzydło. Ustąpiło niespodziewanie łatwo, jakby w ruchu pomagał ktoś niewidzialny. Nie spiesząc się, przekroczył próg. Po drugiej stronie panował przyjemny półmrok, rozjaśniany leniwymi, barwnymi błyskami. Wielkie pomieszczenie, o wiele większe niż można się spodziewać w zwykłej kamienicy. Rozmiarami przypominało raczej okazałą boczną nawę katedry. Pozbawione jednak było surowości świątyni. Wszędzie zwieszały się girlandy kwiatów, ściany spowijał gęsty bluszcz. Właściwie trudno było Koniokradowi określić czy znajduje się wewnątrz budynku, czy raczej na jakimś dziedzińcu. Jest, i owszem, sklepienie, ale przejrzyste, przypominało bardziej odległy przeszklony dach, przez który widać niebo, niż zwyczajny sufit. Wszędzie dookoła rośliny, w większości takie, których nazw nie znał, a pochodzenia nawet nie próbował zgadywać. Może to jednak rodzaj ogrodu, a nie pracownia czarnoksiężnika? Jedynie pośrodku, gdzie w takim miejscu należałoby się spodziewać orzeźwiającego wodotrysku, stał ogromny stół pełen retort, słoików i ksiąg. Rozejrzał się. Nikogo nie widać. Zapewne wielki czarownik przybędzie w odpowiednim, sobie tylko znanym momencie, aby tym bardziej zmieszać gościa. Alwen przystanął obok klombu pełnego wonnych kwiatów o pomarańczowych, fantazyjnie powycinanych kielichach. Wyciągnął rękę. Jeśli to iluzja, choćby najlepsza, dłoń powinna przeszyć rośliny jak powietrze.

– To wszystko jest prawdziwe, mój chłopcze. – Ten sam głos, co w korytarzu, jednak nie tak donośny, o bardziej miękkim brzmieniu. Koniokrad dopiero teraz dostrzegł niepozorną postać stojącą w cieniu rzucanym przez okazały, nadnaturalnej wielkości rododendron. – Jesteśmy w prawdziwym ogrodzie. Co prawda umiejscowionym pod dachem, ale i to można zmienić.

Klasnął dwa razy. Alwen poczuł na policzkach podmuch wiatru. Spojrzał w górę. Szklany dach zniknął, uszy wypełnił szum i zgiełk dochodzący z pobliskiej ulicy. Koniokrad skrzywił się. Czarnoksiężnicy uwielbiają takie popisy. Lubią chwalić się możliwościami, robić wrażenie na maluczkich.

– Dobrze, wystarczy. Miejski hałas przyprawia mnie o ból głowy.

Tym razem nie klaskał w ręce, nie wykonywał żadnych gestów. Dach w jednej chwili wrócił na swoje miejsce.

– Witaj, mój drogi. – Gospodarz wyszedł z cienia. – Szybko dotarłeś. Jakbyś ptakiem leciał. Musi być ci spieszno z powrotem.

– To ty? – powiedział Alwen zdumiony. – Adalbert va Branca...

– To ja – odparł z uśmiechem czarnoksiężnik. – Tyle że nie Adalbert. To imię przybieram w podróży poza granice Halarii. Tutaj nazywają mnie po prostu Mistrzem Ekhartem. Witam cię, panie de Morano.

Alwen skrzywił się niechętnie.

– Od dawna nikt mnie tak nie nazywa, chyba że kpiąc. Panem de Morano

przestałem być ładnych kilka lat temu. Pozbawiono mnie majątku i wszelkich praw. Nie zdołałem się wykupić z powrotem w łaski króla. Zdaniem moich ziomków, od pewnego czasu jestem martwy i lepiej, żeby na razie tak zostało.

– Dla mnie, chłopcze, nadal jesteś panem de Morano. Nie jesteśmy w twoim kraju, pamiętaj o tym. Tutaj nikt nie ośmieli się nazwać cię Koniokradem.

– Przywykłem – mruknął Alwen – i nawet mi się to zaczęło podobać.

– Podejdź bliżej, Horrisie – rzucił do tyłu Ekhart. – W końcu nasz gość zawdzięcza życie właśnie tobie i twoim umiejętnościom.

Horris wstał z ławeczki ukrytej za niewielkim żywopłotem. Patrzył na Koniokrada zdumionymi oczami. Pierwszy raz widział, żeby Mistrz tak uprzejmie traktował zaświatowca, na dodatek mającego do spłacenia dług wdzięczności.

– Ty nic nie wiesz, prawda? – Ekhart roześmiał się na widok miny uzdrowiciela. – W takim razie poznaj Alwena de Morano, wybawcę, który ocalił mi życie, narażając się na gniew możnych tego świata. Zyskał dzięki temu przydomek Koniokrada i utracił majątek.

– Niezupełnie dlatego – odparł Alwen. – Stało się to wcześniej. A nasze spotkanie... to był jedynie jeszcze jeden wygodny pretekst, żeby nas odsądzić od czci i wiary. Od dawna Burghiese szykował się odebrać nam godności.

– Tak czy inaczej, nasze spotkanie wzmocniło jego nienawiść. Chcesz posłuchać, Horrisie, co się wtedy wydarzyło?

Uzdrowiciel kiwnął głową. Rzadko widywał swojego pana w tak wyśmienitym nastroju.

– Który z nas zacznie? – czarnoksiężnik zwrócił się do gościa. – Dobrze, ja. Było to kilka lat temu. Pamiętasz, mój sługo, jak udałem się na wyprawę w góry w poszukiwaniu dzikiego jednorożca? Właśnie wtedy. Alwen może tego nie wiedzieć, ale każdy z nas, wielkich mistrzów musi co jakiś czas wyjechać w niedostępne rejony gór Variji, aby odnaleźć samego siebie. Takie są nakazy i prawa naszych krajów. Bo każdy z nas musi zostawić część duszy magicznemu stworzeniu żyjącemu z daleka od ludzi, w zupełnej głuszy. Większość wybiera jednorożca, bo to stworzenie płochliwe i ostrożne, bardzo trudne do wytropienia, a jeszcze trudniejsze do zabicia. Jesteśmy nieśmiertelni tak długo, jak długo żyje owo zwierzę, a i jemu zapewniamy swoją mocą nieśmiertelność. Tyle, że magiczna więź z czasem słabnie, a wtedy należy stworzenie odnaleźć i odnowić zaklęcia. Nie jest to łatwe, gdyż jednorożec traktuje swojego patrona tak samo, jak każdego innego człowieka. Nie można go, niestety, spętać urokiem, bo wówczas czarnoksiężnik spętałby nim również samego siebie. Tyle wyjaśnię.

Mistrz Ekhart zamyślił się, przywołując wspomnienia.

– A zresztą sam zobacz, Horrisie. Jeden obraz jest wart tysiące słów.

Uzdrowiciel niespodziewanie znalazł się w samym środku śnieżnej zamieci. Nie

odczuwał zimna, ale raczej świadomość jego istnienia. Jego pan był zaiste wielkim magiem! Pchany jakąś siłą, zaczął brnąć przed siebie przez zwały śniegu, grzęznąc i wydobywając nogi z sypkich zasp. W pewnej chwili dobiegły go ludzkie głosy. Przyspieszył kroku. Nagle zamarł. Przed nim rozgrywała się scena niczym z baśni, jakie matki opowiadają dzieciom przed snem. Jednorożec, piękny i rosły, wielkości rycerskiego rumaka, szarpał się na uwięzi, tocząc pianę i rżąc głośno. Trzymało go z wielkim trudem czterech ludzi, a piąty celował doń z kuszy. O kilka kroków stał nie kto inny, jak Mistrz Ekhart, groźny i wielki, jakby mu przybyło ze cztery stopy wzrostu. Biła od niego straszna złość i najwyraźniej on właśnie był sprawcą zamieci. Gniewał się, ale nie mógł nic uczynić. Człowiek z kuszą wiedział, że strzelając do zwierzęcia, zagrozi czarnoksiężnikowi.

– Nigdy nie chybiam – powiedział ze złym uśmiechem. – Odejdź teraz, magiku, a oszczędzę twego czworonożnego przyjaciela. To w nim ukryłeś swą czarną duszę?

Horris zamarł ze zdumienia. Skąd ten profan wie o tajemnicy magów? No tak, wśród ludów krain Bezmagii krążą różne opowieści, mniej i bardziej prawdziwe. Nie da się wszystkiego ukryć pod korcem. A ten zaryzykował i trafił w sedno.

– Mogę cię zniszczyć w jednej chwili – zagrzmiał Ekhart.

– Bęł jest szybszy od twoich czarów, wiesz o tym dobrze. Nie rób więc niczego, co mogłoby spowodować, że moja dłoń zaciśnie się na dźwigni spustu.

– Czego chcesz, człowieku?

– Żebyś mi służył. Zabieram tego rogatego konia ze sobą i dotąd będzie mu dobrze w mych stajniach, dokąd będę z ciebie zadowolony.

Zagrzmiało, opodal uderzyła czerwona błyskawica.

– Nie możesz tego zrobić! Nie wolno ci!

– Czyżby? – Mężczyzna poprawił kuszę. – Zobaczymy. Idziemy – rzucił do swoich – tylko ostrożnie. I prowadźcie go tak, żebym w każdej chwili mógł trafić w serce bydlęcia!

Mistrz Ekhart opuścił bezradnie ręce. Natychmiast ucichła śnieżna burza, zaświeciło ostre słońce.

– Nikomu jeszcze się podobne zuchwalstwo nie powiodło. Pamiętaj o tym, kimkolwiek jesteś.

– Nikt jeszcze nie znalazł podobnej okazji – odpowiedział tamten z paskudnym uśmiechem. – A ja mam szczęście, prawda? Wybacz, zupełnie zapomniałem się przedstawić przez to zamieszanie – westchnął obłudnie. – Jestem hrabia Ludwig Burghiese, pierwszy minister Filipa Chromego. A ty? Zdradzisz nam swoje miano?

– Adalbert va Branca – odparł niechętnie czarnoksiężnik.

– Pewnie jest równie prawdziwe jak diamenty, które można kupić na odpustowym straganie. Nieważne. Byłeś dobrze służył.

Ekhart zacisnął wargi. Sytuacja stawała się beznadziejna. Właśnie rzucał na

zwierzę zaklęcia odnawiające więź, kiedy pojawili się zbrojni. Musieli go śledzić od jakiegoś czasu. Na odludziu nie spodziewał się nikogo poza dzikimi Varijczykami, którzy woleli schodzić z drogi magom, nauczeni przykrym doświadczeniem. Zaniebął środki ostrożności. Przyjdzie za to słono zapłacić.

– Patrz, jak to jest – sztychł tymczasem hrabia. – Wyruszyłem na niedźwiedzia, a wracam z prawdziwym jednorożcem i posłusznym czarownikiem.

– Nie rób tego – powiedział Mistrz. – Nie uda ci się.

– Nie strasz – warknął zniecierpliwiony Ludwig. – Masz mi służyć i tyle.

– Wolę umrzeć. – Czarnoksiężnik wznosił ręce, by rzucić zaklęcie. Burghiese mocniej ścisnął kuszę. – Nie pozwolę...

Przerwał mu głośny okrzyk. Zza pobliskiej skały, w stronę której towarzysze hrabiego prowadzili jednorożca, wyskoczyło dwóch ludzi z głowami owiniętymi w chroniące przed zimnem szmaty. Zanim zamarli ze zdziwienia przeciwnicy zdążyli cokolwiek uczynić, krew trysnęła z rozerżniętego gardła jednego, a drugi skulił się przeszyty morderczym sztychem. Błysnął miecz w obłędym tańcu. Ręce, trzymające sznur odskoczyły od ciała. Jednorożec szarpnął się. Wtedy świsnął bełt strzały, wbijając się w brzuch zwierzęcia. Szarpnęło się jeszcze mocniej i przewaliło na bok. Tymczasem dwaj napastnicy dokończyli dzieła. Śnieg dookoła zabarwił się czerwonymi bryzgami. Burghiese rzucił kuszę, popędził do stojących opodal koni. Po chwili siedział w siodle, okrzykami i płazem miecza popędzając wierzchowca. Jeden z niespodziewanych wybawicieli krzyknął coś, drugi natychmiast pognął za skałę. Wyprowadził stamtąd dwa nieduże, porośnięte długą sierścią koniki.

– Poczekajcie! – zawołał Mistrz Ekhart, kiedy dosiedli podjezdaków. – Potrzebuję pomocy! Od tego zależy moje życie.

Tamci zawahali się, popatrzyli na siebie. Jeden pojechał jeszcze kilka kroków śladem hrabiego, ale zawrócił.

– I tak go nie dogonimy – mruknął. – Strach dodaje mu skrzydeł.

Odwinął materiał z twarzy. To był Alwen. Drugi człowiek także ukazał oblicze spod zawoju. Był starszy, ale niezwykle podobny do Koniokrada.

Obraz zamglął się. Horris jeszcze widział, jak wszyscy z troską pochylają się nad jednorożcem, a potem powróciła zieleń czarnoksiężskiego ogrodu.

– Tak się to odbyło – powiedział Ekhart. – Panowie Morano zaniechali pościgu, aby pomóc obcemu człowiekowi, na dobitkę przybyszowi z przeklętego kraju czarodziejów.

– Skąd się tam wzięliście? – Uzdrowiciel otrząsnął się z resztek wizji.

– Jechaliśmy za Burghiesem – odparł zamyślony Alwen. – Miał we zwyczaju zapuszczać się na polowania w odległe rejony, czasem ruszał samoczwart albo samopiąt z najbardziej zaufanymi, zostawiając całą służbę i poczet, jeśli czuł się bezpiecznie albo knuł jakieś łotrostwo. Chcieliśmy go zgładzić gdzieś z dala od

ludzkich oczu, aby ślad po nim zaginął.

– Zemsta – domyślił się Horris.

– Zemsta – kiwnął głową Koniokrad – ale i coś więcej. Wtedy zdawało mi się, że zabicie tego szubrawca może coś zmienić. Dopiero później zrozumiałem, że takich Burghiesów jest zbyt wielu, aby zabicie jednego miało jakieś znaczenie.

– Słono przyszło wam zapłacić za dobre serce – odezwał się czarnoksiężnik.

– Słono? Chyba nie. I tak już byliśmy z ojcem wyjęci spod prawa, straciliśmy bliskich, z dawnej świetności rodu zostały tylko pozory. Doszły tylko oszczerstwa hrabiego, żeśmy się zaciągnęli w służbę magów. I brednie, że skradliśmy wierzchowce jego ludziom, przez co uświerkli na zimnie.

– Rozumiem. – Uzdrowiciel pokiwał głową. – Stąd wzięło się twoje niezbyt zaszczytne zawołanie.

– Zawołanie jak zawołanie. Bywają dziwniejsze i bodaj mniej chwalebne. Weźmy chociażby taki herb. Widnieje na nim kobieta odziana w bogate księżęce, a może i królewskie szaty z wyraźną raną głowy. Według opowieści była to księżniczka niezwykle biegła w grze w szachy. Pokonać potrafiła każdego. Założyciel rodu, któremu przypadł taki herb, stoczył z nią pojedynek. Oczywiście przegrał, co tak go rozwścieczyło, że w amoku rąbnął niewiastę szachownicą, robiąc jej pokaźną dziurę w głowie.

Horris parsknął śmiechem.

– Że też ktoś chce używać takiego znaku!

– Chce, mój drogi – wtrącił się Ekhart. – I to jeszcze jak. Bo historia herbu jest już tylko historią, a liczy się potęga rodu. Kiedyś może Koniokradowie będą się szczyścić odrębnym godłem. Tyle że jego pochodzenie będzie niepomiernie chwalebniejsze.

– Dziwni są ludzie krajów Bezmagii – mruknął Horris. – Trudno ich czasem zrozumieć.

– Dobrze – powiedział czarnoksiężnik. – Ale wieczór już zapada, a nasz gość z pewnością jest zdżony. Zaprowadź go do komnat, Horrisie, i zadbaj, by było mu syto, ciepło i wygodnie. Porozmawiamy jutro.



Drzwi celi skrzypnęły cicho, weszła matka przełożona z pękiem różeg. Przez twarz Maive przemknął przykry grymas. Nieuchronna kara. Może niezbyt dotkliwa, stosunkowo łatwa do zniesienia, ale zawsze upokarzająca. Postanowiła jednak poddać się uderzeniom bez protestu. Na dobrą sprawę zasłużyła, wdając się w bójkę z głupią kuchcią. Tak jakby ktoś taki mógł obrazić kogokolwiek z domu vi Rimmów. Nie czekając na ponaglenie, odwiązała sznur u pasa, uniosła habit, odsłaniając plecy.

Niech przeorysza zrobi swoje i zostawi ją ze zwykłymi ponurymi myślami.

– Daj spokój, dziecko – powiedziała cicho Branwena. – Przecież nie będę cię katować niczym zagniewana jaśnie pani krnąbrną służkę.

Maive posłusznie opuściła sukno, z powrotem zawiązała sznur.

– Myślałam...

– Źle myślałaś – przerwała matka przełożona. – Przy tamtych musiałam zapowiedzieć karę, inaczej znienawidziłyby cię jeszcze bardziej.

– Bardziej chyba nie można – roześmiała się gorzko dziewczyna. – Poza jedną Bernadettą i matką zielarką wszystkie okazują mi pogardę, niechęć i złość.

– Nie dziw się im. To w większości proste dziewczęta, które wybrały ścieżkę poświęcenia się Bogu. Ty jesteś zupełnie inna, nie pasujesz do nich. Nie każdy potrafi zrozumieć, że jeden koń został stworzony do orki, a drugi pod rycerskie siodło. Sama nie umiesz się do końca pogodzić z innością, nie oczekuj zrozumienia od niekształconych w rozumie.

– Nie oczekuję – odparła Maive. – Ale też nie uczyniłam tym kobietom nic złego.

– Zawiść i złość ludzka nie ma nic wspólnego z rozsądkiem, bo zwykły kierować się jedynie złymi uczuciami. Uwierz mi, moje podopieczne to na ogół dobre dziewczyny. Ale drażni je twoja duma. Poza tym jesteś w stanie, o którym każda niewiasta marzy, a im nigdy nie będzie dany.

Branwena rzuciła różgi obok stolika. Usiadła na twardym zydlu, gestem zaprosiła Maive, by zajęła miejsce na pryczy.

– Ponieważ już do ciebie przyszłam, chcę porozmawiać o pewnej sprawie związanej z twoim rodem i śmiercią Vordy.

Bolesny skurcz przebiegł twarz dziewczyny. Branwena patrzyła ze współczuciem. Świeże jeszcze są rany po stracie ojca i męża. Bolesne tym bardziej, że znikąd nie można spodziewać się sprawiedliwości.

– Człowiek, który cię przywiódł, szatny Karol, przekazał poza twoją osobą coś jeszcze. Domyślasz się, co?

– Tak. Zapewne masz na myśli Czarny Pergamin, ten diabelski przedmiot, przez który zaczęły się wszystkie nieszczęścia! Ojciec uprzedził mnie, że powierzy go komuś godnemu zaufania. Na wypadek śmierci nie chciał zostawiać pisma pod moją opieką, bo wiedział, iż przeklęty Burghiese natychmiast zacznie go u mnie szukać. Nie powiedział, u kogo zostawi pergamin, ale już w drodze domyśliłam się, że właśnie Karol jest w jego posiadaniu.

– Słusznie, moje dziecko. Ale o tym nie wiedział nawet arcybiskup Falcone, który ułatwił mu wyrwanie ciebie z łap wielkiego para. Patrz, jak to bywa – powiedziała ciszej, jakby sama do siebie – kto by przypuszczał, że zrobi coś wbrew Ludwigowi. – Zaraz otrząsnęła się z zamyślenia i ciągnęła dalej: – Szatny zobowiązał mnie, bym strzegła dokumentu jak oka w głowie. Zdajesz sobie sprawę, co on zawiera?

– Nie do końca. Ojciec nie chciał obciążać mnie nadmiernie obowiązkami strażnika Czarnego Pergaminu. Czekał, aż urodzę mu wnuka. Liczył, że pożyje dość długo, aby go należycie przygotować. Jednak stało się inaczej. Tyle wiem o tym przeklętym skrawku papieru, iż ma moc powoływania władców.

Branwena przymknęła oczy, zbierając myśli.

– Doprawdy, niewiele wiesz, moja droga. Czarny Pergamin nie ma mocy powoływania władców. Przynajmniej nie tak, jak to sobie niektórzy wyobrażają. Na nim podobno wypisane jest imię prawdziwego króla. Odczytać go można tylko w odpowiedniej chwili, po wygaśnięciu panującej dynastii, a uczynić to winna wybrana osoba. Inaczej ten, kto jest zbyt ciekawy, zginie.

– Kto jest tym wybranym?

– Tego nie wiem. – Branwena rozłożyła ręce. – Kiedyś, w zamierzchłych czasach, potężny władca, Roderyk Wielki, zamówił pergamin u potężnego czarnoksiężnika z Halarii albo Gardelii, różnie o tym mówią. Tak właśnie. Wtedy nie panowała między krajami magów a Bezmagią taka nienawiść, jak obecnie. A Roderyk w ten sposób chciał zabezpieczyć tron przed niepowołanymi ludźmi. Co z tego, skoro część testamentu zawierająca dokładne wskazówki dotyczące wszelkich aspektów tej sprawy zaginęła, a wszystko, co wiemy, pochodzi z przekazów, które wszak mogą być zniekształcone. Jednak zainteresowani liczą, że w odpowiedniej chwili sprawa sama się jakoś rozwiąże. W każdym razie, wasza rodzina została wyznaczona na sukcesorów testamentu. I tak w państwie, w którym uprawianie czarów jest zakazane, jednym z najważniejszych, a właściwie najgroźniejszych dokumentów stał się magiczny przedmiot. Ironia losu, prawda?

Maive zamyśliła się. Dlaczego ojciec nie wtajemniczył jej w to wszystko? Czyżby bał się, że dziewczyna nie uniesie ciężaru odpowiedzialności?

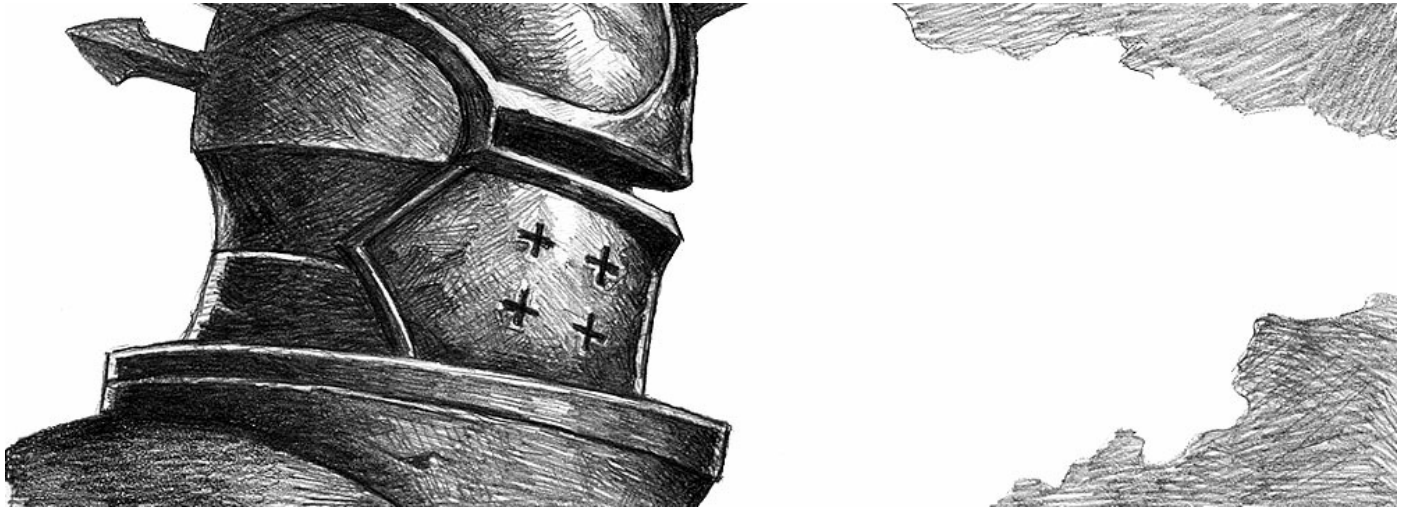
– Tak, moja kochana – matka przełożona przerwała ciszę. – Teraz wiesz tyle, ile ja. Pozostaje pytanie, czy chcesz, abym ci przekazała Czarny Pergamin natychmiast, czy też życzysz sobie, by na razie, dokąd znajdujesz się w klasztorze, przebywał pod moją opieką.

– To drugie, matko – odparła natychmiast dziewczyna. – Przynajmniej do chwili, kiedy urodzę dziecko. Najchętniej w ogóle bym się go pozbyła. Ale przecież nie mogę...

– Zatem niech się stanie, jak chcesz. Choć, prawdę rzekłszy, dziwnie mi trzymać coś, co ma związek z magicznymi praktykami. To chyba wszystko.

Branwena patrzyła uważnie w twarz Maive.

– Nie – odezwała się wreszcie. – To nie wszystko. Jest jeszcze coś. Twój ojciec przekazał tę wiadomość przed śmiercią Karolowi. Powinien ją oznajmić tobie, ale widać było to ponad jego siły. Pobłogosławił twój związek z Koniokrądem. Nie chciał cię zostawiać na świecie w przekonaniu, że uczyniłaś coś, czego ci nie wybaczył.



Rozdział 10

Królowa Laura siedziała sztywno wyprostowana. Najmniejszym drgnieniem nie zdradzała wzburzenia. Tylko pobielające kłykcie palców zaciśniętych na poręczach fotela świadczyły o targających nią emocjach. Ludwig Burghiese z poczerwieniałą ze złości twarzą powoli cedził słowa.

– Byłem przekonany, wasza królewska mość, że gramy po jednej stronie. Tymczasem starasz się wbić mi nóż w plecy!

– Nóż w plecy? – zaśmiała się z przymusem. – Tobie, który masz oczy dookoła głowy, a bezbronnych pleców nie posiadasz zgoła wcale? Nie bądź dzieckiem, hrabio. Ja tylko staram się zabezpieczyć swoje interesy.

– Powtarzam, królowo, byłem przekonany, że mamy wspólne sprawy!

– Bo tak jest, Ludwigu, a przynajmniej było jeszcze do niedawna.

– A co się zmieniło?

Laura pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Masz czelność o to pytać?! Na początek opowiedz mi, czego szukałeś w pokoju młodej vi Rimm zaraz na drugi dzień po śmierci Vordy.

– To było zwyczajne przeszukanie, na wszelki wypadek. Stary mógł zostawić kompromitujące nas dokumenty.

– Kompromitujące nie nas, ale ciebie, jeśli już – powiedziała z naciskiem. – Pamiętaj, że od początku byłam przeciwna zabiciu Pillgrima. I tak ci się nie udało. Czy może byłeś tak głupi, żeby owemu najemnikowi, Borchowi, dać zlecenie na piśmie?

– Nie było żadnego zlecenia! Nie uczyniłem nic wbrew twojej woli, najjaśniejsza pani. Ten najmita łgał!

– To ty łżesz, hrabio! Co prawda w tej sprawie wstawiłam się u króla i przekonałam go, iż nie mogłeś dokonać zdrady stanu, bo tak było trzeba. Ale to nie znaczy, bym była naiwna i uwierzyła w zapewnienia o twej niewinności. Wystawiłeś Pillgrima na żer wrogom, a jego trup miał być gwarancją ostatecznej klęski. Najmniej przecież przejmowałeś się moim zdaniem! Straszny z ciebie człowiek. Poświęcić własny kraj w imię ambicji! Skazać na śmierć najsprawniejszego dowódcę w imię osobistych korzyści!

Burghiese wykrzywił twarz w drwiącym grymasie.

– I kto to mówi? Czyżbyś, miłościwa pani, w swym postępowaniu nie ograniczała się jedynie do własnych zysków?

– Czynię to, jak każdy. Są jednak pewne granice.

– Człowiek sam je sobie wytycza.

– Nawet za cenę utraty duszy?

– A co to jest dusza? – roześmiał się. – Obietnica życia na innym świecie? A gdzie jest ten inny świat i czy w ogóle istnieje? Liczy się jedynie to, co mamy tu i teraz.

– I co możemy stracić tu i teraz?

Patrzył na nią bez słowa, z wyczekiwaniem.

– Zbyt dużo może przepaść – powiedziała po chwili – jeśli będziemy występować przeciwko sobie.

– Nie inaczej – uśmiechnął się przebiegle. – Widzę, że znów zaczynamy mówić tym samym językiem, najjaśniejsza pani.

Nie odpowiedziała. Słowa były zbędne. Tylko przy jego poparciu zdoła utrzymać się przy władzy w razie śmierci chorowitego Filipa. Jedynie nieograniczone wpływy hrabiego i powszechny strach, jaki budzi, uchronią ją przed natychmiastowym wygnaniem.

– Powinnam dać mu syna – mruknęła do siebie.

Burghiese usłyszał.

– Powinnaś, pani. Powtarzam to od lat. Ale nie chciałaś...

Skrzywiła się niechętnie. Rzeczywiście, Ludwig proponował jej wiele razy, aby to z nim zaszła w ciążę, skoro Filip okazał się bezpłodny. Już biskup Falcone postarałby się uczynić ze sprawy cud. Wszyscy byliby szczęśliwi... Wszyscy?

– Wiesz doskonale, że to oferta nie do przyjęcia. Twój dziedzic na tronie! Nie za wysoko mierzysz?

Roześmiał się, jednak zbyt długo się znali, aby nie dosłyszała w tym śmiechu wyraźnej nuty urazy. Uradowało ją to. Nadęty głupiec! Myśli, że jego sławna uroda to wszystko. Może mieć roje kochanek, ale nie ją! Wiedziała, że bardzo go drażni, iż królowa bierze sobie do łóżnicy rycerzy, baronów, oficerów i urodziwych pacholków, a z nim nie chciała mieć nigdy nic wspólnego.

– Poza tym – przerwała ciszę – Filip jest może kaleką, ale na pewno nie głupcem.

To ostatni człowiek, który uwierzy w palec Boży. Ale zostawmy to wreszcie – strzepnęła niecierpliwie dłonią, widząc, że hrabia zbiera się do odpowiedzi. – Powiedz lepiej, dlaczego zamierzasz nadal toczyć wojnę z Gernonem. Myślałam, iż dopiąłeś już swego. Kraj pogrążony w nędzy i trwodze, zdany tylko na ciebie. Czyż nie o to chodziło?

– To stanowiło tylko część mych zamierzeń. Teraz przyszła pora odzyskać utracone ziemie, a przynajmniej jakąś ich część.

– I stać się wybawcą – pokiwała głową. – Koniecznie chcesz być kochany i podziwiany?

Ludwig Wyzwoliciel! Ludwig Wielki! W tej chwili zrozumiała, że rację mieli ci, którzy mówili, iż Burghiese chce włożyć na skronie koronę Vereeny! Nie wystarczy mu już władza, jaką ma. Odkrył się, pewnie doszedł do wniosku, że nie ma sensu więcej udawać. A to zmienia postać rzeczy. Postarała się nie dać po sobie poznać gonitwy myśli.

Hrabia patrzył na twarz królowej spod zmrużonych powiek. Bystrości nie można jej odmówić. Na pewno mądrzejsza jest chociażby od tego starego spryciarza Falcone. Trzeba czymś pokryć niefortunne odezwanie.

– Chcę tylko spełnić święty obowiązek wobec państwa i monarchy – rzekł uroczyście. – Można przegrać wojnę, ale to nie znaczy, że nie można wygrać następnej. Trzeba mieć tylko odpowiednio dużo siły.

– Wiem. Słyszałam. Czynisz zaciągi wszędzie, gdzie tylko można. Chcesz wprząc w służbę nawet dzikich rzecznych piratów. Nie boisz się sięgać po tych rozbójników? Nie znają karności. Gdy tylko ich spuścisz z oka, zaczną dokazywać, czynić grabieże i gwałty.

Wykrzywił wargi w ironicznym uśmiechu.

– Najważniejsze czy dobrze się biją. A poza tym nie zamierzam nimi posiłkować głównych sił. Ich zadaniem będzie pilnować granicy z krajem magów. Nie życzę sobie niespodziewanych wizyt z tamtych stron.

– Tam przecież nie ma ani rzek, ani skrawka morza...

– Bez obawy. Piraci potrafią nie tylko strzec przepraw czy łupić porty, ale doskonale radzą sobie w głębi kraju, z dala od wody. Podobno są wtedy nawet okrutniejsi niż zazwyczaj. I o to chodzi! Niech nie puszczą żywego ducha od brudnych szarlatanów.

Nienawiść hrabiego do czarnoksiężników była wszystkim doskonale znana. To on dał sołtysom prawo i obowiązek karania wiejskich wiedźm bez odwoływania się do sądów ziemskich. Jego wpływy sprawiły, iż niechętnie stosunki z państwami południa zamieniły się w coś, co można określić jedynie jako wojnę bez działań militarnych. To on wreszcie oskarżył Alwena Koniokrada o konszachty z magami i doprowadził do wyniszczenia rodu de Morano. W dodatku ta nienawiść miała źródło w dość

niedalekiej przeszłości. Zdarzyło się coś, co doprowadziło go do przekonania o niedopuszczalności jakichkolwiek związków z dziedzinami czarnoksiężników.

– Chcesz jeszcze mocniej uszczelnić granicę? Nie jest dostatecznie dobrze pilnowana?

– Nie jest – odparł twardo. – Szczególnie po ostatnich działaniach wojennych zapanowało tam rozprężenie. Mam wieści z placówek. Podobno każdy tam przechodzi jak chce. Gerny zajął tyle kraju, że jego i nasze ziemie są przemieszane. Podobno można niezauważonym wyruszyć ze stolicy i dotrzeć nad granicę, mimo gęstwy posterunków naszych i wrogich po drodze. Tego dotąd nie bywało, a moi piraci położą temu kres!

Poczerwieniał na twarzy, widać było pulsującą na skroni żyłkę. Opanował się z wolna, zaczerpnął głębiej powietrza.

– Zresztą, gdy przyjdzie czas, zamierzam ściągnąć doświadczonych żołnierzy z garnizonów na varijskim pograniczu, zastępując ich następnym kontyngentem rzecznych rozbójników.

– Odwołasz nawet swojego ulubieńca, Vallery’ego d’Orenburga? – spytała z krzywym uśmiechem.

– Nawet jego – mruknął niechętnie. – To ladaco i buntownik, ale doskonały dowódca.

– Nie miałeś takich obiekcji, próbując zlikwidować Pillgrima.

– Mówiłem już przecież...

– Daj spokój, mój parze. Oboje wiemy, co o tym myśleć.

– W takim razie – ukłonił się sztywno – na mnie już pora, najjaśniejsza pani. Sprawy wagi państwowej nie mogą dłużej czekać.

Odprawiła go łaskawym gestem dłoni.

– Twoi rozbójnicy – szepnęła do zamykających się drzwi – na pewno dobrze się spiszą. Są tacy sami, jak ty. Krwiożerczy i bezwzględni.

Wsparła głowę na dłoni. Jakże jej kiedyś imponował ten człowiek. Tryskał energią i zdecydowaniem. Zdawał się taki męski w porównaniu z chorowitym królem. Ale i ona była wtedy inna. Młodsza, bardziej naiwna. Nie dostrzegała głębi, jedynie pozory. A teraz... teraz pozostaje tylko ciągnąć rozpoczętą niegdyś grę. Grę o przetrwanie w stadzie wilków.



– Tydzień – powiedział z rezygnacją Alwen. – Tydzień i nic. Twój pan, zdaje się, zapomniał o moim istnieniu. A może jego uprzejmość wyczerpała się do imentu tamtego wieczoru, zaraz po naszym przyjeździe?

Horris słuchał z przykrością. Koniokrad schudł przez tych kilka dni, wyglądał na chorego. Ale uzdrowiciel nie mógł tutaj pomóc. Nieszczęśnika dręczyły złe sny i złe przeczucia, a na to nie ma lekarstwa, nie wystarczy nałożyć dłoni i wymamrotać formułkę zaklęcia. Tu może wyleczyć jedynie samo życie. Wyleczyć albo zabić...

– Mistrz ma ważne, niecierpiące zwłoki sprawy. Kiedy tylko znajdzie chociaż godzinę, natychmiast poświęci nam cenny czas.

Alwen skrzywił się z niesmakiem. Gdzie się podział mądry Horris, ów znakomity uzdrowiacz, pełen godności, surowości, ale i ciepła zarazem? Zmienił się nie do poznania, kiedy tylko dotarli do domostwa Ekharta. Jakby w chwili przekroczenia progu przybrał maskę unizonego sługusa.

– Szczycicie się swoją wiedzą i umiejętnościami. – Koniokrad powoli cedził słowa, dobierając je tak, aby jak najmocniej dotknąć rozmówcę. – Szkolicie bezustannie w sztukach magicznych, zdajecie się kimś więcej od zwykłych ludzi. Ale w istocie jesteście tacy sami, jak my.

– Jesteśmy po prostu ludźmi – odparł cicho uzdrowiciel – takimi samymi, jak inni. Magiczne zdolności nie czynią nikogo z miejsca lepszym. Mogą pomóc osiągnąć prawdziwą mądrość, ale nie potrafią jej zastąpić.

– To prawda – rozległ się zniecierpliwiony głos tuż za ich plecami. Alwen zerwał się z miejsca zaskoczony, ale Horris nawet nie drgnął, jakby się spodziewał czegoś podobnego. Zresztą może tak było. Alwen nie mógł być niczego pewien w tym kraju. Obejrzał się. Mistrz Ekhart, ubrany w białą szatę o szerokich rękawach lamowanych czerwonozłotym wzorem układającym się w kształt splecionych węży, patrzył zmęczonym wzrokiem. – To prawda – powtórzył. – Wy, ludzie krain Bezmagii, uważacie nas za szarlatanów i oszustów z jednej strony, pogardzacie naszymi umiejętnościami, a jednocześnie stawiacie nam wygórowane wymagania, oczekujecie, że będziemy bardziej podobni aniołom niż wam. Słusznie rzekł Horris. Magiczne talenty nie gwarantują mądrości. Sam znam wielu czarnoksiężników będących okropnymi głupcami. Jednak prawdziwa wiedza, dogłębne wtajemniczenie w najtrudniejsze arkania naszych sztuk, wymaga od adeptów czegoś więcej niż umiejętności korzystania z energii przepływającej przez świat. Zaiste niewielu znajdziesz takich, którzy mają umysły dość otwarte i chłonne, aby dokończyć naukę.

– Lecz ile jest warta wasza wiedza, jeśli nie ma w niej Boga? Nie macie przecież kościołów... żadnych świątyń tu nie uświadczysz.

Alwen powiedział to tylko, żeby dokuczyć Ekhartowi, odgryźć się za czas oczekiwania w beczynności i niepewności. Mistrz drgnął, spojrzął spod zmarszczonych brwi.

– Powtarzasz słowa bezmyślnie wypowiedane przez wielu. Mówisz o Bogu? Nie mamy go i nie wyznajemy? Chodź zatem ze mną.

– Nie trzeba. – Koniokrad potrząsnął głową. – Tak naprawdę nie chciałem tego

powiedzieć.

– Człowiek powinien zawsze wiedzieć, co mówi, jeśli zdecyduje się otworzyć usta. A kiedy próbuje kogoś zranić, nigdy nie czyni tego przypadkiem. Chodź, powiadam. To będzie pouczające doświadczenie. Ty zostań, Horrisie. Przy okazji muszę porozmawiać z naszym gościem na osobności.

Alwen niechętnie ruszył za czarnoksiężnikiem. Był pewien, że czeka go wyprawa do miasta. Zapewne w którejś z bogatych kamienic magowie mają jednak jakąś świątynię. Jednak Mistrz prowadził go nie ku wejściowej sieni, ale w głąb rezydencji, tam, gdzie znajdowała się pracownia. Pewnie skorzystają z magicznego portalu, aby znaleźć się od razu na miejscu. Ale i tym razem zawiodło go przecucie. Tuż przed znajomymi złożonymi drzwiami zatrzymali się. Ekhart uczynił prawie niedostrzegalny ruch dłonią. Alwen usłyszał cichy zgrzyt. Nagle w gładkiej ścianie pojawiła się rysa... dwie, trzy rysy. Układały się w kształt prostokąta. Po chwili wykrojona część muru cofnęła się i wsunęła głęboko, ukazując oświetlone żółtym blaskiem strome schody.

– Pójdę przodem – mruknął czarnoksiężnik. – Na dole jest wysoki próg. Uważaj.

Przemierzyli kilkanaście stopni. Rzeczywiście, Alwen zobaczył wysoki próg i zwykłe drzwi z poczerńiałej dębiny.

– Jesteśmy prawie na miejscu. Zobaczysz moją domową kaplicę.

Mistrz pchnął drzwi. Koniokrad oczekiwał, że owieje go piwniczny chłód, zapach stęchlizny, zwyczajny w takich podziemiach. Zamiast tego ujrzał rozświetlone wnętrze, w powietrzu uniosła się dziwna, subtelna woń. Najbardziej przypominała może rozmaryn i róże, była jednak o wiele delikatniejsza i bardziej nieuchwytna. Przekroczył próg. W środku surowe ceglane ściany ozdobione zostały żywymi kwiatami. Zapewne równie dobrze mogłyby kapać złotem i kwitnąć freskami, ale tak było lepiej, otoczenie bardziej sprzyjało skupieniu. Ekhart przyklęknął przed małym ołtarzem. Alwen poszedł w jego ślady, wiedziony nagłym impulsem. Podniosła atmosfera tego miejsca kojarzyła się z majestatem katedry. Ciasne pomieszczenie zdawało się rosnąć z każdą chwilą, a niskie łukowate sklepienie sięgać nieba.

– Pan rzekł – odezwał się po chwili czarnoksiężnik, a wszystko powróciło do poprzednich proporcji – by zamknąć się w komorze i modlić w samotności. W Halarii i innych krainach magii trzymamy się ściśle tej wskazówki. Większość z nas ma w domostwie podobną kapliczkę, gdzie może spędzać czas na modlitwie... – zawiesił na chwilę głos – i pokucie...

– Każdy na osobności – szepnął Alwen. Nagle przyszło zrozumienie i ogarnęło go współczucie. – Jesteście tacy samotni. – Spojrzał na ołtarz, potem przeniósł wzrok na twarz Mistrza. Napotkał mądre, przenikliwe oczy. – Lecz przecież w innym miejscu Pan namawia, aby gromadzić się w jego imię.

– Jesteśmy samotni, masz świętą rację – powiedział Ekhart. – Każdy z nas jest

kapłanem i wyznawcą jednocześnie. Zawsze sami... Człowiek czerpie z nauk Bożych zazwyczaj tylko to, co mu potrzebne. Nie możemy spotykać się na wspólnych modlitwach. Uniesienie religijne wyzwala zbyt dużo energii, a umysł staje się nazbyt otwarty. W takiej chwili możemy czytać swoje, na co dzień skrzętnie skrywane, myśli. A przecież do świątyni przychodzi się nie tylko z modlitwą, ale i wszelkim brudem duszy. Dlatego za najistotniejszą przyjęliśmy tę część nauk wiary. Bo tak jest wygodniej i bezpieczniej. Jest jeszcze coś... Ktoś mógłby chcieć wykorzystać religijne zgromadzenie do własnych celów, do rzucania niezwykle silnych zaklęć i uroków.

– Jak w czasie wielkiej wojny, tak? – wtrącił Alwen.

– Jak wtedy – przytaknął czarnoksiężnik. Milczał przez chwilę, zapatrzony w obraz nad ołtarzem. Złotoskrzydły anioł podawał lśniąca pióro klęczącemu człowiekowi. – Widzisz? To alegoria natchnienia. Bez owej boskiej cząstki bylibyśmy niczym.

Koniokrad przymknął oczy. Czy to złudzenie, czy usłyszał w głowie, gdzieś w samym środku, cichutki głos?

– Właśnie o to chodzi. – Ekhart uśmiechnął się samymi kącikami warg. – Nawet ty, niewtajemniczony, możesz usłyszeć echo moich myśli, kiedy tylko opadną krępujące je kajdany czujności.

– To dlatego... dlatego bywasz taki oschły, nieuprzejmy i odpychający, czy tak? Ciągła czujność...

– Jesteś bystry – odparł czarnoksiężnik. – Bardzo bystry i przenikliwy. Dlatego budzisz niepokój w ludziach podobnych Ludwигowi Burghiese. – Wstał nagle, pociągnął Alwena za rękaw. – Chodź tam, usiądźmy. Wysłuchaj mojej prośby, drogi gościu i przychyl jej życzliwego ucha.

– Słucham.

– Chcę się wypowiedzieć.

– Ależ Mistrzu! – Koniokrad poderwał się. – Nie jestem godzien... Poza tym do tego potrzebny jest kapłan!

– Siadaj, chłopcze. – Ekhart uśmiechnął się łagodnie. – Co za różnica, przy kim wyznajemy Bogu nasze grzechy? Celowo nie mówię „komu”, ale „przy kim”. Wystarczy życzliwa obecność, nic więcej i nic mniej. Wszak chodzi tylko o to, żeby być szczerym ze Stwórcą... a właściwie z samym sobą, bo On i tak wie wszystko. Trudniej się rozgrzeszyć ze złych uczynków, kiedy ktoś o nich słucha. Trudniej także, co prawda, o nich mówić, ale łatwiej zrozumieć, dlaczego się człowiek dopuścił podłości... i łatwiej odnaleźć w sobie żal za grzechy. Wierz mi, niewiele mam okazji do podobnie szczerzej rozmowy z samym sobą. Dlatego proszę, byś wyświadczył mi tę przysługę.



– Nie, nie, nie!!! – krzyk Ludwiga zdawał się rozsadzać ściany. – Zabiję tego szczeniaka! Każę go przywiązać do lufy największego jaszczaka w stolicy, załadować rurę siekańcami i wystrzelić!

Hrabina Burghiese wzruszyła ramionami.

– Nie rozumiem zupełnie, o co ci chodzi.

– O co? – warknął wściekłe, przyskoczył do żony i zdarł z niej prześcieradło. Skuliła się. Tak rozzłoszczonym dotąd go jeszcze nie widziała. – O to, suko niewierna! O to właśnie! – Wskazał wyraźny ślad na pośladku. Maleńkie krwawe wybroczyny układały się w dwa rzędy perełek. – To odcisk zębów!

– Och – przeciągnęła się rozkosznie – rzeczywiście zostawił je jeden z moich kochanków. Tak ci to przeszkadza? Żebym ja nie zaczęła wyliczać twoich nałożnic.

Burghiese wściekł się do ostatecznych granic. Ostatkiem sił powstrzymał pięść. Żony nigdy nie uderzył, do tej pory nawet do głowy mu to nie przyszło. Zresztą zdawał sobie sprawę, że jest skłonna wybaczyć niejedno, ale po czymś takim odeszłaby bez wątpienia. Wiedziała zbyt wiele, żeby jej na to pozwolić i miała zbyt wpływowych krewnych, by można ją było bezkarnie zgładzić. Opanował się nieco.

– Nie przeszkadza mi, że udzielasz wdzięków na prawo i lewo – wycedził przez zaciśnięte zęby – dokąd czynisz to z rozsądkiem. Nie wadzi mi, kiedy spędzasz noc z tym czy tamtym baroniątkiem. Ale to jest znak pozostawiony przez tę świnię Vallery’ego d’Orenburga! Niech go piekło pochłonie!

– Skąd wiesz? – spytała zaskoczona.

– Sam mi powiedział. – Zbliżył twarz do jej twarzy, aż poczuła palący gniewem oddech. – Dał wskazówkę podczas ostatniej rozmowy. Nie wiedziałem wtedy, dlaczego mi mówi o swoich sypialnianych zwyczajach, ale teraz już pojąłem. Chciał się zemścić za zesłanie na placówkę! Udowodnić, że przyprawia mi rogi na wszystkie strony!

Hrabina odchyliła głowę do tyłu, zaczęła się śmiać głośno, niepowstrzymanie.

– Skąd ta wesołość? – spytał ponuro. – Niewiasta przyłapaną na zdradzie powinna się raczej lękać gniewu męża niż radośnie się szczerzyć.

– Och, bądźże rozsądny! – Z trudem złapała oddech. – Powiedziałeś, że przyprawia ci rogi na wszystkie strony? Zgaduję zatem, iż nie jestem jedyną, która nosi ślad jego białych zębów w takim miejscu? – Znów zaniósł się śmiechem. – A to ci zgotował pożegnalną niespodziankę!

Zgrzytnął zębami. Kąśliwa, złośliwa kobieta, w dodatku nad wyraz domyślna. Zawsze potrafiła łapać go za słowa i wydobywać z nich istotną treść, jak teraz. Miała rację. Przez ostatnie dni odkrywał co wieczór znak młodego oficera. Bezcelny kapitan posiadał bodaj wszystkie metresy hrabiego! Te, o których powszechnie się mówiło, ale, co gorsza, także te, co do których dostojnik miał pewność, że schadzki z nimi otacza ścisła tajemnica.

Tymczasem hrabina uspokajała się powoli. Patrzyła na męża zażawionymi od wesołości oczami.

– To szelma – pokręciła głową. – Tak dotknąć miłość własną potężnego hrabiego. Odważny i przedsiębiorczy wojak, musisz to przyznać.

– Każę mu obciąć przedsiębiorcze klejnoty i przed zgonem wrazić między perłowe ząbki. – Oblicze Ludwiga ściągnęło się, brwi zjechały w jedną linię. Znała ten wyraz twarzy, przeraził ją. – Zaraz wydam odpowiednie rozkazy.

– Nie możesz – powiedziała pospiesznie. – Nie wolno!

– Co to znaczy „nie możesz”? Przedtem powstrzymałem gniew, żeby nie urazić wysokiego rodu. Zamierzałem go nawet powołać na dowódcę odpowiedzialnej jednostki w nadciągającej wojnie, ale co za dużo to niezdrowo! Upokorzył mnie stokrotnie, a tego nie puszcza się płazem.

– Jak chcesz. – Wzruszyła na pozór obojętnie ramionami. – Mnie wszystko jedno. Jeden kochanek więcej czy mniej. I tak nie mam teraz z niego pożytku. Ale jeśli każesz go zgładzić, rzecz rozniesie się natychmiast. Wiesz dobrze, jak jest z takimi sprawami. Im bardziej chcesz je ukryć, tym szybciej wyłażą na wierzch.

Zastanawiał się, a hrabina śledziła wyraz jego twarzy, z ukrywanym niepokojem.

– Masz rację – rozjaśnił się wreszcie. – Zemsta musi poczekać. Jesteś, jak zawsze, najlepszym doradcą. – Odetchnęła z ulgą, a on ciągnął dalej: – A już myślałem, żeś się w nim zadurzyła. Tego bym nie ścierpiał! Mogę wybaczyć, że oddajesz kochankom ciało, ale nie serce! Ono należy do mnie i tylko do mnie.

– Do ciebie i tylko do ciebie – powtórzyła potulnie. – Jesteś jedynym, którego kocham.

– I tak być powinno – rzucił szatę. – A teraz udowodnij, jak bardzo mnie kochasz.

Wyprężyła się kusząco, przymknęła oczy. Gdy dotknął jej piersi, wyobrażała już sobie, że czynią to gorące dłonie Yalleryego d’Orenburga.



Rozdział 11

Pillgrim przemierzał ulice obcego miasta, rozglądając się ciekawie. To prawda, co powiadają o Halarii, że wszędzie tutaj kapie od złota, którego nikt nawet nie próbuje uszczknąć. Bogate fasady kamienic zdawały się spływać cennym kruszcem i klejnotami. Na pewno łatwo by było skorzystać z okazji. Chyba że strzegą ich potężne zaklęcia. Wiedziony ciekawością podszedł do najbliższego domu. Udając, że ogląda wystawiony na pobliskim kramie towar, wolniutko przesunął się w kierunku złotego wodospadu spływającego z wykuszu okna aż na ziemię. Jednak zanim zdołał go dotknąć, powstrzymał go miękki, kobiecy głos.

– Witaj nieznajomy. – Obejrzał się. Tuż za nim stała śliczna kobieta o blond włosach spływających na plecy. – Sądząc z ubioru, jesteś zaświatowcem?

Skinął głową, przełykając z trudem ślinę.

– Czy tak dorodny, przystojny mężczyzna powinien błąkać się po ulicach bez towarzystwa znającej okolicę niewiasty?

Baron uśmiechnął się i przymrużył oko.

– A czyż tak piękna niewiasta zechce dotrzymać towarzystwa nieokrzesanemu przybyszowi?

– Zechce. – Włożyła mu dłoń pod ramię. – Och – mruknęła z podziwem – ciało jak z żelaza. Darmo tego szukać u miejscowych. Zniewieścili tu wszyscy ze szczętem już dawno.

Mile połechtany, Pillgrim napiął mięśnie. Wywołało to cichy okrzyk entuzjazmu.

– Dobrze, sestro – powiedział. – Ale, jak na razie, nie znalazłem jeszcze kwatery człowieka, którego szukam.

– Nie szkodzi – odparła. – Mieszkam niedaleko, tuż za rogiem właściwie.

Pomyślał, że nie zrozumiała, o co mu chodzi. Chciał wyjaśnić, ale krew się w nim wzburzyła, powiedział więc:

– Chodźmy więc, szkoda czasu. Stęskniłem się za kobiecym ciałem.

Szli przez chwilę w milczeniu.

– Szukasz kogoś? – zapytała.

– Szukam.

– To widać. Może będę w stanie pomóc

– Znasz uzdrowiciela Horrisa? Zmarszczyła nos, zastanawiając się usilnie.

– A komu służy? Uzdrowicieli mamy sporo więcej niż dziesięć tysięcy. I wielu może nosić imię Horris.

– No właśnie – sapnął. – Tak mówisz? A myślałem, że to niezbyt pospolite imię. W moich stronach jest zgoła niespotykane. Cóż, u was jednak panują odmienne obyczaje. Wybrałem się w drogę, nie wiedząc tak naprawdę, do kogo. Ale nie przypuszczałem nawet, jak wielkie może być miasto! Velara, stolica mojego kraju, wydaje się przy nim zapuszczonym wiejskim grajdołkiem!

– Tak. – Niedbałym gestem wskazała okoliczne domy. – Masara to ludne i bogate miejsce. Potrafi olśnić przybysza. Ale musisz uważać. Wiele z tego, co widać, to tylko pozór bogactwa. Ale spójrz, tutaj mieszka wielki mistrz magii. Do jego kamienicy nie zbliżysz się bardziej niż na dziesięć kroków, jeśli nie jesteś zaproszony. Tam stoi zresztą tablica z ostrzeżeniem.

– A co się stanie, jeśli złamię zakaz?

– Padniesz na miejscu.

Pillgrim zdziwił się. Takiej kary za naruszenie czyjegoś terytorium nie przewidywały nawet najsurowsze kodeksy dawnych władców Vereeny.

– Śmierć? A gdyby ktoś przypadkiem... Przerwał mu śmiech.

– Żadna śmierć! Zaśniesz tylko na chwilę. Gorzej, gdybyś próbował jednak dalej sforsować otaczające dom zakłęcie. Wtedy może cię nawet ogarnąć szaleństwo.

Baron skrzywił się niechętnie. Magia...

– Wolę jednakowoż nasze obyczaje w tym względzie. Jeśli mi kto wlezie w dziedzinę, przywitam go z mieczem a rurą ognistą w łapie, okrzyknę, a gdyby się wzdragał z odejściem, zgotuję prawdziwą łaźnię.

– Sam rzekłeś przed chwilą, iż panują tutaj odmienne obyczaje. I powiem ci, że wolę chyba jednak te nasze, mniej krwawe. Choć zapewne wasze surowe życie pozwala na utrzymanie męskich sił i jurności...

Pillgrim poczuł narastające podniecenie. Była blisko, bardzo blisko. Czuł jej zapach, podmuchy wiatru unosiły jedwabiste włosy. Serce zabiło mocniej.

– To już mój dom – odezwała się cichym, zmysłowym głosem. – I nie strzegą go żadne groźne zakłęcia. Na pewno nie przed takimi mężczyznami, jak ty.

No cóż, drogi Alwenie, przeleciało przez głowę baronowi, zaczekasz chwilę dłużej

na złe wieści. Na pewno wybaczysz staremu przyjacielowi to drobne uchybienie. Zawsze był ze mnie wszetecznik i szalapat. W końcu krew nie woda.



Hortensja śledziła złym wzrokiem krzątającą się przy schodkach postać. Przeklęta dziewczka! Przybyła nie wiadomo skąd, a z miejsca wkradła się w łaski matki przełożonej. Teraz też dostała najłżejszą pracę. Czymże bowiem jest zamiatanie dziedzińca w porównaniu z noszeniem wody albo robotą przy kuchni! Najbardziej jednak Hortensję złościło, że przybłęda nie musi brać udziału w nocnych czuwaniach. Dla niej samej to była najgorsza rzecz pod słońcem. Kiedy jeszcze przypominała sobie, jak to bywało w dziecięcych czasach... Przynajmniej raz w tygodniu można się było wyspać do woli. Teraz zaś... co za nieludzki obyczaj chwalić Boga w porze, kiedy cały świat pogrążony jest we śnie, a zło harcuje po polach i lasach. Podobno zresztą właśnie te modlitwy powinny przeszkadzać diabłom w psotach i sprośnościach. Bogać tam! Zaśmiała się w duchu. Co też warte są modły, gdy człowiekowi zgoła inne myśli w głowie, a idzie do kaplicy tylko dlatego, żeby nie dostać różeg czy zasłużyć na ciemnicę. A o czym podczas wzniosłych pień rozmyśla, to już jego rzecz. Ot, choćby taka Winifreda. Toż rodzice z plebanem uradzili posłać córkę do surowego klasztoru, bo siała zgorszenie, zadając się ze wszystkimi pachółkami w okolicy, bez wyboru. Okiełznać jej całkiem nie mogli, a co tylko zamknęli w komorze, zawsze sposób znalazła, żeby się wymknąć i oddać pierwszemu napotkanemu parobkowi. Ponoć bez mała dziesięć płodów spędziła, nim ukończyła szesnasty rok życia. I o czym taka może myśleć o północy, wyrwana z ciepłego łóżka? O jednym tylko i było to czasem widać, bo gmerała bezustannie pod habitem, mrużąc oczy niby to w ekstazie modłów. A i zajęczała czasem przeciągle, kryjąc odgłos w kaszlnięciu czy chrząkaniu. Gardziły nią wszystkie w duchu, jednocześnie zazdroszcząc, iż zaznała w życiu tyle cielesnych uciech, których im darmo wyczekiwać. Mimo pogardy nie odpychały jednak Winifredy, bo podniecające było posłuchać jej wynurzeń, gdy zebrały się w grupce z dala od oczu matki Branweny. Z czerwonymi policzkami chłoneły wszeteczne historie, nie będąc chwilami pewne, czy aby nie zostały ubarwione, tak czasami dziwne i niepodobne naturze rzeczy prawiała.

– Tam jeszcze brudno! – wskazała palcem odległy kąt.

Maive zerknęła z ukosa. Sucha, kostyczna Hortensja. Nie ma chyba w całym klasztorze gorszej od niej zgagi. Szepczą nawet, iż ma wielkie szanse zostać następczynią matki przełożonej, tak jest wredna, pozbawiona skrupułów, a przede wszystkim ustosunkowana. Odwróciła się. Nie widziała, jak zakonnica ukradkiem wyjmuje z rękawa maleńką karteczkę i z trudem rozprostowuje ramiona.

Boli. Hortensja skrzywiła się na wspomnienie różeg. Otrzymała je za złamanie postu. Tak trudno się powstrzymać, gdy w kuchni blacha gorąca, a słów z peklowaną wieprzowiną rozpęknie się zupełnym przypadkiem... Nie było tłumaczenia. Przeklęta Branwena! Niebawem odechce się jej karanja! Tę karteczkę trzeba dać jutro wozakowi, który przyjeżdża po ładunek sukna z klasztornej przędzalni. Niech odda ją swojemu bajlifowi. Zbyt wiele tajemnic otacza tę ciężarną wysoko urodzoną dziewczkę, żeby nie było w sprawie czegoś, co może interesować wielkich panów. Jeszcze raz spojrzała na nierówne litery, wydrapane pospiesznie za pomocą zwykłego patyczka unurzanego w odrobinie kaczey krwi. Nie mogła prosić o pióro i inkaust. To wzbudziłoby natychmiast czujność przeorysty.

– Pospiesz się, darmozjadzie – syknęła. – Niebawem obiad, a ty grzebiesz jak kura nogą! Nie przyzwyczaili w domu do ciężkiej pracy? Gdzie takiej między uczciwych ludzi!

Maive przestała zwracać uwagę na zaczepki. Zresztą po zajściu w kuchni zakonnice przestały być tak natarczywe, jak dawniej. Co więcej, niektóre jakby spojrzały na nią przychylniej. Nie dalej niż wczoraj Winifreda, młódka o twarzy aniołka i wiecznie rozmarzonym spojrzeniu, przyniosła ziół na wzmocnienie. Maive przyjęła napój z wdzięcznością, chociaż gorzki był niby piołun i palił żywym ogniem. Na wspomnienie okropnego smaku wywaru poczuła mdłości. Znieruchomiała.

– Rusz się, czego stoisz jak słup soli! Ponaglający okrzyk zabrzmiał głucho, jakby dolatywał z niezmierzonej dali. Boże... Świat zawirował, powietrze uczyniło się gęste, gorące, ale i lodowate zarazem. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Raz... dwa... trzy... nieświadomie liczyła uderzenia serca. Nagle w spowolniały rytm wdarł się szybki stukot. Raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa, rozlegało się w szaleńczym tempie. Cóż to? Straszliwy ból w lędźwiach, brzuch spiął się w rozpaczliwym skurczu.

– Pomocy – wychrypiła ledwo dosłyszalnie. – Zawołaj kogoś!

Poczuła się otwarta u dołu, po nogach zaczęła płynąć ciepła wilgoć. I ból, straszliwy ból. Ciężko przewróciła się na bok, wciskając dłonie między uda, jakby chciała czemuś zapobiec, zatrzymać...

– Błagam. – Półprzytomne spojrzenie skierowała na Hortensję. Tamta stała nieporuszona, po wąskich ustach błdził złośliwy uśmiech.

To koniec. Maive zamknęła oczy. Śmierć nadciągała wraz z powiewem mrozu. Czarna zasłona opadała powoli, nieubłaganie. Tak więc kończy się życie. W strasznym zimnie, w szorstkich splotach ciemnej materii.

– Co robisz, głupia?! Czego się gapisz, miast pomagać?! – Ktoś biegł od strony kaplicy.

Okowy śmierci rozluźniły się. Życzliwe dłonie, ciepłe i dobre, wsparły opadającą głowę.

– Wracaj, dziewczyno – przyjazny głos płynął z oddali, wzywając z powrotem

duszę i wyrywając ją z lodowatych szponów straszliwej bogini nieistnienia. – Wracaj!

Maive otworzyła oczy. Nad nią szeroka, szczerą twarz Bernadetty ściągnięta niepokojem, a nieco dalej przestraszone oblicze Hortensji. Tupot kroków, nadbiegają inne... Jest też Winifreda. Stała opodal, patrzy nieruchomym wzrokiem. Błysk zrozumienia.

– Dlaczego? – Maive spojrzała na młodą mniszkę, posiniałe wargi poruszyły się z trudem. – Co mi zrobiłaś?

Bernadetta podążyła za wzrokiem Maive. Zmarszczyła brwi. Chciała coś powiedzieć, ale tej chwili ciężarną wstrząsnął nowy parkosyzm. Włożyła ręce jeszcze głębiej między uda... Znowu ogarnęła ją ciemność. Bernadetta siłą oderwała jedną dłoń dziewczyny.

– Krew! – krzyknęła. – Rany boskie, ona traci dziecko! Szybko, bierzcie ją do Eudoksji, migiem!

Nadbiegła Branwena, ale widząc, że sytuacja została opanowana, przystanęła z boku. Zakonnice porwały Maive na ręce, truchtem spiesząc ku szpitalnemu skrzydłu klasztoru. Przełożona zobaczyła tylko jeszcze, jak Bernadetta podchodzi do Winifredy i coś do niej mówi. Młoda siostra zbladła i zachwiała się. Jednak nie czas było dociekać. Branwena ruszyła do pomieszczeń lazaretu.



Vallery d'Orenburg wpatrywał się w płomień ogniska. Zimny powiew znad gór nie docierał do maleńkiej dolinki, w której stanęli na nocleg. Przelatywał ze świstem wysoko w górze, muskając tylko poszarpane zwieńczenie skalnych ścian nad głowami. Stary sierżant doskonale wiedział, gdzie ukryć się przed chłodem i wichrem. Vallery zaczynał pojmować, jak to się dzieje, że mieszkańcy Variji potrafią przetrwać w niesłychanie surowych warunkach. Takich miejsc jest zapewne w górach bez liku. Teraz weteran dorzucił dREW do ognia. Płomień przygasł, żeby po chwili wystrzelić mocniejszym płomieniem, oświetlił przez chwilę pokrytą bliznami twarz sierżanta.

– No i co powiesz, Viries? Jaka będzie jutro pogoda?

– Nie zdziwcie się, panie, jeśli obudzi nas deszcz. Ocieplenie idzie, nieduże, ale zawsze. W tej okolicy może oznaczać to tylko jedno. Ulewę.

– Przeżyjemy. – Vallery z zadowoleniem przyglądał się zwałistej sylwetce sierżanta. Prawdziwy żołnierz, zupełnie różny od malowanych fircyków, którymi ostatnio dowodził. – A jaką przewidujesz późną jesień?

– Jesień? – Viries splunął w ognisko. – Gównno, nie jesień, uczciwszy uszy pana pułkownika. W tym kraju nie ma jesieni. Patrzyć tylko, jak zaczną się śnieżyce. I dobrze. Przynajmniej wtedy spokój będzie od Varijczyków. Ruszą dopiero z wiosną i

będziemy mieli pełne ręce roboty.

– Nigdy nie przechodzą zimą?

– Czasem próbują, choć rzadko. Zależy, ile zapasów zdołali zgromadzić przed nadciągnięciem mrozów. Ale w taki psi czas, jak teraz, mogą jeszcze spróbować przeciągnąć przez granicę. – Poderwał się nagle, wściekle warknął, patrząc na większe ognisko opodal, gdzie reszta oddziału piekła mięso nad ogniem. Jeden z ludzi upuścił patyk z solidnym kęsem baraniny w żar i próbował go teraz wydobyć, pomagając sobie ostrzem miecza. – Ty, Wilczek! Kutasa se wetknij do ogniska, nie kutą głownię, niezdaro! Jeszcze raz zobaczę coś takiego, zęby powybijam!

Spostponowany żołnierz skoczył jak oparzony. Sierżant znany był z ciężkiej ręki. Teraz, klnąc pod nosem, znów przysiadł obok d'Orenburga.

– Coraz ciężiej z dyscypliną – mruknął. Przysyłają nam tutaj takich nieobytych ciastochów. – Urwał, rzucając bystre spojrzenie na pułkownika. Jeszcze gotów wziąć to do siebie. Ci wymuskani oficerkowie bywają czuli na swoim punkcie. Ale Vallery kiwnął tylko głową. Wrzucił patyk między płonące gałęzie.

– Nie bój się, sierżancie, zrobimy z nich żołnierzy. – Roześmiał się nagle. – I ze mnie też. Nie będę ci suł w oczy, że się tutaj nie czuję cokolwiek zagubiony. Dlatego, gdy tylko wejdziemy w wyższe góry, ty przejmiesz dowództwo, a ja będę cię słucał niczym zwykły szeregowy. W takich okolicach doświadczenie jest cenniejsze od szarż. Tylko mnie nie zawieź.

– Nie zawiodę – odparł poważnie Viries. – Ale jakże to, panie, mam wydawać komendy tak zupełnie bez uzgodnienia z wami?

– Dokąd jest spokojnie, ty radzisz, co robić, ja rozkazuję. Ale w razie niebezpieczeństwa nie ma czasu na takie dyrdymały. Bywałem w bitwach i widziałem, czym się kończą niewczesne ambicje mało doświadczonych dowódców. Kiedy nabiorę trochę obycia w górskich walkach, będę się wymądrzał. Na razie ma być, jak powiedziałem, i w razie zagrożenia ty jesteś pierwszy po Bogu.

Sierżant skinął głową. Niegłupi ten pułkownik i nie zadziera nosa tak, że mało gwiazd z nieboskłonu nie strąci. Poszedł na pierwszy patrol jak w dym, pieczę nad garnizonem zostawiając niezawodnemu kapitanowi di Lorenzo. Zanim zacznie dowodzić, powiedział na odprawie, musi wiedzieć kim i w jakich warunkach. Pod takim można służyć. Jeśli dopisze mu szczęście, ma szansę pożyć o wiele dłużej niż jego zarozumiały poprzednik.

– Jak rozkażecie, panie – powiedział, patrząc podejrzliwie w stronę sąsiedniego ogniska. Młodzi żołnierze wybuchli przed chwilą śmiechem aż zahuczało w maleńkiej dolince. Starsi naciągnęli już derki na głowy, korzystając z dobrodziejstwa nocy. Młodzikom zawsze w głowie krotchwile i beztroska.

– Świeży wojak jest niby młode wino – rzekł z niechęcią – ani jednemu, ani drugiemu dowierzać nie można.

– Muszą gdzieś przecież okrzepnąć i nabrać doświadczenia.
– Ano muszą – ciężkie westchnienie Viriesa zagłuszyło narastający z każdą chwilą szum wiatru. – Jutro odechce im się wesołości. Nie wiem, jak wy, panie, ale ja idę spać, tylko przedtem dogładnę straży.
– Nie trzeba. – Vallery klepnął starego wojaka w ramię, podnosząc się. – Ja obejdem posterunki. I tak na razie nie zasnę.
– Dzięki, panie. – Sierżant wyciągnął się z ulgą, podkładając pod głowę torbę z mapami. – Bardzo jesteście łaskawi.
Patrzył za odchodzącym dowódcą. Tak... Pod pozorami bawidamka i światowca kryje się twardy, zajadły żołnierz. Ciekawe czy ten, kto go tu zesłał też to widzi, czy liczy raczej, iż prędko się pozbędzie niemiłego człowieka. Może się przykro rozczarować. Oczywiście jeżeli na pograniczu nie rozpęta się piekło, jak to bywa od czasu do czasu. Varijczycy potrafią naprawdę dopiec i poważnie przetrzebić szeregi, gdy ruszą na łupież.



Pillgrim otworzył oczy. Myśli leniwie krążyły w umyśle zamroczonym jeszcze wspomnieniem niedawnej rozkoszy. Mrok za oknem rozświetlały, nieznane w Velarze, uliczne lampy. Kolejna sztuczka magów czy owoc tutejszej nauki? Trudno zgadnąć. Nazbyt się wszystko w tym kraju ze sobą mieszało. Przeciągnął się ostrożnie, żeby nagłym poruszeniem nie zakłócić snu kochance. Oddychała równo, głęboko, posapując i poświstując, jak... zaraz... Z niedowierzaniem przysłuchiwał się temu, co działo się za jego plecami. Chrapnięcia, jedno i drugie, potężne niczym uderzenie gromu. Czy młoda, nadobna niewiasta powinna wydawać z siebie odgłosy przystojące raczej staremu marynarzowi dręczonemu przez polipy w nosie? Zaraz przypomniał sobie markizę Zuzannę de Baios. Ale tamta, jak się okazało, rzeczywiście miała polipy. I astmę. Dlatego już podczas igraszek wstępnych zaczęła rzezić i kaszleć. Ta zaś przez cały czas miłosnych zapasów zdawała się zupełnie zdrowa.

Ostrożnie wysunął nogę spod kołdry. Powoli, bardzo powoli odsunął się od kochanki. W chwili, kiedy miał wstawać, znienacka poruszyła się i zarzuciła na niego chudą, kościstą rękę. Skonstatował to ze zdumieniem. Chudą i kościstą? Przecież zdawała się taka pulchna i jędrna! Nagła myśl poderwała go na równe nogi. Chciał się odwrócić, ale jednocześnie odczuwał niewytłumaczalny lęk. Czyżby kobieta, z którą spędził chwile uniesienia nie była istotą ludzką, ale jakąś okrutną piksą albo, co gorsza, żądną krwi upiorycą? One właśnie ponoć bywają takie chude, a jednocześnie niesłychanie pochutliwe. Tak, to by się zgadzało, bo trudno było babie dogodzić. Wiła się pod nim, jęczała, bez przerwy żądała jeszcze i jeszcze. Stał bez ruchu,

przekonany, iż za moment twarde pazury wbiją się w nagie plecy. Zerknął z tęsknotą ku mieczowi porzuconemu beztrąsko pod samymi drzwiami. Nie wiadomo, czy zwykła klinga pomoże coś na magiczne istoty, ale co szkodzi spróbować? Jeśli tylko zdąży... Jednym potężnym skokiem znalazł się przy pasie z bronią. Zgrzytnęła wydobyta z pochew głośnia, baron stanął w pozycji bojowej. Jednak spodziewany atak nie nastąpił. Jego kochanka spoczywała w łożu, na plecach, z szeroko otwartymi ustami, nadal chrapiąc niemiłosiernie. Niewyraźny w ciemności zarys postaci skrytej pod miękkim atłasem nie poruszył się. W tej chwili Pillgrim zdał sobie sprawę, jak komiczny musiał przedstawiać widok dla kogoś patrzącego z boku. Nagi, z rozwichrzonym włosiem, dzierżący w rękach miecz skierowany ku bezbronnej kobiecie. Jej jasne włosy rozrzucone na poduszkach zdawały się białe jak mleko. Jakież to omamy zsyła na ludzkie oko taka wieczorna ćma, pomyślał. Roześmiał się w duchu. Piękna, bujna niewiasta wygląda teraz jak kocmołuch. Tylko dlaczego tak chrapie i świszczy? Podszedł do kominka, wziął długą smolną szczapę, odpalił od żaru. Przeniósł płomień na ozdobną, złożoną świecę stojącą na stoliku u wezgowia łoża. Nie wiedział właściwie, czy można użyć tak pięknego przedmiotu jako zwykłej łojówki, ale nie znalazł nic innego. Już w pierwszym błysku, zanim knot dobrze zajął się ogniem, ujrzał coś, co sprawiło, że zmartwił.

– Diabli! – mruknął. Chwycił świecę, przybliżył do twarzy śpiącej. Potężne chrapnięcieomal nie zgasiło płomyka. – Diabli! – powtórzył głośniejszym głosem baron. – Co to ma znaczyć?!

W tej chwili rozległo się łomotanie do drzwi..

– Otwieraj, Henrietto! – zawołał donośny głos. – Otwieraj, szelmo. Wiem, że tam jesteście!

No pięknie, przeleciało przez myśl Pillgrimowi. Na dodatek dobija się tu zazdrosny mąż albo kochanek! Nie miał ochoty na burdy czy pojedynki. Nie dzisiaj. Musi przecież znaleźć...

– Wstawaj. – Szturchnął kobietę. – Obudźże się, kobieto!

Sięgnął pod nogi, podjął zmięte portki i zaczął je szybko naciągać.

– Kto tam? – Melodyjny głos niewiasty nie wydawał się przestraszony. Zerknął na nią. Siedziała na łóżku, przeciągając się. Nie mógł uwierzyć własnym oczom! Ciało miała gładkie, piersi pełne, twarz piękną. – Kto tam?

– Nie udawaj, Henrietto, że nie poznajesz! To ja, Horris! Przyszedłem po barona! Miałaś go odprowadzić do domu mego pana, a nie zwabić do swojej gawry, stara wszeteczniczo! Nie zlecę ci nigdy więcej żadnego zadania, nie dostaniesz też dzisiaj złamanego szeląga! Otwieraj, zanim opuści mnie cierpliwość.

Poszła ku drzwiom, kołysząc kuszaco krągłymi biodrami. Rzuciła jeszcze Pillgrimowi zalotny uśmiech, ale on tylko skrzywił się paskudnie i splunął przez lewe ramię, krzyżując palce od uroku.



Rozdział 12

Noc od bardzo dawna przestała być przyjaciółką. Nocą przychodziły zjawy z przeszłości, umysł ogarniał duszny niepokój. Arcybiskup Falcone stał na tarasie pałacu stołecznej kurii, wypatrując łuny brzasku nad horyzontem. Rzeńskie powietrze wypełniało płuca, rozchodziło się żyłami po całym ciele, wyganiając z głowy część niechcianych myśli.

– Jesteś złym człowiekiem, Albercie – powiedział do siebie głośno. – Bierzesz na siebie brzemię, które zaiste trudno udźwignąć. Zbyt delikatne masz sumienie, człowieku małej wiary.

Tak... żeby podołać odpowiedzialności za niegodne uczynki, trzeba mieć twardą i nieczułą naturę Ludwiga Burghiese. Ni mniej, ni więcej, tylko trzeba być zwykłym łajdakiem.

– Jesteś zwykłym łajdakiem – odezwał się na głos. Jak to, przecież, zgodnie z wolą starego Vordy, ukryłem tę dziewczynę przed Burghiesem! Nie zdradziłem...

– Kogo chcesz oszukać, Albercie? Nie powiedziałaś hrabiemu, gdzie Maive vi Rimm przebywa. Ale postarałeś się, żeby schwycił tego, kto znał tajemnicę...

Tak. Nie było trudno. Wystarczyło jedno nieopatrzone zdanie podczas wspólnej wieszery, jedno imię. Ludwig tylko zastrzygł uszami, leciutko uniósł brwi. Jeśli w grę wchodzi jego sprawa, zawsze ma słuch absolutny. Ale to tylko jedno zdanie, właściwie jedno słowo.

– Nie mogłeś złamać przysięgi, sprzeniewierzyć się tajemnicy spowiedzi, więc wybrałaś drogę opłotkami. Jeśli spojrzeć na to ze strony wyłącznie casusu prawnego, jesteś czysty. Ale czy naprawdę nie dostrzegasz własnej obłudy, nie słyszysz zgrzytów, fałszywych tonów we własnych argumentach?

Też coś! Sumienie bywa naprawdę jednostronne. A czyż Karol nie oszukał arcybiskupa, ukrywając przed nim, iż wszedł w posiadanie Czarnego Pergaminu? Gdyby nie przedśmiertna spowiedź Vordy, Falcone nigdy by się nie domyślił. Nikt by się nie mógł domyślić. W klasztorze przełożona jest przekonana, że jedynie ona zna tajemnicę. Podobnie Karol. Ale bez obaw, sprawni kaci potrafią wydobyć zeznanie z każdego!

– Lękasz się, księże – własny głos drwił, szydził i spływał jadem. – Boisz się zawartości Czarnego Pergaminu tak samo, jak wszyscy, z hrabią Burghiese na czele. Lękacie się imienia, które może wymienić. Ogarnia was przerażenie, bo ten, kogo magiczne pismo naznaczy, będzie sprawował władzę niekwestionowaną i niepodzielną, weźmie za twarz rozpasane możnowładztwo!

Odejdź! Zamilcz już. Trzeba zasznurować usta, zgryźć język między zębami. Czy jest na świecie ktoś jeszcze, kogo wyrzuty sumienia nękają, wydobywając się z jego własnej krtani? Czy jest ktoś, kto wie, jak trudno je powstrzymać, a zagłuszyć zgoła niepodobna?

Spojrzał w dół, w ciemność ogarniającą wielki ogród. Życie jest jak ta gęstwa krzewów i drzew o późnej porze. Niby znane, na pozór uporządkowane, ale kiedy tylko zapada mrok, gdy brak drogowskazów, człowiek gubi się, wędrując poplątanymi ścieżkami. Może przebyć tę samą drogę setny raz, nic o tym nie wiedząc, przekonany, iż podąża do celu, a nie kręci się w kółko niby pies za własnym ogonem.



Za oknem wstawał ponury, słotny dzień. Branwena zaczerwienionymi z bezsenności oczami wpatrywała się w poszarzałą twarz Maive. Pierś dziewczyny unosiła się w płytkim oddechu. Obok łóżka leżały skrwawione prześcieradła. Bernadetta zwinęła je w kulę, związała sznurem, przygotowując do spalenia. Krew ciężarnej... Czy może być coś bardziej zakazanego na terenie klasztoru? Może! Matka przełożona zgrzytnęła zębami. Nikczemność i podstęp! To jest coś, co naprawdę stanowi o upodleniu człowieka.

Branwena odwróciła wzrok w stronę, gdzie stara zakonnica pochylała się nad maleńkim tłumoczkiem.

– Siódmy miesiąc – odezwała się. – Dzieciątko bardziej przypomina kocię niż człowieka.

– Ale to człowiek.

– Człowiek – zgodziła się Bernadetta. – Kto potrafi zgadnąć, kiedy Bóg ofiarowuje maleństwu duszę? To dlatego spędzanie płodu zakazane jest nie tylko przez naszych lekarzy, ale nawet w krajach magów. Najmędrsi z nich nie potrafią powiedzieć, kiedy

człowiek staje się człowiekiem.

– Nie opowiadaj w poświęconym miejscu o bezecnych czarnoksiężnikach – zmarszczyła brwi przełożona. – Stamtąd nie przychodzi nic dobrego. Ojciec tego dzieciątka zadał się z jednym ich mistrzem i zobacz, ile z tego nieszczęścia.

– Wybaczcie, matko – odparła Bernadetta – ale ja nie wierzę w takie gadanie. Ludzie są źli albo dobrzy. Postępują podle lub szlachetnie. Jakie znaczenie ma, czy oblubieniec Maive zetknął się z tym czy innym człowiekiem? Przecież nie on doprowadził do tego wszystkiego, ale zła wola. Wszak głupia Winifreda nie zna nawet imienia tego, kto przyczynił się do przywołania nowego życia, nic o nim nie wie. Podała Maive miksturę z własnej durnoty i spełniając kielich gorzkiej złości innych.

Branwena podeszła do śpiącego niemowlęcia. Główka nie większa od zaciśniętej pięści. Rozwinęła wełniany koc, zdjęła warstwę białego delikatnego materiału, najmiększego, jaki zdołały znaleźć. Rączki i nóżki jak patyczki, wystające żebra, dziwnie ciemna skóra. Noworodek, przebudzony, czując, iż kończyny zostały uwolnione, natychmiast włożył maleńki kciuk do ust, ssąc zawzięcie. Przełożonej łzy napłynęły do oczu.

– Przeżyje chociaż? – spytała z powątpiewaniem. – Marnie wygląda.

– Powinno przeżyć. – Bernadetta delikatnie odsunęła przeorysę, pieczołowicie zwinęła maleństwo w warstwy materiału. – Wbrew pozorom taki kociak ma twardy żywot. Wyobraźcie sobie, matko przełożona, że gdyby urodziło się miesiąc później, byłoby gorzej. Tak już jakoś jest. Te wcześniaki z siódmego miesiąca bardzo często radzą sobie całkiem dobrze.

Zamilkła, patrząc z rozczuleniem na maleńką twarzyczkę. Dziecko zmarszczyło brwi, przez miniaturową twarzyczkę przeleciał zabawny grymas.

– Sporo wiesz i wiele umiesz.

– Sporo. Przecież za młodu byłam akuszerką. A poza tym sama przecież urodziłam... – głos jej się załamał.

No tak, jak mogła zapomnieć! Bernadetta trafiła do klasztoru po tym, jak podczas jednego z varijskich najazdów straciła męża i dzieci. To było tak dawno, a jednak rany do dzisiaj się nie zagoiły. Pewnie dlatego właśnie ta, jedna z najstarszych w zgromadzeniu, zakonnica przyłgnęła sercem do młodej dziewczyny. Matka zawsze dogada się z drugą matką.

Maive jęknęła i poruszyła się gwałtownie. Bernadetta gestem nakazała Branwennie zostać przy noworodku, a sama uchyliła drzwi.

– Leć migiem po Eudoksję – rzuciła do czekającej na polecenia nowicjuszki. – Chora odzyskuje świadomość.

Potem stanęła nad położnicą. Napotkała jej wzrok zamglony gorączką i strasznym, niepojętym zmęczeniem.

– Sostro... – wysilony szept ledwie był dosłyszalny. – Sostro... Gdzie dziecko?

Nie żyje?

Oczy uciekły w tył głowy, ciało wyprężyło się.

– Wracaj – krzyknęła Bernadetta – gdzie znowu odpływasz? Maleństwo żyje!

Na bladym obliczu Maive pojawił się wyraz wysiłku. Uchyliła powieki.

– Chłopiec czy dziewczynka?

– Dziewuszka. Zdrowa, chociaż bardzo mała. Nie przeraż się, gdy ją zobaczysz.

– Pokaż... proszę.

Bernadetta skinęła na Branwenę. Ta ostrożnie uniosła zawiniątko, wolnym krokiem podeszła do łóżka, odchyliła niemowlę tak, żeby dziewczyna mogła zobaczyć twarzyczkę.

– Boże – wyszeptła Maive – moje dziecko. Szkoda, że Alwen...

Patrzyła przytomniej, z każdą chwilą wzrok jej się rozpromieniał. Cud życia, owoc wielkiej miłości, narodzony na przekór wszystkiemu, mimo knowań złego świata.

Do celi weszła energicznym krokiem Eudoksja.

– Widzę, że lepiej z położnicą – zawołała od progu. – Bardzo dobrze. Nie ma dla młodej matki lepszego lekarstwa niż widok dziecka. A teraz przyłożymy małą do piersi, inaczej nie nauczy się należycie ssać.

– Kiedy nie ma pokarmu – odezwała się Maive drżącym głosem. – Wszystko stało się zbyt nagle...

– Nie ma, ale będzie – przerwała tonem nieznoszącym sprzeciwu Eudoksja. – A dzieciak musi wiedzieć, co to mleczny cycek. Mówię prawdę, Bernadetto?

– Szczerą prawdę – przyświadczyła zakonnica. – Najszczerzą. Podjesz koziego mięsa, czerwonego wina popijesz, żeby krwi przybyło, parę razy córeczkę do sutków przystawisz i popłynie z ciebie prawdziwa rzeka.

Maive bez słowa, z lekkim uśmiechem podawała się zabiegom. Po raz pierwszy od śmierci ojca poczuła się bezpiecznie. Te kobiety są takie dobre, delikatne, tak o nią dbają... Nawet nie wiedziała, kiedy zapadła w sen. Nie czuła nawet gmerania nieporadnych usteczek córeczki, nie wiedziała, że Eudoksja z Bernadettą masują jej piersi, pobudzając je do działania. Mogła poddać się słabości, zdać na innych. Pierwszy raz od tak długiego czasu. Od tylu dni, tygodni, miesięcy...



Szatny królewski Karol wisiał rozpięty na drewnianej ramie opartej o ścianę, przymocowanej łańcuchami do haków wystających z oślizłych od wilgoci kamieni. Zapewne dawniej nieheblowane deski były szorstkie, jednak krew dziesiątków, jeśli nie setek, skazańców wygładziła je, sprawiła, iż stały się gładkie, a nawet śliskie.

– Gdzie ona jest? – to pytanie słyszał od kilku dni bez przerwy. Dni? Tak, to

dopiero trzy, może cztery wschody i zachody słońca, ale jemu wydawało się, że minęły lata. Cierpienie wydłuża czas, spowalnia go, może nawet potrafi zatrzymać bezlitosny bieg, zamienia sekundy w minuty, a minuty w dni. Bo cierpienie jest jeszcze bardziej bezlitosne niż czas.

– Gdzie zostawiłeś dziewczynę? W którym klasztorze?

Milczał uparcie. Uznał milczenie za jedyną drogę, jaka mu została. Och, ileż razy w ciągu ostatnich dni miał ochotę wyznać prawdę, wykrzyczeć wszystko, żeby tylko minął ból. Zdawał sobie sprawę, iż jeśli tylko otworzy usta, by cokolwiek powiedzieć, choćby tylko rzucić oprawcom w twarz przekleństwo, może nie wytrzymać i zdradzić tajemnicę. Tajemnicę, która jest warta o wiele więcej niż jego jedno marne życie. Drzwi lochu skrzypnęły.

– Co z więźniem? – Znajomy głos. – Rozwiązałeś mu język?

– Nie, panie. – Kat rozłożył ręce w bezradnym geście. – Nigdy nie widział tak upartego człeka. Od czterech tygodni niszcę jego ciało, zadaję najgorsze męki, a on milczy. Jęknie, wrzaśnie nawet, ale milczy.

Przybyły zbliżył się. Na Karola spojrzały przenikliwe, zimne oczy hrabiego Burghiese.

– Musisz go w końcu złamać, małodobry. Od tego zależy zbyt wiele. Również twoje marne życie. Teraz zostaw mnie z nim samego.

– Słucham, wielmożny panie. Jeno pozwólcie sobie coś powiedzieć. Nie należy więźnia siec zanadto batem czy przeciągać mokrymi sznurami. Gotów ode tego szczeznąć, bo życie w nim znacznie osłabło. Nie próbujcie też podwazyć mu paznokci. Nie dacie rady, bo wszystkie zerwałem onegdaj. Nie należy także...

– Milcz, głupi! – rozgniewał się Ludwig. – Ani mi w głowie brudzić sobie rąk twoim rzemiosłem. Chcę z nim po prostu zostać sam! Won! Nie potrzebuję świadków.

Kat przełknął ślinę.

– Jeśli mogę upraszać się łaski, pozwólcie zostać mojemu pomocnikowi. Głuchy jest jak pień, możecie więc przy nim mówić swobodnie. Narzędzia włożyłem w ogień, trzeba ich doglądnąć.

– Dobrze. Wynoś się już!

Milczał, czekając, aż za oprawcą zamkną się drzwi. Kat jeszcze odwrócił się, zerkając z niepokojem na ruszt z rozgrzanymi do czerwoności szpikulcami i szczypcami. Hrabia przypatrywał się Karolowi z kpiącym wyrazem twarzy.

– Marnie wyglądasz, panie szatny. Gorzej od starego łachmana cuchnącego żebraka. A mógłbyś uniknąć cierpienia. Wystarczy jedno słowo. Gdzie jest Maive? Wiesz dobrze, że nie chodzi mi o tę dziewczkę, ale o Czarny Pergamin. Ten przeklęty papier musi zniknąć! Powiedz, gdzie jest, a panna vi Rimm zostanie oszczędzona, jeśli uspokoi to twoje sumienie. Gotów jestem przysiąc.

Karol z trudem rozróżniał rysy twarzy Ludwiga. Potworne zmęczenie i ból

mroczyły wzrok. O czym on mówi? Czy nie rozumie, że słowo szlachcica jest więcej warte od jego życia? Musi być więcej warte. Inaczej wszystko straci sens.

– I tak mi śmierć, i tak – wychrypiał z trudem. Odezwał się po raz pierwszy, pewien już, że niczego nie zdradzi. Spękane wargi spłynęły świeżą posoką. Na policzku otworzyła się szeroka rana, ukazując skrwawioną biel zębów. – A ty będziesz się smażył w piekle.

– Jednak nie zapomniałeś ludzkiej mowy. A już myślałem, żeś stał się podobny dzikiemu zwierzęciu.

– I nic więcej nie usłyszysz, rzeźniku.

– Jeszcze się przekonamy. Nasz małodobry z pewnością ma w zanadrzu jeszcze kilka bardzo zajmujących sztuczek.

Drzwi zgrzytnęły. Burghiese odwrócił się z gniewnym wyrazem twarzy.

– Mówiłem, żeby nie przeszkadzać!

– Wybaczcie, panie, to ja Hanes.

– Czego chcesz?

– Mam pismo od bajlifa Kaleemy. Przekazał je sztafetą, musi być niesłychanie pilne, bo obok pieczęci umieszczono znak gołębia.

– Na co czekasz? Dawaj!

Hanes podbiegł, wręczył hrabiemu złożoną na cztery, zalakowaną kartkę. Ludwig niecierpliwym ruchem złamał pieczęć, przebiegł wzrokiem rzędy liter. Powoli, jakby smakując każdą chwilę, podniósł oczy na Karola.

– Ona jest u świętej Eufrozyny na Mont Salome, prawda? – roześmiał się gardłowo. – Ależ tak! I razem z nią jest tam rzecz, o której mówiłem, prawda? Na pewno! Dostrzegłem przerażenie w twoich oczach! Widzisz, głupi człowieczku, przed kimś takim jak hrabia Burghiese nic się nie ukryje. A ludzi chętnych oddać mi przysługę jest tysiąckroć więcej niż tych, co mieliby odwagę stanąć na mej drodze!

Z triumfalnym uśmiechem odwrócił się do Hanesa. Oficer wyprężył się.

– Zatem, mój żołnierzu, niebawem wyruszysz z ważną misją. Przy okazji odwiedzisz garnizon w Grindi i zobaczysz, jak tam sobie radzi nasz pieszczošek d'Orenburg.

– A co będzie z nim? – Hanes ruchem brody wskazał umęczoną postać szatnego.

– Jeśli wiadomości się potwierdzą, pójdzie pod nóż. Do tej pory niech go starannie kurują. Gdyby przyszło znów się nim zająć, nie może zdechnąć od pierwszych poczynąń kata. Ale wyjdźmy na zewnątrz. Jeżeli nie muszę siedzieć dłużej w tym smrodzie, chcę odetchnąć świeżym powietrzem.

Karol z niesamowitym bólem w duszy odprowadzał wzrokiem wychodzących. To było gorsze od tortur. Na nic poświęcenie i cierpienia. Na nic wszystko. Na nic! Na nic!!! Jedno zdradzieckie słowo z ust przeniwiercy!

Burghiese nie omieszkał się pochwalić, kto wydał szatnego. Bądź po stokroć

przeklęty arcybiskupie! Z gardła wydobył się rozpaczliwy skowyt. Kulawy pomocnik kata wypęzł z ciemnego kąta. Karol zapomniał zupełnie o jego istnieniu, a teraz patrzył na zbliżającą się pokraczną postać. Kaleka, szurając głośno bezwładną nogą, podszedł do więźnia, zajrzał w wyniszczoną nieludzkimi cierpieniami twarz. Ze zdumieniem ujrzał płynące po skrwawionych policzkach przejrzyste strumyki. Ten człowiek, który wytrzymał najgorsze męki bez słowa, nie roniąc nawet jednej łzy, teraz płakał! Dlaczego? Tego nie mógł pojąć ograniczonym umysłem. Jednak ten widok poruszył jakąś ukrytą strunę w wyziębionej codziennym oglądaniem okropieństw duszy.

Wyciągnął rękę, grubym, zniekształconym artretyzmem palcem dotknął zawisłej pod brodą Karola, podbarwionej krwią słonej kropli. A potem nagle zatrząsł się, przeszyty po samo dno serca niemożliwym do opanowania dreszczem współczucia i, nie wiedząc do końca dlaczego, zdumiony tym, co czuje i co czyni, sam rzewnie zapłakał.



– Wystaw sobie, Alwenie, ta szelma miała chyba ze trzysta lat! Jak spała, zaklęcie osłabło, ale było za ciemno, żebym to dokładnie zobaczył, a gdy się zbudziła, zaraz znów zaczęło działać, więc myślałem, że uległem złudzeniu, jakie czasem bywa w pomroce. Jednakowoż kiedy Horris ściągnął z tej cholery maskujący urok, pewien byłem, że ujrzałem w tej chwili powstałe z grobu truchło mej własnej prababki, a muszę ci rzec, że nawet za życia nie słygnęła owa zacna niewiasta z urody! A żebyś wiedział, jak próbowała się ukryć! Przez pół pacierza we dwóch nie mogliśmy jej spod łóżka wyciągnąć, tak się chwyciła wystającej z podłogi deski! Wyła i błagała, żebyśmy jej dali spokój! Co to za kraj! Co za ludzie tu mieszkają!

Koniokrad w czasie opowieści Pillgrima trzymał się za brzuch, nie mogąc powstrzymać śmiechu. Horris również chichotał z boku. Mistrz Ekhart czekał cierpliwie, aż się uspokoją. Twarz miał poważną, choć błąkał mu się po ustach leciutki uśmiech.

– Nie wszystko, co człowiek widzi, musi być tym, czym się wydaje – powiedział Horris. – Henrietta próbuje nabrać każdego przybysza, jakiego napotka. Nikt tutejszy nie skusi się na jej pozorną młodość i powab. Ale niedoświadczeni cudzoziemcy idą za nią bez zastanowienia. Ciebie, baronie, miała sprowadzić do nas niezwłocznie. Poruczyłem jej to zadanie, gdyż ani ja, ani tym bardziej Mistrz Ekhart nie mamy czasu wystawać na głównej ulicy, a Alwen nie powinien się zbyt często kręcić w jednym miejscu, żeby nie wzbudzić czujności szpiegów Ludwiga Burghiese. Wiedzieliśmy zaś, że wyruszyłeś w drogę, bo Mistrz otrzymał wieści w dniu twojego wyjazdu z

Dorany. Wiedźma otrzymała za usługę sowitą zapłatę, ale przyzwyczajenie i nadmierna namiętność okazały się silniejsze.

– A mówiła, że nie wie, kto to Horris – mruknął baron. – Że wielu nosi to imię... Gdybym się tylko domyślał...

– No cóż, mój drogi – Alwen otarł łzę z kącika oka – po prostu myślałeś w tamtej chwili nie tą częścią ciała, w której znajduje się rozum. Bo to, dokąd go wówczas zagnałeś, zbyt małe jest, aby sprostać wielkiemu myśleniu.

– Tak, kpij sobie, kpij z mojego nieszczęścia – odparł z ponurą miną Pillgrim. – Ciekawe, czy ty byś się nie skusił na taką jędrną dzierlatkę! Nie, to zły przykład. Masz swoją Maive, a tak obrzydliwie wiernego męża jak ty w życiu nie spotkałem. Ta Henrietta zachowywała się niczym klaczka w czasie rui! A ja wygłodzony byłem jak nigdy!

– Gdybyś spojrział jej głęboko w oczy – odezwał się nagle Ekhart – mógłbyś dostrzec nieomylnie znaki zwiastujące, iż jest kim innym niż wskazuje powierzchowność.

– Zaś tam patrzyłem jej w oczy – mruknął baron. – Moje własne oczy błędziły po zupełnie innych rejonach. Diabli! – Wyciął pięścią w kolano. – Naprawdę było na co popatrzeć!

– Pewnie – parsknął śmiechem Horris – było. Osobliwie, kiedy spadły uroki. Żeby jeszcze była odziana, to pół biedy, ale stała naga, więc gdy wróciła do swej zwykłej postaci, nasz kochany Pillgrim o mało nie wyskoczył przez okno! W każdym razie zebrało go wyraźnie na womity.

Rozległ się śmiech. Tym razem w ogólnej wesołości brał udział także czarnoksiężnik.

– Dobrze już, wystarczy – powiedział po chwili. – Jak mniemam, baron nie przybył do nas bez powodu.

Pillgrim natychmiast spoważniał, zmarszczył brwi.

– To prawda – rzekł. – Przywiozłem wieści. Niedobre wieści.

– Mów – Alwen odetchnął głęboko.

– Chodzi o Vordę.

Baron przygryzł wargi. Chciał jak najbardziej odwlec ten moment, nie wypowiadać okropnych słów, ale nie mógł dłużej czekać.

– Vorda nie żyje.

Alwen poderwał się z miejsca.

– Dlaczego od razu nie mówiłeś?

– Na złe wiadomości zawsze jest czas. – Pillgrim również wstał. – A już z pewnością poczekać chwilę mogą takie, na które nie ma rady.

– Jak to się stało?

Pillgrim usiadł, westchnął przeciągle, a potem zaczął opowiadać...



Wyskoczyli ze wszystkich stron. Oddział wojska w mgnieniu oka został otoczony przez horde dzikich wojowników, wyjących i szczerzących żółte zęby. Sierżant Viries błyskawicznie ocenił sytuację.

– W krąg, w krąg! – wrzasnął. – Miecze przed się i cofać się jeżem ku tym skałom!

Klął w duchu na czym świat stoi. Proch zamókł, lonty na ulewie pogasły, na nic wleczone z trudem ciężkie samopały. A zdałoby się zagrznieć na zbójów, zaraz by poszli w rozsypkę. Wciąż jeszcze czują respekt przed ognistymi kijami. Po pancerzach wojaków zadzwoniły pierwsze strzały. Dobrze, że stary dowódca nie zgodził się, by poszli na patrol w najłżejszym rynsztunku. Już by ich pewnie połowa nie stała na nogach. A tak, w jakiej takiej chociaż blasze, zachwieje się tylko któryś, przyklęknie, bo grot przebije napierśnik, wtargnie głębiej w przeszywanicę i zrani, ale nie zabije. A i szyk łatwiej utrzymać, gdy wesprze się solidnie pancernym ramieniem o ramię towarzysza w szeregu. Cofali się, ścigani groźnymi okrzykami, aby oprzeć się o skałę.

Vallery d'Orenburg wy dobył miecz, w lewą rękę chwycił długi lewak. Rozglądał się czujnie. Skinął na kuszników znajdujących się w środku zbrojnego kręgu. W panującym hałasie, w odbijających się od skalistych zboczy zwielokrotnionych krzykach, komendę można było wydawać tylko gestami. Strzelcy odrzucili zbędne w tej chwili arkebuzy, zdjęli z pleców niewielkie kusze, błyskawicznie napięli cięciwy, bełty położyli na łóżach. Wzrokiem odszukał sierżanta, kiwnął głową. Niech dowodzi, jak było ustalone. Viries w lot pojął zamiar pułkownika. Uniósł do ust świstawkę. W gwar wdarł się przenikliwy, cienki odgłos. Mrowie dzikich wojowników darło się ku najeżonej bronią grupce. Na dźwięk gwizdka pierwszy szereg przyklęknął, umożliwiając oddanie strzałów. Pociski świsnęły salwą. Posypał się trup, padli pierwsi ranni. Szereg napastników odpadł, cofnął się, jednak z tyłu napierali inni. Ludzka nawała runęła wprost na nastawione ostrza żołnierzy. Zaczęli rąbać, ile kto miał sił. Nie było miejsca ani czasu na wykorzystanie sztuki szermierczej. Liczyła się jedynie szybkość i moc ramienia. Bryzgi krwi zabarwiły pancerze, krople czerwieni osiadły na twarzach. Ale i z tamtej strony padały ciosy. Ten i ów wojak już osuwał się z jękiem pod nogi kamratów. Starsi i doświadczeni żołnierze ostrożnie szafowali siłami, tam tylko rąbiąc, gdzie ostrze można wrazić w miękki brzuch, pod pachę czy rozsiekać głowę. Młodszy, którzy nie zasmakowali jeszcze bitew, grzmocili mieczami prędko, bojąc się, że jeśli tylko zwolnią tempo, natychmiast przeszyje ich wraży sztych. Dlatego też słabli pierwsi.

Vallery patrzył z troską na oddział, wywijając orężem. Rozłupał czaszkę najbliższemu Varijczykowi, lewak wraził w gardło drugiego. Ile wytrzymają?

Czterdziestu ludzi nie może sprostać zbyt długo takiej nawale. Górale wypełnili wąwóz, a jeszcze zdawało się ich przybywać z każdą chwilą. Znów popatrzył na Viriesa. Tamten powoli, prawie niedostrzegalnie pokręcił głową. To koniec, jeżeli nawet stary górski lew nie widzi wyjścia z opresji. Nic się nie poradzi, takie już bywa życie żołnierza. Szkoda tylko, że Burghiese będzie miał powód do radości. Kuszniccy nad głowami walczących ślali strzałę za strzałą w napierający tłum. Jeszcze salwa, dwie i zabraknie pocisków.

– Uchodźcie, panie. – Vallery usłyszał tuż nad uchem zadyszany głos. Sierżant Viries przepchnął się do niego. Wskazał szczelinę w skale za plecami. – Tędy. Jak znam tę część gór, powinna wychodzić z drugiej strony zbocza. Szczupli jesteście, zmieścicie się.

– Zgłupiałeś, sierżancie? Sam miałbym tylko o siebie zadbać?

– Nie ma czasu, panie pułkowniku, wasze życie jest zbyt cenne. A nam tak czy siak śmierć pisana. Jeden tylko zdoła uciec!

Vallery płynnym ruchem, mierzonym płaskim cięciem odrąbał przeciwnikowi wznoszącą się do ciosu rękę tuż pod nadgarstkiem. Okaleczony Varijczyk zawył straszliwie, zwinął się i padł pod nogi pobratymców.

Nie zważali na rannego, depcząc po wrzeszczącym, byle tylko dopaść przeciwnika.

– Czas najwyższy, panie – ponaglił Viries. – Długo już nie wytrzymamy!

– A ty byś uciekł, stary? – Vallery płaskim sztychem ostudził zapędy wielkiego górala, który próbował mu zmiażdżyć czaszkę maczugą. – Skoro tak chcesz, żebym ja to zrobił, może sam spróbujesz?

Sierżant nie odpowiedział. D'Orenburg zerknął, czy weteran żyje. Viries ze ściągniętą twarzą przyglądał mu się przez mgnienie oka.

– Jak chcecie, pułkowniku.

– Śmierć jest wszędzie taka sama. Hańba też. Zginę przy żołnierzach.

Sierżant cofnął się między kuszników. Już zabrakło im strzał, rzucili więc kusze, wydobyli krótkie miecze. Włączyli się do walki wręcz, zastępując tych, którzy zginęli albo konali pod stopami towarzyszy. Grupka żołnierzy topniała w oczach. Zbyt byli już zmęczeni, aby odbijać każdy cios, narastające znużenie odbierało ochotę, by unieść rękę, zasłonić głowę, unikać sztychów...

– Koniec – powiedział Viries, stając w szeregu obok dowódcy.

– Koniec – odparł Vallery, uśmiechając się szeroko. – Przyjmijmy to z godnością.

– Przy takim nie żal umierać – mruknął sierżant.

Szkoda tylko sprawnego wojownika, pomyślał, patrząc z mimowolnym podziwem na młynkujące w rękę d'Orenburga ostrze. Temu nawet ścisk nie przeszkadza. Co zawinie, upuszcza wrogowi krwi. A pracuje z dokładnością, jakiej nie powstydziliby się doświadczony wojskowy chirurg, tnie tam, gdzie klinga najłatwiej wchodzi w ciało i nie ciągnie jej dłużej niż potrzeba, by obezwładnić przeciwnika. Wygląda, jakby

wcale się nie zmęczył, choć innym już pot zalał oczy. Naprawdę szkoda... Rozejrzał się. Zostało ich może piętnastu. Sierżant dawno już przestał wydawać komendy, bo przy takiej garstce nie ma komu, każdy wie, co robić, a robi, co musi. Zresztą przy życiu pozostali już tylko ci najtwardsi, najbardziej doświadczeni, których trudno zgryźć. Są niczym korek na wodzie wśród zalewu burzowych fal. Każda zdaje się władna pochłonąć maleńki przedmiot, wcisnąć bezpowrotnie w otchłań, ale on zawsze wypłynie. Trzeba by go rozetrzeć w pył, aby przestał istnieć. I Varijczycy wreszcie tego dokonają. Rozsieją dzielnych synów wojny, zanurzą się w ich krwi, podczas wieczornej uczty zjedzą członki, jądra i mózgi wrogów, aby spłynęła na nich ich dzielność.

Dzikię, wykrzywione wściekłością twarze zaczęły się sierżantowi zlewać w jednolitą masę. Nadchodzi ta chwila, kiedy wojakowi robi się wszystko jedno. Zaraz omdleje, zatraci się w słabości. Podobno łatwiej wtedy przyjąć śmierć. A niech tam, niechże otuli go zimnymi ramionami nieodłączna towarzysząca żołnierskich szlaków. Wzniósł jeszcze dłoń do góry, opuścił mordercze ostrze. Jeszcze raz... i jeszcze, dokąd starczy sił i przytomności. Nadchodzi mrok. Co czynić? Trudno, trzeba się pogodzić z nieuniknionym.

Nagle, w chwili, kiedy miał już poddać się rezygnacji, zabrzmiał donośny głos rogu, a potem głośny huk. Tak grzmieć potrafią tylko wielkie hakownice! Ale skąd one tutaj? Proch wysechł i ktoś zdołał naładować rurę? Nie, skąd... przecież nie ma już kto strzelać, tym bardziej że bezużyteczna broń została tam, gdzie teraz kłębi się tłum górali.

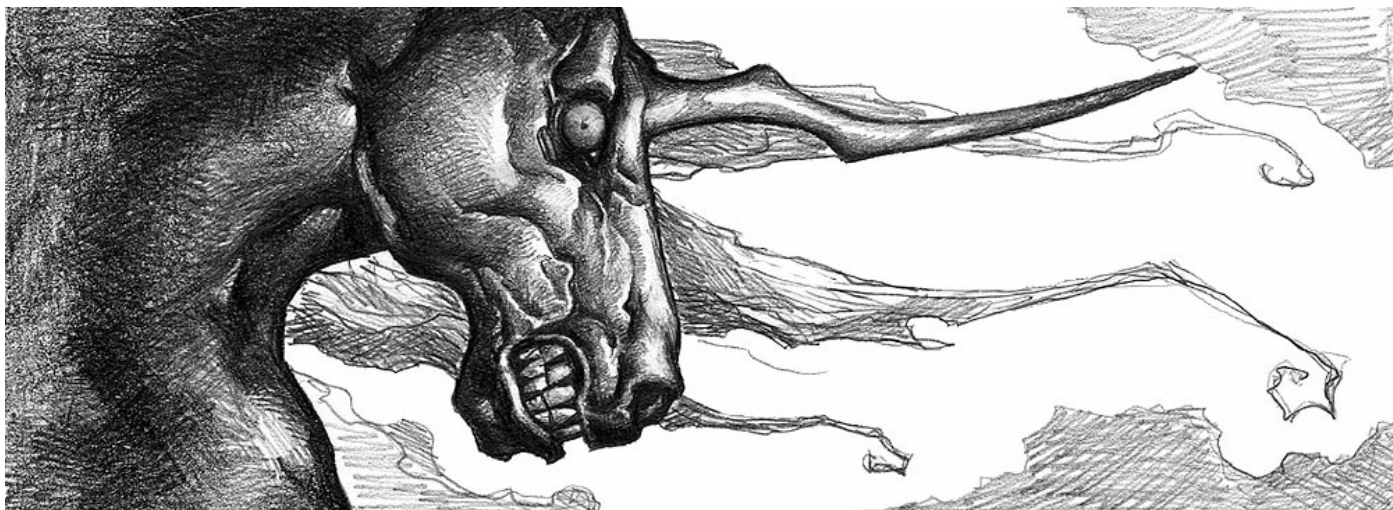
Znów salwa strzałów. Viries poderwał głowę. Wsadził nóż prosto w oko atakującego Varijczyka.

– Odsiecz! – wrzasnął. – Odsiecz idzie! Bić się, nie ustawać!

Vallery d'Orenburg odbił lewakiem cios walący się na głowę sierżanta, ciął dołem, wypuszczając z półnagiętego, oszalałego ogniem walki napastnika kłęb wnętrzości. Pozostali Varijczycy zawahali się, cofnęli, a potem rzucili do ucieczki w kierunku zachodniego wyjścia z wąwozu. Od wschodu pojawiły się pułkowe proporce.

– Nie daj się zabić, stary! Nie teraz! – krzyknął Vallery, odbijając jakiś niezdecydowany, zabłąkany sztych, zadany przez bardziej zajadłego górala.

Nie teraz, racja. Głupio zginąć tuż przed końcem walki, przed wybawieniem... Coś cicho zaszeleściło. Dopiero po chwili Viries zrozumiał, że to nie szelest, ale głuchy odgłos uderzenia. Poczował mdłości. A jednak dostał na sam koniec. Dziwnie umierać, patrząc na nadciągających wyzwolicieli. Zobaczył jeszcze Vallery'ego, który wyskoczył przed szereg, aby zasłonić sierżanta przed następnym uderzeniem. Zaraz potem wszystko rozmyło się w ciemnej mgle.



Rozdział 13

Dziecko spało zawinięte w chusty. „Musisz je donosić” – powiedziała Bernadetta, a Eudoksja kiwała tylko głową. Tak to się podobno robi – dziecina spoczywa na brzuchu matki, czerpiąc z niej ciepło, posilając się mlekiem, kiedy zapragnie. Wcześniak. Wszystko ma swoje dobre i złe strony. Gdyby urodziła przed czasem w rodzinnym domu, nie wiadomo, czy maleńka mogłaby przeżyć. A tutaj miała najlepszą opiekę. Uczona Eudoksja, doświadczona Bernadetta, imponujący zbiór ziół na wszystkie okoliczności... Może ten wyjazd, wszystkie nieszczęścia i śmierć ojca nie były zupełnie pozbawione sensu? Może tak właśnie srogie przeznaczenie ukazuje człowiekowi nieco łagodniejsze oblicze?

Maleńka, pomarszczona jeszcze twarzyczka przypominała oblicze staruszka. Życie zatacza krąg. Malutka istota jest zupełnie uzależniona od innych. Potem rośnie, rozwija się, kipi energią, przywołuje na świat nowe istnienia, żeby pod koniec drogi po tym padole łez zwiędnąć, znów stać się zależną od łaski i niełaski ludzi, wreszcie zgasnąć. Bóg daje duszę, a potem ją zabiera. Wszystko należy do Niego i wszystko od Niego zależy... Przeznaczenie – to On jest przeznaczeniem. Maive uśmiechnęła się smutno na wspomnienie zniecierpliwionego wyrazu twarzy Koniokrada, kiedy się o to spierali. On nie wierzył w przeznaczenie, drażniło go takie spojrzenie na świat. Człowiek sam sobie wykuwa los, mawiał, a nie kieruje nim jakaś niewidzialna dłoń. Nie należy mieszać Boga do pospolitych, codziennych spraw. Jest stwórcy i tchnął ducha we wszystko, ale gdyby sam decydował o każdym ruchu każdej istoty, jakież sens miałyby Jego dzieła?

Do celi weszła matka przełożona z Bernadettą. Cichutko, żeby nie zakłócić snu niemowlęciu, podeszły do łóżka. Bernadetta przyłożyła dłoń do czoła położnicy.

Wyglądała na zadowoloną.

– Nareszcie. Odzyskujesz siły. Jeszcze wczoraj ciało miałaś chłodne, a dzisiaj, widzę, jest o wiele lepiej. Powinnaś niebawem stanąć na nogi. Młoda, zdrowa dziewczucha z ciebie, Maive, czerstwa jak rzepa. Nie jesteś podobna tym ulotnym, dobrze urodzonym panienkom, którym zaszkodzić potrafi skórka z nieobranego jabłka.

– Ojciec o to zadbał – odpowiadając, czuła, jak jej głos przenika śpiącą córeczkę, wprawia w drżenie maleńkie członki, ale nie zakłóca odpoczynku dziecinie, ale raczej ją uspokaja, sprowadza głębszy, spokojny sen. – Nie siedziałam pod kominkiem, tkając lub wyszywając. Mówił, że nie dochował się syna, więc mnie w udziale przypadnie zadbać o pomyślność i sprawy rodu. Wyuczył mnie nawet sposobów walki, jakich nie powstydziliby się niejeden rycerz.

– Wbrew temu, co mówił, przygotowywał cię jednak do obowiązków – powiedziała w zamyśleniu Branwena.

Do takich obowiązków, które mogą się wydawać zbyt ciężkie nawet silnemu mężczyźnie.

– Mówicie o Czarnym Pergaminie, matko? Szkoda tylko, że tak niewiele mi powiedział, nawet przed śmiertelnym pojedynkiem.

– Na razie o tym nie myśl. – Bernadetta potrząsnęła głową. – Masz teraz ważniejsze rzeczy na głowie niż jakieś męskie sprawy.

– Racja. – Branwena uśmiechnęła się. – My też mamy pilniejsze obowiązki. Trzeba znaleźć i ukarać winne! A głupia Winifreda opuści nasz klasztor w niesławie.

Maive uniosła się na łokciu, nie bacząc, iż może obudzić dziecko.

– Mam prośbę, matko przełożona – rzekła z napięciem w głosie.

– Mów, dziecko, postaram się spełnić każdą, jeśli jestem władna.

– Jesteście i musicie ją spełnić! Przyrzeknijcie mi!

– Zanim coś powiesz? A jeżeli jednak nie będę w stanie?

– Będziecie, pani. Obiecacie. Nie odmawia się chorej takiej przysługi...

– No dobrze – odparła z wahaniem Branwena. – Jeśli nie będzie zdrożna, mogę obiecać.

Maive milczała przez chwilę, zbierając myśli.

– W takim razie proszę, wstrzymajcie karzącą dłoń. Nie szukajcie sprawczyń, wybaczcie Winifredzie.

– Ale... Tak się nie godzi, moja droga! Ona próbowała zabić dziecko, nie bacząc nawet, iż przy tej sposobności może zabić i ciebie. A te, które ją do tego nakłoniły, nie są wcale mniej winne! Przeszukałyśmy dokładnie cele. I wyszło także na jaw, że Hortensja spiskowała z kilkoma mniszkami, przekazując bajlifowi Kaleemy wieści z klasztoru. O tobie pewnie też doniosły! Naraziły cię na niebezpieczeństwo! Gdybyś nie była w tak ciężkim stanie, odesłałabym cię niezwłocznie gdzieś daleko. Musi być

kara za takie postęпки!

– Nie, matko. Skoro ja im wybaczam, ty także powinnaś zaniechać sprawy. Bóg nakazał odpuszczać bliźnim przewiny. Skoro pozwolił mimo wszystko pozostać przy życiu małej i ty nie bądź surowsza od Jego wyroków. Proszę.

Branwena była wyraźnie wzruszona, a Bernadetta nawet nie próbowała ukrywać łez.

– Więcej w tobie dobra niżli w niejednej, którą powołano na ołtarze – głos przeoryszy zadrżał – i o wiele więcej niż we mnie samej... Dobrze, moja droga, stanie się, jak zechcesz.

– Dziękuję.

– Ty?! Niech dziękują te, które wybawiłaś od skutków mego gniewu.

– Dziękuję jednak, także w imieniu tej dziewczyny. Nie chciałam, żeby jej przyjście na świat wiązało się z cudzą krzywdą... nawet zasłużoną...

– Właśnie. – Bernadetta pochyliła się nad Maive, odsunęła rąbek chusty, odsłaniając główkę niemowlęcia. – Wiesz już, jak chcesz dać jej na imię?

– Anna...

– Anna – powtórzyła Branwena. – Wiesz, że to znaczy „łaska”.

– Właśnie, matko przełożona. Niech dostąpi w życiu więcej łask niż ja.

– Dobrze, córko. Będzie Anną vi Rimm.

– Nie. Będzie Anną vi Rimm de Morano. Branwena zachnęła się.

– Co ty wygadujesz, dziewczyno! De Morano zostali wyklęci i skazani na zapomnienie!

– Anna vi Rimm de Morano – powtórzyła z uporem Maive. – Wbrew wszystkim i wszystkiemu, aby uczcić i zachować pamięć o szlachetnym rodzie, który spotkał niezasłużony los! Wyklęte i skazane na zapomnienie powinny być imiona tych, którzy przyczynili się do jego wyniszczenia.



Mdły poblask oliwnej lampki wydobywał z mroku twarz Mistrza Ekhartha, układając skomplikowany wzór cieni na pobrużdżonej zmęczeniem twarzy. Wszyscy są zmęczeni, pomyślał Alwen, potężny czarnoksiężnik, ja, Horris, nawet tryskający zawsze wigorem Pillgrim. Jesteśmy przemęczeni ciągłą gonitwą, przeciwnościami losu, zmaganiem z własną słabością i niespełnionymi marzeniami... Jesteśmy znużeni życiem. Tak bardzo, że mistrzowi magii nie chce się rozpalić prostym zaklęciem ognia na kominku, rozświetlić komnaty czy chociaż przywołać służbę, żeby to wykonała. Woli siedzieć przy byle jakim płomyczku. Może to zresztą lepiej. Łatwiej tak rozmawiać.

– Chciałem cię uchronić – Ekhart mówił przyciszonym głosem. – Zamierzałem jak najdłużej przetrzymać cię w gościnie.

– Dlatego unikałeś rozmów ze mną?

– Dlatego. Spodziewałeś się jakiegoś zadania, żądania zapłaty za uratowanie życia. To rozpraszało twoje niespokojne myśli.

– Wiedziałeś o wszystkim od samego początku! – Koniokrad poczuł wzbierający w piersi żal i gniew. – Wiedziałeś, że stary Vorda zginął, a Maive wywieziono nie wiadomo dokąd!

– Wiedziałem. – Czarnoksiężnik potrząsnął głową, jakby chciał pozbyć się natrętnej muchy. – Ale nie miałem pełnej świadomości wszystkiego, nie wiedziałem o pewnych sprawach.

– Dlaczego? – Alwen wstał, zacisnął pięści. – Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Usiądź, chłopcze, i wysłuchaj, co mam do powiedzenia.

Koniokrad dyszał ciężko, starając się opanować. Wreszcie siadł, patrząc ze złością na Mistrza Ekhearta.

– Mów.

Czarnoksiężnik odetchnął głęboko.

– Wezwałem cię do siebie, jak już mówiłem, aby chronić przed niebezpieczeństwem. Ocalić życie, nie zaś żądać zadośćuczynienia za usługi Horrisa. Wiedz, iż tak czy siak, do końca życia nie zdołam spłacić długu, jaki zaciągnąłem, gdyś uratował jednoroźca. Bo ocaliłeś wtedy nie tylko moje życie, ale przede wszystkim duszę. Oczywiście, miałem wieści o śmierci Vordy i umieszczeniu jego córki w odosobnionym miejscu, dalekim klasztorze. Jednak wiedziałem również, że nie zagraża jej tam niebezpieczeństwo. Ty zaś, gdybyś się zorientował zbyt szybko w sytuacji, gotów byłeś na każde szaleństwo, wbrew wszystkim i wszystkiemu. Nie zaprzeczaj!

Wejrzyj w siebie i przyznaj mi rację. Nie próbowałbyś odbić dziewczyny? Właśnie. A po co, skoro znalazła się w jedynym bodaj miejscu, gdzie nie sięgały macki przekłętą Burghiese? Jak mógłbyś pomóc, wyrrywając ją stamtąd ciężarną i niezdatną do ciężkich przepraw. Wiedz, iż od czasu naszego spotkania w górach, często o tobie rozmyślam i śledzę twoje losy. Tak, możesz być zdumiony, ale nie dziwiłbyś się, gdybyś znał prawdziwie istotne sprawy świata. To nie tylko moja wdzięczność, ale przede wszystkim wyrachowanie. Stanowisz oś pewnych wydarzeń, w innych jesteś tylko częścią, ale niezmiernie ważną częścią. Kręcisz głowę z niedowierzaniem, ale tak jest, chcesz tego czy nie. Stąd moje uniki, drobne oszustwa, dlatego zwabiłem cię do Halarii. Ale... No właśnie, zawsze pozostaje jakieś ale...

Zamilkł, zbierając myśli. Alwen słuchał ze wzrokiem wbitym w spoczywające na stole, wypielęgnowane dłonie Mistrza. Chciał go ocalić, uchronić przed niebezpieczeństwem... Szlachetne pobudki. Ale choćby najszlachetniejsze, czy mogą

usprawiedliwić ukrywanie prawdy?

– Wiem, o czym myślisz – rzekł Ekhart. Na widok wyrazu twarzy Koniokrada strzepnął niecierpliwie dłonią. – Nie, nie czytam w twoich myślach, chłopcze. Nigdy nie posunąłbym się do czegoś podobnego względem przyjaciela. Ale wiem, co ci chodzi po głowie, bo to doprawdy nietrudno odgadnąć. Nie myśl sobie, że ja nie mam żadnych wątpliwości. W tej chwili dochodzę do wniosku, iż od samego początku powinienś znać prawdę. Tak byłoby lepiej. Jak widzisz, przeznaczenie naprawdę jest silniejsze od człowieczych zamiarów. Ma większą moc niżli najpotężniejsza magia. Potrafi w jednej chwili wszystko zmienić, zbudować lub obrócić w pył. Ku memu ogromnemu żalowi, sam dzisiaj przyznaję, że musisz wracać do Vereeny, ratować, co jest do uratowania.

– Nadal nie do końca pojmuję. Oczywiście, wracam. Nie można inaczej. Ale zgaduję, że wydarzyło się coś, co wprawiło cię w przerażenie. Co?

– Ona – Mistrz najwyraźniej z trudem wydobywał słowa – jest zagrożona. Ludwig schwytał tego, kto wie, gdzie Maive przebywa. Ten może nie powiedzieć słowa, związany śmiertelną przysięgą, ale może też się załamać. I jest jeszcze coś. Nad klasztorem na Mont Salome zawisła straszna groźba. Musisz tam jechać. Musisz wydobyć Czarny Pergamin!

Alwen poderwał się na równe nogi.

– Gdzieś mam ten przeklęty Czarny Pergamin! Słyszę o nim od lat i nie wiem, czym jest naprawdę! To jakieś przekleństwo!

– Musisz! – Głos czarnoksiężnika nabrał mocy, pojawiły się w nim groźne tony. – Od tego zależy los nie tylko twój, ale wielu ludzi, może nawet całych państw! Czarny Pergamin jest czymś więcej niż świstkiem papieru, na którym wypisano imię jakiegoś tam człowieka! To przedmiot zawierający wielką tajemnicę, stworzony przez tajemniczego, genialnego czarnoksiężnika. Jest tak doskonały, że nie można go wytropić magicznymi sposobami, podobnie jak nie można wytropić zagubionej w świecie zwykłej kartki papieru, a co za tym idzie, oddziaływać nań mocą. Ten, kto dokument stworzył, musiał osiąść wiedzę większą niż jestem sobie w stanie wyobrazić, skoro tak doskonale go zabezpieczył przed zakusami innych magów.

Koniokradowi drgały mięśnie na policzkach, gniew zdawał się rozsadzać serce. Dlaczego człowiek nie może żyć własnym życiem? Dlaczego nie może znaleźć szczęścia i być po prostu szczęśliwym? Świat zawsze stanie na przekór, zakłóci słodkie chwile. A są one tak rzadkie i trwają niezmiernie krótko. Maive... Wcale nie najpiękniejsza z niewiast, jakie napotkał na swej drodze, córka mrukliwego vi Rimma, jak ojciec uparta, potrafiła wyprowadzić z równowagi jednym słowem. Ale zarazem tak słodka, w jej obecności mogło się przyśnić, że świat naprawdę może stać się lepszy.

– Wysłuchałeś mnie cierpliwie – rzekł Ekhart, przerywając przeciągającą się ciszę.

– Teraz czyn swoje. Jedź, ratuj ukochaną, ale pamiętaj też o Czarnym Pergaminie. On jest bardzo ważny.

– Niech będzie. Będę pamiętał. Ale jeśli od tego ma zależeć szczęście moich bliskich, zrobię, co nakaże serce, a nie rozum.

– To dla mnie oczywiste. Na tyle zdążyłem cię już poznać.



– Dzięki wam, panie pułkowniku. – Viries z obandażowaną głową stał wyprężony przed Vallerym. – Drugiego takiego ciosu hełm by nie wytrzymał. I tak mi się zdawało, że przyszedł koniec. Ryzykowaliście życiem, wyłaząc pod nogi tej hałastrze.

– Nie dziękuj, stary. – D’Orenburg poklepał go poufale po ramieniu. – To zwyczajna rzecz, gdy się walczy ramię w ramię. Ty też byś mnie zasłonił. I nie stój na baczność niby świeżo przyuczony rekrut. Co dobre na królewskich pokojach, to zbędne w takim garnizonie na końcu świata. A wdzięczność obaj winniśmy Rupertowi di Lorenzo. To jego przytomność umysłu nas uratowała.

Siedzący za stołem kapitan machnął lekceważąco ręką.

– Nie ma o czym mówić. Dobrze, że wcześniej wysłał postrzegaczy. Donieśli mi o ruchach Varijczyków na drugi dzień po waszym odjeździe. Jak widać, parę godzin później i tylko ogryzione kości byśmy po was zbierali. Gorzej, bo zagony górali napierają na całym pograniczu.

– Usiądźmy – rzekł d’Orenburg. – Trzeba uradzić, co musimy czynić, żeby ich nie puścić dalej.

Viries z ulgą spoczął na ławie. Jeszcze szumiało mu w głowie i odczuwał słabość w kolanach.

– Zachowują się, jakby nie zima szła, ale raczej wiosna. Wtedy zazwyczaj schodzą z gór, bo pędzi ich głód. Ale jesienią? Dziwne.

– Nic w tym dziwnego – zaproponował di Lorenzo. – Varijczycy też nie są w ciemną bici. Wiedzą, że kraj po wojnie osłabiony, wojska mniej niż zazwyczaj, a dobry żołnierz w dużej części wybity. Korzystają więc ze sposobności. Przecież król nie przyśle tutaj regularnych oddziałów, bo nawet nie ma tylu ludzi, by zabezpieczyć granice.

– Ma – odparł Vallery. – Ale Burghiese namówił go na nową awanturę z Gernonem.

– Jeszcze nie mają dosyć po ostatnim przesławnym laniu?!

– Jak widać nie. I nie jest to takie głupie, jakby się zdawało. Gerno musiał się zająć administracją świeżo zdobytych ziem, ustanowić nowe garnizony i przydzielić do nich wojsko. Czego zaś chce hrabia, wiedzą wszyscy. Władzy. Jeśli teraz nową wojnę

wygra, umocni swoją pozycję jako wielki zwycięzca. Jeśli przegra, również wyjdzie z rozgrywki wzmocniony, bo za porażkę obwini nieudolnego króla i generałów. Bodaj go...

– My mamy jednakowoż radzić nie nad tym, co knują na dworze, ale co mamy na miejscu – ostudził przełożonego Rupert. – Jeśli puścimy górali w głąb kraju, ucierpią niewinni, a w stolicy powiedzą tylko, że zawinili dowódcy placówek nadgranicznych.

– Przydałyby się jeszcze przynajmniej ze dwie kompanie strzelców – mruknął Viries. – Bo tak, jak jest, nie mamy nawet kim obsadzić okolicznych posterunków.

– Nasze pobożne życzenia nic tu nie zmieniają, stary. Jest nas tylu, ilu jest i koniec. – Di Lorenzo rozłożył na stole mapę pogranicza, przejechał palcem po barwnie wymalowanej powierzchni. – Musimy zamknąć główne drogi prowadzące w dolinę Kaleemy. To najważniejsze, bo najłatwiej tam dostać się właśnie przez naszą zafajdaną przełęcz Grindi. A dowódca pod Mont Salome niech martwi się o swój teren. Zresztą górale niezmiernie rzadko tamtędy chadzają, chyba że muszą. Unikają klasztoru, nawet nie chcą patrzeć w jego kierunku. Dla nich mniszki czy czarownice to jedno, boją się uroku. Diabli wiedzą, może mają rację. Zgadniesz to, co się dzieje w takim zgromadzeniu? Same baby w groźnych górach, aż się prosi zająć je jakąś czarną magią. Nieważne zresztą.

Jak tam jest, tak jest, ale nie przypominam sobie, żeby hordy schodziły tamtą drogą. A ty, Viries?

– Raz, będzie ze trzydzieści lat temu z okładem. Opowiadał mi o tym pewien wieśniak. Górale chcieli złupić klasztor. Ale jak raz zeszyły wonczas na przełęcz wielkie lawiny, poszatkowały Varijczykow, zdziesiątkowały ich. Rzecz jasna, gadka o czarach u świętej Eufrozyny nabrała u nich wtedy dodatkowej mocy. Od tamtego czasu zakonnice miały święty spokój.

– To znaczy – wtrącił się Vallery – że możemy liczyć na wsparcie chociaż części tamtejszego garnizonu?

– To nic nie znaczy – skrzywił się Viries. – Mont Salome to jedna rzecz. Ale kilkanaście mil dalej są Wrota Świętego Szczepana. Nieszczęsny Gotard von Gronau ma dość roboty z ich pilnowaniem. Nie może nam odstąpić nawet jednego żołnierza. Wszystko tutaj zbyt małe, szyte cienką nicią. Jakby marny pajak próbował skroić ubranie na olbrzyma. Odkąd pamiętam, rozłazi się w szwach i trzeba sztukować, jak się da. Najtęższy rzemieślnik nie podoła zadaniu, gdy mu z dziecięcej tuniki każesz zrobić kurtę dla wojownika.

– Bardzo piękne krawieckie porównanie – rzekł di Lorenzo – i bardzo pouczające. Ale przejdźmy do rzeczy. Trzeba wysłać silny oddział o tutaj. – Palec kapitana powędrował w górę mapy. – Miedzy skałami jest szerokie przejście, zaraz obok drugie, a za nimi przyjazna Przełęcz Świętego Marcina. Termin przyjazna oznacza, że dla nas jest niezmiernie groźna, bo łatwo ją przebyć. Należy natychmiast obsadzić to

miejsce i bronić przed następnymi hordami, a jeśli przewaga okaże się zbyt duża, bronić tych przejść. Zgadzasz się ze mną, Viries?

– Jak najbardziej. – Sierżant wsparł obolałą głowę na rękę. – Wiele więcej uczynić nie zdołamy, niestety.

– Wojsko musi poprowadzić wyższy oficer. Tym razem ja pójdę. Ty, Vallery, masz chyba dosyć wypraw na jakiś czas, nieprawdaż?

D'Orenburg uśmiechnął się, zbierając do odpowiedzi, ale w tej chwili wszedł dziesiętnik wartowników.

– Panie pułkowniku – oznajmił, strzelając obcasami – przybył oddział wojska z polecenia hrabiego Burghiese.

– Posiłki? – spytał z niedowierzaniem di Lorenzo. – Cud?

– Zaś tam posiłki! – Dziesiętnik splunął z obrzydzeniem. – Na inspekcję przyjechali. Prowadzi ich kapitan gwardii, niejaki Hanes.

Vallery poderwał się z miejsca.

– Znasz tego człowieka? – Rupert zerknął bystro na zmienioną twarz dowódcy.

– Na twoim miejscu – wycodził przez zaciśnięte zęby d'Orenburg – nie nazywałbym go tak pochopnie człowiekiem. Ale przynajmniej mamy jasność, kto pójdzie z wojskiem. Obawiam się, że gdybym musiał przebywać z Hanesem dłużej niż trwa oddanie honorów, poleje się krew.

Di Lorenzo zmrużył oczy.

– Niech będzie – mruknął. – Jak rozumiem, trzeba mieć oko na tego gwardzistę.

– Jedno oko nie wystarczy. Sto byłoby za mało. To szubrawiec. I nie przyjechał tutaj przypadkiem. Obserwuj bacznie każdy jego krok.

– Zamierzam, skoro tak mówisz.



Rozdział 14

Arcybiskup Falcone z miną męczennika słuchał raportu Herberta von Becht, skarbnika królestwa. Przychody, rozchody, bilanse, setki liczb. A wynika z nich tylko jedno – skarb państwa znalazł się na skraju bankructwa. Nie wystarczy to powiedzieć i dać spokój? Od tych wszystkich obliczeń nie przybędzie w skrzyniach nawet złamany miedziak, a tracą tylko czas. Przepadły już nawet kościelne skarby, zajęte mimo protestów arcybiskupa. Zerknął z wściekłością na Ludwiga siedzącego u szczytu stołu. To jego zasługa! Pamiętnej nocy po podpisaniu układów z Gernonem mieli radzić, co uczynić, aby uratować diecezjalny skarbiec, a tymczasem to właśnie z poduszczenia hrabiego król już wydawał tajny edykt o zajęciu majątku stołecznej kurii. A teraz jak się Burghiese puszy! Zajmuje miejsce obok królowej. A ozdobne krzesło Filipa znowu dzisiaj puste. Król słabuje i zdarza mu się to coraz częściej. Od prawie miesiąca nie zjawiał się na posiedzeniu Rady Stanu.

– Dziękujemy wam, panie von Becht – powiedziała Laura, kiedy zakończyła się wreszcie nudna przemowa. – Z tego, co tutaj usłyszeliśmy, jasno widać, jaka jest kondycja naszego kraju. Gdyby to było możliwe w odniesieniu do królestwa, gdyby było ono uczciwym kupieckim kantorem, musiałoby już dzisiejszego dnia ogłosić bankructwo. Czy ktoś chce coś dodać do przedstawionego raportu?

Markiz Vincenzo de Malhevia uderzył pięścią w stół.

– Tak, na Boga, chcę dodać to i owo od siebie! Patrzyłem do tej pory przez palce na poczynania naszego szlachetnego wielkiego para królestwa, jego dostojność hrabiego Ludwiga Burghiese! Patrzyłem przez palce, bo miałem nadzieję, iż jego działania koniec końców przyniosą pomyślność królestwu. Patrzyłem przez palce, bo wydawało mi się, jakoby wziął przed się nie tylko, wynieść własny ród, ale i okiełznać szarpiące

krajem żywioły. Patrzyłem przez palce dlatego wreszcie, żem się obawiał jego długich rąk i nie ukrywam tego. Ale dzisiaj koniec! Hrabia wysłucha, co ma mu do powiedzenia potomek wielkich ludzi, którzy przyczynili się walnie do założenia Velary i ustanowienia silnej monarchii w Vereenie!

Burghiese oparł się wygodnie i zaczął przeglądać jakieś papiery, śledząc tylko spod oka rozjuszonego markiza. A ten kontynuował, niezrażony jego pozorną obojętnością.

– Dzisiaj ten sam hrabia, który sromotnie przegrał ostatnią wojnę z Gernonem, chce wepchnąć umordowane ziemie w szpony nowej pożogi! Na co poszły wszystkie fundusze królestwa, panie Burghiese? Na co liczne pożyczki? Pytam raz jeszcze, na co? Na zaciąganie coraz to nowych wojsk, zakup armat i prochów, podczas gdy nasi poddani umierają z głodu!

– Nie wiedziałem, panie de Malhevia – odezwał się zgryźliwym tonem diuk Gerhard – żeś taki czuły i gniecie cię los prostego ludu.

– Żebyś wiedział! Zadałem sobie trochę trudu i ruszyłem tyłek na prowincję, zlustrować moje ziemie. To, co ujrzałem, trudno określić jednym słowem. W ogóle trudno to nazwać! W moich własnych włościach, gdzie wojna nie zebrała aż tak krwawego żniwa, jak gdzie indziej, ludzie umierają z głodu, podobno zdarzają się nawet przypadki ludożerstwa! W tej tragedii najzabawniejsze jest, że w stosunkowo najlepszej kondycji są tereny Kaleemy, bo tam akurat wojna nie sięgnęła, a przecież to ziemie ubogie, bezustannie dręczone niszczycielskimi najezdami górskich plemion. A wielki par królestwa w najlepsze szykuje się do nowego konfliktu! Czy to nie szaleństwo? Powiedz, Burghiese, skąd ta obłądna myśl?

Ludwig wstał, potoczył ciężkim spojrzeniem po zebranych. Unikali jego wzroku, jedynie de Malhevia patrzył hardo, z ogniem w oczach.

– Właśnie teraz – powiedział hrabia – kiedy przeciwnik się tego najmniej spodziewa należy uderzyć. Zresztą może się nawet spodziewać, i tak nie jest w stanie wiele zdziałać. Gerno jest osłabiony. Wbrew temu, co można sądzić, wygrana wojna nie przyczyniła się do wzmocnienia książęcych sił. Natomiast my mamy możliwość zgromadzenia armii, o jakiej świat nie słyszał. Już niebawem nadciągną hufce najemnej piechoty, najeżone pikami i grzmiące arkebuzami, by wesprzeć naszą sławetną jazdę. Przedtem puściliśmy się ze zbyt skąpymi siłami przeciwko Gernonowi, ale kto mógł przewidzieć, że to książątko potrafiło zgromadzić takie siły! W dodatku chodzą słuchy, jakoby korzystał z usług czarnoksiężników. Ale tym razem nic z tego! Zagony rzecznych zbójów grasują na granicy z krajami magii, nie puszczając nikogo na tamtą ni tę stronę.

– Rozbójnicy! – De Malhevia znów uderzył pięścią w stół. – Czy naprawę nie mamy lepszych sojuszników niż te dzikusy, co nie znają innego życia niżli grabieże i gwałty?

– Jaśnie oświecony markiz zapomina – odparł z przekąsem Burghiese – że sojusze

to nie dworski romans. Trzeba patrzeć, ile kto jest wart, a nie czy wysoko, zali nisko urodzony. Spełnią swoje zadanie, otrzymają zapłatę i odejdą, nie patrząc podziękowań ani zaszczytów. Wolę takich od naszych wiecznie niesytych panów.

– Posłuchaj, panie Burghiese. – Vincenzo de Malhevia ledwie panował nad sobą. – Gębę masz pełną pięknych i mądrych frazesów, ale duszę czarną i paskudną! Szubrawcy rodzą się wszędzie, nie tylko wśród ciemnego plebsu!

– Panie markizie! – Głos Ludwiga nabrał groźnych tonów. – Czy chciałeś mi coś przez to niefortunne stwierdzenie dać do zrozumienia?

– Spokój, panowie! – Królowa zmarszczyła brwi. – Przypominam, że to posiedzenie Rady Stanu, a nie pijatyka w karczmie. Miarkujcie się!

– Obawiam się, najjaśniejsza pani – markiz wracał do równowagi, choć głos mu jeszcze trochę drżał – że pijackie bredzenie może mieć o wiele więcej sensu niż słowa Ludwiga. Chce nas przekonać, jakoby był zdolny pokonać armię Gernona. Jak? Pozbył się wszystkich zdolnych dowódców, największego w dziejach Vereeny stratega, barona Pillgrima skazał wpierw na pewną śmierć, a potem na wygnanie. Powiedz nam, drogi hrabio, jak zamierzasz zwyciężyć?

– Drogi markizie. – Burghiese przybrał uprzejmy ton. – Poprowadzi nas król. Jego święte posłannictwo natchnie wojsko zapalem.

– Jednakowoż – odezwał się nieśmiało Wilfred de Montagio – sam zapal nie wystarczy.

– Nie inaczej, wicehrabio. – Ludwig uśmiechnął się krzywo. – Dlatego kazałem sprowadzić najlepsze pułki zaciężnej piechoty, armaty i najbieglejszych artylerzystów. Tak, panowie, tak właśnie teraz wygrywa się wojny!

– Tak też się zdobywa władzę – mruknął pod nosem Hektor di Calerone.

Arcybiskup spojrzał bystro. Coraz więcej tych, którzy mają wątpliwości, co do prawdziwych intencji hrabiego. Nie tyle nawet wątpliwości, bo żądza władzy Ludwiga stała się od dawna zbyt widoczna, ale drażni ich coraz większa pycha wielkiego para. Musi zacząć działać szybko, zanim tacy jak Malhevia i Calerone okrzepną i dogadają się ze sobą.

– Uważam – wycedził z pozorną niedbałością Burghiese – iż najwyższy czas podjąć decyzję o rozpoczęciu działań wojennych, skoro tylko chwycą mrozy, ułatwiając przeprawy i ścinając bagniste rozlewiska.

– Mamy decydować bez udziału króla? – zdumiał się wielki szambelan, baron Vigo de Livre.

– Musimy. I to dzisiaj. Gdy przyjdzie odpowiednia pora, nie czas będzie na narady.

– Ale król...

– Miłościwie panujący nam Filip Chromy bez wątpienia ratyfikuje to, co uchwalimy. Prawda, najjaśniejsza pani?

Laura skinęła głową. Oczywiście, król zgodzi się na wszystko. Nikt z obecnych nie

zdaje sobie sprawy, w jak fatalnym stanie jest ich monarcha. Nawet Burghiese. Wiele wysiłku kosztowało ukrywanie przed nim faktów. Gdyby znał całą prawdę, gotów już dzisiaj sięgnąć po władzę. Ile jednak jeszcze uda się zwodzić panów z Rady i potężnego para?

– Beze mnie. – Vincenzo de Malhevia zerwał się z miejsca. – Uważam za haniebnie rozpoczynać wojnę, nie zapytawszy nawet o zdanie najjaśniejszego pana! To nie będzie nasza wojna, nie chodzi wszak o zmazanie hańby czy odzyskanie ziem. To będzie osobista wojna naszego Ludwiga. Ostrzegam, panowie! On chce tylko jednego, zapewnić sobie i potomkom prawo do tronu! Czy tego nie dostrzegacie, czy raczej nie chcecie dostrzec? Wiecie zaś, co go jeszcze powstrzymuje przed wyciągnięciem po koronę uzurpatorskiej ręki? Tylko dwie rzeczy.

– Słuchamy, markizie – rzekł lodowatym tonem Burghiese. – Powiedzcie wszystkim, co mnie przed tym powstrzymuje?

De Malhevia zmrużył oczy, mierząc Ludwiga nienawistnym spojrzeniem.

– Naprawdę tego chcesz, synu kupczyka?

Burghiese poczerwieniał, z wściekłości czerwone płatki zatańczyły mu przed oczami, jak zawsze gdy wypominano mu niskie pochodzenie ojca. Opanował się jednak.

– Mów, markizie – odparł, ostrożnie dobierając słowa, by nie dać poznać po sobie wzburzenia. – Co też myślisz o moich intencjach potomek starożytnego rodu?

– Dobrze zatem. Pierwszą rzeczą, która cię powstrzymuje, Burghiese, to fakt, iż król jeszcze żyje. Nie patrz tak na mnie, najjaśniejsza pani. Wszyscy wiedzą, jak z nim niedobrze. I wszyscy udają niewiedzę, bo tak jest prościej i bezpieczniej, przynajmniej na razie. Ale jest druga sprawa, ważniejsza – zawiesił głos, patrząc po twarzach obecnych. Unikali jego wzroku tak samo, jak przedtem Ludwiga. – I to też wszyscy wiedzą, ale także wygodniej i bezpieczniej jest milczeć. Chodzi o Czarny Pergamin! Nie dostał się w łapy hrabiego, choć bardzo o to zabiegał. Prawda, wielki parze? Nie udało się sztuczka z Vordą! Sprowokowałeś go do pojedynku, ale nie zdążyłeś wykorzystać śmierci starego, jak zamierzałeś! Czarny Pergamin gdzieś jest i spędza ci sen z oczu. Nie spoczniesz, dokąd go nie dostaniesz i nie zniszczysz, aby nikt nie poznał imienia tego, kto zapoczątkuje nową dynastię! Jeśli zaś, nie daj Boże, uda ci się tego dokonać, biada nam. Lepiej byłoby mieć na tronie varijskiego dzikusa niżli ciebie!

Burghiese słuchał wywodów markiza z kamienną twarzą.

– To potwarz – powiedział, przerywając martwą ciszę, jaka zapadła, kiedy de Malhevia skończył. – Jeśli się kogoś oskarża, trzeba przedstawić dowody!

– Dowody! – parsknął markiz. – Vorda miał dowód. Zeznanie owego skatowanego najemnika. Ale nieszczęsny wojak umarł w samą porę!

– Kolejna potwarz. – Ludwig był bardzo spokojny. – Uważaj, mój drogi, bo

zmusisz mnie, abym wyzwiał cię na pojedynek!

– Ty?! – De Malhevia znów przestawał panować nad sobą. – Satisfakcję mogę dać każdemu, kto jest tego godzien. Zaś twoje nazwisko znajduje się na końcu tej listy, daleko za ostatnim moim psiarczykiem. Nie, źle mówię, ciebie tam w ogóle nie ma! Jeśli chcecie, panowie, ciągnijcie tę farsę, ale beze mnie!

Energicznym krokiem skierował się ku drzwiom.

– Tchórz – rzucił Ludwig. Markiz nie obejrzał się nawet, wzruszył jedynie ramionami. Obelga popłynęła w powietrzu, aby odbić się od lekceważącego gestu. Ciężkie odrzwia zatrzasnęły się za dostojnikiem. – Tchórz – powtórzył Burghiese, ale zabrzmiało to nieoczekiwanie słabo.

– Szambelanie – Laura zwróciła się do barona de Livre – czy takie votum separatum jednego z członków Rady Stanu nie jest prawną podstawą do zawieszenia obrad?

Vigo skulił się pod nabrzmiałym groźbą spojrzeniem hrabiego.

– Nie sądzę, miłościwa pani – wyjąkał. – Możemy go potraktować jako zwykły głos sprzeciwu.

– Dobrze – westchnęła z rezygnacją. – Hrabio, prowadź dalej posiedzenie.

– Dziękuję, najjaśniejsza pani. Przejdźmy zatem do głosowania nad wszczęciem działań wojennych.

Mówił machinalnie, przez cały czas wpatrując się w drzwi, za którymi zniknął Vincenzo de Malhevia. Ten dandys i bawidamek gotów wyrosnąć na potężnego przeciwnika, jeśli mu pozwolić. Nie skarłał tak bardzo jego ród, jakby się mogło z pozoru wydawać.



Krzyk na korytarzu zabrzmiał krótko, jakby pasemko zaskoczenia i rozpaczki zostało przecięte bezlitosnym, ostrym narzędziem. Obudzonej ze snu mogło się wydawać, że ten głos jest tylko senną marą. Jednak wzbudził niepokój. Maive uniosła się na łokciu. Ostrożnie odwiązała chustę, odłożyła dziecko, otulając je pledem rozgrzanym ciepłem własnego ciała. Maleństwo sapnęło, ścisnęło rączki w piąsteczki i spało dalej. Matka z rozczuleniem spojrzała na maleńką Annę. Światło oczu, jedyna bliska istota, jaka pozostała na świecie.

Na zewnątrz panowała cisza, ale duszny niepokój nie chciał ustąpić. Sama do końca nie zdając sobie sprawy, dlaczego to czyni, sięgnęła do podróżnej sakwy spoczywającej pod łóżkiem, wyłuskała sztylet o wąskim, długim ostrzu. Nadstawiła uszu. Nadal cisza. Ale przyjazna czy groźna? Cisza może mieć różne oblicza. Miała wrażenie, że dostrzega przez grubą, kamienną ścianę skradające się cienie. Czego to

noc nie potrafi przynieść, ile niepokoju zasiać w sercu i zamętu w głowie! Nawet w takim świętym, bezpiecznym miejscu. Nasłuchiwała jeszcze chwilę, potem odłożyła broń na skraj łóżka. Ojcowy oręż, cenna pamiątka. Zabrała go ukradkiem, korzystając z nieuwagi pachołków, którzy przenosili ciało Vordy z placu boju do kostnicy na podzamczu.

Odwróciła się do córeczki, wskazującym palcem delikatnie pogładziła mięciutki policzek. Już staje się podobna do normalnego niemowlęcia. Matczyne mleko i ciepło robią swoje. Powolutku podkurczyła nogi. Ból w brzuchu wciąż jeszcze był bardzo silny i przykry, nie pozwalał się do końca wyprostować. Nagle zamarła. To już na pewno nie złudzenie. Cichutki szelest za drzwiami i ledwie dosłyszalne skrzypnięcie. Na powrót spuściła nogi na podłogę. Szorstkie deski dadzą bosym stopom należyte oparcie. Na palcach, jak potrafiła najostrożniej, podeszła w kierunku drzwi. Chłodny powiew przeciągnął po nagich łydkach. Ktoś nacisnął klamkę! Boże, jaka szkoda, że nie ma w rękę świecy lub chociażby marnego, kopącego łuczywa, zdana jest jedynie na mdłe i zwodnicze światło księżyca wpadające przez grube gomółki szyb. Ale i intruz przecież musi się zadowolić tym samym. Chyba że... Nie, ma jednak ze sobą jakieś światło. Pewnie latarenkę, z jaką zwykli chodzić nocni stróże.

– Ostrożnie – doleciał szept. – Chyba się nie obudziła.

Napastnik nie jest więc sam! Ścisnęła mocniej rękojeść sztyletu. Boże na niebiesiech, dodaj siłę! Ojczy, który zażywasz spokoju w ogrodach Pana, przybądź i stań obok w tej strasznej godzinie! Strzeż córki i wnuczki. Drzwi otworzyły się szerzej. Maive odskoczyła w bok, za ciężkie skrzydło, gdzie nie sięgało światło latarni. Zamarła. Przecież od razu zobaczą, że łóżko jest puste i staną się podejrzliwi! Ilu ich jest?

– Tam leży – znów szept cichszy niż poszum wiatru za oknem. – Śpi.

Na szczęście skłębiony koc przypominał zarys ludzkiej postaci. Weszli dalej. Ciemno odziani, z nożami w rękach. Dwóch. Czy możliwe, żeby więcej skrytobójców czekało na zewnątrz? Chyba nie, trudno byłoby im się przemknąć niezauważonym. Ale tych dwóch doskonale wystarczy na jedną słabą, chorą kobietę. Co zrobić? Co zrobić?! Przecież nie może pozwolić im wtargnąć i dokonać tego, co chcą uczynić!

– Tylko po cichu zarżnij dziewczkę i bękarta! Trzeba potem jeszcze przeszukać izbę! To najważniejsze. Ten przedmiot musi gdzieś tutaj być.

– Nie gadaj tyle, tylko przyświeć!

W tej chwili odezwała się w Maive krew starego rycerskiego rodu. Nie bacząc na nic, przemógłszy ciągnący ból w dole brzucha, z całej siły kopnęła drzwi. Drugi z morderców, ten właśnie wchodzący, krzyknął z bólu, kiedy przycięły mu ramię. Pierwszy odwrócił się gwałtownie, instynktownie zadając cios. Przysiągłby, że trafił, bo poczuł, jak ostrze wchodzi w coś miękkie, ale kobieta nie zawahała się nawet przez chwilę. Błysnęła wąska klinga gdzieś z boku. Zaskoczyła go. Niewiasty tak nie

walczą! Zazwyczaj zadają pchnięcia na wprost, a te bardzo łatwo zbić, wytrącić oręż ze słabej dłoni. Zasłonił się wolną ręką, próbując chwycić nadgarstek Maive. Spodziewała się tego. Wpojonym przez długie godziny ćwiczeń zwodem ściągnęła sztylet w dół, błyskawicznym ruchem palców obróciła rękojeść tak, że ostrze zmieniło pozycję, przekreśliło się w odwrotną stronę i pociągnęła płasko, odprowadzając rękę do wewnątrz, celując w gardło tak, aby klinga przejechała skosem, czyniąc jak największe spustoszenie. Mężczyzna w ostatniej chwili odchylił głowę, przepuszczając morderczy błysk stali o włos. Jednak dziewczyny nie wytrąciło to z równowagi. Znów zawinęła palcami, sztylet wracał jeszcze do poprzedniego położenia, a ona już cięła powrotnym ruchem, tym razem prowadząc je od siebie. Tego się napastnik nie spodziewał. Poczowała opór, usłyszała śliski odgłos, jaki wydaje rozcinana skóra, w tej samej sekundzie na dłoni osiadła gorąca wilgoć.

Nagle przeszył ją ból, płynący z tyłu, gdzieś spod lewej łopatki. Zapomniała na chwilę o drugim mordercy! Dyszał jej teraz w kark, wbijając twarde palce w gardło i przekreślając ostrze w ranie. Zapadła cisza. Dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że do tej pory przez cały czas z jej gardła wydobywał się przenikliwy krzyk. Mała Anna, obudzona i przestraszona, zaczęła kwilić rozpaczliwie. Dziecko... moje dziecko... Maive patrzyła na poruszający się kłębuszek na łóżku. Z tyłu ostrze odbierało dech, nie pozwalało skupić myśli.

– Nie, nie!!! – zaskrzeczała. – Nie dam!

Szarpnęła się do przodu, ale bezskutecznie. Mężczyzna trzymał ją w żelaznym uścisku, nie zważając na ból w przyciętej drzwiami ręce. Co za diablica! Nie dość, że zarżnęła Gotfryda, teraz ciska się na wszystkie strony, chociaż musi mieć ostrze w samym sercu! Zdechnij wreszcie, dziewczko! Zdechnij, zanim nadbiegną mniszki, bo trzeba uchronić. Z misji i tak nicy, ale można przynajmniej życie uratować! Jeśli tylko czas pozwoli, zdąży jeszcze pchnąć dzieciaka! Osłabła wreszcie, zaczęła się osuwać, oparła całym ciężarem na nim. Odetchnął z ulgą. Gdzieś z daleka doleciał tupot nóg. Zaraz siostrzyczki zobaczą tę, która trzymała straż pod drzwiami. Leży z poderżniętym gardłem, to powinno je nieco ostudzić i uczynić ostrożnymi. Zawsze to dodatkowe kilka chwil. Dobrze, że w tej celi jest spore okno. Ile może być nad ziemią? Nieważne, i tak trzeba skoczyć. Ale najpierw jeszcze dziecko.

Puścił Maive. Osunęła się bezwładnie. Od razu rzucił się w stronę łóżka. Ale co to? Skąd ten bezwład w prawej nodze? Przykłęknął i dopiero w tej chwili nadciągnął straszliwy ból, wrywając spomiędzy zaciśniętych zębów skowyt. Odwrócił głowę. Maive obserwowała go skupionym, gasnącym spojrzeniem. Jedną ręką wczepiła się w nogawicę, drugą ciągnęła raz za razem ostrzem sztyletu. Spojrzał na łydkę. Chlustała z niej krew, wyglądało na to, jakby głowa mięśnia została już oddzielona od kości. Zaskowyczał ponownie, ciął na oślep. Z policzka dziewczyny trysnęła posoka. Znów zadał cięcie. Rozpłataną ręką nadal uparcie trzymała zmasakrowaną nogę. Nagle

Maive poderwała się ostatkiem sił, wczepiła wyżej, tam, gdzie pas opinał biodra mordercy, podciągnęła i zadała ostatni cios w jedyne miejsce, w które mogła uderzyć. Tym razem z gardła mężczyzny wyrwał się już nie skowyt, ale straszliwy, mrozący krew w żyłach wrzask. Upadł, miotając się w konwulsjach, zacisnąwszy dłonie na sterczącej spomiędzy nóg rękojeści sztyletu.

Do izby wpadła Eudoksja, zaraz za nią Bernadetta, obie z pochodniami. Matka przełożona ukazała się na końcu korytarza, zaraz za nią kilkanaście mniszek. Stały w drzwiach, porażone straszliwym widokiem. Posoka była chyba wszędzie. Jeden z mężczyzn patrzył szklanym wzrokiem w sufit, drugi kopał nogami w śmiertelnych drgawkach, charcząc i wciąż usiłując wyszarpnąć ostrze. Maive patrzyła błagalnym wzrokiem, wodząc oczami od łóżka z płaczącą córeczką ku zakonnicom.

– Proszę – wyszeptała białymi ustami. – Tak bardzo proszę.

– Gorącą wodę i prześcieradła! – krzyknęła Eudoksja. Przypadła do dziewczyny. – Nie umrzesz, młoda vi Rimm! – powiedziała z mocą. – Nie umrzesz, słyszysz? Nie pozwalam! Wyleczę cię, choćbym miała użyć zakazanych przez Kościół i prawo zaklęć z piekła rodem!

– Nie dajcie jej skrzywdzić. – Oczy Maive uciekały w głąb czaszki. – Nie pozwólcie zabić mojej kruszynki... proszę... zajmijcie się nią.

– Sama się nią zajmiesz, moje dziecko. – Branwena przyklękła z drugiej strony. – Jeśli Eudoksja mówi, że przeżyjesz, to tak będzie!

– Proszę – szepnęła Maive. – Błagam...

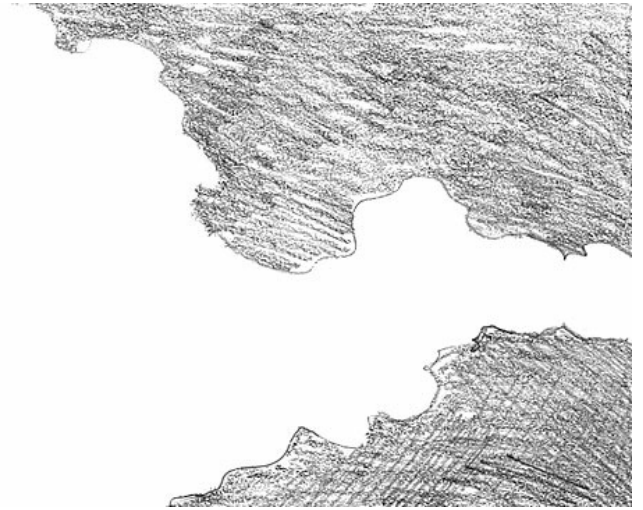
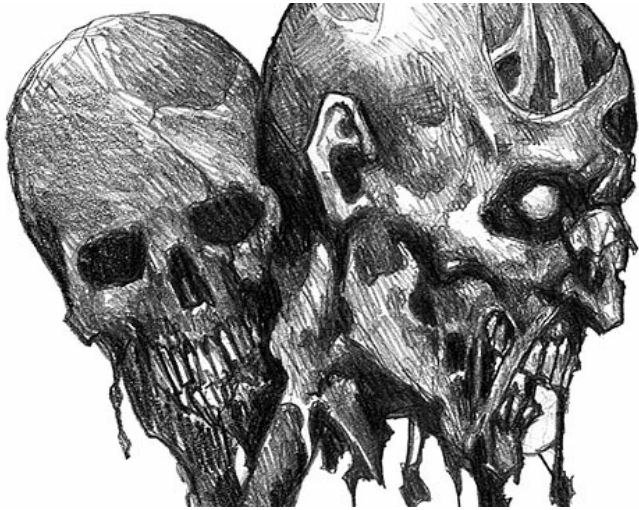
Zdyszana i przerażona Bernadetta wpadła z naręczem białego płótna, zaraz za nią Hortensja z miską prawie jeszcze wrzącej wody.

– Dziękuję wam za wszystko – szeptała Maive coraz ciszej. – Będę wam błogosławić na tamtym świecie. Tylko błagam, opiekujcie się Aneczką... Tak bardzo ją kocham...

Witaj, ojcze. Czy widzę na twojej surowej twarzy uśmiech? Za życia nigdy nie potrafiłeś się tak uśmiechać, a wielka szkoda, bo dopiero widać, jaki urodziwy z ciebie mężczyzna. Przyszedłeś po mnie? Nie kręć głową. Nie odsyłaj z powrotem. Tu jest tak pięknie, tak spokojnie... Kto z tobą jest? Mama... Kochana mateczka, jak dawniej ciepła i miękka. Piękna... Witajcie...

– Straciła przytomność. – Eudoksja ostrożnie położyła głowę dziewczyny. – Natychmiast brać ją do hospicjum! Na co tak patrzycie, głupie? – zwróciła się do zbitych w zaleknioną grupkę zakonnicek. – Zabrać ją, powiedziałam! A potem do kaplicy na całonocne modły! Będę potrzebowała waszej siły, żeby walczyć ze śmiercią.

Branwena zmarszczyła brwi, ale nie odezwała się. Trudno, niech zielarka czyni, co w jej mocy, aby uratować młode życie. Choćby miała się posunąć do czarów. Bóg wybaczy.



Rozdział 15

Ukryci za skalistym pagórkiem Alwen i Pillgrim czekali na zapadnięcie ciemności. Szkoda, żeśmy nie przystanęli w tamtej karczmie – mruknął tęsknie baron. – Rzyć mi już odmarzła. Patrzyć tylko, jak potem przy najmniejszym kroku półdupki zaczną o siebie zgrzytać i nici z cichych podchodów.

– Wiesz dobrze, że nie mogliśmy zostać. W takich miejscach roi się od szpiegów Ludwiga po tej i tamtej stronie granicy. Prędzej czy później musieliśmy wzbudzić ich podejrzenia. Osobliwie od chwili, gdyś wrzasnął wcale donośnie, gdzie masz mianowicie wielkiego para, hrabiego Burghiese.

– Wymknęło mi się.

– Właśnie dlatego zaraz potem, jak ci się to wymknęło, trzeba było się wymknąć. Czasem cię nie rozumiem. Naprawdę nie umiesz utrzymać języka na wodzy?

Pillgrim wykrzywił usta w niechętnym grymasie.

– Ty lepiej myśl, jak przejść przez strażę. Szelma hrabiunio zatrudnił niezłych zabijaków do pilnowania granicy.

– Nad czym tu rozmyślać? Niebawem zrobi się szaro. Gdy zapadną ciemności, spróbujemy przemknąć. Żołdacy nie mogą być wszędzie naraz, zawsze znajdzie się jakaś luka.

– Rozczarowałeś mnie, Koniokradzie. A pokładałem w tobie wielką ufność. Co więcej, byłem głęboko przekonany, żeś przygotował jakiś szczywany plan.

– Boleję nad tym, drogi przyjacielu – odparł Alwen grobowym tonem – że zawiodłem twoje zaufanie. Nie wiem, jak zdołam się pozbierać po tym ciosie. Swoją drogą liczyłem, iż taki doświadczony wojownik bez trudu podejmie odpowiednie decyzje.

- Zupełnie niepotrzebny sarkazm. Tylko mi od niego zimniej w dupsko.
- Mam cię rozgrzać życzliwymi słowy czy pomasować kształtne półdupki?

Pillgrim machnął ręką. Bywały chwile, kiedy nie potrafił przegadać Alwena. Bystry, żywy umysł nie pozwalał się okiełznać nawet w godzinach zwątpienia. Filip Chromy powinien sobie pluć w brodę, że beztróska pozbył się takiego człowieka, za namową Ludwiga wyjmując go spod prawa. Gdyby to Alwen piastował godności, które przypadły w udziale temu złodziejowi i mężobójcy Burghiese... O czym tu mówić! A odkąd to władcy zwykli otaczać się mądrymi i uczciwymi ludźmi?

– Słuchaj...

Nie dokończył. Alwen syknął i ścisnął go za rękę.

– Słyszysz? Diabli by to wzięli!

Pillgrim nadstawił ucha.

– Psy! Niech to! Mają psy! No to jesteśmy ugotowani.

– Chcesz się może poddać?

– Nie kpij. Ale żałuję, żeśmy zostawili konie za radą tego wójta, do którego nas wysłał Horris. Łatwiej będzie pieszo, mówił, konie wam po nic. Ścierwo! Wiedział doskonale, że piraci mają psy! Rozumował, iż nas schwytają, łby utną, a jemu skapną dwa piękne wierzchowce. Jak go dorwę...

– Nie czas teraz na rozmyślania! Musimy się przedrzeć na tamtą stronę.

– A ja radzę wrócić, przenocować w karczmie, potem zabierzemy koniki wójtowi i przejedziemy po swojemu.

Szczekanie psów było coraz bliższe. Alwen ze ściągniętą twarzą patrzył w kierunku wzgórz wyznaczających granicę.

– Kolejny dzień opóźnienia.

– Masz rozsądniejszą radę?

Koniokrad zaklął siarczyście, a potem nagle nadstawił ucha.

– Słyszysz? Nie pomyśleliśmy o tym.

– O czym? Co znowu przyszło ci do głowy? Co mam słyszeć?

– Konie, Pillgrimie! – Alwen klepnął przyjaciela z rozmachem w ramię. – Słysząc rżenie. Nie musimy nigdzie wracać. Oni mają przecież konie! Pora zapracować na moje zawołanie.

– Jak chcesz to zrobić? Zanim tam dojdziemy, zwietrzą nas psy.

– Bez obaw. Mamy trochę szczęścia i jesteśmy z wiatrem. Musimy dojść do traktu. To tam na pewno są patrole jezdnych, bo w tych chęchach i skałkach rzeczywiście tylko pieszy sobie poradzi. Zdażymy zanim zapadną ciemności.

– Masz jakiś plan?

– Mam. Opowiem po drodze. Ale musimy ruszać jak najszybciej. Żeby się powiódł, potrzeba będzie chociaż trochę dziennego światła.



– Panie arcybiskupie – powiedziała królowa najbardziej aksamitnym głosem, na jaki mogła się w tej chwili zdobyć – chciałabym ci zadać kilka pytań.

Falcone wygiął wargi w dół w niechętnym grymasie. Kilka pytań. To oznacza, że czeka go ciężka przeprawa.

– Nie pytam, czy na nie szczerze odpowiesz. Po prostu żądam szczerości. Nie ma co się tak krzywić. Pierwsze będzie dotyczyło szatnego Karola. Bardzo bym chciała wiedzieć, co się z nim stało.

– Ja też, miłościwa pani. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Nie mam pojęcia, gdzie nasz drogi Karol się podziewa.

– Pierwsze pytanie i pierwsze kłamstwo, ekscelencjo. Masz mnie za głupią? Kto ma wiedzieć, jeśli nie ty, skoro go wysłałeś z młodą vi Rimm w tylko tobie i jemu tylko wiadome miejsce!

Falcone ściągnął usta. Wyglądał w tej chwili niczym scholarz przyłapany na kradzieży ciastek ze straganu.

– Pani – rzekł po chwili milczenia – przecież ja nawet nie mogę być do końca pewien, czy Karol rzeczywiście zawiódł ją tam, gdzie mu rozkazałem. Dobrze wiesz, królowo, że szatny przyjaźnił się z Vordą. Stary vi Rimm przy spowiedzi zaklął mnie, bym pomógł ukryć córkę w klasztorze. Ale czy Karol nie wymyślił czegoś innego, nie wiem.

– Właśnie – podchwyciła Laura – a co się tyczy wspomnianej śmierci ojca Maive, straszne się potem zrobiło zamieszanie. Jej komnata została przeszukana! Bez wiedzy króla i mojej!

– W istocie? – Oczy arcybiskupa rozszerzyły się ze zdumienia.

Królowa nie wiedziała, czy stary lis rzeczywiście nic nie wie, czy tak dobrze udaje. Obie możliwości były równie prawdopodobne. Postanowiła zaryzykować.

– To był pomysł twojego przyjaciela Ludwiga, ekscelencjo i musiałeś o nim wiedzieć! Gdyby w jego łapy wpadł Czarny Pergamin, dziewczyna mogłaby nawet odejść wolno, nieprawdaż? Ale go wasi siepacze nie znaleźli. Królowi zamydliście oczy, że Maive wie o najtajniejszych sprawach królestwa, zamotaliście mu w głowie racją stanu i zgodził się na wszystko. Nie przewidział tylko jednego. Że nie jest w stanie ogarnąć ogromu nikczemności swojego powiernika Ludwiga Burghiese.

– Pozwól sobie zwrócić uwagę, najjaśniejsza pani, że i ty jesteś sojusznikiem hrabiego.

– Jestem, drogi Falcone, jestem, bo nie mam innego wyjścia! Jednak nawet moje zatwardziałe przez lata rządów serce nie jest w stanie znieść jego podłości.

– Ale przecież głosowaliście za wojną, pani! Jak wszyscy!

– Oprócz de Malhevii, dodaj. Tak, zgadza się. Ale głosowałam za, bo uważam, że ta wojna jest jednak potrzebna. Może z nieco innych względów niż się hrabiemu wydaje, ale jest.

– Co macie na myśli, pani?

– To moja sprawa – odparła zimno. – Ja zadaję pytania. Teraz mi powiedz, eminencjo, jak to było naprawdę z tymi najemnikami, którzy mieli zapobiec ewentualnemu sukcesowi Pillgrima i zgładzić go skrytobójczo. Dlaczego tego w końcu nie uczynili?

Falcone przybladł, ale zaraz się opanował.

– To nie tak. Obawialiśmy się, że baron może zdradzić. Najemnicy byli poinstruowani tylko na taki wypadek.

– Chcesz mnie obrazić? – Oczy Laury stały się zimne niczym bryłki lodu.

– Skądże, królowo, dlaczego tak sądzisz?!

– Bo uważasz, że jestem głupsza niż jestem! Pillgrim to ostatnia osoba, jaką można podejrzewać o zdradę!

– Tak mówisz, najjaśniejsza pani? Dowiedz się w takim razie, iż mamy pewne wieści, że niezłomny baron wstąpił na służbę Gernona! Został generałem jego armii i zajął się szkoleniem wojska!

Laura roześmiała się.

– Ale dopiero po tym, jak odebraliście mu godność, ogłosiliście banicję i wystawiliście list gończy. Prawdę mówiąc, wcale mu się nie dziwię.

– Jak możesz tak mówić, najjaśniejsza pani? Przecież to zwykła zdrada!

– Zdrada? Może i tak. Ale sam najpierw został zdradzony, nie tylko przez was, ale i mojego męża.

– Pillgrim zawsze był niepewny. Pamiętacie? Sprzągł się z Alwenem de Morano, a przedtem i jego ojcem. Ci zaś znosili się z magami.

– Za każdym razem, gdy mówisz o Koniokradzie, zdajesz się zapominać, iż zarzuty odnośnie jego rzekomo zdradzieckich kontaktów z czarnoksiężnikami nie zostały potwierdzone. Utrzymywanie względem niego wyroku banicji stanowiło akt bezprawia.

– Byliście za tym całym sercem, pani. Nie pamiętacie?

– Byłam młodsza i głupsza. Miałam nadzieję... więcej, byłam pewna, iż moja współpraca przyczyni się do stłumienia ówczesnego buntu ligi baronów i pozwoli na wzmocnienie pozycji króla w państwie.

– I waszej – odpowiedział z ironicznym uśmiechem Falcone.

– I mojej – przyznała bez wahania. – Chciałam się oprzeć na hrabim i tobie. Ale bardzo to wasze oparcie słono kosztuje, a poza tym nigdy nie wiadomo, kiedy zamieni się w groźbę. Zrozumiałam to zbyt późno.

– Jesteś ze mną boleśnie szczera, pani. Twoje słowa ranią.

– Nie opowiadaj bzdur, ekscelencjo! Jestem szczerą, bo wiem, że i ty zacząłeś wątpić w hrabiego. On rozgrywa własne sprawy sam, odsunawszy na boczny tor wszystkich sprzymierzeńców. Trzeba szukać nowych sojuszy.

Wpatrywała się z uwagą w twarz rozmówcy, czekając z napięciem, co powie. To była decydująca chwila. Jeśli zdoła przeciągnąć na swoją stronę arcybiskupa, może liczyć na wsparcie także kilku panów z Rady Stanu. Mierzyli się spojrzeniami. Po raz pierwszy od dawna miała okazję zajrzeć dostojnikowi głęboko w oczy. Zdziwiła ją i przeraziła pustka, jaką dostrzegła. Były niczym pęknięty dzban, z którego bezpowrotnie wyciekła cenna zawartość. Już wiedziała, jakiej może się spodziewać odpowiedzi.

– Miłościwa pani – oznajmił Falcone uroczyście. – Zawsze na sercu leżało mi przede wszystkim dobro państwa i Kościoła. W obecnym położeniu tylko w osobie Ludwiga Burghiese widzę szansę na odrodzenie potęgi naszego królestwa.

Laura opadła z ciężkim westchnieniem na oparcie fotela.

– Możesz odejść, arcybiskupie – rzekła z niechęcią. – Oczywiście nie muszę chyba dodawać, że nasza rozmowa była poufna i jej treści nie powinien poznać nikt trzeci?

– To oczywiste, miłościwa pani – odparł duchowny, chyląc nisko głowę przed wyjściem. – Życzę wam spokojnej nocy.

Została sama. Tak... była zupełnie sama, pozbawiona sprzymierzeńców. Jeśli Filip umrze, Burghiese z tym przeklętym klechą zgotują jej ciężki los. Bez prawowitego króla, bez prawowitego następcy tronu stanie się dla nich nikim.



Pierwszy zauważył go Herman. Wstrzymał wierzchowca, wskazując kompanom idącego po drugiej stronie granicy człowieka. Podążał chwiejnym krokiem, środkiem gościńca, śpiewając głośno sprośną piosenkę. Bogato odziany cudzoziemiec. Na pewno nie mag. Chociaż... z nimi nic nie wiadomo. Podobno zdarza im się przechodzić do Vereeny w jakichś tajemnych sprawach. Ale z pewnością nie czynią tego w podobnym stanie. Herman spojrzął po towarzyszach.

– Pijany, musi bogaty kupiec – rzekł. – Warto takiego obrać. Nawet jeśli w sakwie nie ma za wiele, sama szata warta sporej sumki.

– Jednakowoż jest po tamtej stronie – odparł Knut. – Na wyciągnięcie ręki prawie, ale zawsze. Nijak go brać.

– Nie bądźźże, chłopie, taki dbały o drobiazgi. – Herman intensywnie wpatrywał się w pijanego kupca.

– Właśnie – poparł go Jorg, podjeżdżając bliżej. – Straszny się uczynił szczegółarz z tego naszego Knuta. Dawniej nawet byś się nie obejrzał, jakby był gdzie trzeba i

sakiewkę trupowi odcinał.

– Jesteśmy teraz na służbie u króla Filipa – powiedział Knut niecierpliwie. – Płacą nam sowicie, więcej niż byśmy zimą zdołali zrabować, nie wolno zmarnować takiej możliwości.

Jorg splunął gęsto.

– Płacą, płacą, ale się człowiekowi dusza wyrywa do zwykłego rzemiosła. Jak tak patrzę na tego biedronia, co się po gościńcu tacza, mam chęć cisnąć to całe pilnowanie i wrócić na barkę, zaczerpnąć rzeczno powietrza... Napaść na jaką wioskę, chałupy obrabować, chłopów pobić, baby wygwałcić, jak się należy. Nie brakuje ci tego, Knut?

– Co ma nie brakować – burknął nagabnięty. – Jak diabli cni się za zwykłym życiem.

– To co? Obierzemy pijaczną?

Knut łamał się w sobie, mrucał pod nosem, kłął na podłę dołą.

– Ktoś musi przystać baczyć na okolicę. A nuż zjawi się królewski patrol.

– Ty zostań, skoro tak, skoroś dowódca. A my z Hermanem skoczmy. Nawet pół pacierza nie zabawimy.

– Dobrze! – Knut uderzył dłonią w łęk siodła. – Jedźcie. Ale łupem dzielimy się po równo!

– Po równo, nie bój się, krzywdy ci nie będzie.

Ruszyli niespiesznie w dół niewielkiej pochyłości. Pijany człowiek zatoczył się mocniej. Nie widział ich, w każdym razie nie zwracał uwagi na nadjeżdżających.

– A teraz sobie gruchniem! – oznajmił gromko, wydając odgłos, który mógł być skutkiem tylko zbyt dużego przeładowania żołądka. – A niech to! Korzenna była ta polewka! Małom sobie ninie gazami gaci nie spalił! – Zerknął w stronę pobliskich krzaków. – Hej, ho! A i z pęcherza wypuścić by się nadmiar przydało, bo pęknać gotów niby nadepniętemu kotu łeb!

Stał przy zaroślach, odchylił poły bogato wyszywanego płaszcza. Jorg wyszczerzył zęby.

– Alem się wytęsknił za czymś takim – rzucił do Hermana.

Tamten odpowiedział podobnym uśmiechem.

– Szkoda tylko, że nie będzie się stawiał, byłoby weselej.

Nie spiesząc się, podjechali do wypróżniającego się człowieka.

– Oddasz sakiewkę sam, zali skuć ci wpierw gębę? Tamten nie odpowiedział. Sikał, mrużąc z zadowolenia.

– Taki pijany, że nie słyszy? – Jorg zeskoczył z konia. Szarpnął ofiarę za ramię, odwracając ją do siebie. – Rozdzielaj się! – Nagle odskoczył z obrzydzeniem. – Zaraza! Ten cham naszczał mi na buty!

Herman zaniósł się niepohamowanym śmiechem. Napadnięty rzeczywiście nie

przerwał podjętej czynności, oblewając już nie tylko buty, ale także nogawice pirata i najwyraźniej zamierzał nadal robić swoje. Jorg zaklął paskudnie, wznosząc rękę do ciosu.

– Ty ścierwo! – wycharczał wściekle. – Zaraz cię nauczę...

Nagle umilkł zaskoczony. Zamiast błędnego wzroku pijaka napotkał twarde, trzeźwe spojrzenie szarostalowych oczu. Natychmiast odezwała się czujna natura pirata.

– To jakiś podstęp! Uważaj Her... – nie dokończył słowa, ściśnięty nagle za gardło żelaznym chwytem potężnej prawicy.

Jego kompan natychmiast sięgnął ku rękojeści miecza, jednak nie zdołał wyszarpnąć broni. W powietrzu świsnął nóż wyrzucony wprawną ręką. Herman zaskrzeczał przeciągle, po czym runął z siodła, przewijając się pod końskim brzuchem.

Knut z oddalenia zobaczył, jak kupiec wyciąga rękę. Pewnie chce się biedaczek nieporadnie obronić. Lepiej by dla niego było ściągnąć natychmiast ubranie i oddać wszystkie cokolwiek warte rzeczy. Pirat rozejrzał się niespokojnie. Żeby tylko teraz nikt nie nadjechał. Gdyby zjawił się królewski patrol, zaczęłyby się kłopoty, a jeśli swoi, chcieliby się od razu dzielić łupem! Na szczęście było pusto, z oddali dolatywało jedynie poszczekiwanie psów. Zaraz... A co to za odgłosy? Ktoś jednak nadjeżdża, akurat w takiej chwili! Niech tamci się pospieszą! Spojrzał w stronę gościńca, chcąc okrzyknąć towarzyszy i zmartwiał. Herman leżał pod kopytami wierzchowca, a Jorg klęczał przed ściskającym go za gardło kupcem, wydając ostatnie tchnienie. Z krzaków wybiegł jakiś człowiek, wskoczył w siodło, okrzyknął bogato odzianego. Tamten jednym ruchem odrzucił zdobiony płaszcz. Pod spodem, wbrew temu, czego można się było spodziewać, nie miał wystawnie wyszywanych szarawarów i jedwabnej koszuli, ale zwykły prosty strój o żołnierskim kroju. Wzorem towarzysza dosiadł konia i już po chwili obaj pędzili w stronę Knuta. Teraz to, co przed chwilą zdawało mu się dopustem Bożym, nagle mogło okazać się zbawienne.

– Bywaj! – wrzasnął na całe gardło. – Bywaj, a żywo! Grasanci!

Nadjeżdżający usłyszeli go, bo niespieszne człapanie zamieniło się w żywy tętent. Po chwili z zakrętu wyłoniło się sześciu ludzi. Trzech piratów i trzech królewskich żołnierzy.

– Tam! – wskazał palcem. – To oni! Zwabili i zarżnęli moich ludzi!

Tymczasem fałszywy kupiec i jego towarzysz pędzili już cwałem. Nie zawahali się nawet przez chwilę, widząc przewagę przeciwnika. Błysnęły tylko wydobyte z pochew miecze. W szarawym powietrzu nadciągającego zmroku wydawały się niegroźne, podobne patykom owiniętym błyszczącą materią.

– W dwa rzędy! – krzyknął dowódca patrolu. – Wszech drogi!

Natychmiast trzech żołnierzy wysunęło się do przodu, ustawiając w poprzek traktu.

Kilka kroków za nimi pozycje zajęli piraci. Knut dołączył do swoich. A intruzi byli coraz bliżej. Jeszcze mgnienie oka, pół oddechu, mrugnięcie powieką i zewrą się w śmiertelnym pojedynku. Szaleńcy! Nie mogą liczyć na nic lepszego niż ostrze między żebrami. Dwóch ludzi nigdy nie poradzi sobie z przewagą starych, doświadczonych rębajłów! Szkoda tylko, że samemu nie można nabrać rozpędu, zmieść tamtych samą masą. Wszystko to przeleciało Knutowi przez głowę błyskawicznie, między jednym uderzeniem serca a drugim. Bo tamci byli tuż. Wpadli na żołnierzy! Natychmiast poląła się pierwsza krew! Jeden z królewskich osunął się na ziemię. Piraci zwarli się ramię przy ramieniu. Jeśli szarżujący przebija się przez pierwszy szereg, drugi ich z pewnością zatrzyma. Jednak mogło się wydawać, że dwaj straceńcy nawet nie zauważyli na swojej drodze zbrojnych. Knut ze zdumieniem ujrzał trzy puste siodła, żeby prawie w tym samym momencie dostrzec tuż przed twarzą skrwawione ostrze. Błysk światła, nagłe mdłości, dziwny posmak w ustach, wrzaski mordowanych towarzyszy. Jakby wichur przeszedł przez łąk zboża, pomyślał jeszcze resztką świadomości.

Głos rogu. To któryś z żołnierzy, widać tylko ranny, zadał na trwogę, zwołując okoliczne patrole. Głośniejsze odezwały się psy.

Nagle wszystko zgasło.



– I jak, stary, nasza szpica wróciła?

Vallery d’Orenburg leżał na polowej pryczy w namiocie, złożony gorączką. Skutek kąpieli w rwącym górskim potoku. Pod przeciwległą ścianą spoczywał żołnierz z połamanymi nogami. Był nieprzytomny, jęczał tylko od czasu do czasu. Sierżant rzucił na niego okiem, podniósł koc.

– Rana się paskudzi – mruknął. – Gangrena. Zdaje się, pułkowniku, żeście niepotrzebnie wystawiali na ryzyko życie, skacząc za nim do rzeki. Tylko choroba wam z tego.

– Myślisz, że się zastanawiałem? Ty byś pewnie długo rozmyślał, co?

– Ja jestem tylko sierżantem, mnie nie szkoda.

– Każdego człowieka szkoda – odparł z powagą Vallery. – Nauczyłem się tego na wojnie, gdy mi Gernonowa gwardia wybiła oddział do nogi. Każdego z tych chłopców było szkoda. Bywa, że przyśnią się w nocy skrwawieni, z wnętrznościami na wierzchu, z rozłupanymi czaszkami.

– Niezwykły z was wojak – zamyślił się Viries. – A jeszcze dziwniejszy dowódca.

– Może się nie nadaje do wojska – uśmiechnął się d’Orenburg.

– Może. – Sierżant poskrobał się po głowie. – Ale powiem wam jedno. Jakby

wszyscy się tak nie nadawali, jako wy, świat byłby lepszy. Żeby pułkownik rzucał się w odmęty za zwykłym żołnierzyną...

– Dobrze już. – Vallery upił łyk wina z podanego troskliwą ręką kubka. – Co słyszać w górach?

– Ruszają się. Wszystko wskazuje, że ruszy wielka nawałnica. Nie wiem tylko, kiedy. Pierwszy raz widzę coś podobnego. Przenoszą obozowiska niżej, plemiona gromadzą się w większe grupy... Powiadam wam, coś się szykuje.



– Weźmiesz dziecko – szeptała Branwena. – Ubierzesz się w zwykłe łachy, jakbyś była babą proszalną.

– Gdzie mam pójść? – Bernadetta była przestraszona. – Dokąd?

– Nie wiem... Nie chcę wiedzieć! Ale tutaj malutka zostać nie może. Jeśli raz nasłano morderców, można się spodziewać następnych. To nie byli ludzie naszego bajlifa ani zwykli zbóje. Jestem tego pewna. A to oznacza jedno. Na życie tego dziecka dybią ludzie z otoczenia króla, a może nawet on sam!

– Dlaczego?

– Bo to jest potomstwo vi Rimmów i de Moranów!

– Ale ojciec Anny nie żyje, a Maive też niewiele brakuje!

– Ale jest dziecko. Dziedzic tajemnicy, kolejny strażnik Czarnego Pergaminu.

Bernadetta przeżegnała się.

– Toż to diabelski pomiot! Przekleństwo czarnoksiężników.

– Myślisz tak – Branwena pokręciła głową – jak na królewskim dworze chcą, żeby ludzie myśleli. To, jak powiadasz, przekleństwo, jest raczej błogosławieństwem. Trzyma w szachu takich ludzi jak Ludwig Burghiese.

– Nie rozumiem tego, matko przełożona.

– Nie musisz, moja droga – odparła Branwena ze zniecierpliwieniem. – Twoim zadaniem będzie zaopiekować się dzieckiem.

– Jak rozkażesz.

– Posłuchaj, siostró. – Głos przeoryszy nabrał łagodniejszych tonów. – To nie jest rzecz, na którą ty czy ja możemy mieć wpływ. To nie jest kwestia czyjegoś chcenia. Tak właśnie wygląda powinność. Ja muszę zabezpieczyć los tego maleństwa, bo zobowiązałam się do tego słowem, a poza tym tak należy uczynić i taki jest nakaz sumienia. Jednocześnie nie mogę sama z nim odejść, bo mam obowiązki względem Kościoła i zgromadzenia. Poza tym ty lepiej poradzisz sobie wśród ludzi. Znasz ich, żyłaś jak drudzy. Mnie znajome jest jedynie to, co w klasztorze. Na zewnątrz jestem bezradna jak dziecko.

– A jeśli Maive przeżyje? – spytała Bernadetta. – Przecież będzie chciała odzyskać małą.

– Nie lękaj się. Odnajdziemy cię albo sama wrócisz, skoro uznasz, że jest już bezpiecznie. Jeśli Maive przeżyje...

– A jeżeli nie?

– Najlepiej postaraj się odszukać barona Pillgrima de la Marvilla.

– Podobno wyjęto go spod prawa. Mam oddać dziecinę jakiemuś banicie?

– Nie bądź głupia! To jedyny człowiek, który dochował wierności ojcu tego dziecka wbrew wszystkim i wszystkiemu, do samego końca! Jeśli Maive nie stanie, tylko on należycie zajmie się Anną i przechowa Czarny Pergamin, nie starając się go wykorzystać do własnych celów! Zrozumiałaś?

– Tak, pani.

– To nie wszystko, skoro już o tym rozmawiamy. Pergamin też nie może tutaj zostać. Powierzę go tobie, bo jeśli źli ludzie sprowadzą na nas nieszczęście, gotów zaginać albo zgoła dostać się w niepowołane ręce. Ukryjesz go dobrze. Jeśli odnajdziesz barona, dasz mu to razem z małą. Czuję całą sobą, iż jej los jest ściśle związany z tym przedmiotem.

– Ale dlaczego, matko? Przecież to tylko rzecz. Może uczynił ją czarnoksiężnik, ale wszak to też jedynie człowiek.

– Nie powinnaś tego dociekać, moja droga. Czary, magia... Można się od tego zachwiać w wierze.

Tajemnice, tajemnice. Coraz ich więcej. Bernadetta ukryła grymas niechęci, schylając kornie głowę. Jeszcze niedawno to był spokojny klasztor. Życie toczyło się swoim trybem, z rzadka zdarzało się coś, co zakłócało rytm porządku i obowiązków. Teraz zaś... Co jeszcze się zdarzy? Eudoksja w swoim królestwie ziół i medykamentów odprawia nad Maive swoje... Strach pomyśleć. Po kątach siostrzyczki szepczą, jakoby trzymała dziewczynę przy życiu, używając zakazanych praktyk, za które można stracić życie, gdyby to doszło do uszu bajlifa. Branwena zaś nie tylko tego nie zakazuje, ale zwolniła zielarkę ze wszystkich obowiązków, byle tylko uleczyła raną.

– Nigdy nie wiadomo, co dobre, a co złe – rzekła w zamyśleniu przeorysza. – Nie odgadniesz, czy czyniąc zło nie przysparzasz dobra, a i z tego, ile przysług komu wyświadczysz może wynikać samo zło. Wiem, co mówią o Eudoksji. Zezwalam jej uciekać się do magicznych ksiąg, bo życie tej niewiasty może być więcej warte niżli narażenie się na sąd biskupi i katowskie kleszcze. Zresztą, gdyby dobry Bóg miał karać za coś podobnego, istnienie świata straciłoby sens.

Bernadetta przestraszyła się. Czy te gusła, które odprawia Eudoksja nie przenikają przez mury, pozwalając przeoryszy odczytywać myśli? Ale Branwena patrzyła zamglonym wzrokiem w dal. Zakonnica nagle pojęła, że żadne z wypowiedzianych

przed chwilą słów nie było skierowane do niej. Cichutko, bojąc się spłoszyć myśli przełożonej, wyszła z celi.



Alwen spojrzał w bok, gdzie Pillgrim, pochylony do przodu, dźgał wierzchowca piętami w boki, pokrzykując. Pędzili od dłuższego czasu, ścigani głosami rogów i ujadaniem psów, niczym dzika zwierzyna. Przyszło im kluczyć wśród pagórków i zagajników, umykając zażartej pogoni.

– Sprawni ci zbóje – zawołał baron. – Patrz, jak się uczepili!

Koniokrad kiwnął tylko głową. Szkoda sił na przekrzykiwanie zatykającego dech wiatru. Ale co racja, to racja. Piraci okazali się wyjątkowo sprawni. Doświadczeni rozbójnicy sami nieraz musieli umykać przed wojskiem, doskonale więc wiedzą, któredy mogą podążać uciekinierzy. Ujadanie psów dobiegło gdzieś z przodu. Wstrzymali nieco konie.

– Szykują zasadzkę. – Baron usiłował przebić wzrokiem coraz gęstszy mrok.

– Na pewno.

– Są też z tyłu, słyszysz?

– Są wszędzie – odparł krótko Alwen.

– Okrążyli nas. Siedzimy jak w saku. Co proponujesz?

– A ty co myślisz?

Pillgrim uśmiechnął się drapieżnie.

– To samo, co ty. Będziemy się przebijać, dosyć zabawy w chowanego. Ale też dobrze wyleczył twoją rękę Horris. Mieczem zamiatasz równie skutecznie, jak dawniej.

– Czasem zakłuje w przedramieniu, ale narzekać nie mogę. Dobrze, szkoda słów, jedźmy.

– Szkoda słów – powtórzył baron.

Popędzili wierzchowce. Szczekanie psów zbliżało się. Wśród drzew nie było wiele widać, ale gdy wypadli na otwartą przestrzeń między pagórkami, dostrzegli ognie pochodni. Mrowie ich, pomyślał Pillgrim, chyba jednak przyszła pora umierać. Szkoda. Rzucił okiem na Alwena. Jechał ze skupioną twarzą, zmarszczonym czołem. Wydobył miecz. Pillgrim natychmiast uczynił to samo. Ale nagle Alwen płynnym ruchem umieścił broń z powrotem w pochwie.

– Jedź pół długości za mną – powiedział. – I tnij każdego, kto zechce wyciągnąć ku mnie rękę.

– Oszalałeś? Co chcesz zrobić?

– W cwał! – krzyknął Koniokrad zamiast odpowiedzi. – Ile pary w koniach!

Puścił się w opętańczy bieg. Pillgrim, pełen wątpliwości, pognął za nim. Dojeżdżali do pierwszego szeregu pędzących z przeciwka zbrojnych. Co ten wariat wyprawia? Z gołymi rękami na najeżone ostrzami rzędy ludzi? Nagle zobaczył, że Alwen unosi lewą rękę, krzyżuje palce i zaczyna rysować dłonią w powietrzu skomplikowane wzory. Mimo gęstniejących ciemności piraci i żołnierze zobaczyli to również. Byli blisko, coraz bliżej... O kilkanaście kroków... Wtedy Koniokrad zaczął krzyczeć przenikliwie gardłowym głosem obce, groźnie brzmiące słowa.

Pillgrim z niedowierzaniem patrzył na to, co się rozgrywało przed jego oczami. Pierwsi dojeżdżający już na odległość miecza zbrojni odpadli nagle na boki, czyniąc środkiem przejazd. To samo stało się z następnymi i następnymi... Nawet się nie obejrzeni, kiedy zostawili za sobą zasadzkę. Podążał za Alwenem z głową huczącą od myśli. Pierwszy raz w życiu przejechał przez szeregi wroga, nie zboczywszy ostrza krwią. Boże kochany, co ten Koniokrad trzyma jeszcze w zanadrzu? Jakie tajemnice?

Pogoń została z tyłu. Pewnie puścili psy, będą jeszcze jechać ich śladem, ale teraz, we własnym kraju poradzą sobie z pościgiem bez trudu.



Eudoksja zmoczyła chustę w gorącej wodzie, przyłożyła ją do chłodnego czoła Maive. Od zamachu dziewczyna odzyskała przytomność tylko na chwilę, zapytała o dziecko, żeby natychmiast zapaść w sen. Dręczyła ją na przemian gorączka i zimne dreszcze. Stawała się rozpalona, to znów stygła na podobieństwo kawałka lodu. Eudoksja kręciła tylko głową. Najpierw jedno ostrze, wbite z przodu minęło serce o włos, może nawet je zarysowało, potem było mierzone pchnięcie pod łopatkę, ale wola życia była zbyt silna, żeby nieszczęsnej pozwolić łatwo odejść w krainę spokoju. Tym bardziej że driakwie zastosowane przez zakonnice były bardzo silne. Driakwie i zaklęcia. Do końca nie wiedziała, co działa silniej.

– Pomóżcie mi jeszcze, duchy – mruknęła. – Duchy, które bez ustanku nawiedzacie tę dziewczynę, pomóżcie!

Poczuła biegnące po plecach ciarki. Gdzieś tutaj, wokoło, kłębią się dusze zmarłych. Była tego pewna. Może to wcale nie jej starania i stosowanie zakazanych praktyk trzyma Maive przy życiu, ale te duchy? Na początku nie myślała o tym, a raczej starała się nie myśleć, bo od czasu do czasu uświadamiała sobie z całą ostrością, że nie jest sama. Wreszcie zaczęła do nich mówić. Nie wiedziała, czy jej słuchają, czy zwracają uwagę na słowa, ale tak było łatwiej znieść ich niechcianą, groźną obecność. Życzliwe czy nie, duchy powinny przebywać w miejscu wyznaczonym przez Boga. A może to jest właśnie ich obecne miejsce pobytu? Mają zostać przy umierającej...

– Jeśli mi pomożecie, przeżyje.

Z niepokojem obserwowała rumieniące się policzki rannej. Nadchodziła fala niesamowitej gorączki. Nigdy dotąd nie spotkała się z taką ciepłotą ciała. To znaczy widywała coś podobnego, ale u trupów. Kiedy martwy człowiek poleży jakiś czas, najpierw stygnie, a potem nagle robi się tak gorący, że można oparzyć rękę. Ale to trwa bardzo krótko. Tutaj zaś w ciągu jednego dnia i jednej nocy kilkanaście razy nadchodziła gorączka, żeby za niedługi czas opuścić ciało i wydać je na pastwę lodowatego chłodu.

– Powinna nie żyć, wiecie o tym – powiedziała Eudoksja. – Powinna paść trupem już od pierwszej rany, którą jej zadał ten z rozplątanym gardłem. Drugi raz powinna skonać od ciosu tego, któremu wraziła sztylet w krocze. Ale żyła, uratowała maleńką. Skoro tak, postarajcie się wyjednać u Pana łaskę. Oczywiście, jeśli przychodzicie z jasnej strony – dodała ciszej.

Cichutkie pukanie do drzwi. To Branwena. Weszła bezszelestnie jak podmuch powietrza, bojąc się zakłócić ciszę.

– Co z nią?

Eudoksja pokręciła tylko głową.

– Bernadetta już odeszła. Niepokoję się, czy da sobie radę. Zima nadchodzi wielkimi krokami.

– Bernadetta poradzi sobie lepiej niż którakolwiek z nas. W ostateczności ma jakichś krewnych w okolicy, jest przecież stąd i pomagała swoim w czasie głodu. Pamiętasz, jak wносиła pod habitem jedzenie? Myślała, że nie widzimy.

– Pamiętam – uśmiechnęła się Branwena. – Zostawiałyśmy niby to przypadkiem najlepsze kąski na talerzach, gdy była jej kolej sprzątnięcia ze stołów.

– Poradzi sobie.

– A Maive?

– Nie wiem. Zrobiłam już chyba wszystko. Teraz pozostaje tylko czekać.

Branwena stała, w zamyśleniu obserwując rozgorączkowaną twarz chorej.

– Coś się stało? – spytała z niepokojem Eudoksja. Wyczuwała u przeoryszy dziwne napięcie.

– Varijczycy się ruszyli.

– To nic nowego.

– Owszem, ale nie o tej porze roku. Był człowiek z garnizonu w Grindi, przysłany przez nowego dowódcę, jakiegoś d'Orenburga. Podobno górale mają zamiar pójść właśnie tędy.

– Klasztor ominą.

– Tego nie wiemy z całą pewnością. Od dziesięcioleci nie wazyli się zapuszczać w te strony. Coś się zmieniło, być może ktoś ich do tego nakłania i mogą zechcieć ogarnąć klasztor.

- Kto ich może nakłaniać?
- A jak myślisz?
- Co chcesz uczynić?
- Na razie nic. Ale jeśli wieści się potwierdzą, musimy być przygotowane na najgorsze.
- Jeszcze i to – westchnęła Eudoksja.
- Zastanawiam się, czy nie trzeba będzie opuścić klasztoru.
- Nawet jeśli, ja zostanę z nią. – Lekarka wskazała ruchem brody Maive. – Nie zostawię jej samej, a do podróży się nie nadaje.
- Ech – machnęła ręką przeorysza. – Wszystkie zostaniemy. Będzie, co Bóg ześle. Ufam, że nie zezwoli przelać niewinnej krwi swoich służek, tak jak nie zezwolił przeszło ćwierć wieku temu, zsyłając na najeźdźców lawiny.
- Oby – szepnęła zielarka.
- Oby – powtórzyła jak echo Branwena.



Mistrz Eckhart wyciągnął się na tyle, na ile pozwalał wysoki fotel. Oparcie zatrzęszczało ostrzegawczo.

– Horrisie – powiedział z namysłem – za chwilę wyruszysz w drogę. Spisz się tym razem jak należy.

– Rozumiem, panie.

– Nie próbuj czynić własnym konceptem niczego w sprawach, które nie do końca pojmujesz.

– Rozumiem, panie.

– Musisz pomóc odzyskać to, czego nasz przyjaciel wcale odzyskać nie chce. On nie wierzy w przeznaczenie i niechaj zostanie przy swoim, ale ty masz za zadanie spełnić rolę dłoni opatrności.

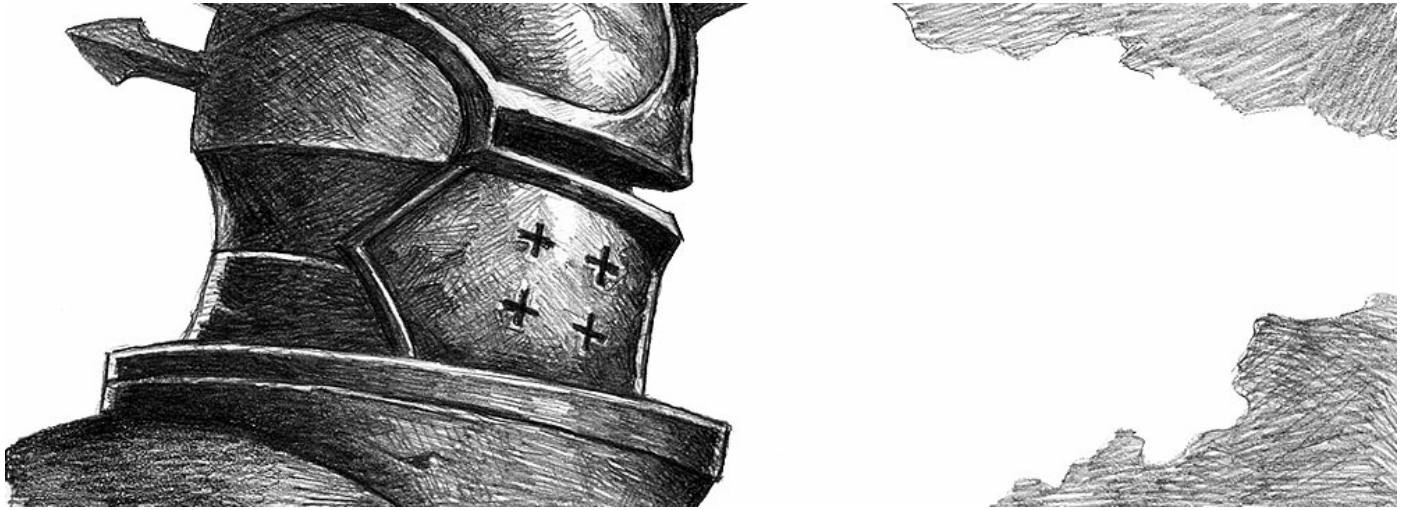
– Rozumiem, panie.

– I przestań wciąż powtarzać „rozumiam panie”. To mnie irytuje. Wiem, że rozumiesz. Gdyby było inaczej, posłałbym z misją starego i leniwego kota naszej przyjaciółki Henrietty. Szykuj się. Zaraz nadejdzie czas przed północą, kiedy bramy niebios otwierają się najszerzej. Zostawiłem przy naszym portalu formułę zaklęcia. Dasz sobie radę sam, czy mam iść z tobą?

– Poradzę sobie, nie trudź się, panie. Czy chcesz, abym udał się w drogę w tych szatach? – Horris pociągnął lewą ręką okazały rękaw z prawej strony. – Każdy wiejski głupek pozna we mnie przybysza z Halarii.

– Masz mnie za głupca? O ubiór się nie martw. Dotrzesz na miejsce odziany jak

należy.



Rozdział 16

– Posłuchaj uważnie, Falcone. – Ludwig Burghiese bawił się, rozżarzając nad płomieniem świecy kawałek lontu do armaty i gasząc go w gorącym wosku. W komnacie unosił się nieprzyjemny zapach spalonego prochu. – Posłuchaj, mój arcybiskupie. Wiem, że byłeś u królowej. Wiem też, że wyszedłeś od niej wzburzony. Opowiesz o tym?

– Nie ma o czym opowiadać. Rozmowa dotyczyła przyszłej wojny...

– Bzdury! Obelgiwać możesz swoich księży, nawet swoje kochanki, jeśli są takie głupie, żeby uwierzyć chociaż w jedno twoje słowo. Ale nie mnie! Mów, co knułeś za moimi plecami?

Falcone uniósł się z siedzenia. Po raz pierwszy Burghiese miał okazję dostrzec ogień w oczach słamazarnego, chłodnego dostojnika.

– Jeżeli nie przestaniesz mnie obrażać, hrabio, zacznę się zastanawiać, czy rzeczywiście nie należałoby rozejrzeć się za nowym sprzymierzeńcem. Pozwalasz sobie na zbyt wiele, zarzucając mi zdradę.

– Wiem, wiem. – Ludwig usiadł, wyciągając przed siebie nogi. – To tylko próba, nie gniewaj się. Ktoś taki, jak ja, musi się pilnie strzec.

– Ktoś taki, jak ty – podchwycił arcybiskup – powinien bardziej uważać, co mówi, żeby nie zrażać sobie tych, którzy mu dochowują wierności.

Burghiese uśmiechnął się. Gniew kościelnego dostojnika zdawał się go bawić.

– Wierność też umiem docenić – rzekł, wytrzymując bez zmrużenia oka pełne wyrzutu spojrzenie arcybiskupa. – Jako pierwszy pragnę ci zatem pogratulować, przyjacielu. Jeszcze o tym nie wiesz, ale już niebawem przyjdzie pismo z twoją nominacją. Jeszcze przed upływem tygodnia, góra dwóch, wierni zaczną się do ciebie

zwracać nie ekscelencjo, ale eminencjo. Zostaniesz kardynałem!

– Nie! – Falcone rozpromienił się. – Tego się nie spodziewałem!

– Wiem. Tym większa radość z niespodzianki. Marco kardynał Falcone, jak to pięknie brzmi, jak wspaniale smakuje, prawda? – Czekał, aż wiadomość dotrze w pełni do duchownego. – A teraz powiedz mi, co zamierza królowa?

– Szuka sprzymierzeńców. – Arcybiskup przymknął oczy, napawając się w myślach nowym tytułem. – Nie wiem tylko, gdzie chce ich znaleźć ani po co właściwie, bo zdaje sobie doskonale sprawę, iż jest zdana tylko na ciebie, zbyt słaba, bezwolna i bez znaczenia, jeśli zabraknie króla. O ile wiem, jedynie de Malhevia gotów jest stanąć przeciwko tobie. Inni albo się lękają, albo są dawno przekupieni. Ale jego poparcie nie jest tym, czego by chciała. Bo przecież jest takim samym wrogiem jej, jak naszym. Odniosłem wrażenie, że czuje się bardzo osamotniona i przerażona.

– To doskonale. Tak być powinno. Gdy przyjdzie czas, pokażemy zarozumiałej babie, gdzie jej miejsce. Markizem się nie przejmuj. Postaram się, żeby nam nie bruździł. Miłościwie nam panujący Filip odejdzie prędzej czy później, a ona zostanie sama. Nastąpi to, sądząc z jego stanu, raczej prędzej niż później. Wtedy nadejdzie nasz czas. Musimy tylko jeszcze wygrać wojnę, a przynajmniej wytargować korzystny pokój.

– Zawsze pozostaje Czarny Pergamin.

– Do tego czasu znajdzie się w moim posiadaniu i zostanie zniszczony.

– Jeżeli w ogóle można to diabelstwo zniszczyć – mruknął Falcone.

– Nie bądź dzieckiem! Wszystko, co człowiek stworzył, można unicestwić. Chodzi tylko o to, żeby odbyło się to przy jak największej liczbie świadków.

– Ludzie potraktują to, jak świętokradztwo!

– Ludzie potraktują to tak, jak im się każe! Na razie pergamin przez cały czas znajduje się w klasztorze na Mont Salome. Jednak powinno się tam wydarzyć coś, co pozwoli nam wejść w jego posiadanie. O ile już się nie wydarzyło.

– Co takiego?

– Nie bądź zbyt ciekawy, mój przyjacielu. Kto mniej wie, lepiej sypia.

– W takim razie nie pytam o nic więcej.



Bernadetta wyciągała nogi najszybciej, jak mogła. Dyszała ciężko przy każdym kroku. Lata już nie te, zadyszka łapie, skoro tylko człowiek zrobi szybciej chociaż dwa kroki. Ale biec trzeba. Boże, dopomóż, nie daj zginąć swej służebnicy i temu niewinnemu dziecięciu, które zamknęło oczka, ufne w Twoje miłosierdzie. Wyciągnij, Panie, sprawiedliwą dłoń, dotknij choć małym palcem niewinnej główki, pomóż ją uratować!

Tam z tyłu łuna. Ruszyli się dzicy górale, bezkarnie grasują po kraju, paląc i mordując. Nigdy dotąd nie czynili tego o tej porze, zawsze na wiosnę i latem, a wtedy zazwyczaj królewskie wojska dość szybko sobie z nimi radziły. Co się mogło stać? Ponoć ktoś im za to zapłacił. Wśród prostych ludzi chodzą pogłoski, jakoby to książe Gerno chciał pognębić ostatecznie swego największego wroga, królestwo Vereeny.

Próbowała zatrzymać się u siostrzenicy, ale zaraz na drugi dzień nadeszła wiadomość, że nadciągają Varijczycy. Musiała uciekać wraz z innymi. Gdzieś po drodze rodzina straciła się z oczu. Zresztą nie mogła ich szukać, nie miała czasu. Ważniejsze było uratować od pożogi dziecko Maive. Po latach w klasztorze nie poznawała świata. Niby istniał gdzieś za oknami celi, ale daleki się zdawał i nieosiągalny. A może raczej groźny i nieprzyjazny? Klasztorny srogi mir, mimo całej niedogodności i wielu obowiązków, rozleniwia jednak, oducza rządzić się samemu sobą. Człowiek składa los w ręce Boga i przełożonych. Tak łatwiej, choć mu powinności czasem ciąży. Wie jednak, iż jeśli sam nie podoła, zastąpią go inni. W codziennym trudzie zwykli śmiertelnicy mogą liczyć tylko na siebie. A teraz musiała powrócić do życia! Czują, jakby obudziła się z długiego snu, a lata spędzone za murami były tylko złudzeniem. Tam klasztor na pewno bezpieczny. Varijczycy zwykli omijać święte miejsce szerokim łukiem. Może jednak lepiej było dziecinę tam pozostawić? Nie czas teraz o tym myśleć. Nie czas w ogóle myśleć, gdy człek czuje na karku palący oddech rabusiów.

– Wsiadajcie! – usłyszała z boku głos. Obejrzała się. Chłop z rodziną na drabiniastym wozie. Potężny koń pociągowy z mlaskaniem wyciągał kopyta z błotnistej drogi. – Wsiadajcie, nie będziecie przecie z dzieckiem na rękach się wlec.

– Bóg wam zapłaci. – Natychmiast wdrapała się na kozioł obok gospodarza. – Bóg wam zapłaci, dobry człowieku!

Jednak została wysłuchana modlitwa! Nie opuściłeś, Panie, swoich dzieci!

– W taki czas – chłop zaciął konia batem – trza sobie pomagać! Wiem ja, iż co poniektóry prędzej by taką babinę rozjechał niżli zabrał, ale też wiem, co to zajmować się samemu przychówkiem.

No tak, Bernadetta rozejrzała się po twarzach jadących. Same dzieci, najstarsza dziewczynka miała może ze dwanaście lat. Pewnie wdowiec.

– Jestem wam wdzięczna... Nie wiem, jak wasze imię.

– Bartłomiej. A wam?

– Berna... – zawahała się. To imię od razu zdradzi, że jest zakonnica. Gdzie wiejskiej kobiecie takie miano! – Maria – powiedziała wreszcie. – Ale wszyscy wołają na mnie Berna. Po mężu.

– Odumarł was?

– Odumarł łońskiego roku.

– To tak, jak moja baba – zamyślił się na chwilę. – A to wasza wnuczka?

– Wychowanka. Rodziców jej górale zarznęli, a że maleństwa, ukrytego w sianie, nie zauważyli, to wzięłam niebożątka, nie było co robić.

– I gdzie zamierzacie się udać?

Wzruszyła bezradnie ramionami.

– A bo ja wiem? Pierwsze to uciec przed hordami, potem się zobaczy.

Chłop splunął gęsto do przodu, daleko, przed koński łeb.

– Wszystko bez ten pioruński czas – mruknął. – O tej porze śnieg powinien leżeć i luty mróz trzymać, a nie taka plucha.

– Bywały też takie przedzimia – Bernadetta pokręciła głową – i jakoś górale nie chodzili takimi kupami.

– Bywały – zgodził się gospodarz. – Dobrze gadacie. Może rację mają ci, co powiadają, jakoby Varijczyków kto podplacił. Jakby nieszczęść a wojny było mało.

– Ale kto miałby uczynić tak podłą rzecz, Bartłomieju? – spytała naiwnie. Mężczyźni lubią, jak się zasięga ich opinii w ważnych kwestiach.

Chłop podrapał się w głowę.

– Ano gadali w gospodzie, że to ten najeźdźca ze wschodu, Gerno, sprowadził zbójów, by nas mocniej pognębić. Wierzyć zali nie, nie wiem, ale jest to możliwe.

– Też tak słyszałam. Ale dlaczego? Toż by była straszliwa podłość!

– A cóż wy się, Berna, wczoraj urodziliście? Parę krzyżyków na karku macie, a nie wiecie, że gdy się panowie wodzą, krzywda zawsze i zawsze jeno nam, maluczkiem?

Pochyliła głowę. Lata spędzone w klasztorze sprawiły, iż zapomniała o sprawach tego świata. Wszak jej bliscy też szezli bez pomocy, bo król miał ważniejsze rzeczy na głowie, niż zajmować się dobrem poddanych.

– To nie macie gdzie pójść... – Gospodarz odłożył bat, sięgnął za siebie, wyjął bochen chleba, zaczął go przełamywać, rozdając najpierw dzieciom, nędzną resztkę zostawiwszy dla siebie i Bernadetty. – Co tam, jedźcie z nami. Gdzie się wyżywi sześć gąb, starczy spyży i miejsca dla jeszcze jednej.

– Dzięki wam, Bartłomieju. Naprawdę dobry z ciebie człowiek.

– Dobry czy niedobry – odparł nieco opryskliwie – ale zawsze człowiek.

Zakonnica poczuła ogromną wdzięczność i jednocześnie nie mniejszy wstyd. Nie może powiedzieć temu życzliwemu mężczyźnie prawdy, nie może się zdradzić najmniejszym słowem. W dodatku jakże łatwo przychodzą na usta kłamstwa, wręcz zdają się kłębić w gardle niczym stado nieproszonych gości w dzień wesela. W tej chwili dopiero dotarło do niej w całej pełni, dlaczego właśnie ona została wyznaczona, by wyjść z klasztoru. Nie tylko dlatego, że umiała zająć się niemowlęciem. To potrafi każda niewiasta, nawet taka sucha miotła jak Hortensja. Niby bez serca, niby chłodna i zawzięta, na widok dziewczuszki łzy pojawiły się w zimnych zawsze oczach, zaraz chciała wziąć dzieciątko na ręce. Kobiecie natura przypisała umiejętność, a nawet przymus opieki nad słabszymi. Że padło na Bernadettę, to niewątpliwie zasługa jej

poprzedniego życia. Branwena doskonale wiedziała, że gdyby przyszło rozmawiać ze zwykłymi ludźmi, nie zdradzi się tylko ta, która spędziła wśród nich długie lata zwyczajnej egzystencji.

– To jak będzie? – przerwał milczenie Bartłomiej. – Jedziecie z nami? I wam lżej będzie, i mnie przyda się babska ręka, bo samotnemu chłopu, co tu kryć, trudno poradzić sobie z dziatwą. Gdzieś się przytulimy u ludzi.

– Jadę – odpowiedziała prędko – oczywiście, że jadę.

Popatrzyła w zachmurzone niebo, z którego właśnie zaczął zacinać zimny deszcz, mocniej przytuliła niemowlę. Bóg jest wielki, a Jego miłosierdzie nieskończone.



Rozpalili ognisko pod skalnym występem, który kapryśna natura wyrzeźbiła w kształt zacisznego zadaszenia, osłoniętego z lewa i prawa wielkimi głazami. Może to zresztą wcale nie dzieło natury, pomyślał Alwen, patrząc na stare, zatarte już prawie rysunki na płaszczyźnie kamienia. Może jakiś nasz odległy przodek zadał sobie trud uczynienia tutaj niewielkiego mieszkania, którego mógł używać podczas myśliwskich wypraw.

Pillgrim nie odzywał się. To było niezwykle i niepokojące. Nie wypowiedział bodaj jednego słowa odkąd urwali się pogoni. Nie wydał żadnego dźwięku przez cały dzień, a teraz z ponurą miną przypiekał nad płomieniem ociekający krwią kawałek mięsa. Rozchodził się lekko mdlący, nieprzyjemny zapach nieprzyprawionej dziczyzny. Jednak po dwóch dniach postu nawet to zalatujące wiatrem zajęcze ściervo zdawało się kuszące. Baron przekroił pieczone na dwie równe części, podał jedną przyjacielowi. Wszystko bez słowa.

– Co cię napadło? – zapytał ze złością Koniokrad. – Jęzor ci ucieli podczas siekaniny, czy co?

Pillgrim nie odpowiedział. Łypnął niechętnie, wgrzyzając się w swoją porcję pożywienia.

– Jakby wstąpił w ciebie demon milczenia! Nie męczysz się aby tym zbyt mocno? Jakbym nie wiedział, że dla ciebie dziób trzymać zamknięty to najgorsza tortura!

Baron pracowicie żuł niedopieczone mięso. Alwen machnął ręką. Uparty ten Pillgrim zupełnie jak świętej pamięci ojciec! Nie tylko w tym byli zresztą podobni. I stary de Morano i baron rękę mieli mocarną, a naturę gwałtowną i gadatliwą. Nigdy dotąd nie dane było Koniokradowi zaznać tyle ciszy w towarzystwie przyjaciela. Boczy się o coś. Tylko o co? Nagle przyszło zrozumienie. Przebiło się przez falę zmęczenia, otrzeźwiło umysł. Nagle Alwen zaczął się śmiać. Śmiał się coraz głośniej, patrząc na zdziwioną i oburzoną minę Pillgrima.

– Już wiem! Już wiem, stary druhu, co cię gnębi!

Baron zmarszczył tylko brwi, znów zabrał się za mięsiwo. Ale wreszcie nie wytrzymał.

– A ja nie wiem, co cię z kolei tak śmieszy!

– A jednak! – Alwen powstrzymał wesołość. – A jednak język masz na swoim miejscu! Co za ulga! Bo już naprawdę zacząłem mieć obawy...

– Nie rozumiem, dlaczego rzysz na podobieństwo ogiera w czasie rui! Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam darować ci to, jak mnie oszukałeś! Byłeś jednak uczniem czarnoksiężnika! Chyba nie zaprzeczysz? Umiesz czarować.

Koniokrad spoważniał. Wpatrzył się w pełgające płomyki, dorzucił kilka gałązek do ogniska.

– Zaprzeczę – odparł po chwili.

– Taaaak? – Pillgrim uniósł brwi tak wysoko, że sięgnęły połowy czoła. – A to zakłęcie, które rzuciłeś na granicy, to co było? Dziecięca wyliczanka? A te znaki, coś je wycinał palcami to, co było? Symbol pokoju?

– Mniej więcej, drogi baronie. W każdym razie na pewno nie magia.

Pillgrim chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zamilkł, zaskoczony.

– Nie magia? A co w takim razie? – spytał po chwili. – Przecież sam widziałem, że żołnierze stanęli jak wryci.

– I bardzo dobrze. Na to właśnie liczyłem. Gdyby się nie zatrzymali, byłoby dawno po nas, a w najlepszym razie czekalibyśmy na stryczek w przytulnym lochu.

– Nie rozumiem – wymamrotał Pillgrim. – To nie na moją głowę.

– O magii – ciągnął Alwen – mam pojęcie mniejsze niżli człowiek pozbawiony palców o dłubaniu w nosie. Może taki sobie pooglądać, zapamiętać nawet najdrobniejszy ruch, ale praktyki nie nabierze. Może nawet poudawać, że grzebie przy gębie, ale nic z tego nie wyjdzie. Nabierze najwyżej kogoś bardzo słabo widzącego, to wszystko.

Twarz Pillgrima rozjaśniła się.

– Zaczynam pojmować! To był podstęp, tak? Oni myśleli, że mają do czynienia z czarnoksiężnikiem i bali się ruszyć, aby ich czar nie dopadł.

– Nie inaczej. – Koniokrad pokiwał głową. – Ale byłem przekonany, że sam się tego domyślisz.

– Sam, sam... – baron buczał niczym rozzłoszczony trzmiel. – Tyle w tobie i przy tobie tajemnic. Zniknąłeś mi gdzieś z oczu na długi czas, powiadali, jakobyś się zaprzedał magom... Teraz te twoje sztuczki... Dziwne, że miałem podejrzenia?

– Pewnie, że dziwne. – Alwen westchnął głęboko. – Czy nie przyszło ci do twojego baronowsko-generalskiego łba pytanie, kiedy miałbym się tego wyuczyć? Ile się nie widzieliśmy przed bitwą pod Getschen? Ponad rok, no, prawie dwa. Nie słyszałeś nigdy, jak długo trwa szkolenie czarnoksiężnika? Najprostszych zaklęć, takich do

rozpalania ognia, uczą się nawet kilka lat! A rzucić urok na cały oddział zbrojnych może jedynie prawdziwy mistrz, taki jak Ekhart. Chociaż i on mógłby mieć trudności. To, czego uczą się magowie, nie jest takim sobie zwyczajnym odprawianiem czarów, ale prawdziwą sztuką. I tak jak ona wymaga wyrzeczeń.

– Jakich wyrzeczeń na przykład?

– Na przykład czarnoksiężnicy lękają się przedwieczornej pory. Są wtedy bezradni. Gdybyś to wiedział, od razu mógłbyś odgadnąć, że nie mogę być adeptem ich sztuki.

– Sztuki – parsknął Pillgrim. – Też coś! Nie nazywaj tak tego! Wszystko to oszustwa i kuglarstwo! Wiesz, co się stało, gdym dotknął jednej z tych wspaniałych, kapiących od złota fasad w ich zaczarowanym mieście? Ręka zniknęła, jak we mgle, a pod palcami wyczułem zwykły, zimny kamień.

– Ależ ty ich nie cierpisz! – Alwen odłożył na bok kawałek mięsa niezdatny do przeżucia. – Nigdy ci nie przejdzie? Czasem tego nie rozumiem. Po tylu latach wciąż nie możesz wybaczyć... Nienawiść Ludwiga Burghiese, niechęć panów, edykty i porozumienia, to jasne. Polityka. Dla takich panów z Rady Stanu to tylko część gry. Już za panowania dziada Filipa zaszczepili nieufność do czarnoksiężników wśród ludu. To było łatwe po szaleństwach, jakich się dopuszczono w czasie ówczesnej wojny.

– Dopuszczono się! – Tym razem baron cisnął mięsiwo w ziemię. – Dopuszczono! Magowie się dopuścili! Opowiadał mi ojciec o niegodziwościach czarnoksiężników! Przez nich wyludniło się wiele miast, a jeszcze więcej popadło w ruinę.

– Zgadza się – kiwnął głową Alwen. – Ale zawsze trzeba spojrzeć także z drugiej strony. W każdym narodzie, ba, w każdym tłumie przewalającym się po targowisku znajdziesz takich, którzy gotowi są na największe podłości. W Halarii i pozostałych ich krajach jest tak samo. Nie zdołali dopilnować swoich, co poszli w służbę do wszystkich armii biorących udział w wielkiej wojnie. Dziś by już się tak nie zdarzyło...

– Nie zdarzyłoby się, bo zawarto traktat w Maenvig!

– Bo czarnoksiężnicy nabrali rozumu! Naprawdę uważasz, że jakiś tam traktat jest w mocy powstrzymać królów, marszałków i generałów przed korzystaniem z usług czarnoksiężników? To oni sami odmawiają udziału w naszych utarczkach!

– I stoją z boku, korzystając na nich, ile wlezie.

– Zgadza się. Przecież nie są święci, tego nie twierdzą.



– A jednak Ekhart posłał Horrisa i innych Gernonowi.

– Och, dałbyś spokój! – Koniokrad zniecierpliwił się – Traktat z Maenvig nic nie

mówi o uzdrowicielach! Bo oni nie mogą szkodzić, jedynie pomagać. Chyba tylko my ich nie wynajmujemy, bo Burghiese nienawidzi wszystkiego, co związane z krajami magii. Wiesz przecież. I w tym jesteście do siebie podobni, wybaczn porównanie.

– Moja matka... to dlatego... – mruknął Pillgrim. – Przecież wiesz...

Alwen uciszył gestem przyjaciela. Nie było potrzeby rozdrapywać starych ran. Matka Pillgrima odeszła z pewnym czarnoksiężnikiem. Stary baron krzyczał, że tamten omotał ją zaklęciami. Prawda jednak wyglądała nieco inaczej. Zupełnie inaczej, prawdę mówiąc. Mag zauroczył ją i uwiódł tak, jak normalny, zdrowy mężczyzna potrafi uwieść kobietę. Nic zresztą dziwnego. Ojciec Pillgrima słynął z wielkiej odwagi, ale też nie mniej wielkiej gwałtowności i szybkiej ręki, a w karaniu nie znał umiaru. Doprawdy trudno się dziwić kobiecie siedzącej pół życia w samotności, zastanawiającej się, czy mąż wróci o własnych siłach, czy przywiozą na wozie jego trupa wypchanego solą i ziołami. Ojciec Alwena, mimo wielkiej przyjaźni, jaką darzył Pillgrima i starego de la Marville, nigdy nie potępił wiarołomnej niewiasty. Za dużo wiedział i zbyt wiele rozumiał, żeby ferować wyroki. Nie każda kobieta jest stworzona, by strzec jedynie domowego ogniska, otrzymując w zamian tylko połajanki i, od święta, szorstkie pieścizoty. Ale utrata rodzicielki wycisnęła niezatarte piętno w duszy Pillgrima. Krzywdę uczynił mu jeden czarnoksiężnik, a on znienawidził wszystkich. Tak było łatwiej dziecięcemu serduszkowi i tak już zostało. Tym większą odczuwał Alwen wdzięczność, że baron pojechał za nim do przeklinanego tylekroć kraju, choć wszystko musiało się w nim skrecać na samą myśl.

– Oni też są ludźmi – powiedział cicho Koniokrad – takimi samymi, jak my. Tyle że na co dzień korzystają z umiejętności, jakie dobry Bóg zsyła wielu z nas, tylko nie potrafimy się z tym uporać.

– Pewnie masz rację. – Baron ułożył się wygodnie na posłaniu z gałęzi i trawy, poprawił derkę. – Ale ja za stary jestem, żeby zmieniać poglądy i przyzwyczajenia. Najważniejsze, że ty nie jesteś jednym z nich. Wybaczyłem ci w życiu wiele i wybaczę na pewno jeszcze więcej, ale tego bym nie zniósł.

Odwrócił się tyłem i zachrapał głośno, zanim Alwen otrząsnął się ze zdziwienia i zdążył zapytać, cóż takiego Pillgrim mu musiał wybaczać. Niech dobrze się wyśpi. Jutro z samego rana ruszają do Kaleemy, na Mont Salome. Droga przez sam środek kraju może niezbyt daleka, ale dla banitów bardzo niebezpieczna.



Vallery w ponurym milczeniu wpatrywał się w twarz Hanesa. Sługus hrabiego czekał w obozie na powrót patrolu. Nie pozwolił oddziałom wyjść na pomoc Kaleemie, choć żołnierze gnili w bezczynności, patrząc nocami na odległe łuny, bo w okolicach

Grindi panował zupełny, zadziwiający wręcz spokój. A teraz bawił się beztrosko, podrzucając i łapiąc gładki otoczak, patrząc z beczelnym uśmiechem na d'Orenburga.

– W jakim celu wysłałeś tamtych dwóch ludzi do klasztoru? – spytał groźnie pułkownik.

– Nie twoja sprawa – padła lekceważąca odpowiedź.

Vallery przymknął oczy, starając się zapanować nad sobą. Belkowane ściany świetlicy skutecznie tłumiliły odgłosy dochodzące z zewnątrz. Można było odnieść wrażenie, że zostali na świecie sami.

– Ja tu dowodzę – wycedził Vallery. – Poza tym jestem wyższy rangą, więc mówiąc do mnie, masz stać na baczność!

Twarz Hanesa zmierzchła.

– Gównno moje może się przed tobą prężyć! Ja nie zamierzam!

– Jak chcesz. Za lekceważenie szarży każę cię aresztować.

Rupert di Lorenzo, przysłuchujący się wymianie zdań, chrząknął znacząco. D'Orenburg nie zwrócił na niego uwagi.

– Najpierw jednak powiesz, po co wysłałeś ludzi na Mont Salome.

– Moja rzecz!

– Twoja i hrabiego Burghiese, co? – Głos Vallery'ego nabrał nieprzyjemnych, sykliwych tonów.

– Mam dla ciebie rozkazy, pułkowniku. – Hanes rzucił złożony na czworo, zapieczętowany pergamin na kolana d'Orenburga.

– A ja mam dla ciebie wiadomość. Jeśli zaraz nie zaczniesz gadać, możesz nie wrócić do swojego mocodawcy.

Hanes zaciął wargi.

– Nie odważysz się...

– Viries! – wrzasnął Vallery. Sierżant natychmiast wszedł do świetlicy. – Odprowadź tego oficera na odwach! Zabrać mu broń i do loszku.

– To gwałt na królewskim oficerze – powiedział zimno Hanes. – Chcę poznać zarzuty.

– Obecny tu kapitan di Lorenzo – odparł równie chłodnym tonem d'Orenburg – sporządził raport, z którego jasno wynika, żeś nie tylko zaniedbał obowiązki, nie wysyłając wojska przeciwko najeźdźcom, ale przeszkadzałeś w wykonaniu rozkazów, które mój zastępca próbował wydać. To chyba wystarczy. Koniec! – uciął, widząc, jak Hanes zbiera się do odpowiedzi. – Tłumaczyć się będziesz przed królem!

Rupert di Lorenzo z krzywym uśmiechem obserwował grę uczuć na twarzy aresztowanego. Wściekłość zmieszana z zaskoczeniem i narastającą nienawiścią. Straszny musi być z niego przeciwnik, zażarty i bezwzględny.

– Zatem sporządziłem raport – mruknął, kiedy Viries zniknął za drzwiami wraz z

Henasem.

– Sporządziłeś. A może nie?

– Zmuszasz mnie, żebym uczynił coś, czego unikałem przez ostatnie lata. Mianowicie mieszania się w te wszystkie awantury i knowania.

D'Orenburg oparł brodę na dłoni, wziął kilka głębokich oddechów, wyciszając wzburzone emocje.

– Nadchodzi czas – powiedział cicho – kiedy nie będzie można dłużej chować głowy w piasek. Jak znam życie, trzeba się będzie opowiedzieć po którejś ze stron.

– Jakich stron? – parsknął Rupert. – Jak na razie jest tylko jedna siła. Nasz ukochany par Ludwig hrabia Burghiese.

– Mylisz się – pokręcił głową Vallery. – Coś się dzieje, wyrasta i dojrzewa. Może z pozoru wyjąłowiona ziemia wypuścić pędy, które oplączą nogi hrabiemu i jemu podobnym.

– Oby – uśmiechnął się smutno di Lorenzo. – Oby... Może kiedyś. Teraz zastanów się, co zrobisz z tym kapitanem. Nie możesz go wiecznie trzymać w areszcie.

– Muszę się dowiedzieć, po co wysłał morderców na Mont Salome. Bo to byli mordercy, jestem tego pewien. A ty sporządź raport... to znaczy dostarcz jak najszybciej ten, który sporządziłeś.

– Oczywiście, pułkowniku, bezzwłocznie.

– Pilnuj naszego przyjaciela. Ja wychodzę z wojskiem na pomoc Kaleemie. Podobno dzieją się tam straszne rzeczy.



Rozdział 17

Ludwig Burghiese stał w pełnej szacunku postawie. Filip Chromy wyglądał o wiele lepiej niż przy ostatnim spotkaniu. Czyżby choroba go wreszcie opuściła? Zżymał się w duchu na tę myśl. Wiele zamierzeń gotowych wziąć w łeb, szczególnie jeśli Laura poczuje się mocniejsza. Nie wiedział nadal, czy królowa jest jeszcze jego sprzymierzeńcem, czy stała się już wrogiem. Działała zgodnie z jego sugestiami, nie stawiała na drodze, ale niepewność pozostawała i podstępnie kasała. Może jednak u króla to tylko taka poprawa kondycji, jaka bywa u ludzi śmiertelnie chorych. Jeśli tylko Filip umrze, trzeba królową odsunąć od władzy i wpływów. Sama, bez silnego poparcia, jest słaba i powolna, czemu dała wyraz, popierając hrabiego w Radzie.

– Co powiesz, mój parze? – odezwał się Filip.

– Wszystko idzie po naszej myśli. – Hrabia zgiął plecy w lekkim ukłonie. – Gromadzimy siły, niebawem możemy stanąć do walnej rozprawy z Gernonem.

– Oczywiście. Słyszałem. Królowa mi mówiła. Skąd wzięłeś na to fundusze, mój drogi? Przecież skarbiec opustoszał, a wpływy z podatków mizerne.

– Znalazłem pieniądze, miłościwy panie. Od tego jestem wielkim parem, by czynić rzeczy niemożliwe.

– Zapożyczyłeś się. – Zmrużył oczy Filip. – A raczej nie siebie, tylko królestwo. Przede mną nie musisz udawać. Powiedz, ile to nas będzie kosztowało? Bankierzy nie zwykli czynić niczego bez należytych zysków. A zyski wierzycieli są ruiną dla dłużników.

– O wiele więcej kosztuje nas ciągle upokarzanie przez to brudne książątko! Nie ma takich pieniędzy, których nie warto zaryzykować, aby się od niego uwolnić!

– Kiedy tak mówisz – Filip oparł się wygodniej – w twym głosie słychać

prawdziwą żarliwość. Nie wiem tylko, co ona oznacza. Troskę o królestwo, czy o własne interesy.

– Ranisz mnie, królu, mówiąc w ten sposób.

– Ciebie nie można zranić, Ludwigu. – W głosie monarchy dał się odczuć smutek. – Można jedynie podrażnić twoją ambicję. Ale kto wie – dodał ciszej – może to właśnie jest nam potrzebne...

– Zgadzasz się zatem, najjaśniejszy panie, z moimi decyzjami podjętymi w czasie twej choroby?

– Wyszedłbym na głupca, występując teraz przeciwko tobie. Wywołałeś kolejną wojnę. Potrzebnie czy nie, nie ma to teraz znaczenia. Mam nadzieję, że tym razem ją wygramy.

– Musimy! Nie ma innej możliwości.

– Poprzednim razem też tak mówiłeś. Zaczęliśmy awanturę, a zakończył ją nie kto inny jak Gerno, który miał być słabym i bezwolnym przeciwnikiem. Okazał się zaś prawdziwym lwem!

– Tym razem jesteśmy przygotowani.

– Mam nadzieję. Bo klęska będzie nas słono kosztować. Więcej niż jesteśmy w stanie zapłacić.

Burghiese odwrócił wzrok. Ktoś kiedyś powiedział, że Filip Chromy jest słabego rozumu. Mylił się. Może był słaby i schorowany, ale na pewno nie brakowało mu rozsądku. Muszą zwyciężyć. Inaczej przyjdzie płacić trybuty Gernonowi i spłacać ogromne długi zamiast korzystać z łupów zdobytych na przeciwniku i ogołocić jego skarbiec. Zwycięski Gerno, nie daj Boże, zażąda jeszcze hołdu lennego, a wtedy królestwo może utracić prawo do korony i stać się zwykłym księstwem. Słabi i ubodzy nie mogą się spodziewać łaski świata. Gra, którą podjął, doprowadzając do klęski w poprzedniej wojnie musi zakończyć się pomyślnie. Wtedy ludzie zapomną o głupich prawach do tronu i Czarnym Pergaminie, bo liczy się tylko siła! Jego siła...

– Najjaśniejszy panie...

– Idź już – przerwał król. – Inne sprawy mogą poczekać. Jestem zmęczony.

Ludwig skłonił się sztywno. Ledwie zniknął za drzwiami, Filip skulił się z jękiem, chwytając za brzuch.



Alwen z pobladałą twarzą przemierzał puste, mroczne korytarze. Puste... niezupełnie. Leżały na nich tu i ówdzie trupy kobiet w habitach, z poderżniętymi gardłami, rozprutymi brzuchami, śladami zadawanego wielokrotnie gwałtu, być może nawet jeszcze po śmierci. Dzicy górale miewali dzikie obyczaje. Podobno było im obojętne,

czy gwałcona kobieta żyje czy nie. Wykrzywione przerażeniem niewieście twarze, pokryte zaschłą krwią, zdeformowane razami bezlitosnych pięści, teraz dodatkowo napuchły pod wpływem postępującego rozkładu. Łzy cisnęły się do oczu nawet twar데미 i przyzwyczajonemu do oglądania okropności Pillgrimowi.

– Rany boskie – szepnął Koniokrad. – Nikt nie przeżył. Jeśli ona tu była... A przecież była.

Weszli do pomieszczenia kuchennego. Wygasły piec, porzucone naczynia, zapasy wyjedzone i zniszczone przez napastników. Wszystko wałało się w nieładzie. Przeszli dalej. Krużganek wokół dziedzińca również nosił ślady napaści. Barierki bezmyślnie porąbane mieczami i toporami, nawet kamienna posadzka zdewastowana, powalana nieczystościami. Weszli w pierwsze drzwi, jakie napotkali.

– Tam dalej pewnie jest lazaret – mruknął Pillgrim. – A to pracownia zielarska, widzisz? Zbóje nie wyrządzili w tym miejscu za wiele szkód. Bali się przebywać dłużej, bo według nich mniszki uprawiają czary. Jeśli kto się mógł uratować, to tylko tutaj.

– Uratować? – Alwen zagryzł wargi. – Jak sobie to wyobrażasz?

– Nie wiem. – Baron wzruszył ramionami. – Ale wszystko trzeba sprawdzić. Nie trać nadziei.

Zaczął myszkować po pomieszczeniu, uważnie oglądając przedmioty, zaglądając pod stoły, przeglądając półki. Rozniosła się intensywna woń ziół, kiedy uwalniał ich zapach zamknięty za drzwiczkami licznych szafek.

– Nic nie widzę – sapnął, starając się wstrzymać oddech, gdyż zapach niektórych ze zgromadzonych roślin przyprawiał o zawrót głowy. – Zaraz – zatrzymał się nagle, wpatrując w podłogę – tutaj jest kłapa, widzisz? Ledwie można zauważyć obrys. Pomóż mi. Pomóż, czemu tak stoisz?!

Alwen oparł się czołem o gzyms wielkiego kominka, zapatrzył na wygasłe palenisko. Ono jest jak jego życie. Jeszcze niedawno żar nadziei wstąpił w serce, przyniósł cieplejszy powiew, żeby zaraz wymrozić i zgasić tryskające iskierki. Tyle okropności... Boże, i ty na to zezwalasz?

– Chodźże już, Koniokradzie! – ponaglał Pillgrim, grzebiąc sztyletem w szczelinie. Alwen posłusznie zbliżył się, wzruszył ramionami. A co to za pomysł? Przecież tam nikogo być nie może... Baron rozglądał się po pomieszczeniu. – Tu są, widzisz, takie wgłębienia – mówił bardziej do siebie niż towarzysza. – Gdzieś powinniśmy znaleźć jakieś narzędzie... Patrz! – zawołał nagle, aż Alwen podskoczył. – Tamte pozaginane druty! Dawaj je!

Po chwili mocowali się z ciężką kłapą. Pillgrim, spocony z wysiłku i podniecenia klęknął, uważnie przyjrzał się wgłębieniom.

– Czekaj! To chyba trzeba zrobić tak. – Przekreślił stalowy drut, gestem kazał to samo uczynić Koniokradowi. Niespodziewanie kłapa odskoczyła, mało nie trafiając go

w głowę. – Diabli! – zaklął. – Czegóż to człowiek nie znajdzie w takim eremie! Hej, jest tam kto? – zawołał w ciemność pod podłogą. Odpowiedziała cisza, a potem nadleciał leciutki powiew niosąc ze sobą znajomy przykry zapach.

– Niech to – powstał – trupi odór. Pewnie parę siostrzyczek zdołało się tu schronić i uświerkło. – Przyjrzał się uważnie otwartej klapie. – I nic dziwnego. Nie mogły się wydostać, bo najwyraźniej zatrask działa tylko w jedną stronę. Nie miał tych biedaczek kto wypuścić. Cała okolica spustoszona, Varijczycy nie oszczędzili nikogo, jesteśmy chyba pierwsi po najeździe.

– Cicho bądź – ofuknął go nagle Alwen. – Chyba coś usłyszałem.

– Co?

– Nie wiem i nie dowiemy się, jeśli nie ucichniesz! Pillgrim nadstawił ucha. Rzeczywiście, z dołu doleciał jakby lekki jęk.

– Trzeba tam zejść! – Koniokrad poderwał się. – Skrzesz ognia i zapal jakieś łuczywo.



Bernadetta z troską wpatrywała się w zmizerniałą twarzyczkę niemowlęcia. Maleńka nie chciała jeść, wypluwała pokarm, nie pomogła nawet sprowadzona z sąsiedniej wsi mamka, choć Bartłomiej nie pożądał grosza. Zakonnica gryzła palce ze zgrzyoty, ale nie mogła nic poradzić. W dodatku przedwczoraj Bartłomiej przyszedł do niej i oznajmił:

– Wracamy. Najazd minął, trza dom obaczyć, może co z niego zostało, a może i co z chudoby da się odzyskać.

– Nie mogę jej porzucić – odparła ze łzami w oczach.

– Wiem, Berna. – Niezdarnie pogładził ją po twarzy. – Jest w tym wszystkim jakowaś tajemnica, czuję to, ale o nic nie pytam. Może kiedy się spotkamy w lepszych czasach, sama powiesz. Ninie uładziłem się z gospodarzami. Masz zapłacone za miesiąc z górą, zadbają o ciebie. A jeśli mała wydobrzeje albo... – nie dokończył, krzyżując palce od uroku – masz u mnie miejsce. Wiesz, gdzie nas szukać.

Została sama ze swymi troskami i niepokojem o Annę. Niech tylko malutka wydobrzeje. Skoro najazd minął, można wrócić do klasztoru. Bezpieczniej tam niż gdzie indziej.

– Słuchaj, Berna. – Gospodarz stanął nad nią. – Pora na ciebie.

Najpierw nie zrozumiała. Spojrzała w złe oczy chłopca, zerknęła na jego żonę siedzącą w kącie i udającą, że jest bez reszty pochłonięta przebieraniem jabłek.

– Pora na ciebie, przybłędo! Nie potrzeba nam tutaj darmozjada z bękartem nie wiadomo skąd.

– Ale Bartłomiej...

– Bartłomiej już daleko. A ty wynoś się, żebym cię do jutra nie widział!

Trzasnął drzwiami, wychodząc. Bernadetta błagalnie patrzyła na grzebiącą wśród owoców kobietę. Tamta podrzuciła tylko głową.

– Słyszałaś przecie, co rzekł mój stary. On tu rządzi i nie mnie się w to mieszać. A ty z tym szczeniędem jesteś dla nas nicpotem! Żreć tylko będziesz za darmo.



Przelewała się przez ręce, cuchnęła trupem jak wszystko dookoła, ale żyła. Była chuda. Nie tyle nawet wychudła, ile najwyraźniej sucha z natury.

– Jak cię zwą? – spytał Pillgrim widząc, że uchyliła powieki. – Mów, dziewczyno.

– Hor... Hortensja – wyszeptała z wysiłkiem. – Pić...

Alwen przyłożył jej do ust manierkę z winem. Najpierw zachłysnęła się, rozkaszła, opadła bezwładnie na plecy, mogło się wydawać, że zaraz wyda ostatnie tchnienie, ale po chwili sama chwyciła naczynie, czerwony płyn spłynął z kącików ust.

– Jak przeżyłaś? – Pillgrim siłą zabrał jej manierkę. – Tam wszystkie zginęły.

– One mnie uratowały – odpowiedziała z wysiłkiem – przełożona, zielarka i inne... Najmłodsza byłam... Kiedy się zrobiło zimno, wzięły mnie między siebie... Ogrzewały... A potem umarły, więc zdjęłam z nich ubrania... ale i tak marzłam... I pewnie bym umarła, ale przyszedł dobry duch i tchnął we mnie życie...

Baron machnął niecierpliwie ręką. Majaki wygłodniałej i zmarzniętej dziewczynki nie interesowały go. Nie takie rzeczy człowiek widzi, gdy śmierć zajrzy w oczy.

– Co tu zaszło?

Ukryła twarz w dłoniach, zaczęła szlochać.

– Boże... Wpadli do klasztoru w nocy. Ktoś otworzył bramę... Na dole słyszałam, jak siostry krzyczą... To trwało długo, bardzo długo... Przewracali sprzęty, wołali... Szukali czegoś może, jakich kosztowności... A potem nie mogłyśmy wyjść, bo nie szło otworzyć klapy... Żadna przedtem nie pomyślała, żeby czymś przycisnąć zatrzask.

Alwen czuł narastający niepokój, przeradzający się w rozpacz.

– Była tu dziewczyna... – powiedział, patrząc z natężeniem w twarz mniszki. – Ciężarna.

Hortensja zeszywniała, potoczyła przerażonym spojrzeniem.

– Ja nic nie wiem.

– Jak to nie wiesz?! – Koniokrad chwycił zakonnicę za szatę na piersi, nie zważając na bijący od niej smród. – Była czy nie?

Hortensja zacięła usta. Fakt, sama przecież swego czasu zdradziła obecność Maive w klasztorze, ale przyszło potem tego żałować. Obolałe sumienie gorzej doskwiera niż obolała ambicja. Teraz nikt od niej nie wyciągnie tajemnicy!

– Mów. – Pillgrim oderwał rękę Alwena od mniszki. – Nie obawiaj się. To jej mąż...

Oczy dziewczyny rozszerzyły się zdumieniem.

– Pan Alwen de Morano? – wyszeptała. – Przecież on nie żyje!

– Żyje! To on.

– Nie wierzę! Jak to udowodni?

– Ty durna dziewczko... – uniósł się gniewem baron, ale powstrzymał go Koniokrad.

– Nosła w ukryciu na szyi mój pierścień – rzekł łagodnie. – Na nim wizerunek atakującego jastrzębia. Na lewej piersi miała małe znamię w kształcie przełamanego półksiężyca...

– To prawda... – szepnęła z ulgą Hortensja. – Pielęgnowałam ją w chorobie. Widziałam i pierścień, i znamię. To prawda...

– Prawda, prawda! – odparł niecierpliwie baron. – Mów wreszcie, co z nią?

– Biedaku. – Zakonnica wyciągnęła rękę, chwyciła kurczowo dłoń Koniokrada. – Biedaku... – powtórzyła.



Vallery odwrócił twarz. Wiatr zacinał drobnym, mokrym śniegiem, a właściwie kryształkami lodu. Pogoda była zresztą równie przykra jak krajobraz. Szare chmury, szare góry, ziemia, nawet iglaste drzewa zdają się szare.

– Klasztor wygląda na opustoszały – odezwał się do Viriesa.

Ruszyli na pomoc bajlifowi Kaleemy, ale okazało się, że dzicy górale puścili z dymem okolicę i uciekli do ukrytych za wysokimi szczytami, niedostępnymi komyszy.

– Czyli prawda to, że go splądrowali – odparł sierżant. – Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Zupełnie jakby zjawili się tylko po to, a resztę hrabstwa złupili niejako przy okazji.

Nadjechał zwiadowca.

– Dwóch ludzi zmierza ku nam od strony Mont Salome – zameldował.

Viries natychmiast wydał rozkazy. Żołnierze wraz z wierzchowcami wsiąkli między skały i zarośla, zwyczajni podobnych zasadzek.

– Kazałeś brać ich żywcem? – spytał d'Orenburg. – Trzeba zasięgnąć języka.

– Oczywiście, pułkowniku.

Upłynęło kilka dłużących się chwil, zanim usłyszeli kłapanie wolno idących wierzchowców. Zza usypiska głazów wyjechało dwóch ludzi. Jeden, ze zwieszoną

głową, wpatrywał się w błotnistą ziemię, drugi rozglądał się, jakby coś wzbudziło jego czujność. Jego twarz wydała się Vallery'emu znajoma.

– Brać ich!

Ze wszystkich stron wypadli żołnierze, celując z kusz do jeźdźców. Ten ze zwieszoną głową zdawał się nie zwracać uwagi na nic, drugi podniósł ręce.

– Na wszystkie szatany piekła – powiedział spokojnie do towarzysza. – Tośmy wpadli, jak śliwka w gówno. Królewskie wojsko.

Teraz d'Orenburg był już pewien, kogo ma przed sobą.

– Witaj, baronie – podszedł bliżej. Tamten wytrzeszczył oczy. – Nie poznaje mnie pan?

– D'Orenburg, ty ladaco! – zawołał Pillgrim. – Co robisz w takim psim kraju? Ostatnio byłeś w kawalergardach, o ile pamiętam!

– Byłem, ale przestałem. Łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Ale wolę tę służbę od pałacowego zaduchu.

– Zawsze mówiłem, żeś stworzony do ważniejszych spraw niżli grzanie dupska przy kominkach i obracanie dworskich dziewczek. Ale nie przypuszczałem, że skończysz na tak odpowiedzialnej placówce.

– Nie wiem, czy mam to traktować jako komplement, czy wręcz przeciwnie.

– To już jak uważasz.

Vallery pokręcił głową. Pillgrim zawsze miał cięty jęzor i nigdy nie trzymał go na wodzy. Nie miał takowego zwyczaju, jak powtarzał przy każdej okazji.

– A ten za tobą, czy to nie Viries? – Baron przymrużył oczy. – Kolejny mój dobry znajomek?

– To ja, generale. – Stary zbliżył się. – Powiedzcie nam lepiej, kim jest ten milczek. Może mam go sam wypytać?

Twarz Pillgrima zmierzchła.

– Daj mu spokój – rzucił niechętnie. – Przed chwilą dosłownie dowiedział się, że jego żona nie żyje. Nie mógł nawet zapalić świec na jej grobie, bo przekłęci górale zabrali z klasztoru wszystkie świece, co do jednej.

– Kim on jest? – spytał podejrzliwie Vallery. – Kogo opłakiwał?

Baron zmrużył oczy.

– I tak się w końcu domyślisz, kiedy dotrzecie na górę, bo na kamieniu grobowym wyryto jej imię. Jego żoną była Maive vi Rimm...

– To Alwen de Morano zwany Koniokradem? – szepnął zdumiony pułkownik. – Przecież nadeszła pewna wieść, że poległ pod Getschen. Nikt go od tamtej pory nie widział.

– Tyle są warte wszelkie pewne wieści. Powinieneś to wiedzieć.

– Wiem. Ale wiem także, że za panem, baronie, został wydany ortył. Jesteście wyjęci spod prawa obaj. Bo pan de Morano został wyróżniony pośmiertnie

powtórny odebraniem wszelkich praw i godności. Musimy was zatrzymać.

– Zatrzymać? – Alwen po raz pierwszy podniósł wzrok. Vallery ujrzał ból i beznadzieję, bezdenną rozpacz. – Po co?

– Takie jest prawo. A ja muszę go przestrzegać, chociaż doprawdy nie mam na to ochoty.

– To nie przestrzegaj. – Koniokrad wzruszył obojętnie ramionami.

Baron zeskoczył z konia, odprowadził na bok d'Orenburga.

– Puść nas, pułkowniku – rzekł.

– Maive była w ciąży – odparł Vallery zamiast odpowiedzi na prośbę. – Tym większe zawisło nad nią niebezpieczeństwo. Co się stało z dzieckiem? Zginęło?

– Podobno niedługo przed najazdem zabrała je z klasztoru jedna z zakonnicek. Może żyje, może nie. Po tym piekle, które się tutaj rozpętało, nie ma nadziei. Ale musimy szukać, przynajmniej po to, żeby Alwen nie oszalał! Dlatego proszę cię, puść przynajmniej jego. Mnie niech biesy porwą, ale jego szkoda...

– Słyszałem – uśmiechnął się krzywo pułkownik – żeś przystał na służbę do Gernona, baronie.

– Dobrze słyszałeś.

– I mam was puścić? Przecież jeśli to dojdzie do uszu Ludwiga, ukarze nie tylko mnie i Viriesa, ale cały oddział! Toż popełniliście zdradę stanu!

Pillgrim uśmiechnął się.

– Nigdy nie wiadomo, kto zdrajcą w takich czasach.

– To prawda, ale mnie obowiązuje prawo.

– Tu idzie nie tylko o honor czy moje prawdziwe albo domniemane winy. Na rzeczy są sprawy całego królestwa. Możesz mi wierzyć. Wydasz nas w ręce słodkiego Ludwiga i co to da? Będzie takim samym kurwym synem, jak do tej pory, o ile nie gorszym, bo poczuje się bezpieczniej. Posłuchaj głosu rozsądku. Rozsądni ludzie zawsze znajdują rozwiązanie, które zadowoli obie strony.

– A konkretnie co masz na myśli?



Sufit rozjaśnił się ciepłym blaskiem. Znak, że nadchodzi wieczór. Głęboko w podziemiach otwiera się powoli podróźny portal bramy światła, by zgasnąć tuż po północy. Dziwna pora. Większość ludzi tak jej nie odczuwa, nie zastanawia się, jakie moce może budzić do życia podobna pora dnia. Dla maga to czas niebezpieczny. Najlepiej nie ruszać się wtedy z domu, żeby ktoś, korzystając z chaosu przejścia sił światłości w siły ciemności nie rzucił groźnego uroku. Ludziom wydaje się, że czarnoksiężnicy są potężni. Niewątpliwie, jednak każdy ma swoje słabości. Czy ktoś

ze zwykłych śmiertelników chciałby za taką moc płacić codziennym lękiem? Każdego wieczora drżeć z obawy przed nieznaną, niepojętą i nieposkromioną mocą płynącą z odwiecznych otchłani?

Prawda – to tylko chwila. Ale podobna chwila potrafi trwać wiecznie. Westchnął. Tu, w swoim pałacu jest bezpieczny. Ale gdyby trzeba wyjść... jakże brak w takich momentach Horrisa, któremu nie zagraża nic podobnego. Wierny sługa, bardziej godzien zaufania niż wszyscy inni ludzie. A jego wielki pan potrafi mu się odplacić szorstkością, gniewem... To trzeba zmienić, gdy uzdrowiciel powróci. Gdy tylko niebezpieczny czas przeminie, natychmiast na stół powędruje kryształowa kula.

Gdzie jest Czarny Pergamin? Dlaczego nadal nie potrafi wyczuć jego obecności? Przecież wykorzystał już chyba wszelkie sposoby, użył najpotężniejszych zaklęć. Tak... Tylko wielki mędrzec mógł stworzyć tak wspaniały artefakt magiczny, który byłby niemożliwy do wytropienia.



Pillgrim wracał z ponurą miną, pół kroku przed Vallerym, który skinął Viriesowi głową. Sierżant westchnął ciężko, wydobywając z juków kłęb mocnego bawełnianego sznura do skrępowania jeńców. Alwen przyglądał się temu obojętnie.

– Przykro mi, panie de Morano – stary podszedł do niego – ale musimy was aresztować.

– Oczywiście. – Koniokrad posłusznie wyciągnął ręce.

W tej chwili Pillgrim nagle zawirował w obrocie, znalazł się za plecami Vallery’ego. Żołnierze z osłupieniem patrzyli na lśniące ostrze przyłożone do gardła ich dowódcy. Jak mógł dać się tak zaskoczyć? I jakim sprawnym wojownikiem jest ten legendarny Pillgrim!

– Stać na miejscach – wrzasnął baron donośnie, aż echo odbiło się od skalnej ściany – bo mu zrobię dodatkowy uśmiech!

– Stać! – zawołał Viries, widząc, że niektórzy z żołnierzy nerwowo przebiegają palcami przy spustach kusz. – On naprawdę gotów zabić pułkownika!

– Bardzo dobrze, stary – rzucił Pillgrim. – Znasz mnie, potrafię być naprawdę wredny. A teraz niech bardzo powoli odłożą broń na ziemię i cofną się kilka kroków.

– Słyszeliście? – Viries powiódł wzrokiem po twarzach ludzi.

Posłusznie odłożyli kusze, odstąpili od nich. Tymczasem Pillgrim, prowadząc przed sobą Vallery’ego, dotarł do swojego konia. Wskoczył w siodło, nie zdejmując ostrza z szyi pułkownika. Nawet stary sierżant był pełen podziwu dla sprawności nie pierwszej już przecież młodości człowieka.

– No to żegnamy panów – powiedział baron. – Alwenie, w konie!

Zerwali się do galopu, nie zwlekając ani chwili. Vallery upadł na ziemię. Zerwał się natychmiast, skoczył do najbliższej porzuconej kuszy, wypuścił pocisk, który minął o kilka cali głowę barona. Jego śladem poszedł jeden z żołnierzy. Wycelował, ale zanim zdążył wystrzelić, broń przygięła twarda ręka Viriesa.

– Daj spokój, chłopcze.

– Ale uciekną – zaprotestował żołnierz. – Stąd jeszcze trafię.

Znów uniósł kuszę i znów sierżant udaremnił jego zamiar.

– Właśnie o to chodzi. Jeszcze kogoś trafisz. Daj spokój. Zachowaj lepiej siły i dobre oko na kogoś, kogo naprawdę warto zastrzelić.

Vallery klął na czym świat stoi, patrząc za znikającymi w nadchodzącym mroku postaciami. Podwładni widzieli tylko jego plecy, nie mogli więc dostrzec uśmiechu, który stanowił spory zgrzyt w zestawieniu z plugawymi słowami, jakimi obrzucał Pillgrima i Alwena oraz ich przodków do siódmego pokolenia. Viries zbliżył się do niego.

– Trzeba będzie powiadomić para Ludwiga o tym zajściu.

– Masz rację, stary. Ale są pilniejsze sprawy. Najpierw musimy dokładnie zlustrować klasztor, potem nie mniej skrupulatnie sprawdzić okolicę, pojechać kawałek w góry, może jeszcze dopadniemy jakichś Varijczyków. Zdałoby się zasięgnąć wieści od nich, bo ten najazd był nader dziwny.

– Odwleczecie to jak najbardziej?

– Nic nie odwlekam, stary, ale wykonuję swoje obowiązki. Pamiętaj o tym.

– Jasne – wyszczerzył żółte zęby sierżant. – Ale jednak powinniśmy wysłać pościg za tamtymi.

– Masz rację. Ty go poprowadzisz. Weź trzech najbardziej zaufanych ludzi i jedźcie. Tylko wracajcie prędko. Nie powinniśmy rozdzielać sił.

– Wróć najdalej pojutrze wieczorem.

– Najdalej jutro w południe, stary! Ile czasu zamierzasz siedzieć w karczmie, co?



Rozdział 18

– Wojna! – Burghiese poderwał się z krzesła, rzuciwszy okiem na dostarczone mu przed chwilą pismo. – Gerno postanowił uprzedzić nasz atak. Pewnie mu się wydaje, że po ataku Varijczyków jesteśmy rozbici i osłabieni. O to mi chodziło! Także o to – dodał ciszej, do siebie.

Kardynał Falcone nie podzielał radości wielkiego para.

– To był podobno straszny najazd. Musiałeś go sprowokować?

– Musiałem. Poza sprowokowaniem Gernona trzeba było zatrzeć ślady nieudanego przedsięwzięcia na Mont Salome. Zresztą udanego czy nie, ślady i tak trzeba było zatrzeć. A poza tym postarałem się, żeby cała awantura poszła na konto naszego księżęcego przyjaciela. To mu nie przysporzy popularności. No i liczyłem, że górale odnajdą jednak Czarny Pergamin. Obiecałem za to całkiem niezłą sumkę. Szkoda, że nic z tego nie wyszło.

Falcone wzdrygnął się. Do jakich czynów jest jeszcze gotów ten groźny sprzymierzeniec? Nie zawaha się chyba przed niczym.

– Król znów zaniemógł – powiedział, żeby przerwać ciężącą ciszę.

– Wiem. To nawet lepiej. Nie będzie się wtrącał. Bez jego poparcia piękna Laura też nie może wpływać na nasze decyzje.

– Co zamierzasz?

– Nic nowego, kardynale. Ściągamy najlepsze oddziały ze wszystkich granic, a zastąpią je nasi dzielni rzeczni rozbójnicy. Idziemy na wojnę! Nareszcie.



Okna karczmy rozświetlone były od wewnątrz, bijąc silną łuną nawet z oddalenia. Obok stał budynek mieszkalny dla gości. I tam wszystkie okna świeciły, na pewno brak wolnych miejsc, wszystkie zajęte przez tych, co stracili dach nad głową.

Jednak im dwóm nocleg po dachem nie był do niczego potrzebny.

– Piwa bym się napił i nie w ostatku gorzałki – mruknął Pillgrim. – A i języka może zasięgnjemy.

– Ktoś nas jeszcze pozna.

– To i co? – Wzruszył ramionami baron. – Teraz to i tak wszystko jedno. Prędeż czy później d’Orenburg zamelduje Burghiesemu, żeśmy żywi i w kraju. Jedźmy, Koniokradzie.

Po chwili stali na progu karczmy. Pillgrim wszedł pierwszy. Oczy gości przebiegły po nich bez większego zainteresowania. W taki czas obcy przejezdni są czymś zwyczajnym, więcej ich bodaj nawet niż miejscowych. To zresztą nietrudne, bo po najeździe wielu znalazło się po drugiej stronie życia. Zresztą są teraz większe troski niż zastanawiać się nad jednym czy drugim obcym.

Baron rozejrzał się, pociągnął Alwena w stronę stołu pod oknem. Siedział tam tylko jeden człowiek w głęboko nasuniętym kapturze. Nikt się do niego nie przysiadał, bo roztaczał wokół siebie nieprzyjazną aurę nieprzystępności. Pillgrim jednak nie zwykł przejmować się podobnymi drobiazgami. Posadził bezwolnego Alwena, sam klapnął na ławę.

– Gospodarzu, wina grzanego garniec, a żywo! – zawołał.

Siedzący drgnął, rzucił spod kaptura spojrzenie. Tymczasem baron wytrząsnął z sakiewki srebrny grosz, wcisnął w dłoń karczmarzowi, który usłużnie nadbiegł z parującym dzbanem i kubkami. Baron nalał, trącił Alwena w ramię i wypił duszkiem.

– Pijże, chłopcze. Przyda się rozgrzać kości. Nie wiem, może w twoim wieku jeszcze człowiek tak tego nie odczuwa, ale mnie po całym dniu na zimnie w krzyżu łupie. Nawet taki cienkusz zaprawiony najwyraźniej wodą z gnojowiska może działać cuda.

Koniokrad posłusznie ujął kubek, pociągnął łyk. Nie zwracał uwagi na smak napoju. Patrzył w zamyśleniu na starszą kobietę siedzącą przy kominie. Zupełnie nie pasowała do otoczenia. Na kolanach trzymała niewielki tłumoczek, pochylała się nad nim co chwila z troską. Dziecko... niemowlę. Pewnie taka by była jego córeczka, gdyby przeżyła.

– Cicho tu jak w kościele prawie – mruknął baron. – Przygnębieni ci ludzie... Nie dziwota zresztą. Po tym, co tu się ostatnio działo...

Znów pociągnął łyk, krzywiąc się paskudnie.

– A ty, milczku? – zainteresował się zakapturzonym człowiekiem. – Może napijesz się z nami tej szczyzny zaprawionej blekotem? Nic lepszego nie mogę, niestety, zaproponować.

Zagadnięty wyprostował się.

– A ty, baronie, jak zwykle popisujesz się swoją sławetną szorstką uprzejmością? Pillgrim drgnął.

– Skąd znasz moje imię? Możesz szpieg? – Nieznacznym ruchem wydobył z cholewy sztylet.

– Może tak, może nie, sam oceń. – Tajemniczy człowiek odrzucił kaptur.

Pillgrim ze zdumienia stracił na chwilę zdolność mówienia.

– Uzdrowiciel! – wydukał z trudem. – Co tu robisz, Horrisie? – A potem zawołał na cały głos, trącając Alwena: – Zobacz, toż to uzdrowiciel!

– Ciszej, baronie – syknął Horris. – Jeszcze ktoś usłyszy!

Koniokrad oderwał wzrok od kobiety z dzieckiem. Gdyby umysłu nie mroczyła rozpacz, pewnie ucieszyłby się na widok przyjaciela. Jednak zdobył się tylko na skrzywienie warg i ledwie dostrzegalne kiwnięcie głową.

– Jak tu dotarłeś? Wiesz, co się stało w klasztorze?

– Wiem wszystko, baronie. I współczuję.

– Ale jak zdołałeś tak szybko... Przecież nie wolno używać magii poza granicami waszych krajów zgodnie z traktatem...

– Zgodnie z Bożymi przykazaniami, ludzi też nie wolno zabijać, ale jakoś nikt się tym nie przejmuje, szczególnie ostatnimi czasy. Są sprawy ważniejsze niż jakieś tam porozumienia i traktaty.

Koniokrad bezmyślnie sącył grzane wino. Horris, wspomnienie niesłychanie odległych czasów, kiedy nadzieja jeszcze nie umarła... Odległych? Przecież jeszcze kilka dni temu... Chciał coś powiedzieć, ale uprzedził go cichy, nieśmiały głos.

– Wybaczcie, panie... – Przed nimi stała kobieta z niemowlęciem. Dziecko kwiliło cichutko, pokaszując prawie bez ustanku. – Wybaczcie – patrzyła na Horrisa – ale przypadkiem usłyszałam, że ten szlachetny pan nazwał was uzdrowicielem...

Horris pokiwał głową, patrząc z wyrzutem na barona.

– Ja wiem, panie – szepnęła kobieta – iż to musi być tajemnica. Ale to dzieciątko... Ono umrze, jeśli...

Uzdrowiciel przyjrzał się mizernej twarzyczce owiniętej w ciepły szal. Nagle poczuł narastający żal. To dziecko na pewno umrze bez pomocy, i to niedługo.

– Kobieto – warknął. – Ono ma zapalenie płuc! Powinno leżeć w kołysce natarte maściami i napojone driakwiami, a nie włączyć się po wiejskich szynkach! Gospodarzu!

Karczmarz zjawił się natychmiast.

– Daj nam zaraz osobne pomieszczenie...

– Nie mam, szlachetny panie, wszystko zajęte...

– Baronie, sypnij groszem...

Na widok złotego talara oczy chłopca rozjarzyły się chciwym blaskiem.

– U mnie, panie, do mnie proszę. Ja ze starą zanocuję w stodole.



Hortensja przemierzała klasztorne korytarze cicho jak duch. Przestała już opłakiwać zabite siostry. Życie musi toczyć się dalej. Tak zazdrościła kiedyś Branwenie godności przeoryszy... Teraz zaś została przełożoną sama dla siebie. Wyszła na niższy dziedziniec, gdzie w rogu umiejscowiono nieduży cmentarz dla zakonnice. Zatrzymała się nad grobem Maive vi Rimm. Na wspomnienie rozpaczy nieszczęsnego Alwena łzy znów napłynęły do oczu. Padł jak martwy na zimny kamień, obejmując go rękami. Ten drugi nie mógł go długo oderwać. Złe to czasy dla dobrych ludzi.

Potem zjawili się żołnierze z bardzo przystojnym oficerem. Pomogli uprzątnąć trupy, wykopali zbiorową mogiłę i złożyli w niej zakonnice. Tylko Branwenę pochowali osobno, w trumnie, jak dostojnej pani przystało.

Niebawem zaś powinni przyjść ludzie bajlifa. Jest tyle do zrobienia... Ale Hortensja zacięła się. Choćby miała poświęcić temu całe życie, sprawi, by klasztor odżył. Niech to będzie zadośćuczynienie za popełnione grzechy. Za zawiść i pychę... Kto wie... może to ona sprowadziła nieszczęście, śląc wieści bajlifowym postrzegaczom? Kto wie? Przeraziła się tej myśli. By ją odegnąć, pogrążyła się w modlitwie.



Horris powoli odwijął niemowlę z pieluszek. Wygnał Alwena i Pillgrima. Niech lepiej wypiją za zdrowie dziecka niż mają przeszkadzać.

– Pomóż mi – rzucił do obserwującej go uważnie kobiety. – Przytrzymaj maleństwu główkę, kiedy zacznę czynić swoje. Nie może się gwałtownie poruszyć.

Posłusznie ujęła maleńką twarzyczkę w dłonie. Musiała się przy tym mocno wychylić, aby nie przeszkadzać Horrisowi. Wtedy dostrzegł dziwny błysk za odchyloną połą tuniki. Klejnoty przy tak nędznie odzianej babinie?

O co w tym chodzi? Błyskawicznie sięgnął i zanim zdążyła się zorientować, trzymał w dłoni zdobione srebrem etui.

– A to co? – spytał. – Kim ty właściwie jesteś? I kim jest ta dziewczynka?

Kobieta zbladła, zacięła wargi. Dziecko zaniósło się kaszlem.

– Dobrze – mruknął. – Teraz najważniejsze wyleczyć małą. Na wyjaśnienia przyjdzie czas później. – Przymknął oczy, złożył dłonie na malutkich piersiach. Nagle przerwał. – Przestań się trząść! – powiedział, marszcząc gniewnie brwi. – Twój strach mi przeszkadza. Jeśli cię to uspokoi, dowiedz się, że ten młodszy mężczyzna zwie się Alwen de Morano.

Z trudem powstrzymał śmiech na widok wyrazu twarzy kobiety.

– Tak o wiele lepiej – znów przymknął oczy. – Radość i ulga mogą tylko pomóc.

Gdyby ktoś zapytał Bernadette, co właściwie robił Horris, chyba nie umiałaby nic rozsądnego odpowiedzieć. Pozostało w niej tylko wrażenie obcowania z jakąś potężną, dobrą mocą.



Królowa nie wierzyła własnym uszom. To, o czym doniósł jej Hubert, paź Filipa, nie mieściło się w głowie. Ale przecież chłopak sobie tego nie wymyślił! Zresztą w jakim celu miałyby to robić?

– Jesteś pewien?

– Jak tego, że na niebie nocą świecą gwiazdy, najjaśniejsza pani. Słyszałem na własne uszy.

Vincenzo de Malhevia został aresztowany! A właściwie nie zatrzymany w majestacie prawa, ale zdradziecko porwany, uprowadzony i osadzony na najniższym poziomie wieży miejskiego więzienia.

– Z tego, co słyszałem, pani – szeptał paź – nikt nie przeżyje tam dłużej niż kilka miesięcy... Pan Burghiese zdawał się bardzo zadowolony.

– Tak samo zniknął szatny mojego męża – powiedziała cicho do siebie.

– Co rzekliście, miłościwa pani?

– Nic, co by było przeznaczone dla twoich uszu, chłopcze. Powiedz mi, dlaczego przyszedłeś z tym do mnie?

Chłopak namyślał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Vorda vi Rimm był moim stryjem, miłościwa pani, a Maive jest... a może była, kto wie co z nią... kuzynką. Po tamtym pojedynku przytałem się, schodziłem z oczu wrogom vi Rimmów... Nie pamiętacie mnie, pani? – zaczerwienił się.

Ależ oczywiście! W tej chwili go wreszcie rozpoznała. Zmienił się, wychudł, żywe i śmiało patrzące dawniej oczy nabrały lęklivego wyrazu. Całkiem przecież niedawno, a zarazem tak dawno korzystała z ciepła ramion tego pacholka. Tyle od tamtego czasu zaszło, tyle spraw i trosk spadło na jej głowę. Od pewnego czasu nawet przez chwilę nie myślała, aby wziąć do łóża jakiegoś urodziwego pazia czy oficera. Od kiedy? Tak, odkąd Filip zaczął poważnie chorować. Wtedy nadeszła chwila, gdy zrozumiała, jak mocno kocha tego upośledzonego i udęczonego przez los człowieka.

– Ależ tak, mój drogi, poznaję cię. Oczywiście. Jednak nie dziw się, że w pierwszej chwili nie mogła się zorientować. Tyle rzeczy uległo zmianie. Ja sama się zmieniłam...

– Wiem, pani, dlatego przyszedłem do was. Dawniej... – zamilkł, bojąc się narazić

na jej gniew.

– Dzięki za zaufanie. To bardzo cenna informacja, Hubercie. Nie pozostanie bez odwzajemnienia w swoim czasie.

– Nie uczyniłem tego dla nagrody – odparł z oburzeniem.

Wyciągnęła rękę, poufale potargała miękkie loki pazia.

– Wiem, chłopcze. Tym jestem wdzięczniejsza. – Podała mu dłoń do pocałowania.

– A teraz zmykaj. Nikt nie powinien cię tu widzieć.



Hanes wygramolił się z łozku w paskudnym nastroju. Był pewien, że zostanie wypuszczony, skoro tylko przeklęty d'Orenburg odjedzie. Ten Rupert di Lorenzo wydawał się ugodowym i rozsądnym człowiekiem. Natychmiast po opuszczeniu przez Vallery'ego fortu zażądał rozmowy z kapitanem. Tamten przyjął go uprzejmie, uważnie wysłuchał, po czym z całą kurtuazją odesłał do aresztu.

Przez przeszło dwa tygodnie dzień w dzień Hanes snuł plany zemsty. Tak potraktować królewskiego oficera! Ale dzisiaj chyba wreszcie go wypuszczą!

Obrzucił wartowników pogardliwym spojrzeniem, wyciągnął rękę, by zakuli je w łańcuchy, jak zawsze do tej pory, ale kapral potrząsnął głową.

– Nie trzeba.

Z nadzieją w sercu kapitan szedł do kwatery dowódcy garnizonu. Przekroczył próg, zamierzając obrzucić di Lorenzo ciężkimi słowami i groźbami. Jednak głos uwiązł mu w krtani. Za stołem siedział bowiem d'Orenburg. Na widok Hanesa wstał z uprzejmym uśmiechem.

– Nasiedziałeś się w ciemnicy za wszystkie czasy, jak mniemam.

– Odpowiesz za to, d'Orenburg – warknął aresztant.

– To ty odpowiesz za swoje uczynki, gdy przyjdzie czas. Byłem na Mont Salome. Wiem już, w jakim celu wysłałeś tam swoich morderców! Mam na to świadka. Nie patrz tak na mnie. Sprytnie to wykoncypowaliście z twoim panem, by klasztor niedługo po wizycie zabójców ogarnęli Varijczycy. Ale przeliczyliście się. Nie doceniacie siły życia. A teraz posłuchaj. Od razu powiem, że twoim nie udało się osiągnąć celu. Młoda vi Rimm zarżnęła ich jak baranów, choć zdążyli ją posiekać.

Hanes zbladł.

– Gdzie moi ludzie? Co zrobiłeś z oddziałem, który przyprowadziłem? Wymordowałeś ich?

– Nie obawiaj się i nie sądź innych wedle siebie. Twoi żołnierze przebywają u bajlifa Kaleemy. Tam są bardziej przydatni niż objadając za darmo mój garnizon. W polu może wiele warci by nie byli, ale w sam raz się nadają do robót przy naprawianiu

szkód. Pan di Lorenzo ma wielki zmysł praktyczny i tej jego decyzji mogę tylko przyklasnąć. – Z satysfakcją patrzył, jak Hanes rzuca mordercze spojrzenie na Ruperta. Tamten uśmiechnął się tylko i skinął uprzejmie głową. – Ale mam dla ciebie ciekawsze wieści.

Zamilkł, stukając w zamyśleniu palcami po stole.

– Gdy wyruszałem, zamierzałem po powrocie wyzwać cię na pojedynek. Ale pod Mont Salome spotkałem kogoś, kto ma przede mną pierwszeństwo. Wyobraź sobie, drogi kapitanie, że pogrzebany przez was Alwen de Morano zwany Koniokradem – żyje!

Hanes wytrzeszczył oczy. De Morano? Przecież...

– Tak właśnie. On żyje i ma pierwszeństwo przede mną, aby cię zaszlachtować.

– W takim razie – kapitan uniósł dumnie głowę – ja wyzywam na pojedynek ciebie. Żądam...

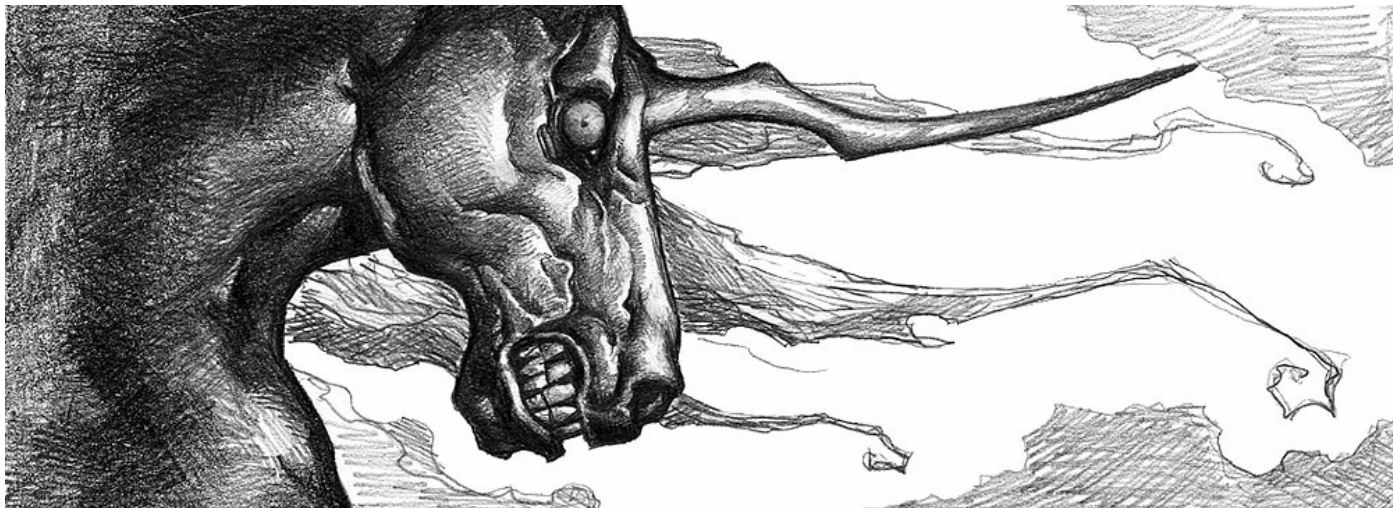
– Wysrać się możesz, a nie żądać – przerwał d'Orenburg. – Nie stanę z dwóch powodów. Po pierwsze, jestem wyższy rangą i nie muszę na ciebie w ogóle zwracać uwagi, a po drugie, i ważniejsze, jesteśmy w stanie wojny. Wszelkie pojedynki są zabronione pod karą gardła. A ja z wojskiem mam ruszać pod Velare. Vereena nas wzywa. Tutaj zostanie tylko kilkudziesięciu ludzi pod dowództwem oficera, którego wyznaczę, a za kilka dni nadejdą uzupełnienia. Nie wiem, co warte, a na pewno niekarne, bo to zwykli piraci wynajęci przez naszego wielkiego para, ale zawsze.

– Rozumiem. – Hanes uśmiechnął się triumfalnie. Niebawem ten bubek odbierze, co mu się należy od hrabiego Burghiese. – Ruszać mogę choćby zaraz.

– Ty akurat nigdzie nie jedziesz. – W głosie Vallery'ego pojawiły się ironiczne tony. – Bo ciebie właśnie wyznaczam na mojego następcę! Powinieneś sobie poradzić, bo Varijczycy przez najbliższe pół roku na pewno się nie ruszą. A zresztą mało mnie to obchodzi!

– Nie możesz...

– Mogę. – Vallery stuknął palcem w leżące przed nim pismo. – Na mocy tego dokumentu jestem w Grindi panem i Bogiem, któremu podporządkowano wszelkie miejscowe siły zbrojne. Nawet bajlif Kaleemy nie ma nade mną władzy. Tak to już jest w wojennym czasie – porzucił nagle uprzejmy ton. – A ty, hrabiowskie ścierwo – wycedził – spróbuj tylko zabrać stąd dupę i wbrew moim wyraźnym rozkazom polecieć do swego pana, a pojedziesz za końskim ogonem, gdziekolwiek cię znajdę!



Rozdział 19

– Żegnaj, przyjacielu. – Pillgrim mocno przycisnął Alwena do piersi. – Tu nasze drogi się rozchodzą. Czuj się w moich włościach jak we własnym domu. Leżą w dziedzinie Gernona, więc jesteście bezpieczni. Nie przypuszczałem dotąd, że będę tak zadowolony, iż przeszły pod jego jurysdykcję.

Koniokrad oddał uścisk, odsunął się pół kroku.

– Pojadę z tobą – rzekł. – Bernadetta poradzi sobie doskonale, skoro ma się gdzie zatrzymać.

– Tak nie można. – Baron niecierpliwie strzepnął dłonią. – Wojna odbędzie się bez jednego wojaka. Zresztą... co tu gadać... staję w niej po stronie wroga. Lepiej, byś się w to nie mieszał. Powinieneś być czysty.

– Właśnie – wtrącił się Horris. – Może nadejść dzień, kiedy to okaże się ważne.

Alwen rzucił mu chmurne spojrzenie. Z jednej strony odczuwał ogromną wdzięczność za uzdrowienie małej Anny, z drugiej wyczuwał, że obecność Horrisa to coś więcej niż zwykła przyjacielska pomoc. Wziął od zakonnicy niemowlę. Spojrzały na niego ciemne, poważne oczy. Takie oczy miała Maive...

– Pożegnaj się z wujem Pillgrimem. – Podał dziecko przyjacielowi.

Baron z rozczuleniem patrzył na jasną twarzyczkę.

– Nigdy nie miałem własnych dzieci – rzekł cicho, by nie przestraszyć maleństwa. – W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. I nigdy tego nie żałowałem, bo rodzina dla wojaka jest czymś na podobieństwo kotwicy dla okrętu. Wystarczy, że dwie żony były ze mną nieszczęśliwe. Bardzo bym nie chciał być przyczyną łez z takich niewinnych oczu. Ale kiedy patrzę na ten mały nosek, te paluszki jak patyczki, które wpycha do gębusi i grzebie, jakby tam można znaleźć złoto, na nóżki jak serdelki...

naprawdę zaczynam żałować.

– Jeszcze wszystko przed tobą, panie – powiedziała nieśmiało Bernadetta. – Mężczyzna z was krzepki, do żeniaczki nadajecie się lepiej niż niejeden młodzieniaszek.

– Dzięki, siostrze, za dobre słowo – roześmiał się Pillgrim. – Kto wie, jeśli przeżyję tę awanturę, może postaram się wreszcie o jakąś hożą niewiastę. A ty, Horrisie, co zamierzasz?

– Wracam do Mistrza Ekhearta. Najwyższy czas.

– A co... – Alwen wreszcie odważył się zadać pytanie, które go nurtowało od długiego czasu. – A co z zapłatą za wyrwanie dziecka z objęć śmierci.

Teraz zaśmiał się Horris.

– A więc to cię dręczy, de Morano? Dlatego od jakiegoś czasu patrzysz bykiem? Nie sądzisz chyba, że mój pan zechce za to odwdzięk.

– Właśnie tego nie jestem pewien. Co innego ja, co innego moja córka. Wasze prawa nie znają pojęcia więzów rodzinnych, o ile wiem.

– Ja też nie mogę za nic ręczyć. – Uzdrowiciel spoważniał. – Bo to nie zależy ode mnie. Ale najważniejsze chyba, że malutka żyje.

Pillgrim oddał dziecko Bernadecie. Za chwilę siedział w siodle.

– Żegnajcie – powiedział. – A raczej do zobaczenia, mam nadzieję.

– Na mnie też czas. Pojadę z baronem, przez jakiś czas będzie nam razem po drodze. – Horris wyciągnął rękę. Alwen uścisnął ją mocno. – Strzeż teraz córki, panie de Morano. I Czarnego Pergaminu – dodał ciszej. – Może to właśnie jest cena za uratowanie Anny.

Koniokrad skrzywił się niechętnie, ale zmilczał. Przeklęty dokument. To przez niego wszystkie nieszczęścia! Ale skoro musi go pilnować, trudno...

– Wiem, że nie wierzysz w przeznaczenie – powiedział jeszcze uzdrowiciel. – I że nie cierpisz Czarnego Pergaminu. Ale bądź jego strażnikiem, bo nie masz innego wyjścia. Przyjmij to jak wyrok opatrności. Tak w życiu bywa.



Gerno przechadzał się po pałacowym parku. O tej porze roku szary był i nijaki, a monotonię urozmaicały tylko wiecznie zielone iglaste krzewy. Kiedyś te włości należały do samego arcybiskupa Falcone, obecnego kardynała, pierwszego kościelnego dostojnika Vereeny. Wojna... jakże była nie na rękę właśnie teraz! Jednak machinacje i prowokacje Ludwiga Burghiese doprowadziły do tego, że musiał uderzyć pierwszy. Nie mógł czekać do wiosny, aż wróg okrzepnie i umocni się ostatecznie. A teraz przyszło unikać walnej rozprawy. Musiał postępować tak, jak niespełna rok

wcześniej czynił hrabia. Ile jednak jeszcze będzie można to odwlekać? Trzeba wreszcie zgromadzić wszystkie siły i stanąć do rozstrzygającej bitwy. Ale trzeba też ją opóźnić, ile się da.

– Panie, panie mój! – Od strony pałacu nadbiegł adiutant. – Chodźcie prędko, ważne wieści z Vereeny. Wszyscy na was czekają!

Pospieszył natychmiast. Co mogło zająć takiego, że przerywają mu zasłużony odpoczynek? W kancelarii czekał zdyszany, cuchnący koniem i znojem posłaniec. Bez słowa podał zapieczętowany list. Gerno niecierpliwymi ruchami złamał pieczęć, rozwinął pismo, prędko przebiegł wzrokiem rzędy liter. Zgromadzeni w pomieszczeniu ministrowie obserwowali go w napięciu.

– Król Filip Piąty zwany Chromym – powiedział księżę uroczyście – władca Vereeny, nie żyje. Skonał po ciężkiej chorobie, w nieludzkich cierpieniach. Niech mu ziemia lekką będzie.

– Niech mu ziemia lekką będzie – powtórzyli obecni.

– Co teraz? – spytał minister wojny. – Sytuacja staje się coraz poważniejsza. Nie ma już żadnego knebla na zębatym pysku wielkiego para Burghiese.

– Co teraz, pytasz? – Gerno zacisnął i rozprostował prawą pięść. W podobnych chwilach poruszenia odzywała się stara rana, przyprawiająca palce o drętwienie. – Pozostaje nam tylko jedno. Jak najszybciej wygrać tę wojnę! Vereena potrzebuje nowego króla i my też potrzebujemy nowego króla w Vereenie! Prawowitego króla. Nie możemy pozwolić, żeby ten wściekły pies zaczął kąsać bez umiaru! Radzić należy, jak pozbawić go kłów. Jeśli bowiem on zostanie monarchą, a do tego się najwyraźniej sposobu, przyjdzie się chyba sprzymierzyć z magami, bo nikt nie będzie pewien dnia ani godziny!

– Co też powiadacie, panie – zawołał przerażony minister wojny. – Już dość było krzyku o tych paru uzdrowicieli, coście ich sprowadzili na poprzednią wojnę!

– Dlatego teraz nie mamy żadnego. Ale uwierzcie mi, lepiej złamać traktat z Maenvig i narazić się na anatemy niż pozwolić Burghiesemu przejąć władzę! Ale najprościej pozbawimy go tej możliwości, jeśli przegra z kretelem wojnę. I na tym się dzisiaj skoncentrujemy, panowie. Wielki par z armią w tej chwili przebywa w polu, użerając się z naszymi wydzielonymi oddziałami. Koniec jednak z wojną podjazdową. Natychmiast należy wyjść mu naprzeciw z głównymi siłami, żeby nie miał możliwości wrócić do Velary, zorganizować królewskiego pogrzebu i przejąć władzy. Chciałem odwlec tę chwilę, zmęczyć go i narazić na jak największe koszty, bo przecież musi łożyć nie tylko na utrzymanie wojska, ale także wypłacać żołd najemnikom. Jednak w tej sytuacji istnieje zagrożenie, że użyje zgromadzonych sił, aby zająć stolicę i ująć wszystko w żelazne karby.



Laura siedziała przy zwłokach męża, zapatrzona w pokrytą siecią zmarszczek twarz i posiwiące włosy. Jakże postarzał się Filip w ciągu ostatniego czasu. Jeszcze niedawno nikt nie dostrzegłby bruzd na twarzy ni białych nitek na skroniach. Choroba potrafi uczynić z człowiekiem straszliwe rzeczy. Jedni umierają, inni zdają się wstawać z martwych, jak de Morano. Burghiese bardzo starał się ukryć wieść, którą mu przywiózł pułkownik d'Orenburg, ale nie zdołał utrzymać tajemnicy. Sam Vallery nie starał się jej chować pod korcem.

– Pani – rzekł cicho kapelan Wigbert – powinnaś odpocząć. Ja będę czuwał przy najjaśniejszym panu.

– Jesteś moim spowiednikiem, ojcze – odparła. – Najlepiej wiecie, ile zgrzeszyłam przeciwko małżonkowi, jak lekko traktowałam przysięgę wierności, jak często oszukiwałam go i wodziłam na manowce, by zadośćuczynić własnym i cudzym ambicjom. Chociaż w tych ostatnich chwilach, zanim go złożą w zimnym kamiennym sarkofagu, wytrwam przy nim.

– Okazaliście wiele serca królowi w czasie choroby. To najlepszy dowód, żeście kochali go naprawdę, nie tylko po wierzchu.

– Sama nie wiem. Trudno ocenić własne postępowanie.

– Teraz sprawy państwa są na waszej głowie.

– Mojej! – roześmiała się gorzko. – O wszystkim decyduje wielki par królestwa, nasz wspomniały Ludwigo Burghiese. Po śmierci męża zostałam sama, słaba i opuszczona. Bez stojącego za mną majestatu pomazańca. Nawet chory i umierający król był wsparciem. Teraz... Ludwigo, ledwie wróci z wojny, na pewno zechce sięgnąć po koronę. Po to przecież wywołał tę i poprzednią awanturę! Szkoda, że tak późno dotarło do mnie, co naprawdę zamierza...

– Pamiętajcie o Czarnym Pergaminie. – Wigbert zniżył głos prawie do szeptu. – Po bezpotomnej śmierci ostatniego z dynastii, to Pergamin ma decydujący głos.

– Czarny Pergamin – prychnęła. – Może. Ale pod warunkiem, że wiadomo, gdzie go szukać! Znikł razem z Maive vi Rimm i pewnie przepadł wraz z dziewczyną.

– Niezupełnie, pani – kapelan uśmiechnął się krzywo. – Nie doceniasz kapłanów. Czarny Pergamin można znaleźć tam, gdzie nikt go się nie spodziewa. Jest w posiadaniu Alwena Koniokrada. W tej chwili, jako ojciec córki Maive, zgodnie z obyczajem, on pełni obowiązki strażnika.

– Skąd to wiesz, księżo? Przecież nawet Burghiese nie ma o tym pojęcia, miota się bez ustanku w poszukiwaniu artefaktu!

Wigbert wahał się przez dłuższą chwilę, czy może wyjawić tajemnicę. Wreszcie podjął decyzję, wziął głęboki oddech, jakby miał się rzucić w odmęty lodowatej wody.

– Od magów – wymamrotał. – Oni donieśli to mnie, abym przekazał wieść właśnie wam...

– Skąd? – nie wierzyła własnym uszom. – Przecież kto jak kto, ale Kościół powinien trzymać się z daleka od tych, których sam wyklął.

Kapelan przygryzł wargi.

– Powierzyłem ci, miłościwa pani, wielki sekret. Owszem, znosimy się z czarnoksiężnikami z Halarii. Przekazujemy sobie wieści. Musimy to zrobić, inaczej wiele spraw mogłoby umknąć naszej i ich uwadze.

– Państwo w państwie – mruknęła Laura. – Słusznie mówią o was, że jesteście ponad królami. A co na to kardynał Falcone?

– On jest tylko pionkiem w grze prowadzonej przez Ludwiga Burghiese. Może nawet nie pionkiem. Takie stwierdzenie krzywdzi go. Jest silną figurą. Wie o wielu rzeczach, chociaż nie o wszystkim.

Królowa przymknęła oczy, namyślając się.

– Radź zatem, co zrobić.

– Zanim przystąpimy do rozważania, jak należy postąpić, muszę wam powiedzieć coś o Czarnym Pergaminie. Coś, czego nie ujawniono nawet najbardziej zaufanym doradcom królów. Wiedzą o tym naprawdę nieliczni.



– Powiedz mi, Horrisie... – Pillgrim wyjechał naprzód, zagroził drogę uzdrowicielowi. – Jak to było z tą dziewczyną w klasztorze? Nie powinna była przeżyć, a żyła, i nad podziw prędko doszła do siebie.

Horris zrobił zdziwioną minę.

– Nie rozumiem.

– Rozumiesz! Początkowo nie zwróciłem na to uwagi, ale potem przypomniało mi się, że mówiła o aniele, który przyszedł i wlał w nią siły. A niedługo potem spotkaliśmy ciebie. To nie może być przypadek. Przyznaj, byłeś na Mont Salome niedługo przed nami?

Uzdrowiciel uśmiechnął się. Pillgrim bardzo lubił, kiedy twarz uzdrowiciela rozjaśniała się. Było w nim tyle dobra i ciepła...

– Już wiem, dlaczego jesteś tak znakomitym strategiem, baronie. Dostrzegasz więcej od innych i potrafisz zrobić z tego użytek. Tak, byłem w klasztorze. Uzdrowiłem tę zakonnice, odbierając jej jednocześnie pamięć o tym wydarzeniu. Widać jednak coś tak się w niej kołatało, skoro mówiła o niebieskim duchu.

– Po co to uczyniłeś? I dlaczego zamknąłeś ją z powrotem z trupami?

– Wiedziałem, że niebawem nadjedziecie. Gdyby się kręciła po klasztorze byłoby

to mocno podejrzane.

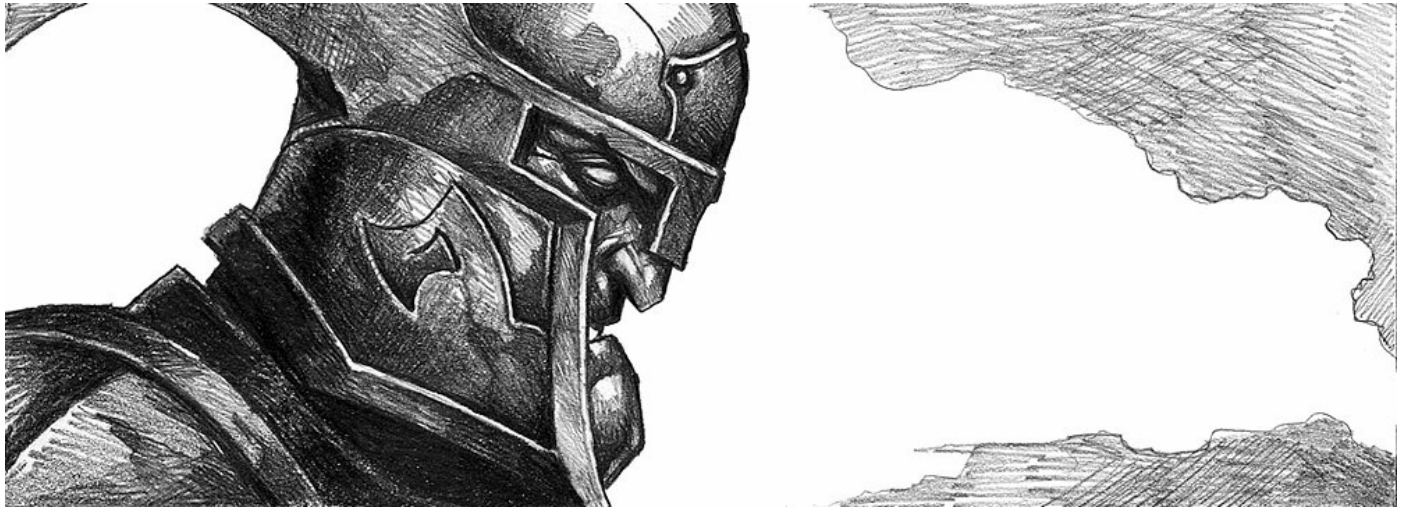
Pillgrim zamyślił się ponuro.

– Gracie nieszczęsnym Alwenem – rzekł z wyrzutem. – Traktujecie go, jak jedną z kości w wielkiej rozgrywce panów świata.

– Czasem tak trzeba, baronie – odparł Horris łagodnie. – Alwen ma przed sobą doniosłe zadanie, a sam wiesz najlepiej, że skłonić go do czegoś, na co nie ma ochoty, to istna tortura i sprawa zgoła bezskuteczna.

– Taki już jest i inny nie będzie. Szkoda mi go, Horrisie.

– Mnie też, przyjacielu. Ale bywają rzeczy ważniejsze niż spokój, a nawet szczęście pojedynczego człowieka.



Rozdział 20

– Jest mi tak dobrze. – Alwen trzymał na ręku córeczkę. Bernadetta z uśmiechem obserwowała oboje. Małeńka od samego początku wyczuwała w Koniokradzie bliską osobę, uśmiechała się na jego widok i rozkosznie gaworzyła. – Nie myślałem, że jeszcze zaznam szczęścia. Nie przypuszczałem, że można pokochać kogoś tak bardzo, jak kocham to maleństwo.

– Niezbadane są wyroki boskie – powiedziała zakonnica.

Tak, są niezbadane. Wygnana przez złych ludzi podążała do spustoszonej krainy, pragnąc wrócić do klasztoru, albo przynajmniej odnaleźć rodzinę Bartłomieja. Napotkała na swej drodze budzącego strach, a w istocie rzeczy łagodnego jak baranek Pillgrima, zgnębionego przez los Alwena i tajemniczego uzdrowiciela z Halarii. Żaden z tych ludzi nie powinien przebywać w tamtym miejscu o tamtym czasie, a jednak natknęła się właśnie na nich.

Alwen przytulił mocniej małeńką. Jednak to dobrze, że Pillgrim twardo odmówił mu udziału w wyprawie. Tu jest o wiele potrzebniejszy.

– Panie – odezwała się nieśmiało Barnadetta.

– Słucham. Tyle razy prosiłem cię, żebyś nie nazywała mnie panem.

– Wiem, ale ciągle się zapominam. Podobno do klasztoru na Mont Salome ściągają znów mniszki.

– Chcesz mnie opuścić? – spytał Koniokrad z przykrością. – Myślałem, że ci tu dobrze.

– Bo dobrze, pa... Alwenie. Alem ślubowała Bogu.

– Rozumiem. Stanie się, jak zechcesz. Kiedy chcesz jechać? Może poczekaj jeszcze. Czas niespokojny.

– Och, nie teraz! – Zatrzepotała dłońmi. – Kiedy się już wszystko uładzi. Teraz ona jest najważniejsza. Anna.

– Ona? – spytał z goryczą Koniokrad. – A mnie się cały czas wydaje, że wszystkim zależy raczej na tamtym. – Niechętnym gestem wskazał okutą solidnie skrzynię, w której spoczywał Czarny Pergamin.

– Nic mi do tego – wzruszyła ramionami. – Jedno, co o nim wiem, to że ma być na nim zapisane imię następcy tronu, jeśli obecna dynastia wygaśnie. Ja jestem prosta kobieta, z prostych ludzi się narodziłam. Takim jak ja za jedno, kto sprawuje rządy. Nasz los zawsze jest podobny, kto by nie siedział na tronie.

Alwen zamyślił się. Pewnie tak, zakonnica ma słuszość. Prostym ludziom to może być obojętne. Tylko tacy jak Burghiese czy nawet on sam, zastanawiają się, kto będzie rządził. Dla tych, którzy stoją wyżej, to zasadnicze pytanie. Przecież w rodzie Filipa nie został żaden legalny pretendent. O to się postarał ojciec świętej pamięci króla, Filip Okrutny, czasem zwany Szalonym, mordując całą rodzinę.



Vallery d'Orenburg wyjechał przed szereg. Spojrzał w lewo, tam, gdzie powiewała chorągiew jazdy. Piękny widok. Wierzchowce, dobrane najlepsze z najlepszych, stoją łeb przy łbie, wielkie kopyta potrafiące jednym uderzeniem rozbić na miazgę ludzką czaszkę, potężne piersi, ostro zarysowane mięśnie. Potwory nie zwierzęta. Sam dosiadał klaczy wyglądającej może mniej okazale, ale silnej nad podziw, bardziej wytrzymałej niż najtęższe rumaki pancernych, a przy tym o wiele ściglejszej. Bezcenny wierzchowiec z królewskich stajen. Hadre... Przedtem należała do vi Rimmów. Właściwie powinien jej dosiadać Alwen Koniokrad. Ciekawe, gdzie teraz jest. Może po drugiej stronie, pośród wojsk Gernona razem z niezatapialnym baronem Pillgrimem? Uśmiechnął się na wspomnienie twarzy Ludwiga Burghiese, kiedy oznajmił mu, iż znienawidzeni przezeń ludzie żyją i cieszą się dobrym zdrowiem. Gdyby hrabia mógł, własną ręką niezwłocznie by ubił zwiastuna złej wiadomości. A ponieważ nie mógł, kazał mu objąć dowództwo nad elitarnym oddziałem konnicy gwardii królewskiej. Z pewnością liczy, że Vallery nie przeżyje. Kawaleria gwardii to przecież najwięksi straceńcy. Oczekuje się od nich samobójczych ataków w najgorszym zamęcie bitwy. To właśnie oni mają dokonywać cudów waleczności.

D'Orenburg podjechał kilkanaście kroków do przodu. Stąd, z niewielkiego wyniesienia terenu, przyszłe pole walki było widoczne, jak na dłoni. Jego jazda znajdowała się na prawym skrzydle razem z piechotą ustawioną z tyłu i po bokach. Owi pikinierzy to też doskonali żołnierze. Najemnicy uzbrojeni w długie sarisy i arkebuzy. Trudno ugryźć najeżone ostrymi grotami, plujące ogniem szeregi.

Jeśli się zatrzymają i dostaną rozkaz, stać będą, choćby przyszło im padać jeden za drugim. Prócz broni palnej każdy ma przy pasie rapier, długie, wąskie ostrze wedle nadchodzącej mody. Vallery nie miał jednak przekonania do tej innowacji. Może piechocińcom tak poręczniej, bo długim różnem można zadać pchnięcie zza pleców kamratów czy wcisnąć je w lukę między nimi, wspomóc w walce, ale jazda musi mieć solidny, szeroki kawał żelaza w ręce, by skutecznie rozplątać wroga w pełnym galopie.

Dalej, obok zgrupowania doborowej kawalerii, widać pstrokate mundury lekkiej jazdy. Ci także potrafią się bić jak same diabły. I oni pójdą do każdego ataku, zmiotą przeciwnika, jeśli tylko okaże odrobinę słabości. Powiadają, iż rzadko który dożywa dwudziestego piątego roku życia. Szaleńcy. Jeśli nie polegną w bitwach, bezustannie upuszczają sobie krwi w pojedynkach.

W centrum królewska piechota, pikinierzy, przemieszani z oddziałami jazdy. Zapewne oni wezmą na siebie pierwszy impet uderzenia. Muszą wytrzymać. Właśnie wyjechał przed ich szeregi dowódca sztabu, marszałek Romano Marratti. Przemawia. Tak, ci ludzie potrzebują podobnego wsparcia, muszą wiedzieć, za co walczą i jak wielka na nich spoczywa odpowiedzialność.

Wreszcie na lewym skrzydle, na sporym wzniesieniu, sam Ludwigo Burghiese, głównodowodzący armii. Ma pod sobą szlachecką jazdę, dobraną z synów najlepszych rodów. Każdy z nich potrafi mieczem przeciąć w powietrzu jabłko na osiem części. Śmietanka tego kraju i tej armii, ustępują sprawnością może jedynie kawalergardom. Osłania ich piechota łanowa. Pierwsze szeregi uzbrojone w samopalały, ale już dalsze w niezawodne kusze. W starciu zasypią przeciwnika gradem strzał, posyłając je nad głowami towarzyszy. Na wzgórzach rozstawili jaszczce artylerzyści. Odprzodkowane już i nabite pierwszą porcją prochów. Ludzie uwijają się przy nich pracownicy. Vallery skinął ręką. Natychmiast podjechał Viries.

– Widzisz, stary? – Vallery wskazał lewe skrzydło. – Powiadam ci, nadejdzie kiedyś czas, że o losach bitew będą decydować armaty.

– Być może. – Stary skrzywił się niechętnie. – Kiedyś, gdy ludwisarze nauczą się odlewać większe i silniejsze. Ale jeszcze nie dzisiaj, chwalić Boga. Ninie jeszcze czynią więcej hałasu niż spustoszenia, jeśli nie walą w gęstwę i na wprost. Straszyc można nimi rekrutów i świeżych wojaków, bo doświadczony żołnierz wie, że skoro słyszy huk, to nieomyślny znak, że jeszcze żyje. – Zamilkł, ważąc coś w sobie, namyślając się, czy można to rzec dowódcy. Wreszcie nie wytrzymał: – Ludzie szemrzą. Najemnicy, ale i nasi.

– Szemrzą? – Vallery zmarszczył brwi. – O co im chodzi?

– Żeście kazali wszystkie łupy wyrzucić. A osobliwie idzie im o tych czterech lancknechtów, co zadyndali rano z waszego rozkazu.

– Jeśli będzie trzeba, ozdobię nimi wszystkie drzewa w okolicy – warknął

d'Orenburg. Viries patrzył zdziwiony na zmienioną twarz pułkownika. Nigdy dotąd nie widział go tak złym. Można się było przerazić. – W moich oddziałach nie będzie rabunków i gwałtów. Zdobywałem pierwsze blizny pod generałem Pillgrimem i od niego nauczyłem się, że wojak nie powinien... Poczekaj, sam do nich przemówię.

Popędził klacz, zatrzymał ją pośrodku, między oddziałami kawalerii i piechoty.

– Niech ci, co słyszą, powtarzają następnym! – zawołał. Po szeregach przeszedł szmer, zapadła cisza. – Doszły mnie słuchy, jakoby niektórych z was oburzał rozkaz pozbycia się łupów i powieszenia tamtych rabusiów i gwałcicieli! Posłuchajcie zatem uważnie! Z wojaka dźwigającego klamoty, a patrzącego tylko, co by tu jeszcze dorzucić do wora, robi się nie zażarty lew, ale zwykła otłuszczona kura! Grzebnie taki pazurem, łeb przekrzywi, patrząc boczkiem, jaką by tu jeszcze cenną rzecz zrabować. I wreszcie bierze wszystko bez wyboru, potrzebne mu czy nie. Mam wam przypomnieć, co mieliście w jukach, matoły? Któryż to mędrzec zabrał sznur do suszenia bielizny razem z połataną babską halką? Nie wiem, może mu się pomyliło i był pewien, iż babę jaką scapił. Aż wstyd pomyśleć, co mógł wyczyniać z tym kawałkiem szmaty, nim doń dotarło, w czym rzecz!

Po szeregach przeszedł śmiech. A Vallery mówił dalej.

– Albo ten gardzina, co dziecięce zabawki zrabował! Za matulą mu się zecniło? Co zamierzał? Do lasu, na ubocze chodzić, palec ssać i potrząsać grzechotką? To ma być żołnierz?

Tym razem śmiech był głośniejszy.

– Prawdziwe łupy są tam. – D'Orenburg wskazał szeregi przeciwnika. – Skarbiec polowy, broje, namioty, pieniądze, kosztowności znajdują się u wroga! Pokonajcie go, przetrzecie mu skórę, a wszystko będzie wasze! A jeśli Bóg nie pobłogosławi i oni dadzą popalić nam, łupy nie będą wam do niczego zgoła potrzebne. Przed Stworzycielem świata człowiek staje nagi i bosi. Możemy dziś pobić przeciwnika, bo siły i ochoty wojsku nie brak. Jednakowoż nie wyobrażam sobie, żeby wojskom Gernona dały radę gdaczące kury! Pytam więc, zamierzacie się bić czy pisać i trzepać skrzydłami, bo wam ktoś zabrał marną zdobycz?

– Bić się – zawołał ktoś, inni natychmiast podjęli – bić się!

– To przestańcie się zachowywać niby rozkapryszone dzieci! Dzisiejszego dnia może nie przeżyć połowa z was albo i nikt. Ale tym większa chwała tym, co przetrwają.

– Chwała i łupy! – padło gdzieś ze środka najemnej piechoty.

– I łupy – przytaknął Vallery. – Jeśli to dla was najważniejsze.

Odjechał z powrotem na swoją pozycję. Za nim Viries, w duchu kręcąc z niedowierzaniem głową. Co i rusz zaskakuje go ten pułkownik. Tak przemawiać do ludzi... Pillgrim mógłby być dumny z wychowanka.

– Ładnie im to wyłożyliście, panie – rzekł z podziwem. – O tych łupach i w ogóle.

– Mówiłem do nich tak, żeby zrozumieli, stary. A naprawdę chodzi jeszcze o co innego, nie o marne pamiątki, jakie ze sobą nieśli – zamyślił się, a sierżant czekał cierpliwie, co powie. Wreszcie d’Orenburg drgnął. – Kiedyś Pillgrim mówił o tym przy kielichu, ale wtedy go nie rozumiałem. Dopiero teraz, gdy sam sprawuję dowództwo nad taką gromadą, pojąłem tamte nauki. Widzisz... zabraniam obciążać się zdobyczami nie tylko dlatego, że żołnierz traci ducha do walki i patrzy tylko, jak przetrwać. Chodzi przede wszystkim o to, żeby bez potrzeby nie budzić w człowieku bestii. Kto raz pozna smak rabunku, staje się niby niedźwiedź, który popróbował ludzkiego mięsa. Znasz takie sztuki, które chodzą po górach i polują na ludzi. Nigdy im nie jest dosyć, im więcej ofiar ubiją, tym bardziej stają się rozżarte i łakome. Tak samo z wojakiem, gdy zacznie taszczyć cenny wór. Przy każdej sposobności będzie kradł i krzywdził. Rodzi się w nim potwór. A przecież zadość już tego, iż każą mu zabijać w imię króla czy Boga. Nie wolno budzić w człowieku bestii – powtórzył cicho, już tylko do siebie. Poderwał nagle głowę. Przypominał w tej chwili wilka, który łapie w nozdrza zapach ofiary. – Ale dla ciebie, stary, mam niespodziankę. Chodziłem do Marrattiego, chodziłem, aż wychodziłem. Przed walną bitwą nawet ten formalista stał się bardziej łaskawy. Jedź tam, gdzie on jest, przed front centrum naszej walecznej armii. Otrzymasz nominację na porucznika.

Viries wybałuszył oczy.

– Ja, panie? Teraz?

– Ty, stary, teraz. Należy ci się wreszcie awans! I to natychmiast. Zawsze dbałeś o żołnierzy, czas, żeby ktoś zadbał o ciebie. Powierzano ci już pieczę nad garnizonem, dowodziłeś oddziałami liczniejszymi niż niejeden major, pora wreszcie oddać ci, co się słusznie należy. A jeśli dzisiaj polegiesz? Twoja stara i dzieciaki dostaną porządną rentę oficerską, a nie nędzny grosz po sierżancie.

– Dzięki wam, panie, żeście o mnie pomyśleli.

– Ktoś wreszcie musiał, stary. A poza tym, w czasie dzisiejszej rzezi przyda się tutaj sprawny i doświadczony porucznik. Zaś twój przydziałowy pododdział poprowadzi Kusy. Poradzi sobie.

– Jeszcze raz wam...

– Jedź już! – przerwał mu Vallery. – Jeśli natychmiast nie przestaniesz dziękować, bitwa nas zastanie.



Gerno uważnie śledził ruchy przeciwnika. Jakie fundusze musiał zgromadzić Burghiese, żeby zebrać takie siły? Oczywiście ogołocił granice z najlepszych oddziałów, zastępując je najemnymi zbójami, ale samo to nie mogło wystarczyć.

Zaciężna piechota, jazda z Mellinhaar, kadamscy kusznicy, wszyscy oni zwykli brać olbrzymi żołąd, i to kazali sobie wypłacać pieniądze za cały następny okres służby przed walną rozprawą, nie po, kiedy zawsze jest mniej głów do podziału. Widać nawet lekką jazdę z Watary, uzbrojoną w mocne, krótkie łuki i mordercze włócznie. To będzie ciężka przeprawa, niepodobna do bitew z poprzedniej wojny, kiedy można było pędzić przed sobą przeciwnika, bić go na każdym kroku i zdobywać nowe ziemie.

– Za dużo – mruknął do siebie. – Za dużo chciałem połknąć. Teraz przyjdzie stoczyć śmiertelną walkę.

Stojący obok Pillgrim usłyszał słowa księcia. Pokręcił przecząco głową.

– To nie tak, panie – rzekł cicho. – Wiem, co wam chodziło i chodzi po głowie. Chcecie, żeby was uznano prawdziwym władcą, włożono na skronie koronę w majestacie prawa, uznano wasz kraj za równoprawny Vereenie, Kadamie i innym królestwom. Po to cała ta awantura, rozlew krwi i morze krzywd.

– Uważasz, generale, że wszystko to moja wina?

– Nie oceniam was. Nie mnie to czynić. I rozumiem, że ktoś, kto chce rządzić wielkim państwem, musi dążyć do korony. Chciałem rzec co innego. Dokąd ten tam – wskazał ręką przeciwną stronę pola przyszłej walki – przekłety Ludwig znajduje się przy władzy, dotąd będzie wam bruździł i uniemożliwiał zamierzenia. To jedna z przyczyn, dla której stanąłem po waszej stronie w tej rozgrywce. Uważam, iż mniejszym złem będzie dzisiaj dla mojego kraju wojna przegrana niż wygrana. Serce krwawi, gdy pomyślę o przelanej krwi moich pobratymców, sumienie boli, ale jestem z wami, bo wiem, że jeśli wygramy, nie zechcecie sprawować tutaj rządów, ale zostawicie sprawy własnemu biegowi, pozwolicie się sprawom ułożyć.

– Zgadza się. Ale nie dlatego, że taki szlachetny.

– Wiem. Dlatego, żeście rozsądni. Ale fakt pozostaje faktem. Wielki par Ludwig w tej kwestii rozsądku nie wykazuje za grosz. Bardzo chce zapoczątkować dynastię Burghiesów.

– Gdzie nasz przyjaciel Koniokrad? – zmienił temat Gerno.

– W bezpiecznym miejscu. Nie powiem, rwał się tutaj z całych sił. Jeszcze tydzień temu przysłał list, zaklinając, bym mu zezwolił na przyjazd. Jak go znam, okrzepł już, nabrał otuchy i liczył, że zdoła dopaść samego hrabiego. Alem mu odrzekł, że w saku go odeślecie, jeśli się pokaże. Teraz dla niego najważniejsze zająć się dzieckiem i... – urwał, obawiając się, że ktoś usłyszy zakazane słowa.

– Wiem – uśmiechnął się książę. – Ale ja nie wierzę w ten wasz cały Czarny Pergamin – nie zważał na syknięcie Pillgrima. – Jednak dokąd wierzycie w niego wy i, przede wszystkim, Ludwig Burghiese wraz z królem i całą Radą Stanu, jest mi to na rękę.

– Hrabia rozesłał po całym kraju wici do bajlifów i szeryfów. Szukają Koniokrada bez ustanku – prychnął lekceważąco. – Mogą szukać do upojenia. Nigdy nie zgadną,

gdzie jest.

– Działacie według zasady, że najtrudniej znaleźć to, co leży na wierzchu – raczej stwierdził niż zapytał Gerno. – Nie patrz tak na mnie, Pillgrimie. Domyślam się, gdzie może przebywać nasz drogi Alwen. Pewności nie mam, ale...

– Diabli – szepnął Pillgrim. – Skoro wy macie jakieś wieści, może je mieć także ta świnia.

Gerno klepnął Pillgrima po ramieniu.

– Nie martw się o to w tej chwili. Mamy ważniejsze sprawy na głowie. Burghiese też.



Pierwsze odezwały się armaty. Z obu stron zagrały hukem wystrzałów, okryły się gęstym dymem, a w powietrze wleciały strzępy przybitek. Vallery śledził, gdzie upadną pociski. Za blisko i z jednej, i z drugiej strony. Już widać było uwijających się przy jaszczach ogniomistrzów, jak podnoszą lufy, wbijając kliny między łoża a spiżowe cielska dział, ładują, przykładają lonty... Kolejna salwa, tym razem bliższa, ale nadal niecelna. Znowu ruch przy armatach, te same czynności, wykonywane szybko, choć bez zbędnego pośpiechu. Nie ma nic gorszego niż zbyt szybki pośpiech przy artylerii. Wszak jeśli zbyt szybko nasypać prochu, zanim dopalą się resztki poprzedniego, można zginąć od wybuchu albo co najmniej stracić ręce. Znowu huk, ścielący się po polu niskim pomrukiem. Tym razem kule zaryły się tuż przed nogami pierwszych szeregów. Obie strony próbują na początek porazić zgrupowania centralne – odebrać im ducha, wprowadzić zamieszanie.

Ale już, nie czekając na następne strzały, ruszyła piechota królewska. Zrazu niespiesznie, maszerując w nogę, w rytm werbli i przy wtórze piszczałek. Potem szybciej, nabierając impetu, wreszcie biegiem. Konnica poruszała się równo z piechotą. D'Orenburg patrzył zdumiony. Cóż za zdumiewająca taktyka? Czy najpierw nie powinna ruszyć jazda, żeby zmiekczyć obronę, a dopiero w ślad za nią piechota, aby wejść w luki i wymierzać mordercze ciosy?

Zagrzmiały armaty. Tym razem ogniomistrzowie dobrze ustawili lufy. Pociski spadły w szeregi nacierających, siejąc spustoszenie. Pierwsza krew, pomyślał Vallery, ile jej jeszcze dzisiaj upłynie? Jazda nagle zwolniła, przystanąła. Pikinierzy zwarli szeregi. Pierwszy szereg przyklęknął, pochylił drzewca, drugi natychmiast oddał strzał. Z tamtej strony również padł pierwszy trup. Zdawało się, że dowódcy Gernona nie wiedzą, co czynić. Ich oddziały stały bez ruchu, czekając najwyraźniej, aż dotrą do nich żołnierze przeciwnika. Tymczasem jazda stanęła pośrodku pola. Dopiero w tej chwili po stronie wroga rozległy się komendy. Szeregi konnicy wysunęły się przed

piechotę. Uniesiony w górę miecz dowódcy, łopot chorągwi i okrzyki. Ruszyli do szarży. Wtedy Vallery pojął istotę podstępu. Dokąd kawaleria Vereeny szła ramię w ramię z piechotą, Gerno nie widział sensu wysyłać swoich do ataku. Teraz z kolei musiał to uczynić, żeby nie pozwolić pikinierom wdrzeć się zbyt głęboko we własne linie. Zręczny manewr, obmyślony niewątpliwie przez Marrattiego, skrócił znacznie linię ataku. Konnica Gernona musiała wyjść na niewygodną dla siebie pozycję, a nie mogła nabrać zwykłego w takich razach rozpędu. Nie mogła? D'Orenburg pokręcił głową z niedowierzaniem i uznaniem. To byli jednak doskonali żołnierze. Ich dowódcy mogli spokojnie czekać na wyjaśnienie sytuacji. Bo nie upłynęło więcej niż kilkanaście uderzeń serca, a jezdni już gnali galopem, z włóczyniami położonymi w pół końskiego ucha, przy wtórze armat, strzałów arkebuzów, świstu pocisków wypuszczanych z kuszy i łuków, bojowego wrzasku.

Piechota królewska zatrzymała się. Pikinierzy nadstawili drzewca, osadzili je mocno w ziemi, stanęli na rozkraczonych nogach. Vallery zawsze podziwiał determinację piechoty. Ile trzeba mieć hartu ducha, żeby nie próbować umknąć przed szarżującą konnicą! Nieraz rozmawiał ze starymi wiarusami. Zgodnie twierdzili, że najgorszy jest moment, gdy mają przed oczami potężną końską pierś, nierzadko osłoniętą pancerzem. Wojakowi wydaje się wówczas, że rozszalała w pędzie masa zmiecie bez wysiłku nie tylko jego, ale cały rząd żołnierzy za nim, od pierwszego do ostatniego. Przed mieczem można się zasłonić, oddać uderzenie, kula może tylko zranić, nie musi od razu zabijać. Ale rozpędzony koń jest jak cios przeznaczenia. Nie zdołasz się przed nim uchylić. Wczoraj był świadkiem, jak pikinierzy ciągną losy, kto zajmie miejsce w pierwszym szeregu. Lepiej mieli jedynie ci, którzy zostali uzbrojeni w dwuręczne miecze, by w razie starcia falang wyskoczyć przed oddział, łamać drzewce przeciwnika i, jeśli się uda, razić słabo opancerzonego wroga. Oni jedyni nie brali udziału w losowaniu. Jeszcze chwila, kilkadziesiąt kroków, a fala jeźdźców zderzy się z osadzoną w miejscu piechotą. Ale co to? D'Orenburg nie wierzył własnym oczom. Niespodziewanie masa jeźdźców rozdzieliła się, środek szyku pękł na podobieństwo rozdartej płachty materiału. Konie zawróciły prawie w miejscu, odsłaniając własną piechotę, która już biegła na złamanie karku zwartą formacją. Vallery z zazdrością patrzył na niesamowity manewr jazdy. Zatem dowódcy Gernona nie posnęli, wręcz przewidzieli taki rozwój wypadków! Kawaleria królewska stała jak wmurowana, obserwując starcie pikinierów. Tymczasem oddziały wroga zwolniły biegu, przeszły do marszu. Las pik pierwszych szeregów chwiały się lekko, za nimi widać było straszliwą broń do walki bezpośredniej. Halabardy. Także piechota królewska ruszyła do przodu. Zbliżyli się na dziesięć kroków. Przed oddziały wyskoczyli harcownicy z dwuręcznymi mieczami. Ale i z tamtej strony zaroilo się od im podobnych, by nie pozwolić na bezkarne niszczenie długich drzewc. Obie armie wlepiły wzrok w pole bitwy. Szykowało się wspaniałe widowisko – pojedynki.

Umilkła nawet kąśliwa artyleria. Jedyne jazda Gernona pędziła na tyły swoich wojsk, by ustawić się na nowo.

Zadźwięczała stal. Rząd iskier przeleciał przez środek wolnego pasa między falangami piechoty. Vallery wyteżył wzrok. Najbliższa para wojowników walczyła szerokimi cięciami, starając się przełamać obronę przeciwnika. Jednak obaj byli podobnej budowy ciała i najwyraźniej podobnych umiejętności. Zmagali się przez chwilę. Nagle jeden, d'Orenburg stracił orientację który jest który, gdyż byli podobnie odziani, zadał głęboki sztych. Cios ześliznął się po ostrzu przeciwnika, który natychmiast ciął krótko z dołu, zawadzając klingą o pokaźne łamacze. Od razu ostrze zostało zepchnięte ku ziemi, a w kierunku twarzy wychylonego wojownika poleciała głowica. Uratował go szybki obrót. Wyrwał miecz z potrzasku, od razu prowadząc go cięciem na wysokości bioder. Tym razem zachwiał się jego przeciwnik. Z miejsca poczęstował wytraconego z równowagi morderczym sztychem. Ostrze weszło pod pachę. Raniony krzyknął głośno. Mocnym szarpnięciem klinga została uwolniona, żeby z miejsca spaść z góry. Nieszczęśnik próbował odskoczyć w tył. Zdołał głową umknąć dosłownie o grubość miecza, jednak ręce zostały z przodu. W ułamku sekundy potężne ramiona lancknechta zamieniły się w rzygające krwią kikuty. Żołnierz padł na ziemię, zwijając się z bólu. Zwycięzca uniósł broń, aby miłosiernym sztychem skrócić cierpienia pokonanego, ale w tej chwili sam zakrzyczał pod niebiosa, przebity z tyłu przez następnego przeciwnika. Ze zdumieniem spoglądał na krwawe ostrze sterczące z piersi, po czym osunął się powoli na ziemię, barwiąc ją kolejną porcją posoki.

Ugrupowania pikinierów ruszyły na siebie, wchłaniając w szeregi harcowników. Poszły w ruch halabardy, kordy i tasaki. Krew zaczęła płynąć strumieniem. Znów zagrały armaty, zadymiły arkebuzy. Od strony pagórka, na którym przycupnął namiot głównodowodzącego, oderwały się figurki gońców. Jeden pognał prosto ku prawemu skrzydłu. Nadchodzą rozkazy. Czas najwyższy, bo jazda przeciwnika znów stanęła w sprawie, a własna kręci się beładnie pośrodku pola. Patrzeć tylko, a spadnie na nich mordercza szarża.



– Co za wspaniali żołnierze! – Pillgrim sapnął z podziwem, obserwując uważnie zmagania piechoty. Odwrócił się do swoich. – Jakby kto drwa rąbał! Patrzcie na naszych! Osiedli niby dzika kwoka na jajach. Rusz taką, a oczy wydlubie i ręce podziobie. Sieką zaś jak szatany! Ale i tamci nie od macochy! Gdybym miał pod Getschen chociaż jeden taki batalion, inaczej bym zatańczył z waszymi podczas poprzedniej wojny!

Ugryzł się w język, uświadamiając sobie, że mówi do żołnierzy, których zaraz mu przyjdzie poprowadzić do walki. Przeleciał wzrokiem po wąsatych, srogich twarzach. Jeden w drugiego dobierani, każdy ma łapy jak łopaty do chlebowego pieca, przy siodle jeden długi miecz do szarży, drugi krótszy do walki w tłumie, topór z niedużą, kąśliwą okszą i buzdygan. W prawicy włócznia, w lewej ręce niewielka pawężka, łatwa do odrzucenia, gdyby trzeba było się chwycić z przeciwnikiem za bary. Po przeciwnej stronie równać się z nimi mogą tylko królewscy kawalergardowie.

– Nasi górą! – rozległ się okrzyk.

Pillgrim znów rzucił okiem na pole bitwy. Rzeczywiście, formacje wrogiej piechoty zaczęły pękać na podobieństwo kry podczas odwilży, a gernonowi pikinierzy jęli się wlewać w luki, powiększając zamęt. Według wszelkich prawideł, królewscy powinni zacząć już pierzchać. Jednak uparcie stali w miejscu, próbując dawać odpór przewadze. Ścisk zapanował straszliwy, taki, że zabici stali, obracając się bezładnie wśród walczących. Taniec śmierci, pomyślał Pillgrim, obłądny, upiorny taniec trupów. Na nic jednak zdała się determinacja i dzielność przeciwko zajadłości zwyciężających. Koniec był nieuchronny, to musiałby dostrzec nawet ktoś, kto nie ma pojęcia o wojaczce.

– Patrzcie, panie generale, co oni robią?

Ale Pillgrim już dostrzegł zagrożenie. Jazda królewska, do tej pory stojąca biernie w połowie drogi, tak jak zaprzestała szarży, nagle spięła wierzchowce. Najwidoczniej dotarł do niej wreszcie jakiś rozkaz. Straszny rozkaz... Połowa bowiem cofnęła się na dawne pozycje, a połowa zakręciła w prawo, uczyniła niewielkie półkole, a potem runęła do przodu, prosto na walczących. Wbiła się głęboko, patrzeć tylko, jak przeorze zwarte formacje, niszcząc je do szczytu.

– Rany boskie – wyszeptał baron pobladłymi ustami. – Co za barbarzyństwo!

Kawalerzyści uderzyli w piechotę, rażąc włóczniami bez różnicy wroga i swoich. Widać Burghiese doszedł do wniosku, że warto poświęcić własnych żołnierzy, żeby zgnieść oddziały przeciwnika. Co zrobi Gerno? Powinien sam pchnąć konnicę na odsiecz. Rzeczywiście, oddziały jazdy wyszły do przodu, dowódcy dali znak do ataku, jednak naraz przed idącymi stępa oddziałami przemknął porucznik w książących barwach. Kawaleria cofnęła się. Czy nie ma już komu iść na ratunek? Pillgrim szybko ocenił sytuację. Po pierwszym powodzeniu szarża uwięzła. Pikinierzy zwarli stopniałe szyki, powstrzymując napór. Błąd wielkiego hrabiego. Trzeba było pchnąć wszystkie siły, by zgnieść opór, a nie dzielić je na pół, żeby zabezpieczyć resztę ugrupowań centralnych. Nie wygrywa się bitew, nie ryzykując. Dopiero teraz nadeszły następne rozkazy, jednak już za późno. Walcząca część konnicy zawróciła. Nawet połowa jeźdźców nie siedziała w siodłach. Jednak wśród piechoty śmierć także zebrała obfite żniwo. Skrwawionych i strudzonych nie będzie już można użyć do walki, muszą odejść na tyły lizać rany. I zapewne o to właśnie chodziło przekłętemu hrabiemu.

Baron splunął z obrzydzeniem. Co to za człowiek! W tej chwili pierzchły wszystkie wyrzuty sumienia, jakie miał, stając po stronie przeciwnika.



Vallery uważnie śledził rozwój wypadków. Masakra własnych oddziałów nie przyniosła pożądanых rezultatów. Co gorsza, słyszał za plecami szmer wśród najemników. Nie ma się co dziwić. Skoro głównodowodzący nie okazał litości swoim, na pewno nie będzie się przejmował wojskiem zaciężnym.

– Uspokój ich, Viries – powiedział do świeżo upieczzonego porucznika. – Burghiese jest zwyczajnym głupcem, skoro robi takie rzeczy na samym początku, na oczach wszystkich! Jeśli ja dostanę podobny rozkaz, prędzej uderzę na tamto wzgórze – wskazał miejsce postoju sztabu z powiewającym ogromnym gonfanonem – niż na własnych ludzi.

Stary natychmiast popędził do najemników. Widział w życiu dziesiątki bitew i potyczek, ale na taką jatkę zgotowaną swoim przez swoich patrzył po raz pierwszy.

Owszem, zdarza się, że kawaleria przejedzie wśród własnych szeregów, zawadzi w szarży tego i owego. Ale dzisiaj kopijnicy pruli flaki wszystkim bez wyboru, zostawiając po sobie wielką krwawą smugę zmieszanej krwi, odciętych członków i zmiażdżonych ciał.

– Spokój – wrzasnął, dojeżdżając do najemników. – Spokój, żołnierze i posłuchajcie, co wam powiem!

Pole bitwy zamarło, jakby wojska zostały porażone niedawną bezsensowną masakrą. Tylko chorągwie łopotały na wietrze. Vallery z zaciśniętymi wargami wpatrywał się w szeregi wroga. Pozornie oddziały stały bez ruchu, niczym wojsko na paradzie. Ale z doświadczenia wiedział, że z tyłu uwijają się adiutanci i gońcy, przepływają rozkazy. Spokój gotów zamienić się w jednej chwili w wielki ruch. Kto wykona następne posunięcie? Burghiese czy Gerno? Odpowiedź przyszła prawie natychmiast. Na spienionym koniu przyskoczył figieladiutant marszałka Marrattiego.

– Pułkowniku – wydyszał – kiedy tylko łanowi ruszą, macie konnicą uderzyć na kawalerię w centrum i narobić jak najwięcej zamieszania! A jak ich zdołacie przejść, weźmiesz armaty! Trzeba jak najszybciej naprawić to, co zepsuł przed chwilą wielki par!

– A co z piechotą? – zdumiał się Vallery. – Zostanie bez dowódcy?

– Wyznaczcie kogoś godnego zaufania i niech czynią swoje. Do przodu, rażąc ogniem. Mają za zadanie związać siły wroga z tej strony, utrzymać się jak najdłużej, rozumiecie?

D'Orenburg w tej chwili pojął genialność planu starego sztabowca.

Kawalergardowie idą na zatracenie.

Taka zresztą ich rola. Ale tylko oni są w stanie rozbić stosunkowo małymi siłami wielokrotną przewagę. Zwrócił oczy w stronę łanowej piechoty. Musi poprowadzić szarżę w odpowiedniej chwili, jeśli plan marszałka ma się powieść.

Już! Zagrały tarabany. Łanowi, dobierani chłop w chłopa, potężni, o plecach szerokich i rękach umięśnionych, sękatych na podobieństwo konarów starych dębów, podjęli niespieszny rytm bębnow. Teraz dobrze rozegrać sprawę, tak, by przeciwnik jak najpóźniej zorientował się w prawdziwych zamiarach.

– Viries! – Porucznik natychmiast doskoczył. Wprowadził już porządek w szeregach najemników, choć raz zachwiane zaufanie trudno w pełni przywrócić. – Zostajesz z zaciężnymi. Jak tylko wykonam manewr, ruszycie w przód i niech was Bóg prowadzi.

– Panie – stary próbował zaprotestować. – Moje miejsce przy was...

– Twoje miejsce tam, gdzie ci rozkażę – warknął Vallery. – Nie mam nikogo lepszego, by ich dopilnował! W całej armii nie znajdę nikogo lepszego! Zostawiam ci dwudziestu ludzi w razie, gdybyś musiał kielżnąć piechocińców. Musisz sobie radzić! Na mnie czas.

Uniósł w górę buławę. Chorąży natychmiast ustawił się za nim wraz z poczem ochronnym. D'Orenburg wskazał kawalerii kierunek. Konie poszły początkowo zwartym szykiem, nabierając błyskawicznie rozpędu. Gdy tylko przeszły w galop, szeregi rozluźniły się, przestrzenie między jeźdźcami powiększyły wielokrotnie. Z drugiej strony zagrały arkebuzy. Ten i ów zakrzyczał, spadł z siodła, rozległ się kwik ranionych koni. Jednak w rozstrzelonym szyku straty były niewielkie. Piechota naprzeciwko ujęła mocniej włócznie i piki, jazda gotowała się do kontruderzenia. Nagle Vallery zadał w świstawkę, znów wznosił buławę. Znakomicie wyszkoleni żołnierze natychmiast wykonali komendę. Wierzchowce zrobiły zwrot prawie w miejscu, zmieniając kierunek szarży. Vallery rzucił okiem na łanowych. Biegli już z wrzaskiem. Musi zdążyć przed nimi! Tuż przed nimi, żeby zaskoczenie było większe. Nie słyszał huku dział, nie widział, jak kawalergardowie walą się z koni, złapani w morderczy ogień z boku. Rwał do przodu, nie zważając na nic, czując narastający w sercu bojowy szal. Dotarli do miejsca pośrodku pola, gdzie rozegrała się hekatomba pikinierów. Hadre położyła uszy po sobie, zarżała przeciągle, przelatując nad krwawymi zwłokami. D'Orenburg ujrzał pod sobą przerażone oczy jakiegoś pozbawionego nóg żołnierza. Nieszczęsny próbował na samych rękach przeciągnąć kadłub na bok, z dala od morderczych kopyt, ciągnąc za sobą wywalone jelita. Koszmarny widok przemknął, pozostawiając jeszcze na chwilę ślad w pamięci. Ten i ów koń pośliznął się na śliskich od krwi zwłokach, na rozmięklej posoką ziemi. Vallery znów zadał w świstawkę, znowu wskazał buławą nowy kierunek.



Pillgrim z niedowierzaniem obserwował atak jazdy. Co oni wyprawiają? Idą prosto na nienaruszoną do tej pory kawalerię centrum! Po przejeździe wzdłuż ziejących ogniem formacji całego lewego skrzydła ponieśli poważne straty, jednak nie osłabiło to w nich ducha. No cóż, to w końcu elita. Sam ich swego czasu szkolił, uczył także tego ostatniego manewru. Musi nimi dowodzić bardzo zdolny oficer. Diabły nie ludzie i tylko diabłów można im przeciwstawić. Trącił Gernona w ramię.

– Trzeba ruszyć naszych najlepszych kopijników – zawołał, przekrzykując zgiełk. – Waszą gwardię przyboczną! Tylko oni mogą stawić opór!

Gerno z troską śledził rozwój wypadków. Jednocześnie bowiem ze straceńczą szarżą kawalergardów ruszyła zaciężna piechota. Szli jak na paradzie, prowadząc morderczy atak na nową modłę. Pikinierzy na razie po bokach, żeby nie przeszkadzać strzelcom, gotowi w każdej chwili zbudować mur z długich drzewc. Pierwszy szereg oddał salwę z arkebuzów, stanął, nabijając broń, przesiąkając między postępującymi naprzód towarzyszami, następnymi wystrzelili i też się zatrzymali. Głębokie na dwanaście szeregów ugrupowania pozwalały na załadowanie broni, zanim znów nadeszła kolej na salwę. W efekcie oddziały prowadziły ogień bez przerwy, rażąc przeciwnika. W pobliskich szeregach zaczęła narastać panika. Żołnierzom zdaje się, że nic nie powstrzyma straszliwych kolumn.

– Bierz – odparł. – Ale nie atakuj kawalergardów! Złam mi tamtych. – Wskazał na najemników. – A tych szaleńców zostaw mnie!

– Jak każecie, panie.

Pillgrim skinął na dowódcę gwardii książęcej. Powiedział mu coś na ucho. Tamten spojrzał zdumiony, ale zaraz odjechał do ludzi, wydał rozkazy. Kilku podjęło z wozów niewielkie beczki z prochem. Załopotał bojowy sztandar, rozległy się głosy komend. Jeźdźcy, posłuszni jak miecz w ręce sprawnego fechtmistrza, natychmiast pognali wierzchowce.

Tymczasem Gerno przywołał adiutanta. Tamten słuchał przez chwilę rozkazów, a potem pocwałował w stronę wzgórza z armatami i osłaniającą je piechotą.



Vallery siekł mieczem przez przerażoną twarz młodego chłopca. Ostrze rozłupało podbródek, zagłębiło się w szyi. Krew bluznęła na skórnie i koński bok, dołączając się do już spływających z nich strug posoki.

– W przód! – wrzasnął ochryple d'Orenburg. – W przód!

Resztki próbującej stawiać opór piechoty przeszli, nie tracąc rozpędu. Naprzeciwno

wyrośla jazda, nabierając już szybkości. Vallery obejrzał się. Zostało mu może ze dwie trzecie ludzi. Ale nie pora liczyć siły, gdy trzeba się bić. Wiedział, że i jego podwładni myślą podobnie. Podwładni, parsknął w duchu, też coś. Z większością pił, hulał i grał w kości, gdy był jeszcze kapitanem. A teraz nie poznawał zdziczałych, naznaczonych krwią, wykrzywionych twarzy. Pewnie i on wygląda nie lepiej. To dlatego nazywają ich diabłami.

Zwarli się ze świeżą kawalerią, natychmiast wdzierając się w głęb szeregów, drąc szyki bez wysiłku, niby starą zetlałą szmatę. Trwoga ogarnęła jezdnych Gernona. Widząc rozżartych szaleńców, zaczęli im schodzić z drogi, starając się unikać starcia. A kawalergardowie zdawali się nie odczuwać zmęczenia. Rąbali z wprawą, z niespożytymi siłami. Dzielna Hadre parła do przodu, obalając spłoszone, stojące dęba konie przeciwnika.

Vallery już widział ostatnie szeregi, a za nimi wolną przestrzeń. Gdy tylko wyrwą się ze ścisku, uderzy na armaty. W mgnieniu oka wy dostał się na drugą stronę, za nim reszta chorągwi. Oceniał straty. Prawie połowa została z tyłu, na polu walki. Pewnie wielu wśród tych, którzy wciąż jada, jest rannych, ale jeśli tylko są zdolni do boju, będą walczyć do ostatniego oddechu. Wspaniali jednak z nich towarzysze broni. Zdawałoby się na co dzień banda nicponi i hulaków, patrzących gdzie wypić butelkę albo dziewczkę wyobrazać, ale w potrzebie każdy wart jest dziesięciu albo i dwudziestu innych. Wszyscy połamali już włócznie, walczą mieczami i toporkami na długich trzonkach, ale nie stracili impetu, są tak samo groźni, jak zawsze.

– Tam! – Wskazał buławą kierunek. – Na jaszczce!



Gerno z niepokojem obserwował Pillgrima, uderzającego na kohorty najemnej piechoty. Zaciężni, widząc atak jazdy, przystanęli, cztery maszerujące czworoboki skupili w jedną falangę, na czoło wysunęli się idący dotąd po bokach i w ociążu pikinierzy. Wprawnymi ruchami osadzili piki w ziemi i pochylili je pod kątem, jaki pozwalał na największe wyzyskanie przewagi długości drzewc nad kopiami jazdy. Gwardia książęca do tej pory nie walczyła z taką piechotą. Wojowała raczej wraz z nią u boku, wiedzieli więc żołnierze, że ciężki będzie zgryz. Nadchodzą coraz gorsze czasy dla jazdy. Piki, broń palna, w dodatku byle piechur miewa lepsze opancerzenie od niejednego wysoko urodzonego. Na dobitkę uczynili z tego fach, nabywając większych umiejętności i doświadczenia od rycerstwa. Ponoć mają nawet zwierzchnie władze, coś na kształt kupieckich gildii czy rzemieślniczych cechów. Gwardziści przeszli w cwał, konie zdawały się brzuchami szorować po ziemi. Zagrzmiały arkebuzy, posypali się jeźdźcy. Ale już byli o kilkadziesiąt kroków od piechoty. Luźne

dotąd szeregi zwały się w pancerną, najeżoną włóczniami pięść. Kohorty najemników znów wypluły kule z luf, tym razem kładąc jeszcze więcej gwardzistów. Jednak na trzecią salwę nie starczyło czasu. Łomot, jaki rozległ się przy zderzeniu, zagłuszył nawet zgiełk potyczki królewskich kawalergardów z ciężką jazdą książęcą.

Pillgrim uwijał się wśród swoich, okrzykami dodając im ducha, kierując odwody tam, gdzie była największa potrzeba. Huk arkebuzów zastąpił szczęk stali i odgłos łamanych drzewc. Piechurzy ugięli się pod rozpędzoną masą, pozwolili nawet kilkunastu pancernym wdrzeć się w głąb swoich szyków, ale już okrzepli, wypełnili luki w formacjach, zaczęli wypierać jazdę, która musiała zmienić taktykę, obskakując najeżone ostrzami czworoboki niczym charty niedźwiedzia. Baron z podziwem patrzył na przeciwnika. Nie ustąpić przed gwardią, to wielki wyczyn, ale odgryzać się jej jak równy równemu to już prawdziwa sztuka. Pokręcił głową. Szkoda takich wojaków, ale wojna to wojna, trzeba ją wygrać. Rozejrzał się, w zamęcie. Gdzie ci z prochem? Trzej są tuż obok, czwarty pewnie poległ po drodze. Odciągnął do tyłu gwardzistów.

– Proch dawaj! – Wydobył z drewnianej skrzyneczki o wieku z nawierconymi otworami żarzący sznur lontowy i papierowe tulejki nabite ciasno prochem. Odbił szpunty w beczułkach, wepchnął ładunki.

– Gotowi jesteście?

– Gotowi, generale!

– Macie niewiele czasu. Postarajcie się rzucić beczki jak najdalej, żeby zamieszać w samym środku. Rozumiecie?

– Tak jest!

– To migiem. I starać się nie dać zabić. Chcę zobaczyć wasze paskudne pyski, kiedy to się wreszcie skończy.

Gwardziści wyszczerzyli zęby w drapieźnych uśmieszkach. Pillgrim podpalił tulejki. Natychmiast zajęły się płomieniem, zaczęły pryskać iskrami.

– Do dzieła!

Obaj gwardziści ruszyli z kopyta, przedzierając się przez gęstwą swoich. Po chwili beczki zatoczyły łuk w powietrzu. Rozległ się huk, podniósł dym. Wśród najemników powstał zamęt. Pierwsze szeregi walczyły zażarcie, ale za nimi zabici i ranni spowodowali zmieszanie szyków. Jazda natychmiast wdarła się do środka, rozsadzając zwarte formacje.

Pillgrim kątem oka zauważył pędzącą grupkę jeźdźców. Kilkunastu, dwudziestu najwyżej. Szli na odsiecz piechocie.



Viries, widząc, co się dzieje, dał znak do ataku. Mieli jedynie pilnować porządku,

zaganiać do szeregów maruderów, ale w tej sytuacji nie szło czekać i patrzeć. Uderzyli z boku na zaskoczonych gwardzistów. Na pewno nie był to miażdżący atak, nie mógł być taki ze względu na szczupłe siły, ale dał chwilę czasu, pozwolił piechocie opanować powstały chaos. Beczułki z prochem narobiły więcej hałasu i zamieszania niż szkód. Ale to zamieszanie mogło być zgubne. Jednak już się opanowali, dowódcy wprowadzili jaki taki porządek. Jeźdźcy, którzy wdarli się do środka, zostali otoczeni, a w ich stronę wysunęły się ostre żądła rapierów. Dla kogoś patrzącego z góry mogło się to wydać dziwne, a nawet malownicze. Czworoboki otoczone przez jazdę, a w ich środków kolisko broniących się kawalerzystów. Jednak już po chwili gwardziści uwięzieni pośród piechoty przestali istnieć. Konie, zakłute, z porąbanymi łbami padały jeden po drugim, ciągnąc w otchłań śmierci swych panów.

– Tutaj, tędy – usłyszał Viries, zmagający się z trzema gwardzistami naraz. Jeszcze chwila, a omdleje ręka i trzeba będzie pożegnać się z życiem. Obejrzał się. Kapitan piechoty wskazywał miejsce, gdzie najemnicy uczynili drogę dla jego kilku zaledwie pozostałych przy życiu ludzi. Porucznik natychmiast okrzyknął żołnierzy. Czekał aż wjadą między szeregi piechoty, zanim sam się ruszył.

Ledwie domknęła się zwarta formacja, ledwo pikinierzy zastawili drogę, jazda wzmogła nacisk. Walały się na głowy najemników potężne ciosy mieczy, świszczwały wypuszczane z jeździeckich kusz strzały. I oni nie pozostawiali dłużni. Grzmiały arkebuzy, błyszczwały żądła rapierów. Rozpoczęła się ostateczna mordercza kotłowanina.



Vallery wyrwał się na otwartą przestrzeń. Hadre położyła uszy po sobie, gnając ile sił. Pułkownik wzniosł buławę, zatoczył nią koło, wskazując następny cel. Wzgórze z armatami. W porównaniu z tym, co uczynili do tej pory, zdobycie jaszczy z zaskoczonymi załogami to drobiazg. Myślał tak do chwili, gdy nie zobaczył wycelowanych w siebie paszcz dział i szeregów piechoty, skupionej w jednej, długiej linii. Przeklęty Gerno przewidział manewr Marrattiego! Poświęcił resztki piechoty, pozwolił rozbić jazdę, może nawet nakazał stawiać niewielki opór, byle tylko zniszczyć groźnych kawalergardów! Z tej odległości, przy takim skupieniu szeregów, salwa armatnia to śmierć dla zbyt wielu. A dodatkowo ostrzał arkebuzów, grad strzał i bektów z tyłu i z boku, gdzie zajęli stanowiska łucznicy... Trudno, przeleciało przez głowę d'Orenburgowi. Nijak w tej chwili zawrócić, nie ma nawet gdzie.

Zagrzmiały jaszczce. Jezdnych zasypał grad kul. Walili się pod końskie kopyta, ten i ów został gwałtownie z tyłu, bo armatnia kula trafiła prosto w pierś wierzchowca, rozrywając kości i mięśnie, zatrzymując nieszczęsne stworzenie w biegu.

– To na nic, na nic! – Vallery zdał sobie sprawę, że krzyczy, choć nikt nie może go usłyszeć.

Zawinał buławą, wskazując otwarte pole, na którego krańcu rozłożyły się tabory Gernona. Tabory... Ależ tak! Nie idzie wziąć armat, może uda się zniszczyć coś jeszcze ważniejszego! Po chwili prowadził resztki chorągwi w tamtą stronę. Nie było zresztą innego wyjścia.

Z lewej cały czas rzygały ogniem armaty, z prawej miał niezমেcone jeszcze wojska księcia, z tyłu zbierającą się po rozbiciu jazdę. Hadre rwała, jakby w ogóle nie była zmęczona. Ale inne wierzchowce na pewno mają dosyć. Rzeczywiście, niektórzy zaczęli zostawać z tyłu. Trudno, wpadnie do obozu z tyloma ludźmi, ilu dotrwa. Już widział wozy ustawione w krąg, już dostrzegł paniczną bieganinę chroniących tabory żołnierzy. Po chwili Hadre wspięła się, sprężyła do skoku, żeby przesadzić wyładowany wysoko wóz. Za jej przykładem poszły następne rumaki.

Vallery zobaczył przed sobą lufę, zaraz potem chmurę dymu. Dopiero po chwili dotarło do niego, że strzał był wycelowany prosto w jego pierś. Zdumiony, z szeroko otwartymi ustami, przetoczył się przez koński grzbiet, upadając bezwładnie na ziemię.



Stary służący wszedł cichutko, wiedząc, że o popołudniowej leniwej porze mała Anna powinna być pogrążona we śnie. Nigdy do tej pory nie widział, żeby jakiś ojciec tak wiele czasu spędzał z dzieckiem i dawał mu tyle uczucia. W dodatku czynił to ktoś, kto znany był z twardej pięści i mało litościwego dla wrogów serca. Prawdziwy wojownik, który niczego się nie ulęknie. Może właśnie dlatego nie boi się również pokazać miłości...

– Panie – powiedział szeptem. – Ktoś do was przyjechał.

– Kto? – zmarszczył brwi Alwen. Nie miał w tej chwili ochoty nikogo widzieć.

– Nie znam go, panie. Ale upiera się, że koniecznie musi się z wami zobaczyć. Mówi trochę dziwnie, jak człowiek z północy.

Koniokrad poczuł ukłucie niepokoju. Czy to możliwe?

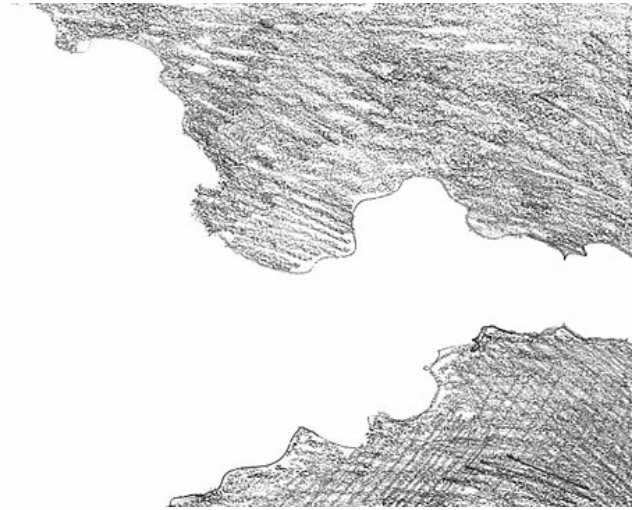
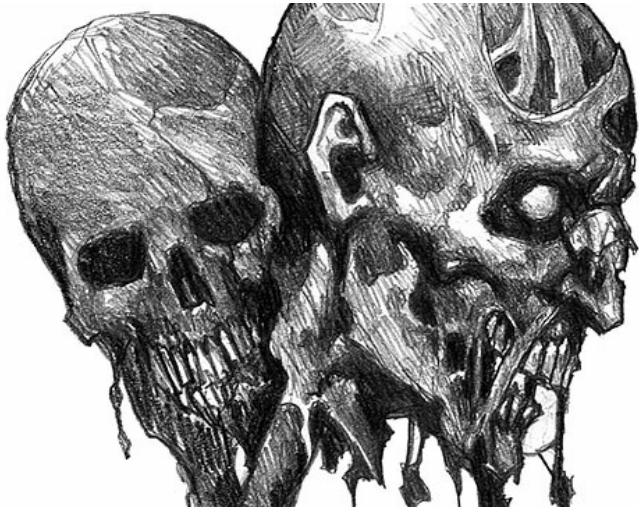
– Dobrze. Wprowadź go do wielkiej sali. Zaraz tam przyjdę.

Delikatnie pogładził siwe włosy Bernadetty, śpiącej w wielkim fotelu, ulubionym meblu Pillgrima. Zakonnica otworzyła oczy, uśmiechnęła się. Alwen wskazał ruchem brody córeczkę. Bernadetta kiwnęła głową, przeniosła się na mniejszy fotel obok dziecięcego łóżeczka.

Koniokrad szedł z ciężkim sercem, pełen złych przeczuc. Przed drzwiami auli zatrzymał się i wziął głęboki oddech, zanim ujął klamkę.

Przybysz na widok gospodarza powstał.

- Witaj, Alwenie de Morano – powiedział z uśmiechem.
- To ty – rzekł Alwen niechętnie. – Przybyłeś oznajmić koniec spokojnych dni?



Rozdział 21

Ludwig Burghiese przemierzał dziedziniec szybkim, energicznym krokiem. Tuż obok szedł, a właściwie biegł prawie, próbując dotrzymać hrabiemu kroku, kardynał Falcone. Burghiese wyglądał niczym chmura gradowa. Czoło miał zmarszczone, bujne włosy rozwiane. Ze swoich kwater wypadł jak stał, jeszcze w polowym odzieniu, nie myjąc się nawet i nie pożywiając. W przelocie łyknął jedynie wina podanego przez któregoś z adiutantów.

– Mów, eminencjo, mówże dalej! – warknął. – Chcę wiedzieć wszystko, zanim dotrzemy na miejsce.

– Początkowo królowa twierdziła, że nie pozwoli wyprawić pogrzebu, dokąd nie powrócisz z wojny. To było nawet rozsądne, bo wszak według naszych obyczajów dopiero po pochówku monarchy i zamurowaniu płyty sarkofagu uznaje się go za prawdziwie zmarłego, a królowa może podejmować w jego imieniu decyzje. W takiej więc sytuacji Laura miała możliwość zachować ciągłość władzy, a potem porozumieć się z tobą, co czynić dalej... Ale przystańmy na chwilę – poprosił kardynał. – Złapała mnie zadyszka.

– Trzeba by ci pójść w pole, nieść posługę żołnierzom. – Ludwig obrzucił go pogardliwym spojrzeniem. – Zbabiłeś ze szczętem, siedząc w kardynalskim fotelu.

Zatrzymał się jednak przed wejściem do południowego skrzydła pałacu, gdzie znajdowała się kaplica ze zwłokami Filipa.

– Dzięki – sapnął Falcone. – Laura kazała więc zabalsamować ciało. Co prawda nie ma takiego zwyczaju, ale się nie sprzeciwiałem, bo nie wiadomo było, ile czasu spędzicie w polu, a nijak trzymać rozkładające się królewskie zwłoki. Jak już mówiłem, poczynania królowej wydały mi się rozsądne. Do wczoraj. Ledwie bowiem

oznajmiono, żeś dotarł do rogatek Velary, zamknęła się z trupem, postawiła przy wejściu strażę i odmawia rozmów.

– Już ja z nią porozmawiam – mruknął hrabia. – Mnie nie odmówi.

– Oczywiście – kardynał uśmiechnął się przymilnie – nie może odmówić wspaniałemu wodzowi, wielkiemu zwycięzcy spod Rodonny.

Burghiese skrzywił się niechętnie. Komplement wart tyle akurat, co kardynalski rozum.

– Dobrze już, chodźmy.

Drzwi kaplicy były zamknięte, przed nimi stało dwóch wartowników z bardzo nieszczęśliwymi minami.

– Otwierać! – rozkazał Burghiese.

– Nie możemy, wasza dostojność.

– Odmawiacie wykonania rozkazu?! – uniósł się gniewem hrabia.

– Nie odmawiamy, panie. Wrota zaryglowane są od wewnątrz. Zabite deskami i zawalone sprzętami, ławkami, a nawet kamienną chrzcielnicą.

Hrabia nie wierzył własnym uszom.

– Chrzcielnicą?! – zawołał zdumiony. – Chcecie mi wmówić, że słaba kobieta potrafiła przesunąć ten ciężar spod ołtarza aż do drzwi?!

– Ona tam nie jest sama – odezwał się drugi z żołnierzy. – Razem z nią zamknęło się kilkunastu kawalergardów z jakimś wyższym oficerem. Nie wiemy, którym, bośmy go nie widzieli. Stoimy tu od niedawna, z rozkazu jego eminencji.

– Kawalergardów, powiadasz? Tego powinienem się spodziewać. Zdrajcy i spiskowcy! Pod Rodonną widać upuściliśmy im jeszcze zbyt mało krwi! – Zabębnił pięścią w drzwi. – Otwierać natychmiast! To ja, wielki par królestwa! Obecnie, po śmierci króla, mam pełnić jego obowiązki do czasu wyboru nowego monarchy!

– Odejdź! – zwołał kobiecy głos z drugiej strony. – Nie zgodzę się na pochowanie mojego męża do czasu, gdy nie zostanie odczytany Czarny Pergamin!

– Czarny Pergamin! – prychnął Burghiese. – To oznacza, że nieszczęsny Filip pozostanie bez pochówku jeszcze długo, jeśli nie na zawsze! Bo Czarny Pergamin znikł, zaginął i nie wiadomo, gdzie jest! Otwórz drzwi, królowo i zachowuj się rozsądnie! Kraj nie może pozostać bez władcy zbyt długo.

– Nie wycieraj sobie gęby Vereeną, Ludwigu. – Laura musiała podejść bardzo blisko, bo było ją słychać o wiele wyraźniej niż przed chwilą. – Chcesz jak najszybciej wyzyskać powodzenie wojenne i otaczający cię nimb pogromcy Gernona! Ale nic z tego! Mój mąż pozostanie na katafalku w kaplicy, dokąd Czarny Pergamin nie dotrze do Velary!

– Jak chcesz – odparł spokojnie Burghiese. – Ale magiczne pismo tu nie dotrze, a wy nie wytrzymacie długo bez jedzenia i picia!

– Nie obawiaj się, wielki parze – padła równie spokojna odpowiedź. – Mamy tu

zapasy pożywienia, a woda też się znajdzie.

– Oczywiście – mruknął Falcone. – Przecież tam jest ujęcie świętego źródła.

– Zastanów się, miłościwa pani. – Ludwig starał się mówić uprzejmym, łagodnym tonem. – To nie ma sensu.

– Odejdź, Burghiese i nie wracaj, dokąd nie znajdzie się Czarny Pergamin!

– Jak chcesz, królowo – rzekł zimno. – Ale pamiętaj. Im dłuższy będzie twój niemądry upór, tym mniejsza moja cierpliwość i wyrozumiałość. Dla ciebie i tych zdrajców, którzy cię wspierają.

– Uważaj, kogo nazywasz zdrajcą! – odezwał się męski głos. – Nie masz to tego prawa ty, który poświęciłeś połowę armii, żeby tylko dopiąć swego!

Burghiese wzruszył ramionami. Odciągnął kardynała na bok.

– Trzeba się naradzić, co mamy począć z tym zgniłym jajem. Na razie niech siedzą z trupem, skoro im tak dobrze! – Zwrócił się do strażników: – A wy macie od tej chwili pilnować nie tylko, żeby ktoś nie wszedł do środka, ale przede wszystkim, by nikt stamtąd nie wyszedł. Zrozumiano?

– Tak jest!



Głowa bolała po prostu niesamowicie. Tępe łupanie, zdające się pulsować w rytm bicia serca, płynęło od potylicy, przez skronie, by skupić się najboleśniejszym punktem mniej więcej pośrodku czoła. Zesztywniały kark powiększał cierpienie przy każdym ruchu głowy.

– Niech to biesy porwą – warknął pod nosem. – Co za parszywy los!

Człowiek dałby się zabić, żeby przestało boleć. Duszę diabłu gotów sprzedać za chwilę ulgi... Szedł ludną ulicą w kierunku rynku, gdzie wśród kramów przelewał się gęsty tłum. Potrząsał głową, ni to chcąc zrzucić dolegliwość, ni to sprawdzając, czy staje się jeszcze dotkliwsza. W dodatku sam nie wiedział, dlaczego podążał właśnie w stronę jarmarku. Pewnie dlatego, że i tak było mu wszystko jedno.

– Stój – usłyszał syknięcie koło ucha. Nie zwrócił na nie uwagi. Pewnie ktoś zobaczył znajomka. – Stój wreszcie! – Tym razem słowom towarzyszyło szturchnięcie. Sprawilo, że ból w głowie przez chwilę jeszcze spotężniał. O ile to w ogóle było możliwe.

Obejrzał się, przywołując na twarz przykry grymas zniecierpliwienia. Co za lichy? Zobaczył stojącego o krok zwalistego kupca z wielką brodą, jak to wśród kupców było ostatnio w zwyczaju.

– Ty mnie zaczepiłeś, kramarzu? – spytał z niedowierzaniem.

– Ja, Viries – odparł obcy.

– Skąd znasz moje imię? Rozległ się cichy śmiech.

– Widzieliśmy się wcale nie tak dawno, ledwie kilka miesięcy temu z niewielkim okładem.

– My?! – zdumiał się stary. – Pierwszy raz na oczy cię widzę, człowieku! Daj mi spokój, chyba że szukasz kłopotów! Jeśli tak, dobrze trafiłeś. Jestem w paskudnym nastroju i mam ochotę komuś porządnie przyłożyć!

– Nerwowy się zrobiłeś – zauważył spokojnie kupiec.

– Nie twoja rzecz!

– Moja czy nie moja, nie czas o tym teraz rozmawiać. Przejdźmy na bok, mam ważną sprawę!

– Nie zamierzam...

Ale nieznajomy nie słuchał. Chwycił Viriesa za łokieć, ścisnął mocno i pociągnął w stronę otwartej bramy pobliskiej kamienicy. Porucznik dał się prowadzić, bardziej zaintrygowany niż zaniepokojony niespodziewaną zaczepką. Zresztą, czym miałby się przejmować? On, stary wiarus, który z niejednej opresji wychodził cało! Taki kupczyzna, choćby był wielkim mocarzem, nie może się równać z doświadczonym wojownikiem. Na wszelki wypadek, nieznacznym ruchem sięgnął wolną ręką do ukrytego w fałdach płaszcza sztyletu. Jednym pstryknięciem kciuka zwolnił zabezpieczający broń rzemyk, rękojeść sama wsunęła się do dłoni. Po chwili znaleźli się w ciemnym chłodzie sieni.

– Dobrze, przyjacielu. – Viries odezwał się pierwszy. – Poszedłem gdzie chciałeś, a teraz odejść, gdzie mi się podoba. Koniec zabawy.

Nagłym skrzyśnięciem ciała uwolnił rękę. To znaczy chciał uwolnić, bo kupiec najwyraźniej znał tę sztuczkę. Bez chwili wahania puścił łokieć starego, żeby natychmiast chwycić przedramię. Jednocześnie drugą dłonią złapał za dłoń ze sztyletem, blokując ostrze, do połowy tylko wysunięte z pochwy.

– Daj spokój, człowieku – mruknął. – To ja, Pillgrim! Wiem, że trudno mnie poznać, ale myślałem, żeś jednak domyślniejszy!

Dopiero w tej chwili Viries spojrział uważnie w oczy napastnika.

– To wy! – wydusił z wysiłkiem. – Rany boskie, baronie, czyś zwariował! Za twoją głowę wyznaczono sowitą nagrodę! Chyba nigdy w tym kraju nie wyceniono głowy banity tak wysoko!

– Wiem, stary. A myślisz, że dlaczego ubrałem się w te błazeńskie łachy i przykleiłem na gębie wiecheć? Wiesz, jak w tym niewygodnie?

– Niech mnie. – Porucznik uśmiechnął się. – A to by się Vallery ucieszył! – Nagle spoważniał, przypominając sobie, że rozmawia przecież z kimś, kto niedawno walczył przeciwko niemu. – Prawdę rzekłszy, żałowałem potem, że nie pozwoliłem żołnierzom was zastrzelić – rzekł z chmurną miną. – Gdybym wiedział, żeście zdrajca...

Pillgrim szarpnął się. Viries jęknął, bo głowę przeszyła nowa błyskawica bólu.

Baron puścił go natychmiast.

– Zdrajca czy nie – odparł świszczącym ze złości głosem – zrobiłem, co uważałem za słuszne.

– Stanęliście przeciwko królowi, któremu przysięgaliście dochować wierności!

– Stanąłem przeciwko wielkiemu parowi, Ludwigowi Burghiese, któremu nic nie przysięgałem! Więcej, słowo wierności dane Filipowi, zobowiązywało mnie właśnie do wystąpienia przeciwko hrabiemu. To on, a nie Gerno, stanowi największe zagrożenie dla kraju! Poza tym w chwili, gdym stawał do walki, król już nie żył.

Viries zastanowił się. W głosie Pillgrima brzmiała szczerłość. Może z jego punktu widzenia tak to rzeczywiście wygląda, ale...

– Słowo to słowo – powiedział z uporem. – Ma się jedno! Walcząc po stronie Gernona, zabijaliście swoich ludzi!

– Tak?! – Baron uniósł w górę brwi. – A wyście nie strzelali do swoich? Nie rąbaliście ich mieczami? Zapominasz, iż po stronie księcia stanęły hufce z zajętych dzielnic, chociażby Dorany i Veren!

– To co innego...

– Nieważne. – Pillgrim nagle uspokoił się, machnął ręką. – Wiedz tylko, że i tobie się przydała moja obecność po stronie wroga. Nie patrz na mnie takim zdziwionym wzrokiem. Nie pomyślałeś nawet przez chwilę, dlaczego, kiedyś jak durny rzucił się na moich kopijników, uczyniło się na tyle luźno, żebyś mógł się schronić wśród piechoty? Dlaczego nikt cię w tej chwili nie zaatakował?

– Pomyślałem – Viries przygryzł wargi – ale wziąłem to za łut szczęścia. Bywają podobne chwile spokoju w czasie największej nawet rzeźni.

– Bywają – przytaknął baron. – Ale nie tym razem.

– Zatem to wy – wymamrotał porucznik.

Pillgrim podrapał się w gęstą brodę, mrużąc z niezadowoleniem.

– Swędzi jakby szatani odpust mieli. A co u naszego przyjaciela Vallery’ego? – spytał.

– Liże jeszcze rany, ale w zasadzie przyszedł do zdrowia. Oberwał w bitwie postrzał. Na szczęście napierśnik wytrzymał, ale żebra sobie pułkownik połamał, wywichnął ramię, potłukł się i dech stracił przy upadku z konia.

Poza tym pocięty niczym stary kaftan i poobijany niby jabłko.

– Zatem na wiele się chyba nie przyda – powiedział w zamyśleniu Pillgrim. Nagle otrząsnął się, podrzucił głową. – Słuchaj, stary. Dość jałowych rozmów i przekomarzań. Vereena potrzebuje takich ludzi, jak ty.

– Vereena? – zdziwił się Viries. – Przecież ninie jesteście generałem księcia...

– Byłem jego generałem, stary, byłem! Kiedy nadeszła ku temu pora. Byłem nim dla dobra Vereeny i moich przyjaciół. A teraz to samo dobro wymaga, byśmy wzięli sprawy we własne ręce. Gerno nie będzie się wtrącał.

Stary patrzył nieufnie na barona, jednak po chwili rozjaśnił twarz.

– Rozumiem – powiedział powoli. – Chyba rozumiem.

– To dobrze. Masz jakichś godnych zaufania znajomków wśród strażników miejskiego więzienia?

Viries zastanawiał się przez chwilę.

– Chyba znajdzie się ten i ów. Co poniektóry, gdy skończy służbę, idzie tam dorobić grosza.

– Doskonale. – Pillgrim zatarł ręce. – Bardzo dobrze. Bo u mnie znajdzie się trochę złota, żeby załatwić pewną sprawę. Szkoda, że d’Orenburg nie jest w stanie nam pomóc, skoro leży na łożu boleści.

Viries wytrzeszczył oczy.

– A kiedy powiedziałem, że pułkownik leży?! Nie znacie go chyba! Owszem, zwieźli go prawie bez ducha do Velary. Ale ledwie odzyskał zmysły, ledwie się mógł podnieść z łoża, zaraz uciekł z lazaretu. Zdechnąć tam można z nudów, powiedział, prędzej niż od kuli czy strzały.

– A teraz gdzie go mogę znaleźć?

Stary uśmiechnął się krzywo. Ból głowy nieco się zmniejszył. To pewnie tylko chwilowe, ale zawsze jakaś ulga.

– Chyba nie uwierzycie...



Laura klęczała pogrążona w modlitwie. Zwłoki Filipa spoczywały na katafalku, tuż za jej plecami. Gwardziści krzatali się po kaplicy, szykując posiłek.

– Boże mój! – Podniosła wzrok na rozświetlony zachodzącym słońcem ołtarz. – Pomóż mi. Nigdy nie byłam nazbyt religijna, nie modliłam się, a nawet były chwile, kiedy wątpiłam w Twoje istnienie. Ale dzisiaj proszę Cię nade wszystko, pomóż mi. Bądź ze mną w godzinie próby.

Zachodzące wczesnowiosenne słońce wykrzesало z witraży urokliwe barwne cienie. Kładły się kolorowymi smugami na ścianach i posadzce. Królowa nie mogła tego zobaczyć, ale podchodzący z tyłu oficer zatrzymał się, widząc, jak martwa, zmieniona przez balsamistów twarz króla zdaje się rozjaśniać. Czerwienie i pomarańcze wydobyły z niej dziwny wyraz ni to uśmiechu, ni pobłażliwego grymasu.

– Panie – szeptała Laura – daj mi siłę, jeśli słuszność jest po mojej stronie. Jeżeli zaś nie, daj jakiś znak...

Medytację przerwało chrząknięcie.

– Miłościwa pani, wieczerza gotowa.

– Nie jestem głodna.

– Musisz coś zjeść, pani. Dokąd mamy zapasy, musimy się dobrze odżywiać. Na post przyjdzie czas, kiedy już wszystko spożyjemy. Bądź, rozsądna, królowo.

Odwróciła się z gniewnym wyrazem twarzy. Oficer stał w pozie pełnej szacunku na tyle, na ile pozwalała mu obandażowana i dociśnięta do ciała ręka i ból, jakiego doświadczał.

– Jestem rozsądna – odparła niecierpliwie. – Ale głodna nie!

– To ze zdenerwowania, pani. Znam takie uczucie. Wojak, szczególnie mało doświadczony, też przed bitwą nie czuje głodu. Ale jeść trzeba...

– Straszliwie jesteś uparty, panie d’Orenburg!

– Jestem – uśmiechnął się Vallery. – I nakłonię was wreszcie do jedzenia!

Nie mogła nie odpowiedzieć mu uśmiechem. Był zniewalający. Przystojny, uroczy pułkownik. Mógłby zrobić karierę na salonach, wejść do najlepszego towarzystwa, wyzyskać urok i urodę do osiągnięcia wysokich dostojeństw. Mógłby teraz opowiedzieć się po stronie Ludwiga. To dla wielu była wielka szansa, szczególnie tych, którzy mieli na pieńku z wielkim parem. Potrzebował sprzymierzeńców, gotów był zapomnieć przewiny. Jednak Vallery zjawiał się na pierwsze wezwanie, pierwszy sygnał, że trzeba stanąć przeciwko hrabiemu. Mimo dotkliwych ran, nie tylko sam przybył, ale przyprowadził piętnastu pewnych ludzi. Na początku miała wątpliwości, bo żaden nie był cały, wszyscy obandażowani i wyraźnie cierpiący.

– To najdzielniejsi żołnierze, jakich widziała Vereena – powiedział wtedy. – Właściwie żaden z nas nie powinien żyć. Tyłu ich zostało ze wszystkich moich chorągwi, nie licząc tych, którzy jeszcze dogorywają po lazaretach. Nie są może w pełni sił, ale zdesperowani i gotowi na wszystko. A hrabiego Burghiese nienawidzą gorzej diabła.

Tak, słyszała, mieli powody. Zaraz po bitwie Ludwig zarzucił im tchórzostwo. Ale nie wiedziała dokładnie, o co poszło. Teraz, przegryzając wędzoną szynkę razowym chlebem, siedząc w kręgu żołnierzy, spytała o szczegóły.

– Nie poprowadziłem ludzi na armaty, choć rozkaz był wyraźny – zaczął d’Orenburg. – Nie chciałem stracić wszystkich. I tak nie mieliśmy szans zająć stanowisk nieprzyjaciela. Powiodłem więc niedobitki ku taborom wroga. Niestety, sam padłem, ledwo dostaliśmy się do środka, ale resztką kawalergardów, jaka jeszcze pozostała, wskoczyła za mną... Było ich wtedy może trzydziestu. Wyobrażasz sobie, pani? Trzydziestu ludzi przeciwko osłonie taborów, liczącej dobrze kilka setni znakomicie wyszkolonej piechoty! Na dodatek schroniły się tam oddziały pikinierów, rozbite na początku bitwy. Nie było co robić. Żeby chociaż Burghiese wysłał za nami wsparcie, widział jednak, co się dzieje. Gernonowa jazda jeszcze się nie pozbierała po naszej szarży, w ich szeregach ziała taka luka, że ze dwie chorągwie zdążyłyby przelecieć. Wiecie zaś, królowo, co znaczy zająć i zniszczyć tabory? Można wtedy przegrać bitwę, ale wygrać całą wojnę. Jednak Burghiese nie dał rozkazu i nie

pozwolił go wydać Marrattiemu. Chciał, żebyśmy zdechli... żebym ja zdechł przede wszystkim. Moi kawalergardowie, widząc, co się dzieje, przebili się z powrotem. I mnie zabrali. Im zawdzięczam życie... – zamyślił się na chwilę. – Im i dzielnej klaczy, która mnie niosła. Hadre. Gdym zleciał z siodła i poczuła lekkość, nie pognała, jak to miewają we zwyczaju szarżujące konie, ale stanęła przy mnie, wierzgając i gryząc każdego, kto się zbliżył.

– Wyglądała jak szatan – wtrącił jeden z żołnierzy. – W życiu bym nie uwierzył, gdybym sam nie zobaczył. Przednie kopyta zaryła tuż przy głowie pułkownika, a tylnymi strzelała dookoła aż furczało. A jak próbowali podejść kupą od przodu, zaś wspięła się na tylne nogi i dalej miłować tamtych! Jakbym młyn wodny przy rwącej rzece widział! Nasz Vallery powinien ze złota wotum w jej kształcie kazać odlać i złożyć w jakiej świątyni.

Nasz Vallery... Laura początkowo była zdziwiona, że podkomendni, zwykli gwardziści, tak mówią o swoim dowódcy, pułkowniku przecież. Potem dowiedziała się, że część obecnych w kaplicy służyła pod nim na pograniczu z Variją. Zostali wcieleni do elity kawalerii za karę, tak jak on, żeby pójść na pewną śmierć. Nasz Vallery, powiadają. Jakby był jednym z nich. I słusznie, bo jest. Jednak ile w tej poufałości szacunku, ileż przywiązania!

– Dzięki, Gwido – uśmiechnął się d'Orenburg. – Tego, niestety, nie mogłem widzieć, bo straciłem przytomność, ale naprawdę musiała dać popalić wrogom, jeśli nie zdołali mnie dopaść. Cudowne zwierzę... Zwierzę? Tak powiedziałem? Nie, to obraża jej pamięć. Była rozumniejsza niż wielu znanych mi ludzi. Może nawet niż większość znanych mi ludzi. A na pewno wierniejsza.

– To na niej unieśli cię towarzysze?

Twarz Vallery'ego zmierzchła.

– Nie, pani. Hadre została za kręgiem wozów. Wreszcie piechocińcy wzięli się na sposób. Rozstrzeliwali klacz z arkebuzów, ranili ją mocno, ale szło niesporo, bo miała gruby kropierz, wzmacniany blachami. Wreszcie któryś podpełzł z tyłu, gdy inni odciągali jej uwagę i podciął pęciny berdyszem. Wtedy zarabali Hadre halabardami i skłuli nieszczęsną włóczniami.

– Jeszcze leżąc – odezwał się kolejny żołnierz – próbowała gryźć i kąsać. Rwali z niej skórę, płaty mięsa odłaziły z boków i brzucha, a ona wciąż jeszcze szczyrzyła zęby, próbowała stanąć na nogi, żeby razić przeciwnika. – Wojak zamilkł, a po policzku spłynęła łza. Tak, pomyślała Laura, dla kawalerzysty wierzchowiec jest jak brat, może nawet bliższy niż brat. W dodatku taki, który zachowuje się wierniej niż człowiek... Tymczasem gwardzista podjął: – A pułkownik leżał. Zrazu chcieliśmy go zostawić, bo wydawał się martwy. Ale Jules, ten tam ponurak pod ścianą, zobaczył, że się poruszył. No tośmy wrócili i zabrali nieboraka.

– Tak – zaśmiał się Vallery. – Tak prosto to brzmi. Wrócili i zabrali. Wydobyli

mnie z gromady piechurów, nie bacząc na nic, wycięli z samego środka gęstwy wroga! Ocknąłem się w pułkowym szpitalu i od razu powiadomiono mnie, że za niewykonanie rozkazu sąd polowy czeka mnie i tych, którzy zostali. Gdyby nie marszałek Marratti, leżelibyśmy pewnie teraz w zbiorowej mogile, okryci hańbą. Ale się stary lis za nami wstawił i postawił wielkiemu parowi. A że po nierozstrzygniętej bitwie Burghiese nie był jeszcze całkiem pewny swego, musiał przełknąć pigułkę. Tym bardziej że wszyscy doskonale wiedzieli, z czyjej winy nie wykorzystano naszego manewru. Zamiast przyobiecanego sznura, dostaliśmy więc ordery.

– Nierozstrzygniętej bitwy? – zdumiała się Laura. – Do Velary dotarła wieść o wielkim zwycięstwie!

– Nierozstrzygniętej – potwierdził d’Orenburg. – Nikt nie odzierzył pola, a straty po obu stronach okazały się zatrważające. Armie dyszały później, patrząc na siebie przez szerokość zalanych krwią łąk, niezdolne do działań. Tyle że dla nas brak zdecydowanej wygranej jest bardziej korzystny niż dla Gernona. Dlatego Burghiese może bitwę przedstawiać jako zwycięstwo, chociaż nie miał nawet kim ścigać księcia, kiedy tamten po dwóch dniach postanowił odejść. Nie wiem, jak będzie w przyszłości na polach pod Rodonną, ale w tej chwili okoliczni chłopci zaklinają się, że ich noga nie postanie na pobojowisku. Podobno nocami zaczęły się tam błąkać duchy żołnierzy. Takich, którzy polegli, ale nie wiedzą jeszcze o własnej śmierci.

– Wierzysz w podobne opowieści? – skrzywiła się królowa. – Co dobre dla gminu, to nie dla światłego oficera.

– Byłaś kiedyś, miłościwa pani, na polu bitwy w nocy, kiedy przelana krew kłaska jeszcze pod nogami, a dookoła zalegają szczątki ludzkie, niezebrane trupy i odcięte członki? – odpowiedział pytaniem. – Właśnie, aż zadrzałaś, królowo. Wtedy, nawet jeśli niczego wkoło nie ma, człowiek dostrzega różne rzeczy. Tylko hieny cmentarne, maruderzy i niegodziwcy rabujący poległych pod osłoną ciemności, mają tam czego szukać. Im żaden duch niestraszny, bo chciwość takich ludzi przerasta wszystko, nawet lęk.

– Niezupełnie – wtrącił Gwido. – Widziałem paru takich dzień po bitwie. Poszliśmy zbierać trupy. Wiadomo było, że hieny grasowały nocą, bo dało się słyszeć z pola przekleństwa i nawoływania. Nikt jednakowoż nie miał sił iść przegnać parszywców. Ale co poniektórzy ponieśli zasłużoną karę. Czterech takich leżało obok siebie na ziemi. Z początku myśleliśmy, że się pocięli z innymi o łup. Ale nie nosili śladów walki. Tylko wybałuszone oczy i otwarte do krzyku gęby, sine, zapuchnięte, jakby ich coś zadusiło. Inni też gadali o takich znaleziskach. Coś zatem w opowieściach o duchach z prawdy musi być.

Królowa zamyśliła się. Tyle lat żyła w pałacu strzeżonym przez kawalergardów, a nigdy nie miała okazji poznać ludzi podobnych tym żołnierzom. Znała jedynie rozpasanych, prowadzących hulaszczy tryb życia oficerów. Czy to jednak takie

dziwne? Zwyczajnych wojaków nikt przecież jej nie przedstawiał. A szkoda. Przy nich wszystko wydawało się prostsze. Jak trzeba żyć, to się żyje, gdy przyjdzie śmierć, trzeba umrzeć. Władza, wpływy, ambicje – treść egzystencji wielkich tego świata – zdawały się niewiele warte.

– Ciekawe, co będzie jutro – doleciało do niej nagle. Któryś gwardzista pochylił się do kompana. – Gdyby Burghiese zaatakował, długo nie pociągniemy.

– Nie zaatakuje! – odparła gwałtownie. – Nie może. Nawet jego zuchwalstwo musi mieć granice. Gwałt zadany w obecności króla, choćby martwego, okrywa hańbą!

– Nie gniewajcie się, pani – odezwał się ten sam podoficer – ale Burghiese gdzieś ma honor własny i innych. Obyczaj pewnie też.

– Ale nie może mieć gdzieś – uśmiechnęła się – zdania panów z Rady, Kościoła, a przede wszystkim okoliczności, których do końca nie zna, ale jednak musi je brać pod uwagę.

– To nie na moją głowę – machnął ręką kapral. – Trzeba będzie się bić, przejdziemy się po nich solennie, jak po Gernonowej jeździe. Ale wpiery trzeba się porządnie wyspać. Przez tę wojnę cały czas oczy mi się kleją. Jednej nocy nie pamiętam, żebym nie odgniał d... – ugryzł się w język, spojrzął w stronę ołtarza i katafalku – żebym nie spędził jej w siodle.

Laura skinęła łaskawie dłonią, wstając. Niech mężczyźni porozmawiają swobodnie, nie będzie im przeszkadzać. Rozejrzała się, gdzie może spocząć. Napotkała wzrok d’Orenburga. Uśmiechnął się samymi oczami, wskazując ruchem brody niedaleki kąt. Ze wzruszeniem i zaskoczeniem ujrzała przygotowane legowisko. Nawet o to zadbali... Żołnierze z właściwą sobie beztróską i pogardą dla blichtru życia, jaką żywią ci, co ocierają się o śmierć, ściągnęli z ołtarza tkane obrusy, ogołocili księżowskie szarki z bogatych szat liturgicznych. Na pewno będzie jej na tym wszystkim miękko i wygodnie. Z westchnieniem ulgi wyciągnęła się na pachnących krochmalem i rozmarynem, starannie uprasowanych komżach. Nawet nie przypuszczała, jak bardzo jest zmęczona. Jeszcze zerknęła na katafalk. Ciało Filipa zdawało się odległe, nierealne, zaczęło odpływać, rozmywać się w gasnącym świetle końca dnia. Zamknęła oczy. Usłyszała ciężkie kroki. Uchyliła powieki i zaraz je zamknęła. D’Orenburg przykuśtykał, pochylił się nad nią. Troskliwe ręce otuliły królową miękką, ciężką materią. Jak w dzieciństwie, kiedy piastunka przychodziła doglądać spokojnego odpoczynku małej Laury. Zapadła w sen przy wtórze cichych rozmów, po raz pierwszy od długiego czasu uśmiechając się beztrósko.



Człowiek z odciętą głową leżał pod nogami potężnego feldfebla. Z miecza ściekała

strużka krwi. Za plecami podoficera płonęły zabudowania. Żołnierze biegali za służebnymi, śmiali się i przekrzykiwali. W krwawej łunie ich postacie przypominały sylwetki satyrów, uganiających się za nimfami. W odrąbanej głowie zaszklone oczy odbijały poblask pożogi. Feldfebel zaklął. Nic nie wydobył ze starego pokojowca. Albo był taki twardy, albo rzeczywiście nic nie wiedział. Z tyłu podszedł oficer.

– Zwołaj ludzi, Maris – rozkazał. – Musimy uchodzić, zanim ktoś zauważy pożar i sprowadzi nam na kark wojsko.

– Tak jest, kapitanie! Ale trudno będzie ich pozbierać, bo zajęci rabunkiem i dziewczkami.

– Na powróż pójdzie, kto nie posłucha! Razem z tobą! Feldfebel natychmiast pobiegł wykonać polecenie.

Kapitan Hanes nigdy nie rzucał gróźb na wiatr. Poza tym ma rację, zbyt blisko są garnizonu wrogich wojsk, na ziemiach włączonych do dziedziny Gernona.

– Niech cię diabli, Koniokradzie – mruknął do siebie oficer. – Powinieneś siedzieć na miejscu i piastować dzieciaka, a nie włączyć się z nim biesy wiedzą, gdzie. Będzie zły wielki par. Ale to dobrze. Im bardziej będzie zły, tym bardziej będę mu potrzebny. I tak ma być. Bo w końcu cię znajdę. Ciebie, Pillgrima i bękarta! A gdy was dopadnę, wyjdzie na jaw cała prawda, jak to d’Orenburg wypuścił was z rąk! Już małodobry wyciągnie od was, co należy.

Zazgrzytał zębami na myśl o wrogu. Przeklęty Vallery! Żeby go w czasie bitwy dosięgła zatruta strzała kadamskiego łucznika! Ale nie, musiał się uratować, jakby na urągowisko! Patrzył na płonący dom Pillgrima, odczuwając narastające zadowolenie. Niech to będzie zapowiedź, co stanie się ze wszystkimi, którzy staną na drodze Ludwiga Burghiese... i jego... Zemsta doścignie ich wszędzie, nawet pod bokiem potężnego protektora. Feldfebel stanął przed nim wyprężony jak struna.

– Ludzie gotowi do odejścia! Co mamy zrobić z pojmanymi chłopami i służbą? Proponuję zamknąć w stodole i zabić wrota. Zanim się uwolnią, będziemy daleko.

– Dobrze, Maris. Zamknąć ich w stodole. – Hanes znów zapatrzył się w ogień. Podoficer odwrócił się, ale zatrzymał go dalszy ciąg rozkazu: – Przedtem wszystkich związać, tylko porządnie!

– Tak jest!

Znów odwrócił się, by odejść i znów powstrzymał go głos przełożonego.

– A stodołę podpalić!



Markiz de Malhevia leżał na zgniłej wiązce słomy. Nie wiedział, czy na dworze jest dzień, czy też panuje noc. A może ludzie właśnie kładą się spać albo wstają podjąć

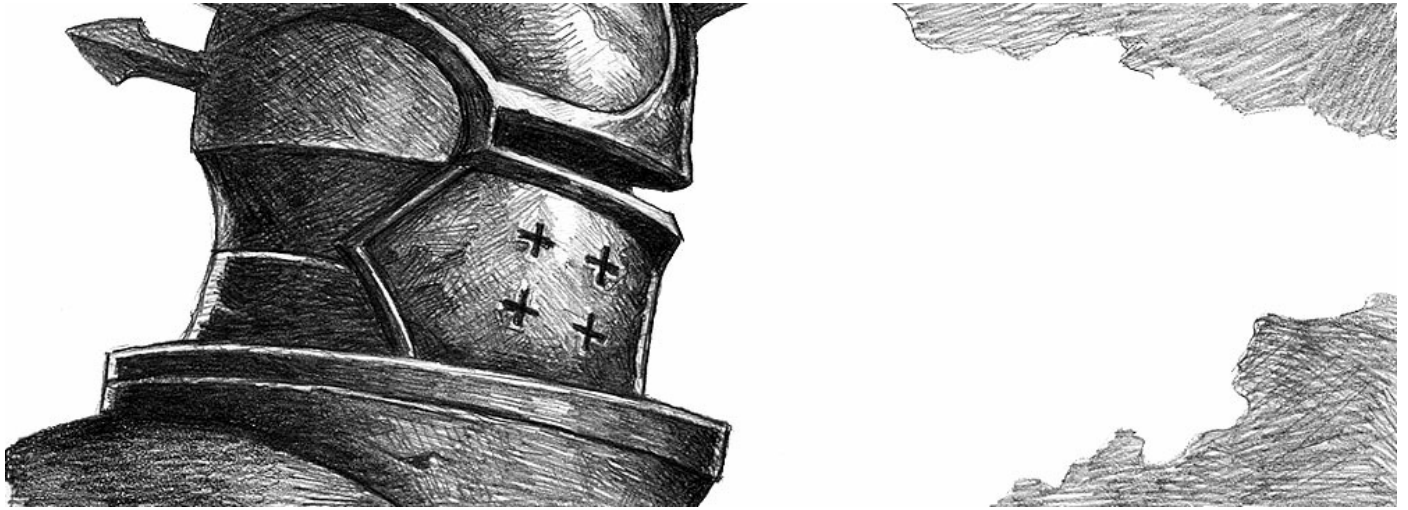
codzienny trud? W popękanych, wyschniętych ustach bezzębne dziaśła mełły z trudem twardą skórę czerstwego więziennego chleba. Ciało przechodziły dreszcze. Zaniósł się mokrym, rwącym piersi kaszlem. Od wielu dni miał gorączkę. Dni? A może tygodni albo miesięcy? Stracił rachubę wraz z przytomnością w czasie apogeum choroby. Zapalenie płuc. Przetrwał jakimś cudem, ale uporczywy kaszel pozostał. W mokrym lochu o ścianach spływających wodą, odziany tylko w koszulę, musiał zapaść na zdrowiu. Ciekawe, co słyhać tam, na zewnątrz. Czy przebiegły Burghiese zdołał już dopiąć swego? Tak naprawdę myśl nie wzbudziła żadnych uczuć. Właściwie wszystko było mu już obojętne. Skona w wilgotnej jamie, zapomniany przez wszystkich. Zemsta hrabiego jest straszna, a to miejsce ciemne i podłe jak jego parszywa dusza. Skoro odważył się usunąć samego markiza de Malhevie, członka Rady Stanu, waży się na wszystko.

Znienacka ponure rozmyślenia przerwał zgrzyt klucza w zamku. Czyżby przyszli go zabić? Przez cały czas uwięzienia tych drzwi nie otwierano. Przez otwór wykuty w skale obok nich otrzymywał chleb i wodę. Klucz przekręcał się powoli, niechętnie, pokonując opór zardzewiałych zapadni w mechanizmie potężnego zamka. Przed oczami zaczęły przelatywać urwane sceny z życia. Podobno zawsze tak jest, kiedy przychodzi się z nim żegnać. Wreszcie drzwi rozwarły się, szorując hałaśliwie po kamiennym podłożu. Blask pochodni oślepiał odwykłe od światła oczy prawie jak promienie południowego słońca. Zasłonił twarz.

– Baron Vincenzo de Malhevia? – spytał tubalny głos.

– Wiesz dobrze, że tak, ścierwo – odparł i rozkaszał się. Przez dłuższy czas nie mógł wydobyć głosu. Wreszcie uspokoił się i wydyszał między jednym paroksyzmem kaszlu a drugim: – Czyń swoją powinność, prawco! Na co czekasz?

– Tak ci się spieszy na tamten świat? – spytał przybyły. – Nie dziwię się. W takim urokliwym miejscu każdemu by się cknęło za lepszym życiem. A każde jest lepsze, nawet ostatniego żebraka i dziada proszalnego. No dobrze, szykuj się, człowieku.



Rozdział 22

Vigo de Livre, wielki szambelan królestwa, stał przed królową ze spuszczoną głową, słuchając wymówek. Wpuszczono go przez niewielkie okienko nad chórem, jedyne niezaryglowane miejsce w kaplicy, którego z jednej strony stale strzegł gwardzista Laury, z drugiej patrol Ludwiga. Zażywny Vigo ledwie przecisnął się przez wąski otwór i z niechęcią myślał o drodze powrotnej. Tymczasem królowa go strofowała.

– Właśnie ty, przyjaciel mojego męża, przychodzisz z poselstwem od Ludwiga? Tego się nie spodziewałam! Po wszystkim, co ostatnio zaszło, zamierzasz ostatecznie przyłączyć się do hrabiego? Uważasz, że tylko on może zwyciężyć w tej rozgrywce? Dobrze, nie musisz nic mówić. Przez ostatnie lata powodzenie jest przy nim i nic nie wskazuje, żeby to miało się zmienić. Wielki par opiera się właśnie na takich, którzy się go obawiają bardziej niż własnego sumienia.

Vigo poderwał głowę, w jego oczach zalśnił gniew.

– Pochopnie zarzucasz mi tchórzostwo, najjaśniejsza pani! Nie pamiętasz już może, kto swego czasu najbardziej wspierał w Radzie poczynania wielkiego para? Kto przekonywał króla do jego polityki?

– Przejrzałam jednak na oczy! I nie zamierzam się podporządkować woli pana Burghiese! Ale dobrze, mów, z czym przybywasz.

– Najpierw, królowo – de Livre wskazał żołnierzy, przysłuchujących się rozmowie – każcie odejść tym ludziom. Posłanie jest przeznaczone tylko i wyłącznie dla waszych uszu.

– Ci ludzie – odparła dumnie – są ze mną na dobre i złe, czego nie da się powiedzieć o panach, którzy powinni strzec interesu Vereeny. Nie zamierzam mieć

przed nimi tajemnic!

Szambelan skrzywił się niechętnie. Laura, która zawsze zdawała się bierna, uступliwa, gotowa poddać się decyzjom wielkiego para, ulec pod jego przemożnym wpływem, nagle ukazała zupełnie inną stronę natury.

– Jednak – próbował protestować – w tej sprawie należałoby...

– Mów albo odejdz! – przerwała niecierpliwie. – Jestem tutaj z nimi, a oni ze mną. Mogą nie przeżyć tej awantury, ale są na to gotowi, więc nie widzę powodów, aby traktować ich niby zwykłych pacholków.

– Dobrze zatem, jak chcecie, pani! Wielki par królestwa, Ludwig hrabia Burghiese, jest bardzo zaniepokojony waszym postępowaniem. Może ono doprowadzić bowiem do wojny domowej i niepotrzebnego rozlewu krwi. Aby temu zapobiec, należałoby podjąć odpowiednie kroki. To znaczy osadzić na tronie nowego króla.

– Brakuje podstaw prawnych – weszła mu w słowo Laura. – Odkąd Filip Szalony dokonał rzezi w rodzinie, śmierć mojego małżonka oznaczała wygaśnięcie dynastii. Trzeba zasięgnąć rady Czarnego Pergaminu. I gdyby hrabiemu rzeczywiście zależało na losach Vereeny, skupiłby się na poszukiwaniach artefaktu, a nie knowaniach!

– Czarny Pergamin zaginął! – rzekł z mocą Vigo. – Nie ma go nigdzie i znaleźć niepodobna! Trzeba sięgnąć po inne środki!

– Nie wierzę! Musi gdzieś być.

– Nawet jeżeli się odnajdzie, kto odważy się go odczytać? Przecież tylko osoba do tego powołana może złamać pieczęcie! Każdy inny, kto zechce odkryć tajemnicę, nie tylko nic nie ujrzy, ale zginie w jednej chwili!

Królowa zamyśliła się. Tak, to rzeczywiście pewien problem. Ale trzeba grać kartami, które się otrzymało, nie oglądając się na nic.

– Ja wiem swoje, de Livre, ty swoje. Ale mów wreszcie, jakie jest posłanie wielkiego para?

– On – Vigo nabrał powietrza, jakby miał zamiar rzucić się w odmęty lodowatej rzeki – proponuje wam małżeństwo!

Zapanowała zupełna cisza. Słysać było tylko odgłosy dochodzące zza murów kaplicy.

– Co powiedziałeś? – Laura odzyskała wreszcie głos.

– To jest rozsądne wyjście – odparł Vigo. – Twoja osoba, miłościwa pani, byłaby elementem łączącym poprzednią dynastię z nową.

– A czy pewną przeszkodą nie będzie fakt, iż wspaniały hrabia jest już żonaty?

– Nie. – Wielki szambelan miał na wszystko przygotowaną odpowiedź. – Małżeństwo wielkiego para może zostać w każdej chwili unieważnione. Dlatego...

Przerwał mu śmiech. De Livre zerknął ze zmarszczonymi gniewnie brwiami na przystojnego oficera, który odchylił głowę do tyłu i śmiał się niepohamowanie.

– Co cię tak rozbawiło, panie d'Orenburg?

Vallery otarł z kącika oka łzę.

– Dzięki wam, wielki szambelanie, żeście wniesli odrobinę wesołości w to ponure na ogół miejsce. Wielki par królestwa musi mieć nóż na gardle, skoro ucieka się do podobnych podstępów.

– Tak mniemasz, pułkowniku? A na jakiej podstawie?

– A na takiej, że gdyby wszystko toczyło się po jego myśli, dawno zarządziłby atak na kaplicę. Wiesz, dlaczego do tej pory tego nie uczynił?

– Może ty mi powiesz?

– Może – padła kpiąca odpowiedź. – Może dlatego, że jeśli posiadzie tron siłą, wcale nie jest pewien, czy nagle jak spod ziemi nie pojawi się ktoś, kto ma w posiadaniu Czarny Pergamin, podważy jego prawa i postawi Ludwiga przed trybunałem.

– Czarnego Pergaminu już nie ma. To pewne wieści!

– Równie pewne jak te o zgonie Alwena Koniokrada, prawda? Wielki par zapewniał o jego śmierci także z całą pewnością.

Vigo de Livre zgrzytnął zębami.

– Jak by nie było, na razie magicznego artefaktu nie ma i nie wiadomo, czy się w ogóle kiedyś odnajdzie. A Vereena musi mieć króla! Dlatego propozycja warta jest rozważenia.

– Koniec! – ucięła Laura. – Nie godzi się dyskutować o podobnych sprawach przy zwłokach mojego świętej pamięci męża! Czy nie czujesz niestosowności sytuacji? Dokąd ciało Filipa Chromego nie spocznie w grobie, nowy władca nie może zasiąść na tronie! A ciało nie zostanie złożone w sarkofagu, dokąd nie pojawi się prawowity następca tronu! Prawowity, rozumiesz, de Livre?

– To znaczy wskazany przez Czarny Pergamin albo wybrany głosami Rady Królestwa. Pamiętaj o tej drugiej ewentualności, pani. Nie wytrzymacie długo – szambelan pociągnął nosem. – Siedzicie tu już tydzień, co da się doskonale wyczuć. Za jakiś czas, nawet jeśli nie padniecie z głodu, zaczną nękać was choroby, a w końcu poumieracie.

– Być może. Ale na razie jeszcze trzymamy się nieźle.

– Czy to twoje ostatnie słowo?

– Ostatnie. Żegnam, panie de Livre.

Kiedy za wielkim szambelanem zamknęły się drzwi, królowa, zwróciła się do d'Orenburga.

– Pojutrze, mój pułkowniku, udasz się osobiście do wielkiego para z propozycją ode mnie. Zaoferujemy mu możliwość spotkania i pertraktacji. Nawet rezygnacji z oporu i rozważenia wyboru nowego monarchy przez Radę Królestwa.

– Ależ pani! To się nie godzi! Toż to...

– Zanim powiesz coś niestosownego – przerwała mu z uśmiechem – wysłuchaj

mnie do końca. Gdy będziesz szedł na spotkanie, spotka cię mój spowiednik. Oczywiście wypyta o moje zdrowie. I przekaże ważne wieści.

– W jaki sposób?! Przecież będę pod strażą. Nie pozwolą nam rozmawiać na osobności!

– Nie obawiaj się. Po prostu musisz zapamiętać dokładnie każde słowo z waszej krótkiej rozmowy. Każde!

Od tego zależy, czy rzeczywiście przystąpimy do rozmów, czy będziemy dalej grać na zwłokę.



– Tak to już jest, niestety – powiedział Horris, stawiając przed Alwenem miskę parującej zupy. – Nie da się zawrócić biegu rzeki ani spowolnić wędrówki słońca po niebie. Człowiek nigdy nie wie, co jest w ostatecznym rozrachunku dobre, a co złe.

Wieści o rzezi, splądrowaniu i spaleniu pałacu Pillgrima rozeszły się z prędkością błyskawicy, doganiając ich tuż przed wkroczeniem na terytorium Vereeny. Teraz, w przydrożnej karczmie, w głębi królestwa, szykowali się do ostatniego etapu podróży.

– Gdybyś po mnie nie przyszedł – Alwen odsunął polewkę. Nie miał ochoty najedzenie – leżelibyśmy tam teraz wszyscy pokotem. A miałem ochotę cię zabić, gdym cię ujrzał w salonie.

Horris tylko uśmiechnął się smutno. Przeznaczenie. Jedni ludzie nie chcą w nie wierzyć, bronią się jak Alwen, przecząc jego istnieniu, inni uznają je za jedyną okoliczność rządzącą życiem. A ono po prostu jest. Czasem objawia się wyraźnie, czasem kryje się daleko za horyzontem. To, jakie są konsekwencje poczynań, zależy od człowieka. Na ogół dopiero kiedy podejmie on decyzję, zjawia się przeznaczenie. Uzdrowiciel odłamał glon chleba, podał Koniokradowi. A zresztą może jest zupełnie inaczej? Tego w istocie rzeczy nie wiedzą nawet najwięksi magowie, choć sprawiają pozory, jakby posiadli wszelką mądrość.

– Nie zawsze zapłata, której żąda czarnoksiężnik, musi być uciążliwa. Tobie, dziecku i zakonnicy uratowała życie.

– Tak. Ale teraz jedziemy przez wrogi kraj. Narazam małą w imię czegoś, czego nie bardzo rozumiem.

– Zaufaj Mistrzowi Ekhartowi i mądrości magów z najwyższego kręgu. Im wcześniej staniemy na miejscu, tym lepiej.



Mistrz Ekhart z rozbawieniem spoglądał na harce małych kotów. Uganiały się po

całym pomieszczeniu, wprowadzając radosny zamęt. Ileż emocji może takiemu zwierzęciu dostarczyć własny ogon! A jeśli dołączyć do tego ogony rodzeństwa, potrafią one zastąpić cały świat!

– Powinniśmy interweniować! – Wysoki, nieprzyjemny głos Mistrza Jana wyrwał Ekhearta z zapatrzenia. – Nie możemy zostawić spraw własnemu biegowi!

– Mylisz się! – odparł ostro Ekheart. – Jedyne, czego nam nie wolno czynić, to wtrącać się w tej chwili w sprawy Vereeny!

– Nie zgadzam się z tobą i reprezentuję tu zdanie wielu! Potrzebny nam w Vereenie król bardziej przychylny niż ostatni! A jeśli zostanie nim Ludwig Burghiese, będzie to z wielką szkodą dla naszych interesów!

– Powinien zostać nim ten, kogo wskaże przeznaczenie. Nie możemy zastępować jego wyroków. Czarny Pergamin...

– Nawet nie mów – prychnął pogardliwie Jan. – Nikt z nas nie potrafi go wyczuć. Nie wiemy, gdzie się znajduje! Zakłęcie maskujące jest nadal zbyt silne...

– Tam go można znaleźć, gdzie być powinien – rzekł spokojnie Mistrz Ekheart. – Możesz mi zaufać.

– A ja uważam, że powinniśmy wreszcie wziąć sprawy w swoje ręce!

– Mylisz się, Mistrzu Janie – Ekheart mówił bardzo cicho. – Mylisz się zupełnie jak wtedy, gdyśmy rzucili przeciwzakęcie, choć trzeba było poświęcić nasze marne istnienie w imię wyższych racji. Dlatego tym razem uczynię tak, jak uznam za stosowne. Niech się dzieje, co ma się zdarzyć. Niech Vereeńczycy ułożą się ze sobą sami.

Jan zaciął wargi. Nie przekona tego tutaj o niczym. Cóż, trzeba się pogodzić z nieuniknionym.

– Zobaczysz, kto ma słuszość – ciągnął Ekheart. – Najbliższe dni pokażą. A usuwając hrabiego Burghiese możemy tylko utrudnić działania tym, którzy stoją po właściwej stronie wagi sprawiedliwości.



Rozdział 23

Ludwig Burghiese stanął przed dowódcą straży. Do tej chwili przez cały czas krążył po komnacie, uderzając nerwowo krótkim pejczem po cholewie buta.

– Powtórz dokładnie, słowo w słowo, co powiedział Wigbert!
– Spowiednik pytał o zdrowie królowej, czy jej czego nie brakuje.
– Nie o to mi chodzi, ośle! Musiał coś powiedzieć! Przeklęty d’Orenburg nie pytał o nic?

– W zasadzie nie. Tylko o wieści ze świata. Ale mieliśmy zabronione, żeby się czego dowiedział, więc natychmiast wkroczyłem, zakazując. A kapelan uśmiechnął się tylko i rzekł jakoś tak: „Ano słońce wschodzi i zachodzi, jak zawsze. I czerń nocy zastępuje biel dnia. A potem świat budzi się do życia, dając nową nadzieję pogrążonym w rozpacz dzieciom Boga”.

– To wszystko?

– Wszystko. Potem odszedł.

– A jak się zachował d’Orenburg?

– Nijak, panie. Wzruszył ramionami i poszliśmy dalej.

Hrabia niecierpliwym gestem odprawił oficera. Czy to, co powiedział Wigbert, mogło coś oznaczać czy było zwykłym księżowskim gadaniem? Tego nie dojdzie. Najważniejsze, że Laura nie wie, iż Burghiesemu zaczyna się robić gorąco i musi się spieszyć. Na mieście pojawiły się pisma ulotne i paszkwile. Na murach czerwoną, krwawą farbą wypisuje się imiona poległych w ostatniej wojnie. A to oznacza, że opozycja zwiera szeregi. Na razie jest zbyt słaba, nie może wiele zdziałać, ale czas staje się zbyt cenny, żeby zwlekać. Zaklął w duchu. Ależ sprytem wykazała się Laura! Taka przebiegłość zgoła nie przystoi kobiecie! Pewnym jest, iż ktoś jej musiał

doradzić, zapoznać z prawnymi kruczkami, ale też okazała się twarda nad podziw! Ale przed obliczem Rady Królestwa jej spryt i hardość zderzą się z jego doświadczeniem i wyrachowaniem. Jest skazana na porażkę. Trzeba to będzie tylko umiejętnie rozegrać.

Rozległo się pukanie. Drzwi uchyliły się, nie czekając na pozwolenie wejścia.

– Witaj, kardynale – rzekł Burghiese na widok gościa.

– Witaj. Na czym stanęło, jeśli wolno spytać?

– Za dziesięć dni zwołujemy przedstawicielstwa stanów, żeby powołać Radę Królestwa. Królowa zgodziła się na pertraktacje tylko pod tym warunkiem. Mamy się zebrać w katedrze, do której wraz z Laurą i jej ludźmi powędruje ciało Filipa. Jeszcze dziś ogłoszą w mieście, że Rada zbiera się, aby obrać nowego króla.

– Czy to rozsądne?

– To jedyne wyjście, Falcone. Musimy działać, zanim okrzepną nasi wrogowie. A Laura zgodzi się na pertraktacje tylko pod takimi warunkami.

– I zamierzasz uczciwie i rzetelnie do nich przystąpić?

– Zamierzam rzetelnie się do nich przygotować. O uczciwości z posłańcem królowej nie rozmawiałem. Na razie konfidenci będą krążyć między ludźmi i złotem podsycać miłość ludu do mojej osoby. Powiem ci jeszcze coś. Dostałem raport Hanesa. Wszystko wskazuje, że Koniokrad uszedł do Halarii. I bardzo dobrze. Im dalej, tym lepiej.



Ciemna izba o poczerńniętych wykładanych drewnem ścianach, pokrytych runicznymi znakami, zdawała się pulsować własnym tajemniczym życiem.

– Tutaj nikt nas nie wytropi – powiedział Horris cicho, żeby nie zbudzić Anny. – Żaden czarnoksiężnik i żaden śmiertelnik.

– Czarnoksiężnik? – Alwen ściągnął brwi. – A dlaczego mielibyśmy się obawiać magów?

– Są różne siły, przyjacielu. Także w Halarii. W tej chwili musimy być nadzwyczaj ostrożni. Są tacy, którzy, nie bacząc na nienawiść Burghiesego, chętnie przekazaliby mu wieści o prawdziwym miejscu twojego pobytu. Wiele pracy włożyliśmy, żeby go przekonać, iż jedynym miejscem, w którym przebywasz, może być dom mojego pana.

Koniokrad wydał lekko wargi. Wszędzie jest tak samo. Uczciwość miesza się z podłością, a żądza władzy bywa mocniejsza od honoru. Swoją drogą, żeby w środku stolicy Vereeny czarnoksiężnicy mieli podobną komnatę!

– Wywiadowcy nie potrafią wytropić tego miejsca? – spytał. – Przecież tajna kancelaria ma na swoich usługach ludzi potrafiących wyczuć czary.

Horris uśmiechnął się.

– Nie potrafią? Na pewno tak. Raczej nie chcą.
– Nie rozumiem.
– Wielu rzeczy nie rozumiesz. Jak przypuszczam, doskonale wiedzą, że gdzieś w Velarze są tajemne miejsca spotkań szpiegów Halarii i innych krajów magii. Podobnie jak my mamy informacje, gdzie postrzegacze państw Bezmagii spotykają się u nas. Jednak czasem lepiej wiedzieć, ale nie widzieć. Łatwiej wtedy, w razie potrzeby, kontrolować poczynania przeciwnika. I sprzymierzeńców... Przecież także wasi kapłani nie stronią od pozyskiwania informacji każdą drogą. A kościelny wywiad bywa bardziej skuteczny od działań tajnych kancelarii.

– Jeszcze mi powiesz, że, przynajmniej niektórzy, duchowni współpracują z czarnoksiężnikami!

Horris odpowiedział tajemniczym uśmiechem. Alwen pokręcił głową. Jakie jeszcze tajemnice kryją się pod pozornie jednolitą powierzchnią zdarzeń?

– Dobrze. Powiedz lepiej, jakie mamy zadanie i w jaki sposób mamy je wykonać.

W tej chwili rozległo się ciche pukanie. Horris wyszedł do sieni. Po chwili wrócił z jakimś człowiekiem niewielkiej postury, okrytym płaszczem.

– Poznaj naszego sprzymierzeńca, Alwenie. To spowiednik królowej Laury, Wigbert.



Vallery d'Orenburg z troską spoglądał na swoich żołnierzy. Zamknięcie i monotonne pożywienie, a ostatnio jego brak, dawały o sobie znać. Gdyby jeszcze chociaż byli w pełni sił! Ale niewygojone jeszcze rany doskwierały. Na dodatek ten smród! Trudno go było lekceważyć. Do woni fekaliów, niewynoszonych od przeszło tygodnia, dołączył słodkawy trupi odór. Balsamiści wykonali swoją robotę porządnie, ale przed śmiercią król ciężko chorował, przyjmował medykamenty, a tuż przed zgonem dostał jakiejś wysypki. To na pewno utrudniło zadanie i uniemożliwiło powstrzymanie rozkładu na zbyt długo.

– Jeśli zostaniemy tu dłużej, będzie niedobrze – rzekł, widząc nadchodzącą królową. I jej panujący zaduch dawał się we znaki. Była blada, odmawiała jedzenia. Zresztą tego już brakowało. – Jeżeli rokowania nie przyniosą rezultatu, nie wiem, ile jeszcze zdołamy wytrzymać.

– Jeszcze tylko jeden dzień – odparła, najwyraźniej powstrzymując mdłości w pobliżu katafalku. Ciało Filipa wzduło się, na szarej twarzy wystąpiły plamy, a zniekształcone rozkładem usta wygięły się w upiornym, jakby drwiącym uśmiechu. – Pojutrze przeniesiemy się do katedry. I niech się dzieje wola Boga. Ale musimy dotrwać...

– Dotrwamy – powiedział. – I przetrwamy!



W piwnicznej izbie miejskiej tawerny właściciel z wysiłkiem wytaczał kolejną beczkę z rzędu. Postawił ją na drewnianej platformie, natychmiast żona z synami chwycili liny, podciągnęli ładunek. Gwar w karczmie był jeszcze większy niż zazwyczaj. Dziś ludzie jedli i pili na rachunek Ludwiga Burghiese. Wznosili toasty za jego zdrowie i wychwalali pod niebiosą łaskę wielkiego para. Nagle zamarł. Hałas na górze ucichł jak ucięty nożem. Dał się słyszeć tubalny głos. Mężczyzna natychmiast pobiegł po stromych schodach, nie bacząc na zadyszkę. Wpadł do tawerny i ujrzał zdumiewający widok. Pośrodku stał człowiek w mundurze, starszy, z głową obwiązaną bandażami.

– Głupcy! – wołał. – Wychwalacie Ludwiga Burghiese, a nie widzicie, jak wygląda jego łaska? Myślicie, że na wasz poczęstunek wyłożył z własnej kiesy? Kto tak mniema, mizerniejszy ma rozum niżli nowo narodzone jagnię! Z waszego potu, z waszej krwawicy te napitki i jadło! To wasze podatki trwoni wielki par, aby zjednać lud!

– Odejdź, wichrzycielu – odezwał się zwalisty marynarz, podnosząc się z miejsca. – My spokojni ludzie, wierni poddani, nie chcemy cię słuchać.

– Wierni poddani, powiadasz? – Stary żołnierz parsknął śmiechem. – Czyi poddani? Bo prawowity król zmarł, a nowego nie masz!

– Władza jest władza. – Marynarz zaczął powoli podchodzić. – Ninie sprawuje ją Ludwig Burghiese, a my winniśmy posłuch.

– Nie masz w tej chwili żadnej władzy krom królowej wdowy! A ta nakazała zwołać stany, by z nimi naradzać się nad wyborem!

Marynarz stanął krok przed mówiącym. Górował nad nim więcej niż o głowę.

– Odejdź, mówię. – Wyciągnął rękę, żeby chwycić żołnierza za kołnier. – Bo inaczej z tobą porozmawiam!

Zanim zdołał dotknąć starego, jego już nie było na poprzednim miejscu. Marynarz ze zdumieniem zobaczył przed oczami najpierw podłogę, potem belki powały. Ból w plecach poczuł dopiero po chwili. Zerwał się na równe nogi, sięgając po nóż ukryty w cholewie. Zdawało się, że nic nie uratuje żołnierza, że mordercze ostrze musi przeorać odsłoniętą grdykę. Jednak przecięło tylko powietrze. Marynarz zawył z bólu, wypuszczając klingę z wykręconej pod niewiarygodnym kątem ręki. Żołnierz kopnął go najpierw w pierś, a potem w pochyloną twarz, pozbawiając przytomności.

– Widzicie go? – zwrócił się do pozostałych, wrogo patrzących na jego poczynania. – To jeden z ludzi waszego dobroczyńcy! – Sięgnął do łańcucha na szyi pokonanego, zerwał ogniwa jednym szarpnięciem. – Patrzcie! Znak tajnej policji!

Napięcie rosło, stawało się prawie namacalne.

– Szpieg – zaszumiał szept powtarzany przez wszystkie usta.

– To i co, że szpieg? – odezwał się z kąta jakiś obszarpaniec. – A ty zaś kto? – zwrócił się do żołnierza. – Możeś jaki prowokator?

Stary dumnie podniósł głowę.

– Jestem porucznik kawalerii Viries! – odpowiedział. – Nie boję się pana Burghiese i jego tajniaków. Ciebie też! – Wskazał palcem obszarpańca. – Sprawdźcie, ludzie! Ten ani chybi także nosi ichni medalion!

W tej chwili coś pękło. Atmosfera stała się już zbyt ciężka, żeby nie nastąpił wybuch. Jedni rzucili się do obszarpańca, żeby go obszukać, inni stanęli w jego obronie. W powietrzu zafurkotaly pierwsze kufle i dzbany, zatrzeszczały łamane ciężkie zydle.

Jednak Viries tego nie widział. Stał na ciemniejszej ulicy, z uśmiechem nasłuchując odgłosów karczemnej bitwy. A potem poszedł do następnej tawerny.



Rozdział 24

Wkatedrze unosił się zapach kadzidła. Kardynał Falcone ze swego miejsca na podwyższeniu obok ołtarza obserwował przybyłych. Po lewej stronie Laura i piętnastu kawalergardów pod dowództwem pułkownika Vallery'ego d'Oreburga. Marnie się prezentują. Królowa wygląda na chorą. Błada, z podkrążonymi oczami. Jej przybocznicy nie lepiej. Wszyscy w bandażach, najwyraźniej wygłodzeni i zmęczeni. Pewnie na dodatek niewyspani. Burghiese przez ostatnie noce kazał hałasować pod drzwiami i oknami kaplicy, jakby szykował atak. Zalatuje od nich dawno niemytymi ciałami, ubrania przesiąknięte smrodem odchodów. Żalodne. Tym lepiej, bo na ich tle wielki par zaprezentuje się nad wyraz korzystnie.

Pośrodku katafalk z okrytym całunem trupem. Nawet gęsty dym kadzidła nie daje rady zwalczyć odoru rozkładu. Przy wejściu stłoczyli się przedstawiciele stanów. Młody chłop w siermiedze, pewnie jakiś sołtys, obok jakaś babina z małym dzieckiem na ręku i chuderlawym, kaszlącym co chwila mężem oraz paru starszych kmieci. Dalej kilku starszych cechów kupieckich. Wszyscy brzuchaci, o twarzach porośniętych okazałymi brodami. I, rzecz jasna, delegacja drobnej szlachty, składająca się z pięciu właścicieli ziemskich, patrzących z wyższością na pozostałych. Brakowało jedynie Ludwiga Burghiese i pozostałych członków Rady Stanu. Falcone czekał cierpliwie, nasłuchując odgłosów z zewnątrz. Zgromadzony przed katedrą tłum brzęczał, do złudzenia przypominając rój pszczół. Spokojnych pszczół. Przynajmniej na razie.

Królowa spojrzała w stronę kardynała. Pochwycił jej wzrok i natychmiast odwrócił głowę. Czy ona czegoś oczekuje? Może sprawiedliwego prowadzenia sprawy? Ona, która maczała palce w najróżniejszych podłościach, liczy na sprawiedliwość! Ironia losu...

Zabrzmiało uderzenie dzwonu. Na zewnątrz uczynił się ruch. Słysząc było podniesione głosy komend i tumult. To zbrojni robili miejsce dla ostatnich przybywających. Po chwili do katedry zaczęli wchodzić po kolei członkowie Rady Stanu. Najpierw wielki szambelan, Vigo de Livre, potem skarbnik Herbert von Becht, następnie Wilfred de Montagio, po nim łypiący niechętnie na kardynała Hektor di Calerone. Od chwili zniknięcia de Malhevii ten krzykacz nieco przycichł, ale na widok Falcone nieodmiennie zgrzytał zębami. Na samym końcu wkroczył wielki par w asyście wojskowej eskorty. Oddział dwudziestu gwardzistów prowadził znany kardynałowi kapitan Hanes. Hanes... Falcone nadaremnie usiłował sobie przypomnieć jego nazwisko. Z pewnym zdumieniem skonstatował, że najprawdopodobniej nigdy go nie słyszał. Zawsze był to tylko Hanes i koniec. W porównaniu z brudnymi obszarpańcami towarzyszącymi królowej, gwardziści prezentowali się wspaniale w wymuskanych mundurach, z lśniąca bronią, odżywieni i wyraźnie zadowoleni.

Burghiese przeszedł na prawą stronę, za nim żołnierze. Pozostali członkowie Rady Stanu przystanęli pośrodku. Nadszedł moment symbolicznego wyboru, po której stronie się opowiedzieć. Pierwszy zdecydował Hektor di Calerone, zbliżając się do królowej. Natychmiast szambelan Vigo de Livre podszedł do wielkiego para. Wilfred de Montagio i Herbert von Becht natomiast dreptali w miejscu. Wreszcie, z wyraźnym ociąganiem, przeszli na stronę Ludwiga. Ten uśmiechnął się triumfalnie. Wszyscy zgromadzeni widzą, kogo wspiera większość Rady Stanu. Pociągnął nosem, krzywiąc się z niesmakiem. Trupi odór mógł przypawić o mdłości. Dwóch kleryków bezustannie okadzało trupa, ale mogło to pomóc... no właśnie – jak umarłemu kadzidło...

Kardynał wstał, rozejrzał się po przybyłych, a potem gestem nakazał zamknąć drzwi katedry. Brzęczący tłum został odcięty od bieżących wydarzeń ciężkimi, rzeźbionymi skrzydłami. Zapanowała cisza, przerywana jedynie uporczywym kaszlem starego włościanina i metalicznym odgłosem pokrywek kadzielnic, stukających miarowo przy zamaszystych ruchach kleryków.

– Zebraliśmy się tutaj... – zaczął. Przerwał mu jednak głos wielkiego para.

– Zanim rozpoczniemy obrady – zawołał – chcę wyrazić swoje największe oburzenie! – Wskazał oskarżycielsko katafalk. – To skandal, żeby dopuścić się takiego spostponowania godnych najwyższego szacunku zwłok naszego świętej pamięci monarchy! Doprowadzić do tak żałosnego stanu!

– Daruj sobie, Burghiese – rozległo się ze strony królowej. Di Calerone machnął lekceważąco ręką. – Chcesz zrobić wrażenie na przedstawicielach stanów? Opowiedz im więc o swoich uczynkach! Na pewno będą tym wielce zbudowani!

– A ty, Hektorze – odpalił Ludwig – nagle nabrałeś odwagi? Nie pamiętam, żebyś zabierał głos w ostatnim czasie.

– Nie chciałem skończyć jak nieszczęsny de Malhevia.

Burghiese wydał pogardliwie wargi. Piesek szczekający cienkim głosikiem. I po co wspomina Vincenza? Tamten pewnie zgnił już w lochu. A jeśli nawet jakimś cudem jeszcze żyje, trzeba to załatwić w najbliższym czasie.

– Spokój, panowie, spokój! – zagrział Falcone. Kiedy chciał, dysponował silnym, dźwięcznym głosem. Nie mogło być inaczej, skoro prowadził nabożeństwa w wielkim pomieszczeniu katedry. – Mamy tu dojść do porozumienia, a nie zaczynać od kłótni!



Viries ze znudzeniem słuchał narzekania siwego, brodatego męża o dostojnym wyglądzie.

– Tam na mnie czekają! Odpowiesz głową za dokonany na mojej osobie gwałt! Już kat ci poświeci!

Porucznik każde zdanie mówiącego kwitował kiwnięciem głowy.

– Sam wielki par, Ludwig Burghiese, zajmie się twoją rzycią, parszywcu! Już ja się postaram! Niech no tylko stąd wyjdę.

Viries ziewnął przeciągle. Jak to dobrze, że ból głowy minął. Jednak ci uzdrowiciele z krajów magii potrafią zdziałać cuda. Jedno spotkanie z takim, parę słów, kilka gestów i przeszło. A mężczyzna ujadał dalej. Wreszcie Viries zniecierpliwił się.

– A leż spokojnie, dziadu! Bierz przykład z tamtych. – Wskazał na spoczywające pod ścianą, powiązane ciasno postacie. – Oni są w takim samym położeniu, jak ty, a nie gadają tyle! Jak nie przestaniesz, wsadzę ci w gębę knebel i zatkam nos. Myślisz, że będzie to ciekawe doświadczenie?

Dostojny mąż zamilkł, urażony. Po chwili zabulgotał coś pod nosem, ale nie odważył się już odezwać głośniej.

– Tak lepiej – sapnął z zadowoleniem stary porucznik. – Najdalej jutro was uwolnię, mówiłem. A do tego czasu jesteście skazani na moje towarzystwo.



– Ponieważ zmarł ostatni z rodu panującego – mówił Falcone uroczystym tonem – i nie ma jawnych pretendentów do tronu, krewnych ni powinowatych, zwyczaj nakazuje zwołać stany i powołać Radę Królestwa dla wyboru nowego monarchy spośród godnych tego zaszczytu. A godnym jest każdy szlachcic a nawet prosty obywatel, który jest wolny, zaś jego uczciwość nie budzi zastrzeżeń.

– Słyszysz, Burghiese? – zawołał di Calerone. – Twoja kandydatura upadła, zanim została zgłoszona!

Wielki par nie zaszczylił go nawet spojrzeniem, a Falcone ciągnął dalej:

– Przedstawiciele stanów i wszyscy obecni od tej chwili mogą podawać imiona ludzi mogących zostać pretendentami do tronu! – zawiesił głos, zanim zakończył. – Czy wśród zgromadzonych jest ktoś, kto chce wymienić człowieka godnego objąć rządu w Vereenie?

– Wielki par królestwa, Ludwigo hrabia Burghiese! – rozległo się z prawej strony. To zawołał Hanes, patrząc z krzywym uśmiechem na Vallery'ego d'Orenburga.

– Królowa Laura! – zawołał prawie w tej samej chwili Hektor di Calerone.

Zapanowało poruszenie. Falcone gestem przywołał doradców czekających przy schodach prowadzących na chór. Naradzał się z nimi przez chwilę.

– Królowa Laura – oznajmił – nie może ubiegać się o koronę. Doktorzy biegli w prawach zawczasu znaleźli odpowiednie zapisy w księgach. Wdowa po królu może jedynie sprawować, za zgodą Rady Stanu, rządu regencyjne, jeśli pretendent do tronu jest nieletni. Poza tym, władcą Vereeny może być jedynie mężczyzna. W wyjątkowych przypadkach dopuszcza się czasowe sprawowanie władzy przez niewiastę, jednak tylko do czasu zawarcia małżeństwa z odpowiednim kandydatem, zaakceptowanym przez Radę Królestwa, to znaczy Radę Stanu połączoną z delegatami wszystkich stanów, a który na mocy prawa przejmuje z dniem ślubu obowiązki króla!

– Prawo, prawo, prawo – mruknął stojący obok Vallery'ego Gwido. – Wymyślili je po to, żeby tacy jak ja nic nie mogli z niego wyrozumieć!

– Zatem Ludwigo hrabia Burghiese, wielki par Vereeny – rzekł kardynał. – Czy są jeszcze jakieś kandydaty?

Zapanowała cisza. Nikt się nie poruszył, umilkł nawet kaszlący chłop.

– Zatem sprawa jasna. Możemy przystąpić do głosowania...

– Zaraz – przerwała Laura. – Jest jeszcze Czarny Pergamin! On ma głos przed wszelkimi waszymi aktami prawnymi!

– Najpierw trzeba by go odnaleźć! – odparł drwiąco Burghiese. – Ale zniknął, niestety – westchnął obłudnie. – A szkoda, bo ten, kogo on wskaże, nie może budzić wątpliwości! Wiem z całą pewnością, że dokument zaginął w pożodze wojennej, w czasie najazdu Varijczyków!

– A gdyby się znalazł – Laura podeszła kilka kroków do przodu – poddałbyś się jego wyrokowi bez protestu?

– Oczywiście!

Oczywiście... Ten jeden raz królowa mogła być pewna, że hrabia mówi prawdę. Nawet on nie ośmieliłby się sprzeciwić wyroczni.

– Oczywiście – powtórzył Burghiese, uśmiechając się lekceważąco. – Ale go nie ma. Gdyby istniał, gdyby ktokolwiek był w jego posiadaniu, nie rozmawialibyśmy dzisiaj, kogo powołać na tron, ale radowalibyśmy się, mając nowego pomazańca!

– Wróćmy do rzeczy – odezwał się kardynał. – Skoro nie ma innych zgłoszeń,

muszę zadać następne pytanie. Czy jest ktoś, kto zna powody lub okoliczności, które mogłyby stanąć na przeszkodzie kandydaturze wielkiego para? Przypominam, że każdy zarzut musi zostać uzasadniony i udowodniony.

Po raz kolejny w katedrze zapadła zupełna cisza. Członkowie Rady Stanu spoglądali po sobie, Hanes uśmiechał się krzywo. Wszyscy wiedzą, jak wiele ciąży na sumieniu hrabiego, ale gorzej z udowodnieniem jego przewin.

– W takim razie możemy przystąpić do głosowania...

– Nie tak prędko!

Kaszlący włościanin oderwał się nagle od zaleknionej grupki przedstawicieli gminu. Powoli podszedł do Ludwiga, zrzucił z pleców wymiętą lnianą pelerynkę.

– Nie poznajesz mnie, wielki parze? – spytał i rozkaszał się znowu. Na wargach pojawiła się krew. – Nie poznajesz?!

Burghiese ze ściągniętymi brwiami przyglądał się śmiałkowi. Co za bezczelność ze strony tego chłopka! Skąd niby ma znać pomarszczonego, bezzębego dziada? Tylko te oczy, jakby już gdzieś je widział.

– To ja, Burghiese! Markiz Vincenzo de Malhevia!

Obecni wstrzymali oddech. Tylko Hektor di Calerone podszedł bliżej.

– Rany boskie – szepnął. – To naprawdę ty...

– Ten człowiek – de Malhevia wyciągnął oskarżycielsko palec – dokonał bezprawnego aresztowania, a właściwiej by rzec, porwania mojej osoby. – Znów zakaszał, otarł rękawem czerwień z ust. – Trzymał mnie w lochu o głodzie i chłodzie. Zrujnował zdrowie. Zaprawdę niewiele życia mi zostało, bom się w czeluściach więziennych nabawił w końcu gruźlicy. Jeśli takie bezprawie nie jest przeszkodą do tronu, to co nią może być?

Hrabia zacisnął zęby. Zapomniał o markizie. Nie było zresztą o kim pamiętać, bo jeszcze nikomu nie udało się wyjść... Ta myśl sprawiła, że powiedział:

– O ile wiem, jeszcze nikomu nie udało się wyjść z miejskiej wieży! Skoro naprawdę byłeś tam uwięziony, co sprawiło, jaki cud, żeś znalazł się dzisiaj między nami?

– Złoto, Burghiese. Ktoś wysypał złotem moją drogę z lochu!

– Czy to jest wiarygodne? – Ludwig zwrócił się do kardynała. – Czy zeznanie jednego człowieka, mojego zawziętego wroga, podstawionego przez kogoś, może być brane pod uwagę?

– Czy masz jakieś dowody, że wielki par nakazał cię uwięzić? – spytał surowo Falcone.

– Mogę przysiąc w obliczu Boga! Czy słowo szlachcica nie wystarczy?

Kardynał znów przywołał biegłych prawników.

– Obawiam się, że, biorąc pod uwagę okoliczności, nie – powiedział po chwili. – Musielibyśmy rozstrzygnąć sprawę Sądem Bożym, a to niemożliwe, zważywszy na twoją kondycję, markizie!

– Ty sługusie! – zawołał de Malhevia, z trudem opanowując paroksyzm kaszlu. – Zrobisz wszystko, żeby ten zdrajca i mężobójca osiągnął, co zamierzył!

Falcone nie odpowiedział.

– Czy ktoś jeszcze chce zabrać głos?

Tym razem wystąpił do przodu brodaty kupiec.

– Ja – zawołał. – Pora zakończyć tę farsę.



Tłum przed katedrą szumiał. Wśród ludzi trwały zawzięte dyskusje. Od wielu dni krążyli wśród nich tajni pracownicy kancelarii wielkiego para, przeciągając na swoją stronę niepewnych jutra ludzi. Jednak coraz częściej napotykali na tajemnych ścieżkach takich, którzy przeszkadzali w robocie, starali się ją udaremnić. Sypali złotem hojnie i znajdowali u wielu posłuch. W czas przełomu nawet tacy, którzy zwykle boją się podnieść głowę, a nawet pomyśleć coś niepraworządnego, zaczynają dostrzegać, że świat jest bardziej skomplikowany niż stylisko łopaty albo siekiery, narzędzi codziennej harówki.

– Niech żyje wielki par, Ludwig Burghiese! – zabrzmiał słaby okrzyk.

Odpowiedziało mu kilka głosów, ale momentalnie utonęły, pochłonięte przez szmer rozmów. Patrzący na to z okna kamienicy Horris pomyślał, że motłoch zawsze stanie po stronie silniejszego. Teraz czeka na rozwój wypadków. A te mogą pójść w rozmaitych kierunkach. Ale w tej chwili nikt z zewnątrz nie ma na to wpływu. Szkoda tylko Koniokrada.

Przed drzwiami świątyni stało przynajmniej pół tysiąca zbrojnych. Myliłby się jednak ktoś, kto by sądził, że mają strzec bezpieczeństwa zgromadzonych. Przybyli na rozkaz wielkiego para i mieli zagwarantować, że sprawy potoczą się zgodnie z jego zamierzeniami.



– A tyś kto? – spytał kardynał.

Kupiec jednym ruchem zerwał z twarzy brodę, zrzucił bogato tkaną czapę, szarpnął połą szaty, uwalniając się od poduszki udającej wydatny brzuch.

– Teraz lepiej – sapnął z ulgą. – Gorąco w tym aż strach!

– To zdrajca! – krzyknął Burghiese. – Banita i odstępcza, Pillgrim de la Marvilla!

Należy go aresztować!

Skinął na Hanesa. Natychmiast pięciu gwardzistów rzuciło się w stronę barona.

– Stać! – zabrzmiał rozkazujący okrzyk. – Proszę o azyl!

Żołnierze nie zwrócili na to uwagi. Zatrzymał ich dopiero widok ostrzy, wydobytych przez Pillgrima i towarzyszących mu kupców.

– Bez rozlewu krwi w świątyni! – Kardynał zbiegł ze schodów, stanął między przeciwnikami. – Wracać na swoje miejsca! Pillgrim znajduje się pod opieką Kościoła, czy mi się to podoba, czy nie. Zwrócił się o azyl. Aresztować go można dopiero kiedy opuści katedrę! Ludwigu – powiedział ciszej, z błaganiem w głosie – wykaż odrobinę rozsądku.

Burghiese niechętnie odwołał ludzi. Jakie jeszcze niespodzianki czekają go dzisiaj?

– No i cóż ma do powiedzenia wyjęty spod prawa? – spytał zimno Falcone. – Wiesz, że nie możesz dać żadnego liczącego się świadectwa?

– Wiem – odparł spokojnie Pillgrim. – Ale mogę dać to!

Rzucił pod nogi kardynałowi przedmiot owinięty w jedwabną chustę. Falcone z wahaniem podjął pakunek. Rozwijał go powoli, wiedząc, że nie będzie to nic dobrego.

– Czarny Pergamin – powiedział zdumiony na widok purpurowego etui zdobionego srebrnymi wężami. – Przecież wielki par zapewniał...

– Wielki par zapewniał o wielu rzeczach – przerwał baron.

– Jak mamy to rozumieć? Czy ty jesteś teraz strażnikiem pisma? Przecież z rodem vi Rimm nie łączy cię żadne pokrewieństwo, a Vorda nie mógł cię namaścić...

Pillgrim odsunął się nieco na bok.

– Strażnik pisma jest tam! – wskazał w stronę grupki chłopów. – I nawet nie wie, jakie brzemie nałożyło nań życie.

– O kim mówisz? – Falcone był coraz bardziej zdumiony. – Przecież nie może nim być nikt z plebsu...

– Mówię o tym dziecku! To córka skrytobójczo zamordowanej Maive, Anna vi Rimm de Morano!

– Dziecko nie może być strażnikiem! Musi mieć reprezentanta. Ty nim jesteś? To by było wbrew...

– Nie byłbym godzien. Ale jest tutaj ojciec dziewczynki, Alwen de Morano!

Kolejny z kupców zerwał sztuczną brodę. Burghiese milczał, oszołomiony. Tego się spodziewać nie mógł. Zerknął na królową. Ona też wyglądała na zdumioną. No tak, na pewno każde z nich szykowało jakieś podstępny na dzisiejszy dzień, ale to przechodziło wyobrażenie obojga.

– A ten trzeci? – Kardynał wskazał kupca mniejszej postury, trzymającego się nieco z tyłu.

– A to nikt szczególnie. Pewien, powiedzmy, oficer. Podobnie jak dwaj pozostali.

Laura patrzyła na wydarzenia szeroko otwartymi oczami. Kiedy otrzymała

umówiony sygnał od Wigberta, spodziewała się niespodzianek. Wiedziała, że może się pojawić Czarny Pergamin. Może lub nie, ale grę należało podjąć, nie było sensu dłużej zwlekać. Jednak skąd Pillgrim, Koniokrad i diabli wiedzą kto jeszcze?

– A gdzie się podzieli prawdziwi delegaci? – spytał surowo kardynał.

– Są bezpieczni. Pozostają pod bardzo dobrą opieką – odparł beztrąsko baron. – Uznaliśmy, że skoro tak pilnie poszukiwany przez czcigodnego wielkiego para dokument odnalazł się, ich obecność jest raczej zbyteczna.

Falcone z rozpaczą spojrział na doradców. Rozłożyli bezradnie ręce. Czarny Pergamin to więcej niż prawo czy obyczaj. To ostania wola największego z władców, założyciela całej dynastii. Z czymś podobnym trudno dyskutować.

Burghiese warknął wściekle na Hanesa. Głupi kapitan! Zapewniał, że Alwen jest daleko stąd! Alwen i przeklęty dokument!

– A jaką mamy gwarancję – powiedział – że to prawdziwy Czarny Pergamin? Mieliśmy pewne wieści, że zaginęła. Każdy biegły rzemieślnik mógł wykonać taki zdobiony pojemnik!

– Jak chcesz – odpowiedział zjadliwym tonem Pillgrim – otwórz go, złam pieczęcie na piśmie i odczytaj jego treść! Oczywiście, jeżeli ty jesteś tym wybranym i nie boisz się paść trupem!

Obecni spoglądali na siebie zmieszani i zdeorientowani. Przedstawiciele szlachty przestali się uśmiechać z wyższością, skupili się w ciasnej grupce. Wydarzenia bieły w zbyt szybkim tempie i przybrały tak niespodziewany obrót, że trudno było się w tym rozeznąć.

– Mamy problem – zabrał głos Falcone. – Mianowicie część testamentu wyjaśniająca, kto i kiedy może otworzyć pergamin, zaginęła. Nawet w rodzie vi Rimm kwestia ta nie była przekazywana z pokolenia na pokolenie. Prawdę rzekłszy, liczyliśmy, że albo nie będzie konieczności korzystania z pomocy artefaktu, albo sprawa się jakoś sama wyjaśni. W obecnym położeniu nie widzę nikogo, kto mógłby nam pomóc. Wobec tego...

– Milcz! – krzyknęła królowa. – Zamilcz, puszczyku! Wiem, do czego chcesz doprowadzić! Żebyśmy uznali, iż Czarny Pergamin to tylko świstek papieru. Chcesz zmusić nas do przyznania, jakoby głosowanie nad wyborem władcy było rozsądniejsze od zdania się na wolę zawartą w tym piśmie! Wiesz przecież więcej niż zwykli śmiertelnicy, wykorzystaj teraz tę wiedzę!

Kardynał pokręcił głową. Laura zaczyna przesadzać.

– Powinnaś, najjaśniejsza pani – rzekł napominająco – zdawać sobie sprawę, że tylko objęcie władzy przez Ludwiga może być gwarancją utrzymania kraju w pokoju. Jedyne on budzi na tyle silny strach, aby okiełznać wszelkie bunty, zgasić je w zarodku. Tylko on był w stanie pokonać i upokorzyć butnego Gernona!

– Kłamstwo! – Tym razem odezwał się Pillgrim. – Jednym z powodów, dla których

przybyłem, stawiając własną głowę, jest właśnie sprawa wojny! Przyszedłem tutaj, aby wielki par mógł nie puszyć się wielkim zwycięstwem, którego nie było! Rzeź, jakiej dokonaliśmy w wielkiej bitwie osłabiła obie strony do tego stopnia, że nie może być w najbliższym czasie mowy o podjęciu działań zaczepnych! Zaś wieść o wielkim zwycięstwie zaraz po starciu poszła do każdej ze stolic równie przesadzona! Może zaprzeczysz, Burghiese? Zadaj mi kłam! Mnie i świadectwu tych, którzy dzisiaj są tutaj, a którzy brali udział w hekatombie!

Wielki par nie raczył odpowiedzieć. Wskazał tylko Czarny Pergamin w dłoniach Falcone i uniósł pytająco brwi.

– Dobrze – wzruszył ramionami kardynał. – Jednak to nie rozwiązuje kwestii braku kogoś uprawnionego do otwarcia Czarnego Pergaminu. A może pan Alwen de Morano? W końcu pełni tymczasowo obowiązki strażnika.

Koniokrad prychnął lekceważąco.

– Mam w rzydzi wasze pergaminy i utarczki – odparł opryskliwie. – Jestem tutaj tylko dlatego, że muszę spłacić zaciągnięty dług. A poza tym nie mogłem opuścić przyjaciół w potrzebie. Jest mi obojętne, kto będzie rządził. On – wskazał palcem hrabiego – czy ona – skierował wzrok na Laureę. – Są siebie wari. Teraz stają po przeciwnych stronach, ale przez lata knuli i spiskowali razem! Oboje są winni nieszczęść, które dotknęły mój ród i rodzinę vi Rimm!

Burghiese patrzył z nienawiścią na Alwena. Przeklęty de Morano! Zawsze sterczał mu na drodze, jak wystający z ziemi korzeń. Trzeba było go zgładzić bez zastanowienia, gdy w zeszłym roku przybył do Filipa wyjednać łaski. Błąd. Ale ten błąd można naprawić. Może to nawet dobrze, że zjawili się tutaj dzisiaj wszyscy – Pillgrim, Koniokrad, de Malhevia i kto tam jeszcze. Czarny Pergamin pozostanie zamknięty, a hrabiego wybiorą królem. Podstęp obróci się przeciwko wrogom.

Królowa z kolei spoglądała z żalem. Trudno przekonać do siebie kogoś, kto zaznał tyłu krzywd. Także z jej winy. Ale czasu nie cofnie, może jedynie, jeśli sprawy rozwiążą się pomyślnie, zadbać o przyszłość Koniokrada i dziecka.

– Skoro tak – oznajmił Falcone – uznajemy nowe okoliczności za niebyłe. Odraczam posiedzenie Rady Królestwa do czasu sprowadzenia prawdziwych delegatów stanów. Próba zamachu stanu nie powiodła się...

– Zamachem stanu jest to, co wy chcecie zrobić! – Uparty de Malhevia dał o sobie znać. – Jest Czarny Pergamin? Jest! Dynastia wygasła? Wygasła! Żadna Rada Królestwa, żadne głosowanie! Musimy kierować się wolą Roderyka Wielkiego, założyciela dynastii!

– Co zatem proponujesz? – zapytał niecierpliwie Falcone. – Może sam chcesz otworzyć pismo?

– Mogę! – Markiz podszedł bliżej, wyciągnął rękę. – Z łaski tego, którego chcesz namaścić na króla, nie zostało mi wiele życia. Mogę zaryzykować!

Kardynał, zdetonowany postawą de Malhevii, z wahaniem podał mu zdobione etui.

– Nie! – krzyknęła Laura. – Znam rozwiązanie! Czekalam, aż powie o tym kardynał, ale on jest zbyt stronniczy. Nawet przed obliczem Boga nie potrafi zdobyć się na odrobinę uczciwości.

Falcone i markiz zamarli. Królowa wyszła na środek, wskazała zwłoki męża.

– Czarny Pergamin powinien odczytać na łożu śmierci ostatni władca. Tak, kardynale, wiem o tym! Dowiedziałam się jednak za późno. Zresztą z chwilą, gdy mój mąż był umierający, dla wszystkich stało się za późno, bo artefakt znikł. To jest ta tajemnica zaginionej części testamentu Roderyka Wielkiego! Nie wiedzieli o tym nawet vi Rimmowie! Mieli być gotowi na wezwanie, ale nie powierzono im sekretu. Zapewne w obawie, aby nie wykorzystali go do niewłaściwych celów. W końcu byli tylko ludźmi!

Podeszła bliżej do kardynała. Wionął od niej intensywny odór dawno niemytego ciała i szat przesiąkniętych zapachem śmierci.

– Ale jest przecież instytucja, która wie o wszystkim, nieprawdaż? Kościół! A ty, jako najwyższa jego władza w Vereenie, wiedziałeś! Skoro zaś ty, to i on! – Wskazała oskarżycielsko wielkiego para. – To dlatego tak usilnie staraliście się znaleźć Pergamin! To dlatego, gdy się nie udało, postarałeś się, aby został wywieziony daleko! W obliczu nadchodzącej nieuchronnie śmierci króla na rękę wam było, aby zaginął, a przynajmniej nie mógł dotrzeć na czas do Velary! I udało się wam. Prawie...

– Skąd znasz sekret testamentu? – spytał osłupiały kardynał. – To jedna z najbardziej strzeżonych... Nawet król...

– Nieważne, skąd! Skoro to jedna z najbardziej strzeżonych tajemnic, dlaczego podzieliłeś się nią z wielkim parem?

– W obliczu Boga i tu obecnych – Falcone uniósł rękę – przysięgam, że nigdy nie zdradziłem treści przekazu obecnemu tu Ludwigowi hrabiemu Burghiese!

– Ale pomogłeś mu dowiedzieć się, gdzie jest Maive vi Rimm! Wydałeś na jego pastwę wiernego sługę Filipa, szatnego Karola. Dalej, zaprzecz temu, skłam przed obliczem Boga i zmarłego króla!

– Nie ma na to żadnych dowodów.

– Dowody są zbędne. Wystarczy twoje zmieszanie, Falcone! – wtrącił Pillgrim. – Teraz już wszystko rozumiem.

Wiedziałem, że z ciebie podlec. Ale ty masz więcej krwi na rękach niż etatowy kat Velary. Więcej niżli najstarszy rzeźnik w jatkach miejskich! Możesz spokojnie zasypiać? Nie dręczą się demony?

Kardynał zmierzył barona wściekłym spojrzeniem.

– Zamilcz, zdrajco! Nie tobie mnie sądzić! Pillgrim zbierał się do odpowiedzi, ale niespodziewanie ubiegł do Alwen.

– Wasze utarczki nie wyjaśniają sprawy Czarnego Pergaminu. Jak rozumiem, nadal

nie wiadomo, kto może odczytać jego treść. Jeśli dobrze myślę, z chwilą jej ujawnienia, z mojej córki spadnie obowiązek bycia strażnikiem tajemnicy.

– Tak – kiwnął głową Falcone, wpierw porozumiewając się wzrokiem z doradcami.
– Nie będzie już czego strzec.

– Szkoda – westchnął Koniokrad. – Miałem nadzieję, że będzie z tym wreszcie koniec. A tak, zaczynamy wszystko od nowa...

Burghiese zatarł w duchu ręce. Ty już nic nie zaczniesz od nowa, de Morano! Na ciebie czeka szafot i hak, podobnie na przeklętego Pillgrima!

– Nic nie zaczynamy od nowa! – Królowa tupnęła gniewnie nogą. – Wiem, że dla was, wielcy wojownicy, słowo kobiety mniej znaczy niż słoma rozwiewana wiatrem. Ale powiedziałam, że znam rozwiązanie. Chcecie słuchać, czy będziecie się spierać, nie bacząc na nic?



W tłumie zaczęły się pojawiać pierwsze oznaki znudzenia. Na to tylko czekały wędrownie trupy aktorów.

W mgnieniu oka w różnych miejscach rynku wykwitły improwizowane sceny, rozległy się śpiewy i śmiechy. Strażnicy miejscy natychmiast pospieszyli, by zmusić artystów do zaniechania występów, jednak tłum gęstniał, nie puszczał, zachowywał się wrogo.

– A wynoś się jeden z drugim! Uczciwym ludziom zabraniać odrobiny przyjemności!

Któryś ze zbrojnych kordem rozciął płachtę, na której przedstawiona została łąka z zarysem bogatego pałacu w tle, jako żywo przypominającego siedzibę monarchy.

– Ty, Marcinie! – padło z ciżby. – Nie bądź taki nagły służbista! Pomnij, żeś tutaj może i władza, ale doma stara kijem cię zwykła miłować, a gary na łbie rozbijać! Ostaw aktorów w spokoju, chcemy oglądać ich, a nie twoją ospowatą gębę!

Rozległy się śmiechy. Strażnik poczerwieniał ze złości i wstydu, klnąc pod nosem zszedł ze skrzynek.

– Pilnujta lepiej rzezimieszków! Jużeśmy tu kilku widzieli!

Poczekajcie, zgrzytnął w duchu zębami strażnik, niech no wielki par zostanie królem, zaraz uczyni porządek! Odechce się wam prześmiejców!



Królowa skończyła mówić. Przez dłuższą chwilę nie rozległ się nawet najmniejszy głos czy szmer. Wszyscy stali z oczami wbitymi w Laurę, zaskoczyła wszystkich bez

wyjątku. Nawet Burghiese stał z twarzy złośliwy uśmiech. Królowa wróciła do swoich żołnierzy.

– Naprawdę chcesz to zrobić, miłościwa pani? – spytał cicho Vallery. – Jesteś przekonana, że jesteś wybrana?

– Ktoś musi być – odparła. – Dlaczego nie ja?

– Możesz umrzeć...

– Wolę tak, panie d'Orenburg – powiedziała głośno. – Dość już żyłam w zakłamaniu i strachu. Dość uczyniłam krzywd. – Wymownie spojrzała na Alwena. – Pora uczynić coś szalonego. Coś, co nie kłóci się z uczciwością. Coś dla dobra moich poddanych!

Pierwszy opamiętał się Falcone. Może dlatego, że jako prowadzący obrady musiał coś powiedzieć. Przywołał doktorów prawa, szeptał z nimi przez chwilę.

– Królowa jest przekonana, iż do niej należy obowiązek i przywilej otwarcia Czarnego Pergaminu! To sytuacja najzupełniej nowa i musi zostać rozważona...

– Od waszych rozważań może rozboleć głowa! – wściekł się Alwen. Małeńka Anna, słysząc podniesiony głos ojca, rozplakała się. Bernadetta zaczęła kołysać dziewczynkę, nucąc kołysankę.

Burghiese drgnął, jak obudzony ze snu. Przywołał Hanesa, coś do niego powiedział. Tamten w odpowiedzi uśmiechnął się drapieźnie.

– Jeśli królowa chce, powinna mieć możliwość odczytać dokument! – ciągnął Koniokrad. – Kto, jeśli nie ona, ma największe do tego prawo? Ryzykuje własnym życiem! Falcone, oddaj jej pismo i niech prawdzie stanie się zadość! Inaczej lud dowie się, jak w tym kraju przestrzegają prawa ci, którzy chcą nim rządzić!

Laura, zniecierpliwiona, podeszła, a właściwie podbiegła do kardynała. Znów zaskoczyła wszystkich. Chwyciła przedmiot sporu. Falcone nie chciał puścić, więc wymierzyła mu siarczysty policzek. Po chwili umknęła pod ochronę kawalergadów. Ludzie hrabiego rzucili się za nią, ale powstrzymał ich okrzyk Ludwiga. Rzeź w katedrze to naprawdę kiepski pomysł, a żołnierze Vallery'ego są gotowi na wszystko. Zresztą nie można sobie publicznie pozwolić na przemoc wobec królowej. Niech spróbuje odczytać Pergamin. Zapewne padnie trupem w mgnieniu oka, a jeśli nie... Kto wie, jakie imię zapisano w dokumencie, może... A jeśli nawet nie, pretendenta zawsze można z czasem odsunąć albo usunąć.

D'Orenburg z uwagą śledził poczynania Hanesa. Kapitan zaczął powoli, krok po kroczku, prawie niedostrzegalnie, przemieszczać się w kierunku wyjścia. Vallery również przesunął się w tamtym kierunku.

– Otworzyć wrota świątyni! – zawołał Pillgrim. – Obywatele Vereeny mają prawo zobaczyć, jak decydują się losy królestwa! A treść Czarnego Pergaminu królowa tak czy inaczej powinna oznajmić ludowi!

A jeśli padnie trupem, pomyślał, łatwiej będzie w zamieszaniu spróbować ucieczki

przez otwarte niż zaryglowane wrota.



Ludzie na zewnątrz zamarli, widząc uchylające się odrzwia. Pilnujący wejścia żołnierze utworzyli szpaler, aby najbliższej stojący mogli zobaczyć, co się dzieje w środku.

– Mówcie, mówcie! Co robią? – rozległy się niecierpliwe głosy.

– Królowa bierze jakiś podługowaty przedmiot. Otwiera!

– Co to jest?

– Powiadają, że Czarny Pergamin!

– A to co za dziwo?

– Wiecie, kumie, ja bym się nie dziwił, gdybyście pochodzili z dalekiej prowincji albo byli zgoła ciemnym Varijczykiem! Ale mieszkać całe życie w Velarze i nie słyszeć, co ludzie szepczą? O czym wszyscy wiedzą, choć całej prawdy nie zna nikt?

– Dobra, dajcie już spokój! Nie słyszać, co mówią ci z przodu!

Tłum falował, mruczał, ale panowała względna cisza. Przekazywano do tyłu wieści o rozwoju wypadków.

– Królowa klęka, otwiera tubę! Wyjmuje pismo, przy nim cztery pieczęcie. Będzie je teraz łamać? Nie! Idzie ku nam! Cichajcie wszyscy, cichajcie!



Laura ujęła pismo w drżące ręce. Nie przypuszczała, że Czarny Pergamin okaże się rzeczywiście czarny. Był jak sadza, a w dotyku przypominał aksamit. Stara, dobra robota biegłych w wyprawianiu cielejących skór mnichów. Rzuciła okiem na żołnierzy, gestem kazała im zostać na miejscu. Poszła w stronę jaskrawego światła, wpadającego z rozpalonego słońcem placu. W rażącym blasku, dla patrzących z wnętrza świątyni, podobna była zjawie z innego świata. Wyszła na schody, obrzuciła wzrokiem zgromadzony lud. A potem niespiesznie zaczęła przełamywać pieczęcie. Przy ostatniej zawahała się, nabrała głębiej tchu, zerwała ją jednym ruchem. Powoli rozwinęła czarny rulon. Zamarła. Wszyscy w środku i na zewnątrz również znieruchomieli. Czy padnie teraz z jasnego nieba grom, zamieniając Laurę w kupkę popiołu? A może zabije ją atak apopleksji? Może ten bezruch już oznacza śmierć? Jednak nic się nie wydarzyło. Królowa wpatrywała się w ciemną płachtę, jakby chciała w niej ujrzeć przyszłość. Postarała się nie dać poznać po sobie zdumienia. Potem odwróciła się bokiem, żeby było ją dobrze słyszać także w katedrze.

– Oznajmiam wszem i wobec! Ludu Vereeny, czcigodni mieszkańcy stolicy i

szanowni przybysze! Wysoko urodzeni, kupcy, mieszczenie, włościanie i biedota miejska! W tym dokumencie, pozostawionym nam przez króla Roderyka Wielkiego, zapisane zostało imię następcy tronu! Chcecie poznać imię, które ujrzałam po otwarciu dokumentu?

– Chcemy! – rozległo się. W miarę jak przekazywano sobie słowa królowej, krzyk narastał.

Uniosła rękę. Powoli przycichło.

– Zatem słuchajcie uważnie! Zapisano w nim następujące słowa: „Po zgonie ostatniego z dynastii tron Vereeny przypadnie w udziale Annie vi Rimm de Morano”!

Pojedyncze głosy tych, którzy przekazywali wieść, przelatowały nad głowami ludzi.

– A któż to jest? – zapytał ktoś.

Laura skinęła na piastunkę. Bernadetta wyszła na zewnątrz, mocno przyciskając do piersi niemowlę.

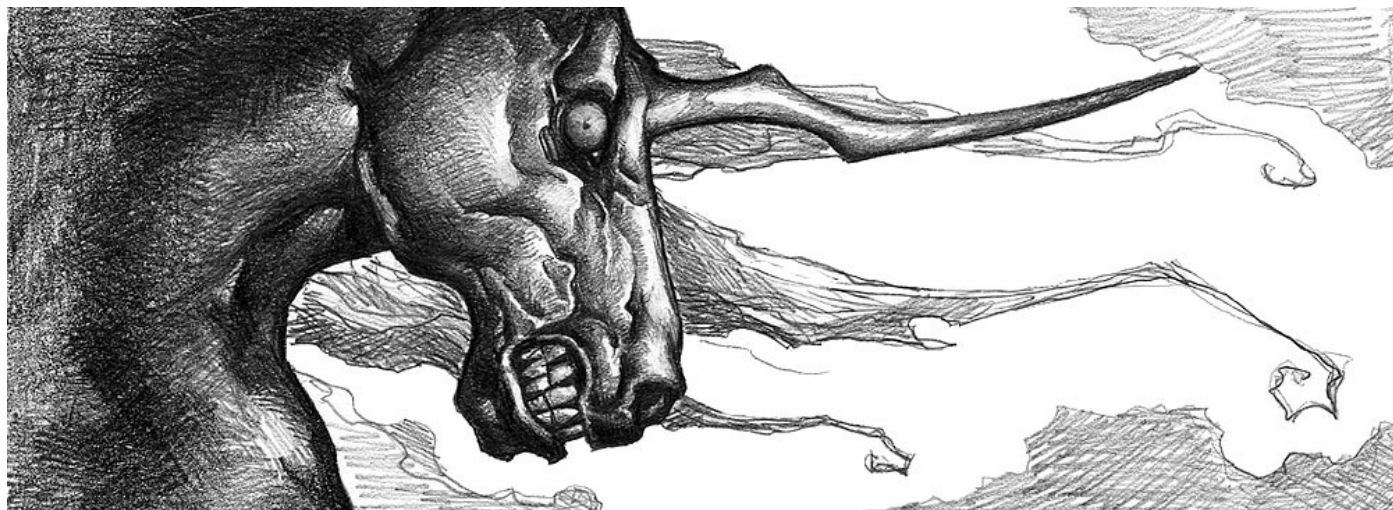
– Oto ona. – Królowa wskazała maleńką, a zakonnica uniosła ją wysoko. – Oto wyznaczona przez pismo Anna vi Rimm de Morano. Córka Maive vi Rimm i Alwena de Morano!

Zapadła cisza. Dał się w niej słyszeć żalony płacz przestraszonego dziecka.

– To dziecię Koniokrada! – rozległ się okrzyk. – Nasza nowa królowa! Niech żyje!

Tłum zaczął wiwatować. Ucichł na chwilę, bo Laura znów podniosła rękę.

– Teraz wrócimy do środka, aby uzgodnić wszystko, co potrzeba! Jeszcze się nie zdarzyło, aby niewiasta została prawowitym monarchą Vereeny. Ale skoro tak chce Czarny Pergamin, czy chcecie się sprzeciwić jego woli?!



Rozdział 25

– Nic nie czuję – szepnął do siebie Mistrz Ekhart. – Nadal nic nie czuję!

Dotarła już do niego, przesłana przez magiczną kulę, wieść Horrisa o otwarciu Czarnego Pergaminu.

– Powiniennem przecież to wyczuć! Z chwilą złamania pieczęci zaklęcie maskujące musiało przestać działać!

Mistrz Jan miał twarz ściągniętą. Widać było, że i on nie szczędzi wysiłku, próbuje nawiązać kontakt z magicznym przedmiotem.

– Dlaczego? – Ekhart spojrzał bezradnie, szukając pomocy u starszego czarnoksiężnika. – Zerwano zabezpieczenia, odczytano treść artefaktu, a ja nadal nie potrafię znaleźć piętna mocy! To po prostu niemożliwe!

Jan powinien właściwie odczuwać satysfakcję. Zarozumiały Ekhart, pewien swego, przestał się wreszcie puszyć i udawać, że wie wszystko. Jednak zamiast zadowolenia, poczuł niepokój i współczucie.

– Może być tylko jedno wytłumaczenie – odparł po chwili namysłu. – Król Roderyk Wielki okazał się bardziej przebiegły niż przypuszczaliśmy. Przechytrył nie tylko całe pokolenia swoich własnych potomków w Vereenie, ale i nas, którzy mienimy się mędrkami.

– Myślisz, przyjacielu, że...

– Tak myślę.



Drzwi znów zamknięto, katedra pogrążyła się w ciszy i spokoju. Pozornym spokojem, bo obecni spoglądali na siebie zmieszani. Alwen zacisnął zęby, mięśnie na szczękach drgały. Bernadetta usiadła na ławce przy drzwiach. Anna z błogą miną ssała gałganek umoczony w mleku. Burghiese patrzył na dziecko z nienawiścią. Wrzawa na zewnątrz mówiła jasno, że lud Vereeny przyjmie całym sercem nonsensowne postanowienie przekłętogo pisma. Lud będzie uszczęśliwiony, że do korony przeznaczono niewinne dziecko.

– Wiedziałem, że ten Czarny Pergamin tylko nam utrudni życie – powiedział. – Nie dość było problemów, mamy teraz powołać na tron niemowlę, i to na dobitkę dziewczynkę! W tym jest coś dziwnego, niewiarygodnego.

– Może sam chcesz odczytać treść dokumentu? – spytała zjadliwym tonem królowa. – Jeśli się nie lękasz, proszę bardzo!

Burghiese spojrział na wyciągniętą ku sobie dłoń z pismem, jakby to była jadowita żmija.

– Nie mam powodów wątpić w jego treść. Ale, powtarzam, jest ona bez sensu...

– Dla ciebie – rzekł Hektor di Calerone – bez sensu jest wszystko, co może pozbawić cię władzy! Czy ktoś z obecnych chce może podważyć przesłanie Pergaminu?

Ty, Herbercie? – zwrócił się do von Behta. Skarbnik tylko mruknął coś niewyraźnie i odwrócił głowę. – A może ty, de Livre? – Wielki szambelan również uciekł wzrokiem. – No to może nasz dzielny Wilfred? Chcesz złożyć protest? – Również de Montagio nie zabrał głosu. – No to może nasz czcigodny kardynał? Co powiesz, eminencjo? Widzisz, Burghiese? Twój sprzymierzeńcy nie wesprą cię w potrzebie. Nawet ten najważniejszy, wierny jak pies Falcone. Żaden nie odważy się dyskutować z wyrokami przeznaczenia.

– To dziecko ma rządzić? – Burghiese wyduł pogardliwie wargi. – Dziewczynka? A jak się to ma do praw Vereeny? Czy brudna magia ma spowodować ich upadek?

– Zapytajmy doktorów, tak zapobiegliwie sprowadzonych przez kardynała – Laura skinęła na duchownych. – Niech oni wyjaśnią wątpliwości.

Doradcy zbliżyli się niechętnie, z rzadkimi minami. Widać było, że sprawa ich przerasta.

– Potrzebujemy czasu – zaczął jeden. – Musimy zgłębić zagadnienie, skonsultować z innymi prawnikami.

– Nie ma na to czasu – warknął Burghiese. – Znacie prawo, mówcie. Czy niewiasta może być królem? Nawet z woli obrzydliwej, zakazanej magii?

– Przypominam ci – rzekł spokojnie Koniokrad – żeś nie brzydził się czarami, kiedy chciałeś podstępem okiełznać czarnoksiężnika. Strach pomyśleć, co by było, gdybyś wówczas dopiął swego!

Twarz Ludwiga zmieniła się pod wpływem nagłego uczucia nienawiści na

wspomnienie wydarzeń.

– Nie unikniesz kary, de Morano – wychrypiał. – Za to, co wtedy uczyniłeś! Twój podły ojciec umknął już w objęcia śmierci, ale ciebie wreszcie dopadnę! Na zewnątrz czeka pół tysiąca zbrojnych, a miasto otoczone jest przez moje wojska!

– Wiemy – rzekł de Malhevia. – Armią dowodzi sam Marratti, znakomity wódz... – zawiesił na chwilę głos – i mój serdeczny przyjaciel! Tak się składa, że rozmawiałem z nim nie dalej niż wczoraj. Opowiedziałem mu to i owo. Dodać coś jeszcze?

– A oddziały przed katedrą też raczej nie pomogą – dodał Koniokrad. – Będą miały dość roboty z tumultem i paniką, jaka zapanuje, kiedy na okolicznych dachach wybuchną beczki z prochem. A nastąpi to, gdy tylko nasi ludzie zobaczą, że żołnierze zaczynają wykonywać podejrzane ruchy.

Burghiese wyglądał, jakby nagle zeszło z niego powietrze.

– Ale to wbrew prawu – nie poddawał się. – Nioletnia dziewczynka nie może...

– Może – Laura spojrzała na doradców. – Sami mówiliście o rządach regencyjnych, nieprawdaż? Do czasu osiągnięcia przez Annę wieku sprawnego ja mogę być regentką!

– Niemożliwe – warknął Ludwigo. – Naginasz prawo do własnych potrzeb!

– Możliwe! – Trzeci, trzymający się na uboczu kupiec, zerwał z głowy czapę, odrzucił maskujący zarost.

– Wigbert! – zawołała zdumiona królowa. – I ty tutaj?

Spowiednik skłonił się nisko.

– Tak, to ja, najjaśniejsza pani. I znam rozwiązanie, które zadowoli zarówno literę prawa, jak i wyrok przeznaczenia! – Spojrzał Laurze głęboko w oczy. Miała wrażenie, że zajrzał jej w głąb duszy, spuściła wzrok. – Jest rozwiązanie – powtórzył. – I ty je znasz. Masz rację, miłościwa pani. Możesz zostać regentką. Ale, by w przyszłości ład prawny nie został naruszony, należy się rozejrzeć za mężem dla naszej małej panny vi Rimm de Morano. Ten, kto pojmie ją za żonę, zostanie królem. A następcą tronu zostanie już syn zrodzony z tego związku. Wtedy wszystko wróci do normy. Czy to jest do przyjęcia, uczeni w prawie?

– Jak najbardziej – zawołał z ulgą jeden z doktorów. Zmitygował się pod miażdżącym spojrzeniem kardynała. – To jest jakieś wyjście – rzekł z zastanowieniem.

Falcone zagryzł wargi. Sam nie wiedząc, co czyni, odsunął się od grupki otaczającej Ludwiga. To samo uczynili inni członkowie Rady Stanu.

– Widzisz, Burghiese – odezwał się drwiąco de Malhevia. – Zostałeś sam!

– Nie zostałem sam – warknął hrabia. – I nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa! Hanes! Czyn swoje!

Kapitan skoczył. Jeszcze nie oderwał stóp od ziemi, a już zaświszczało wydobyte z pochew ostrze szerokiego miecza. Był o kilka kroków od piastunki z dzieckiem. Nikt i

nic go nie powstrzyma!

Alwen krzyknął przeraźliwie. Był zbyt daleko, żeby cokolwiek uczynić, ale odruchowo rzucił się w kierunku zagrożenia. Serce ścisnęła rozpacz.

Zakonnica, widząc nadchodzące niebezpieczeństwo, otoczyła ramionami niemowlę i odwróciła się plecami do żołnierza, chcąc uchronić malutką. Hanes tylko zaśmiał się chrapliwie. Przetnie na pół babę razem z Koniokradowym pomiotem! Marne ciało nie powstrzyma ostrej klingi. Opadając na prawą nogę, ciął, wkładając w cios całą siłę, kończąc cięcie półobrotom. Krzyk przerażenia złął się w jedno z odgłosem rąbanego ciała. Jednak w chwili, gdy kończył ruch, Hanes nagle spostrzegł, że nie trafił kobiety, ale miecz uwiązł w potężnych piersiach mężczyzny. To Vallery!, skonstatował ze zdumieniem kapitan. Skąd się tu wziął? Diabli! Znów wziął zamach.

Jednak d'Orenburg nie był jedynym, który śledził ukradkowe poczynania Hanesa. Nim kapitan zdążył wzniesć miecz do ponownego ciosu, poczuł, że straszna siła unosi go w górę. Beładnie zatrzepotał rękami i nogami. Zupełnie zapomniał o broni trzymanej w prawicy. Po chwili świat wywinął koziołka. Mignęła zmieniona we wściekłą demoniczną maskę twarz barona Pillgrima, gdy głową w dół, krzycząc przeraźliwie, podążał na spotkanie z kamienną posadzką. Rozległ się głuchy huk i przeszywający trzask kości. Na wszystkie strony prysnął mózg z rozbitej straszliwym uderzeniem czaszki.

Ludzie hrabiego rzucili się w stronę zajścia. Jednak na ich drodze wyrosli weterani Vallery'ego. Zadźwiewała broń. Wycieńczeni, z niezagojonymi jeszcze ranami, mniej liczni, kawalregardzi stawiali jednak zacięty opór.

– Uchodźcie! – wrzasnął Gwido do tyłu. – Uchodźcie, póki można!

Wigbert przypadł do zakonnicy znieruchomiełej z przerażenia. Pociągnął ją za sobą, schował w kąt między bocznym ołtarzem, a wejściem do bocznej kaplicy.

W kłębowisku walczących połała się krew. Ludzie Ludwiga parli do przodu, przełamując zwarty szereg żołnierzy królowej. Wtedy nadbiegł Alwen. Z miejsca jeden z gwardzistów padł z rozłupaną czaszką. Z drugiej strony skoczył Hektor di Galerone, wymachując nad głową ciężkim świecznikiem. Żałował, że nie wziął ze sobą broni, ale nie godziło się przecież stawiać na posiedzeniu Rady Królestwa przy mieczu. Nie zastanawiając się ani chwili, spuścił żeliwną masę na najbliższego przeciwnika. Nieszczęśnik padł, brocząc krwią, ale już jego towarzysz ciął Hektora na odlew. Di Calerone odskoczył, jednak końcówka miecz wyłobiliła głęboką ranę w policzku, zgruchotała kilka zębów. Ludzie wielkiego para starali się za wszelką cenę zgnieść opór. Ale już przy walczących znalazł się rozjuszony baron. Teraz szala zwycięstwa przechyliła się na stronę kawalergardów. Pillgrim samym rozpędem wprowadził zamieszanie, wbił się między gwardzistów, siejąc zniszczenie. Stojący z boku, zupełnie dezorientowani i oszołomieni biegiem wydarzeń delegaci szlachty, wreszcie postanowili włączyć się do walki. Po stronie, po której wydawało im się, że

jest słusność. Po chwili niedobitki gwardzistów podnosiły ręce w geście poddania. Posadzka katedry w miejscu starcia stała się czerwona i śliska.

Alwen pobiegł do broczącego krwią Vallery'ego. Była już przy nim królowa, przytrzymując na kolanach głowę rannego. W piersi ziała straszna rana, odsłaniając rozrąbane żebra.

– Nie mogłeś się zastawić?

– Nie dałem rady – wydyszał d'Orenburg. – Ręka jeszcze nie wydobrzała. Zdążyłby trafić.

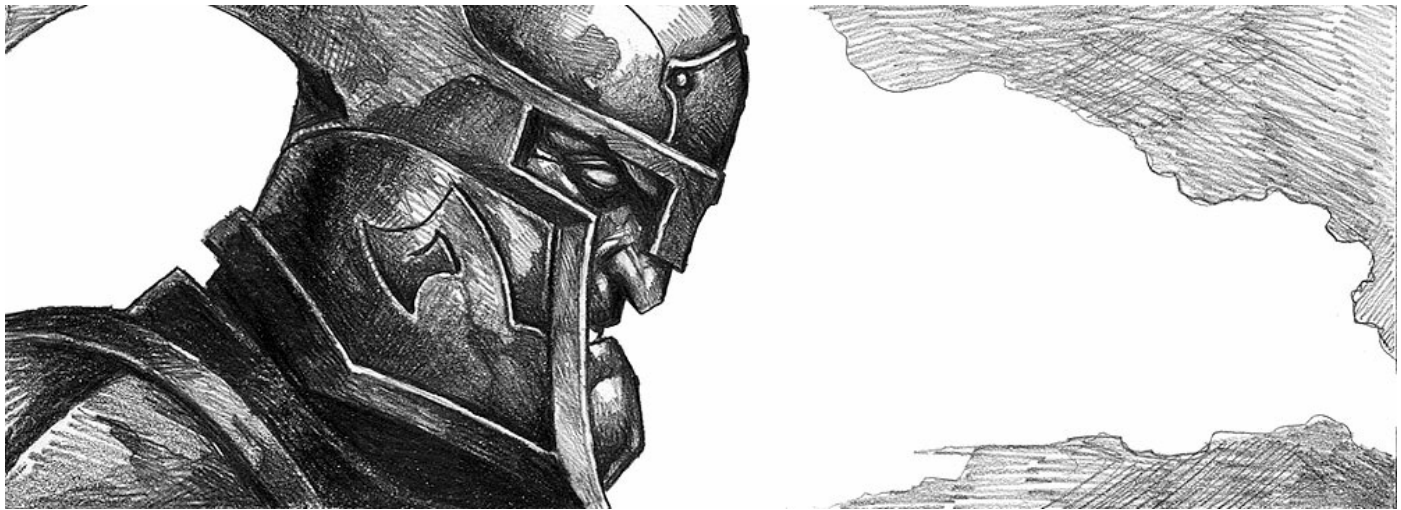
Z ust puściła mu się krew.

– Pillgrimie! – wrzasnął Koniokrad. – Pillgrimie! Natychmiast pędź po Horrisa! Niech tu przyjdzie i pal diabli wszystkie tajemnice! Otworzyć drzwi, ale już!

Tymczasem Pillgrim podniósł porzucony w zamieszaniu Czarny Pergamin. Ciekawość okazała się silniejsza od strachu. Zanim zdążył pomyśleć, co robi, zerknął na treść, a potem przymknął oczy, w oczekiwaniu śmierci. Nic się jednak nie stało. Znów spojrzął na dokument. Obok wyczuł ruch. To był Wigbert. Baron chciał coś powiedzieć, ale spowiednik go ubiegł.

– Milcz, człowieku! – warknął. – I daj mi to pismo! Trzeba je czym prędzej zniszczyć!

Tymczasem Alwen przebijał się przez gęsty tłum, podążając w stronę kamienicy, w której Horris czekał na wieści. Modlił się bezgłośnie. Panie, nie pozwól umrzeć, człowiekowi, który poświęcił życie, aby ratować moje dziecko. Nie pozwól... nie pozwól... powtarzał bez ustanku.



Rozdział 26

– Stało się – powiedział Mistrz Ekhart.

Mistrz Jan milczał. Tak, stało się.

– Czarny Pergamin spełnił jednak swoje zadanie – ciągnął Ekhart. – Mimo wszystko...

Jan kiwnął głową. Właśnie to było najdziwniejsze.

– Twój uzdrowiciel ujawnił się – rzekł z pretensją. – Nie powinien!

– Horris zawsze miał miękkie serce. Miękkie i wielkie. I odwagę. Przecież, biegnąc na pomoc rannym, nie wiedział jeszcze, jak się potoczyły wydarzenia. Ryzykował życiem. Gdyby to Burghiese był górą...

– Musisz go ukarać za nieposłuszeństwo.

– Oczywiście – uśmiechnął się Ekhart. – Kiedy tylko wróci.

Mistrz Jan spojrzał podejrzliwie.

– Może nie wrócić?

– Oczywiście. Wie przecież doskonale, że nawet jeśli ja zaniecham kary, najwyższy krąg postara się, by nie miał spokoju.

Jan zachnął się.

– Musisz mu nakazać powrót! Musi cię usłuchać.

– Nie! – odparł z mocą Ekhart. – Przyjedzie do Halarii, jeśli zechce! Nic mu nie zamierzam nakazywać.

– W takim razie...

– Nawet o tym nie myśl! Jeśli wyciągniecie ku niemu łapy w krajach Bezmagii, rozgłoszę to wszem i wobec! Nie zrozumiałeś, przyjacielu? Świat już nie jest taki sam, jak jeszcze kilka dni temu. Niczego cię nie nauczyły ostatnie wydarzenia?

Myśleliśmy, że nie ma nic potężniejszego od magii. Ale determinacja i wola zwykłych ludzi potrafi zwojować więcej od zaklęć.

- Szczególnie nieistniejących – prychnął pogardliwie Jan.
- Jakichkolwiek.



Vallery d'Orenburg umierał. Horris siedział ze zgasłym spojrzeniem, pogrążony w beznadziei.

– Nie jestem w stanie nic zrobić – powiedział cicho. – Dwa dni i dwie noce próbuję, ale nie jestem w stanie. Stracił zbyt dużo krwi, za duże spustoszenia... Ile mogłem, uczyniłem...

Pillgrim ze ściśniętym sercem patrzył na bladą, kredowobiałą twarz pułkownika.

– Żebym się pospieszył mgnienie oka – mruknął. – Niech by mnie sięgnął ten przeklętnik! Szkoda młodego życia.

– Każdego szkoda...

– Ale taki żołnierz... taki człowiek...

– Człowiek, powiadasz – uśmiechnął się smutno Horris. – Masz rację. Można o nim powiedzieć „oto człowiek” i nie żałować potem tych słów.

– Słaba pociecha...

– Cicho! – syknął Horris. – Budzi się.

Vallery otworzył oczy. Jego wzrok padł na Pillgrima.

– Gdzie Burghiese? – spytał wysiłonym szeptem. – Kat z nim już tańczy?

– Nie tańczy – odparł z goryczą Pillgrim. – I nie zatańczy! Wyłgał się, jak zwykle!

– Jak to?! – D'Orenburg poderwał głowę, ale jęknął i zaraz opadł na poduszki.

– Tacy zawsze spadają na cztery łapy. Szczególnie, że miał poparcie panów z Rady Stanu. Królowej nie stać na zadzieranie z nimi wszystkimi.

Vallery skrzywił wargi w wyrazie obrzydzenia.

– Lepiej zdechnąć niż żyć na takim świecie – mruknął. – Dobrze, że moja droga się kończy. Może tam, po drugiej stronie, jest lepiej. Ktoś ty? – spojrzał na Horrisa.

– To uzdrowiciel. Tylko dzięki niemu jeszcze żyjesz. Vallery przymknął oczy. W tej chwili wszedł Alwen.

Za nim Bernadetta z dzieckiem na ręku. Anna, z chwiejącą się jeszcze główką, rozglądała się ciekawie. Koniokrad podszedł do łóżka.

– Nie było sposobności bliżej się poznać – powiedział z żalem. – Ale przez te kilka chwil, gdyśmy się widzieli, mogłem się przekonać, że prawy z ciebie człowiek, panie d'Orenburg. Poświęciłeś się, by uratować najważniejszą osobę w moim życiu.

Vallery zapatrzył się na Annę. Nie dane mu było dochować się własnego

potomstwa, nie poznał smaku miłości ojcowskiej. Ale kiedy zobaczył wdzięczność i żal zarazem w oczach Koniokrada, wydało mu się, że wie, jak można ukochać własne dziecko.

– Niedługo uroczystości koronacyjne – powiedział z wysiłkiem. – Nie do wiary, że ta słodka istota ma wziąć na siebie ciężar władzy nad całym krajem.

– Nie do wiary – powtórzył Alwen, a twarz mu zmierzchła. – Miałem nadzieję, że to się wreszcie skończy. Nawet gdyby to Burghiese miał przywdziać królewskie szaty.

– Co też mówisz, panie de Morano – oburzył się Vallery. – Toż wszyscy nie pożylibyście dłużej niż trwa przyozdobienie sznurem miejskiego szafotu!

– Jakoś byśmy uszli – uśmiechnął się smutno Koniokrad. – Wychodziliśmy z różnych opresji. A tak... Moje dziecko zostało spętane w kołysce brzemieniem odpowiedzialności. Na dodatek jeszcze przez wiele lat rządzić będzie wdowa. Trzeba jej patrzeć na ręce.

– Uważasz, że nie będzie dobrze sprawować władzy?

– Obawiam się, pułkowniku. To podła kobieta. Vallery przymknął oczy.

Alwen, myśląc, że zasnął, ostrożnie zaczął oddalać się od łóżka. W tej chwili Anna pisnęła, wyciągając rączki do ojca. Koniokrad odebrał ją od zakonnicy, mocno przytulił.

– Nie, panie de Morano – dobiegło z tyłu. Vallery ze wzruszeniem patrzył na oboje. – Nasza Laura nie jest tą samą zimną suką, którą pogardzałem na równi z tobą. Zmieniła się.

– Na długo? Na zawsze?

– Nie wiem. Ale mam nadzieję, że ostatnie wydarzenia czegoś ją nauczyły.

– Ale Koniokrad ma rację – odezwał się Pillgrim. – Na ręce trzeba jej jednak będzie patrzeć.



Ludwig Burghiese z ponurą miną i zaciśniętymi szczękami wpatrywał się w wygasły kominek.

– Jesteś draniem, Falcone – powiedział przez zęby. – Ostatnim obrzydliwym kurwim synem!

– Uważaj, hrabio! – rzekł groźnie kardynał. – Nie zrażaj sobie ostatniego człowieka, jaki przy tobie pozostał.

– Trzeba było przy mnie pozostać tam, w katedrze, gdy decydowały się losy korony! Trzeba było ich obłożyć klątwą, wyjąć spod prawa!

– Nie było możliwości odwrócić biegu wydarzeń! Dobrze wiesz. I tak ci się upiekło! Gdybyśmy wszyscy, von Becht, de Livre, de Montagio i ja nie opowiedzieli

się za twoją wersją, iż Hanes działał samowolnie, chcąc zabić małą vi Rimm, ty zaś chciałeś tylko, by wziął ją jako zakładnika, teraz gnijbyś w lochu za próbę królobójstwa! A tak pozbawiono cię jedynie urzędu.

Burghiese zaklął. Przywykł do bycia wielkim parem. Vereeny. Teraz zaś będzie musiał zaczynać wszystko od nowa! Poparcie panów z Rady Stanu było oczywiście cenne, ale cenniejsze okazało się, że nie zostawił żadnych wyraźnych śladów poprzednich zbrodni, dowodów wystarczających przeciwnikom do postawienia go przed trybunałem.

– Nie poddam się – mruknął. – Na pewno się nie poddam! Ile to jeszcze lat, zanim córka Koniokrada osiągnie wiek do małżeństwa? Piętnaście...

– Zapewne o wiele wcześniej Laura zacznie się rozglądać za mężem dla niej. Zaręczyny, a nawet wstępne zaślubiny można przecież ogłosić w każdej chwili.

– Właśnie. – Burghiese spojrzał na kardynała. Falcone znał ten wyraz oczu. Hrabia już ma w głowie nowy plan działania. To przerażające, ale i pokrzepiające. – Naszym zadaniem, a szczególnie twoim, będzie udaremnienie wszelkich prób zawarcia związków.

– Co knujesz? Co zamierzasz?

– Zamierzam wziąć się do roboty w sypialni mojej małżonki. Koniec z kochankami, koniec z zapobiegającymi ciąży driakwiami! Przynajmniej na jakiś czas.

– Nie rozumiem...

– To proste, Falcone. Prostsze niż nasze dotychczasowe działania! Ja jestem już za stary. Ale jeśli w najbliższym czasie postaram się o syna... Pojmujesz? Będzie mniej więcej rówieśnikiem małej vi Rimm de Morano.

– Pojmuję – szepnął kardynał. – Nie rezygnujesz z marzeń o koronie.

– Właśnie. Ja już nie mam szans, ale mój syn... Pozostajemy w grze, Falcone. Musiałem się ugiąć, ale nie zdołają mnie złamać!



– To było bardzo sprytne i rozsądne, najjaśniejsza pani. – Wigbert był pełen uznania. – Wspaniale odczytałaś Czarny Pergamin.

– Nie kpij, spowiedniku! Ale jakoś mi nie wyglądałeś na zdumionego, iż nie było w nim żadnej treści, śladu jakiegokolwiek zapisu.

– Dlatego natychmiast poszedł do ognia, zanim Burghiese i Falcone ochłonęli. Prawdę mówiąc, od pewnego czasu podejrzewałem, że Czarny Pergamin nie jest magicznym artefaktem. Konkretnie od chwili, gdy Horris, ten uzdrowiciel, wyjawiał mi pewną rzecz. Otóż czarnoksiężnicy nie potrafili wyczuć dokumentu. Nasi ludzie, potrafiący tropić działania magii, również nigdy go nie umieli dostrzec. Przez

pokolenia zrzucano to na nieprawdopodobnie silny urok maskujący, ale kiedy zobaczyłem, jak Pillgrim, chcący czy niechcący, zerknął do środka, nabrałem pewności. Dobrze, że nikt więcej tego nie dostrzegł...

– Ale dlaczego Roderyk Wielki postarał się wmówić następcom, że Czarny Pergamin to głos przeznaczenia? Chciał zakpić z potomności?

Wigbert milczał chwilę.

– To był wielki i mądry król – powiedział wreszcie. – Mogę jedynie przypuszczać, o co mu chodziło. Na pewno nie o żart. Jako założyciel nowej dynastii, doskonale wiedział, co może się stać po jej wygaśnięciu. Sam przecież objął władzę po okrutnej wojnie domowej, jego tron ociekał krwią. Liczył zapewne, że Czarny Pergamin może zapobiec rozlewowi krwi. Że uzurpatorzy będą się trzymać z daleka, bo wyrok przeznaczenia uniemożliwi im dojście do władzy. I zapewne, że umierający ostatni król będzie na tyle mądry, żeby odczytać co trzeba. A jednocześnie nie miał zamiaru wiązać się prawdziwą magią, uzależniać od trudnego do przewidzenia działania potężnych sił.

– Nie przewidział tylko Ludwiga Burghiese.

– Nie wiem, pani. Tacy szubrawcy zawsze są gotowi się pojawić, ale Roderyk podjął ryzyko. Zauważ, że koniec końców, zgodnie z jego wolą odczytałaś pismo właściwie, zapobiegając rozlewowi krwi i tyrańskim rządóm hrabiego.

– Tak – roześmiała się. – Przez lata życia spędzone wśród dyplomatów i wilków polityki nauczyłam się czytać między wersami. Nawet między takimi, których nie widać.

– A przy okazji utrzymałaś władzę. Mam nadzieję, że będziesz jej używać rozumnie i sprawiedliwie. Inaczej...

– Będę – przerwała niecierpliwie. – Zamiast mnie napominać, powiedz lepiej, co z baronem? Poznał tajemnicę. Czy nie podzieli się nią z innymi?

– Zaprzysięgłem go, miłościwa pani. Zanim zdołał odetchnąć, wymusiłem na nim przyrzeczenie milczenia.



– Będzie nam ciebie brakowało – Koniokrad podał maleńką Bernadecie.

– Mnie was też, Alwenie, bardzo. Ale muszę wrócić do klasztoru. Ślubowałam Bogu, a któż bardziej niż On zasługuje, by dotrzymywać danego słowa, nawet wbrew własnej woli? A może szczególnie wbrew własnej woli...

– Wiem.

– Przełożoną na Mont Salome została Hortensja. Ta, którą wtedy uratowaliście od śmierci. Zapewne chce odkupić dawne przewiny. Na pewno potrzebuje każdej

pomocy.

– Wyposaże cię bogato. – De Morano podszedł do stołu, wziął pióro i pergamin. – Klasztorowi nadamy ziemię, wsypimy złota w szkatułę. Nie będziesz zwykłą mniszką, będziesz miała względy i szacunek...

– Nie, Koniokradzie – zaprotestowała. – Jam prosta kobieta, nie dla mnie zaszczytu. Chcę tylko służyć Bogu jak umiem najlepiej.

Alwen rzucił pióro. Stał pół kroku przed Bernadettą. Wahał się przez moment, a potem pogładził pomarszczony policzek. Pochyliła głowę, przytuliła twarz do szorstkiej dłoni.

– Jakbym odzyskała syna – szepnęła.

– Jakbym odzyskał matkę – odpowiedział równie cicho. – Będziemy cię odwiedzać, kiedy tylko nadarzy się okazja.

– Będę czekała z utęsknieniem. Przyjeżdżajcie do mnie... i na grób Maive. Kiedy malutka podrośnie, opowiem jej o niewieście dzielniejszej od wielu mężczyzn.

Koniokrad otoczył ramionami zakonnicę i córkę. Moja Maive, gdybyś mogła być teraz przy nas...



Baron Pillgrim płakał. Łzy wielkie jak groch ciekły mu po policzkach. Trup Vallery'ego z piersią owiniętą zakrwawionymi bandażami spoczywał na bogato tkanej kapie. Kazał ją przynieść pachółkom, kiedy tylko d'Orenburg wydał ostatnie tchnienie.

– Obronił naszą małą królową – warknął, kiedy przełożony pokojowców zżymał się, że ma dostarczyć materiał z królewskiej alkowy. – Nie musiał, bo nikomu nie był nic winny, ale poświęcił życie. Należy mu się szczególne traktowanie! Jeśli w ciągu pacierza nie znajdzie się to, czego żądam, zacznę być wściekły!

Teraz odwrócił się, znów klasnął w rękę.

– Gorącej wody, mydła i ręczników! – rozkazał.

– Co chcesz zrobić? – spytał siedzący z boku Horris.

– Obmyć przed pochówkiem naszego przyjaciela.

– To zwykle robią służące.

– Masz coś przeciwko, żebym ja to uczynił?

– Nie – Horris wstał, podszedł bliżej. – Raczej odwrotnie, zamierzam pomóc.

Zamilkli. Po niedługim czasie przyszli nie zwykli służący, ale paziowie. Przełożony pokojowców skłonił się.

– Pozwoliłem sobie zawiadomić królową o waszych życzeniach. Przesłała wodę różaną, pachnidła, odpowiednie przybory, bogate szaty oraz kilku ludzi do pomocy.

- Zostawcie wszystko i odejdźcie. Przybyli ociągali się.
- Wynocha! – ryknął Pillgrim. – Już was tu nie ma! Sami sobie poradzimy!
- Paziów wymiotło w mgnieniu oka. Przełożony służby oddalił się z godnością, choć obejrzał się raz i drugi z obawą. Baron wyglądał na takiego, po którym można się spodziewać wszystkiego. Jednak ten nie zaszczycił go spojrzeniem. Namydlił twarz Vallery’ego, wziął brzytwę. Horris tymczasem zaczął rozcinać bandaże.
- Powiesz Koniokradowi? – spytał cicho. Pillgrim zamarł z ostrzem opartym na policzku trupa.
- O czym?
- Wiesz przecież. Że w Czarnym Pergaminie nie było imienia Anny. Że znów został wykorzystany i oszukany.
- A ty skąd wiesz?
- Od Mistrza Ekhardta... Przekazał mi wieść zaraz po całej awanturze.
- Może więc ty wyjawisz Alwenowi sekret?
- Nie wolno mi... Nie powinienem... Już dość czarnoksiężnicy wtrącali się w wasze sprawy.
- A ja złożyłem przysięgę milczenia. Wrócili do przerwanych czynności.
- Nieszczęsny Koniokrad – powiedział po chwili Horris. – Nie wierzy w przeznaczenie, a jednocześnie całe życie ono dotyka go napominającą dłonią. – Ujął gąbkę, zaczął obmywać odsłoniętą już straszną ranę. – Naprawdę zamierzasz dotrzymać przyrzeczenia?
- Nie wiem – westchnął Pillgrim. – Muszę to dokładnie przemyśleć. Przeklinam chwilę, gdy zajrzałem w pismo. Niedobrze jest wiedzieć zbyt dużo. Powiem czy nie... Obawiam się, że cokolwiek bym uczynił, Alwen nie będzie szczęśliwy.

K O N I E C

Książki Rafała Dębskiego wydane nakładem naszego wydawnictwa

1. Czarny Pergamin
2. Kiedy Bóg zasypia
3. Serce teściowej
4. Łzy Nemezis
5. Zoroaster. Gwiazdy umierają w milczeniu
6. Wilkozacy. Wilcze prawo
7. Wilki i orły
8. Wilkozacy. Krew z krwi



Rafał Dębski – rocznik '69. Debiutował w 1998 roku w „Nowej Fantastyce” opowiadaniem *Siódmy liść*. Pisarz wszechstronny, dobrze czuje się zarówno w czasach, kiedy Słońce było Bogiem, jak i kiedy człowiek stał się zdobywcą tysięcy Słońc. W latach 2009 – 2012 redaktor naczelny miesięcznika „Science Fiction, Fantasy i Horror”.

Z wykształcenia i wykonywanego zawodu psycholog, pracuje w gimnazjum, zmagając się ze skutkami lekkomyślnej reformy oświaty. Obok pisania książek jego wielką pasją jest historia, przez którą, niczym w krzywym zwierciadle, postrzega ludzi – ich postawy, emocje, motywacje.

Ma wielki apetyt na życie. Chciałby osiągnąć wiele i żyć tak, aby nie żałować... Najlepiej nie żałować niczego. Niestety, natura wpisała mu w geny dawkę lenistwa. To przesądza o tym, że nie boi się wyzwań i dużo pracuje. Bo dzięki temu może jak najszybciej uporać się z tym, co tak czy inaczej musi być wykonane. Niestety, jak już się zdążył przekonać, to działa w obie strony. Praca, niczym owa Ciemność, dostrzegła go, pokochała i zawsze wie, gdzie Rafała znaleźć, dopaść i usidlić.

Z Fabryką Słów opublikował powieści *Czarny Pergamin* (2006), *Kiedy Bóg zasypia* (2007), *Zoroaster. Gwiazdy umierają w milczeniu* (2010), *Wilkozacy. Wilcze prawo* (2010), *Wilkozacy. Krew z krwi* (2012), zbiory opowiadań *Serce teściowej* (2008) oraz *Łzy Nemezis* (2009). Jego teksty znalazły się także w czterech najlepszych antologiach Fabryki Słów.

COPYRIGHT © BY Rafał Dębski
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2006

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-409-5

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI Piotr Cieśliński

ILUSTRACJE ORAZ GRAFIKA NA OKŁADCE Dominik Broniek

REDAKCJA Dominika Repeczko

KOREKTA Jolanta Aleksandrowicz, Barbara Caban

SKŁAD Barbara Habarta

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

Rafał Dębski

Czarny Pergamin



Dostałeś do ręki Czarny Pergamin i masz szansę odmienić los królestwa, zanim kolejna wojna zamieni spokojną krainę w morze łez i krwi. W owym magicznym dokumencie zapisano bowiem przyszłość. Bądź jednak ostrożny, bo jak wieść niesie, ten kto odczyta Czarny Pergamin, a nie okaże się tego godzien – padnie trupem na miejscu.

Znajdziesz się w sieci intryg, rozsuwanych przez ludzi, dla których celem są władza, pieniądze i zaszczyty. I którzy, aby to osiągnąć, nie cofną się przed żadną podłością i okrucieństwem. Spotkasz jednak też sojuszników w walce o dobro, rycerski honor i sprawiedliwość. Bądź uważny, aby właściwie odróżnić jednych od drugich.

W tej rozgrywce liczy się siła ciała i umysłu, spryt, wierność rycerskim wartościom oraz hart ducha. Wartościom tym hołdują: niezłomny baron, który dla ratowania ojczyzny nie cofnie się przed zdradą, niesłusznie pozabawiony czci szlachcic i kochająca go wbrew woli ojca dziewczyna.

Rozwiń Czarny Pergamin przeznaczenia...

Przekonaj się czy jesteś godzien go przeczytać.

Wylączny
dystrybutor



Patroni medialni

